

CARSON

McCULLERS

Serce
to samotny
myśliwy



CARSON

McCULLERS

Serce
to samotny
myśliwy

Z angielskiego przełożyła
JADWIGA OŁĘDZKA



Dedykuję
Reeves'owi McCullers'owi
oraz
Marguerite i Lamarowi Smith

Część pierwsza

1.

W mieście żyło dwóch głuchoniemych, którzy nigdy się nie rozstawali. Co dzień wczesnym rankiem wychodzili z domu i trzymając się pod rękę szli do pracy. Dwaj przyjaciele różnili się wyglądem. Ten, który szedł pierwszy, gruby i ociężały, był Grekiem. Latem paradował w żółtej lub zielonej koszulce, wetkniętej niedbale z przodu w spodnie, a z tyłu puszczonej luźno. Kiedy było chłodniej, wkładał rozciągnięty szary sweter. Twarz miał okrągłą i tłustą powieki stale w półprzymknięte, wargi wygięte w głupawym, łagodnym uśmiechu. Drugi głuchoniemy był wysokiego wzrostu. Oczy miał żywe i inteligentne. Ubierał się w kolory spokojne i był zawsze niezwykle czysty.

Co rano przyjaciele szli razem w milczeniu aż do głównej ulicy miasta. Przed sklepem owocowo-cukierniczym przystawali na chwilę na chodniku. Grek, Spiros Antonapoulos, pracował u swego kuzyna, który był właścicielem sklepu. Zajęcie jego polegało na układaniu cukierków i innych słodczy, wyjmowaniu owoców ze skrzynek i utrzymaniu porządku w sklepie. Wysoki niemowa John Singer prawie zawsze przed rozstaniem kładł rękę na ramieniu przyjaciela i wpatrywał się przez chwilę w jego twarz. Pożegnawszy go w ten sposób, przechodził na drugą stronę ulicy i szedł dalej, do sklepu, gdzie grawerował stołowe srebro.

Późnym popołudniem spotykali się znowu. Singer przychodził do owocarni i czekał, aż Antonapoulos będzie gotów do wyjścia. Grek leniwie rozpakowywał skrzynkę brzoskwiń czy melonów albo przeglądał pismo humorystyczne w kuchni za sklepem, gdzie gotował. Zanim wyruszyli do domu, Antonapoulos zawsze otwierał papierową torbę, którą ukrywał przez cały dzień na jednej z kuchennych półek. Znajdowały się w niej resztki jedzenia: nadgryziony owoc, parę cukierków, kawałek pasztetówki. Zwykle przed wyjściem Antonapoulos kaczym krokiem podchodził cicho do witryny sklepu, gdzie układano mięso i sery. Otwierał chyłkiem witrynę i tłustą ręką szukał z lubością po omacku smacznego kąska, na który miał ochotę. Czasami kuzyn, właściciel sklepu, nie zauważał tego. Lecz gdy zauważył, wbijał w krewniaka wzrok, a na jego bladej, napiętej twarzy malowało się ostrzeżenie. Wtedy Antonapoulos ze smutkiem przesuwał upatrzony kąsek z jednego końca witryny w drugi. Przez ten czas Singer stał wyprostowany, z rękami w kieszeniach i patrzył w

inną stronę. Nie lubił być świadkiem tej scenki pomiędzy dwoma Grekami. Gdyż prócz picia i pewnej sekretnej przyjemności, którą uprawiał, kiedy był sam, Antonapoulos nade wszystko lubił jeść.

Dwaj głuchoniemi wracali wolno o zmierzchu do domu. Tam Singer rozmawiał zawsze z Antonapoulosem na migi, wykonując szybko rękami umowne znaki. Na twarzy jego malowało się podniecenie, szarozielone oczy jaśniały promiennie. Szczupłymi, silnymi rękami opowiadał przyjacielowi wszystko, co wydarzyło się w ciągu dnia.

Greki siedział rozparty w leniwej pozie i patrzył na Singera. Sam rzadko poruszał rękami, by coś powiedzieć, a jeśli to robił, to tylko po to, by dać do zrozumienia, że chce jeść, pić lub spać. Owe trzy pragnienia wyrażał zawsze za pomocą tych samych nieokreślonych, niezdatnych gestów. Wieczorem, jeśli nie był zbyt pijany, klękał przed łóżkiem i modlił się przez chwilę. Jego tłuste ręce kreśliły w powietrzu: „Dobry Jezu”, „Boże”, „Święta Mario”. To były jedyne słowa, jakie umiał wymówić. Singer nie wiedział nigdy, ile jego przyjaciel rozumie z tego, co on mu opowiada. Ale to nie miało znaczenia.

Zajmowali wspólnie piętterko małego domku w pobliżu handlowej dzielnicy miasta. Były tam dwa pokoje. Na maszynie naftowej znajdującej się w kuchni Antonapoulos gotował wszystkie posiłki. Stały tam też: zwykle proste krzesło dla Singera i zbyt mocno wypchana kanapa dla Antonapoulosa. Prawie całą sypialnię wypełniało duże podwójne łóżko z puchową kołdrą, w którym sypiał otyły Grek i wąskie składane łóżko Singera.

Obiad zawsze trwał długo, bo Antonapoulos lubił jeść i był bardzo powolny. Po jedzeniu kładł się na wznak na swojej kanapie i oblizywał powoli językiem jeden ząb po drugim, dla dokładności lub może dlatego, żeby czuć jak najdłużej smak jedzenia. Singer przez ten czas zmywał naczynia.

Czasem wieczorami grywali w szachy. Singer bardzo lubił tę grę i próbował nauczyć jej Antonapoulosa. Z początku przyjaciel nawet nie potrafił zainteresować się tym, dlaczego przesuwają się różne figury na szachownicy. Potem Singer zaczął trzymać pod stołem butelkę z jakimś dobrym trunkiem, którą wyciągał po każdej lekcji. Grek nigdy nie pojął dziwaczkich skoków koników i posuwistych ruchów królowych, ale nauczył się paru stałych wstępnych posunięć. Wolał pionki białe i nie chciał grać czarnymi. Po paru pierwszych ruchach Singer grał dalej sam, a jego przyjaciel przyglądał się temu sennie. Jeśli Singer przypuszczał wspaniały atak na swoje własne

panionki, tak że w końcu czarny król ponosił klęskę, Antonapoulos był zawsze bardzo zadowolony i dumny.

Dwaj głuchoniemi nie mieli innych przyjaciół i rozstawali się tylko na czas pracy. Każdy następny dzień przypominał poprzedni, gdyż byli tacy samotni, że nie nigdy nie mąciło im spokoju. Raz na tydzień szli do biblioteki po powieść detektywistyczną dla Singera, w piątek wieczorem do kina. A w dzień wypłaty odwiedzali zawsze fotografa nad domem towarowym i Antonapoulos kazał robić sobie zdjęcie za dziesięć centów.

Były to jedyne miejsca, gdzie uczęszczali regularnie. Istniało wiele dzielnic miasta, których nigdy nawet nie widzieli.

Miasto leżało pośrodku stanu, na dalekim Południu. Lato było tam długie, a miesiące zimowych chłódów krótkie. Prawie zawsze z olśniewająco lazurowego, niezmąconego nieba słońce słało na ziemię oślepiające, rozpustnie jasne promienie. W listopadzie przychodziły drobne chłodne deszcze, a później czasem mróz i bardzo krótkie miesiące zimy. Zimy bywały różne, ale lata zawsze upalne. Miasto było dość duże. Na głównej ulicy było kilkanaście budynków jedno- i dwupiętrowych, w których mieściły się sklepy i biura. Największymi jednak budowlami w mieście były fabryki tkanin bawełnianych, zatrudniające spory procent ludności. Fabryki rozwijały się pomyślnie, ale robotnicy klepali biedę. Często widziało się na ulicach wyniszczone głodem twarze, na których malował się wyraz rozpacz i osamotnienia.

Lecz dwaj głuchoniemi nie czuli się wcale samotni. W domu z zadowoleniem jedli i pili, a Singer, z zapalem gestykulując, opowiadał przyjacielowi wszystko, co tylko mu przychodziło do głowy. Tak więc lata płynęły spokojnie. Singer był już mężczyzną trzydziestodwuletnim i mijało jedenaście lat, od kiedy zamieszkał z Antonapoulosem w tym mieście.

Pewnego dnia Grek zachorował. Siedział na łóżku trzymając się za brzuch, a po policzkach spływały mu duże, lśniące łzy. Singer zawiadomił o chorobie przyjaciela jego kuzyna z owocarni i sam załatwił sobie zwolnienie z pracy. Lekarz przepisał Antonapoulosowi dietę i zabronił mu pić wino. Singer ściśle przestrzegał tych wskazówek. Siedział przez cały czas przy łóżku przyjaciela i robił, co mógł, by uprzyjemnić mu czas, lecz Antonapoulos patrzył tylko na niego gniewnie kątem oka i nie dał się niczym zabawić.

Greki był bardzo rozdrażniony: stale krytykował jedzenie i napoje owocowe, które przyrządzał dla niego Singer. Żądał nieustannie od przyjaciela pomocy przy wychodzeniu z łóżka, by móc się pomodlić. Gdy klękał, jego duże pośladki opadały na małe stopy. Poruszał niezgrabnie rękami wypowiadając swoje „Święta Mario”, a potem chwycił za blaszany krzyżyk, który miał zawieszony na brudnym sznurku na szyi. Wbijał wzrok w sufit, a w jego dużych oczach malował się strach. Następnie zapadał w posępne milczenie i nie pozwalał przyjacielowi nic mówić.

Singer był cierpliwy i robił, co mógł. Rysował małe obrazki, a raz, chcąc zabawić Antonapoulosa, wykonał jego portrecik. Lecz uraził tym uczucia Greka, który nie dał się przejednać, póki Singer nie namalował mu młodej, ładnej twarzy z jasno-żółtymi włosami i porcelanowo niebieskimi oczami. A i wtedy jeszcze starał się nie okazywać zadowolenia.

Singer pielęgnował przyjaciela tak troskliwie, że po tygodniu Antonapoulos mógł wrócić do pracy. Ale od tej pory ich tryb życia uległ zmianie. Dwaj przyjaciele zaczęli mieć kłopoty.

Antonapoulos nie był już chory, lecz się jakoś zmienił. Nie zadowalało go spokojne spędzanie wieczorów w domu. Kiedy chciał wyjść, Singer szedł za nim. Antonapoulos wchodził do restauracji, a gdy siedzieli już przy stole, wsuwał sprytnie do kieszeni kostki cukru, solniczkę lub nóż czy widelec. Singer zawsze płacił za to, co przyjaciel zabrał, i nie było żadnych zatargów. W domu łajał Antonapoulosa, lecz Grek patrzył tylko na niego z łagodnym uśmiechem.

Z upływem miesięcy obyczaje Antonapoulosa coraz bardziej się pogarszały. Pewnego dnia wyszedł w południe ze sklepu swego kuzyna i publicznie oddał moc pod ścianą Banku Narodowego po drugiej stronie ulicy. Gdy idąc chodnikiem, spotykał ludzi, których twarze mu się nie podobały, atakował ich poszturchując łokciami i brzuchem. Pewnego dnia wszedł do jakiegoś sklepu i zabrał stamtąd lampę stojącą, nie płacąc za nią, a innym razem próbował wziąć kolejkę elektryczną, którą zobaczył w gablotce.

Dla Singera był to okres wielkich kłopotów. Prawie stale w porze lunchu musiał prowadzić Antonapoulosa do sądu, by załatwić sprawy jego wykroczeń przeciw prawu. Procedura sądowa stała się dla Singera rzeczą powszednią; żył w stanie ciągłego zdenerwowania. Pieniądze, które miał zaoszczędzone w banku, rozeszły się na grzywny i kaucje. Wszystkie swoje wysiłki i zasoby finansowe zużywał na to, by uchronić przyjaciela przed więzieniem z powodu kradzieży, nieprzyzwoitego

zachowania w miejscach publicznych i napadów z pobiciem. Właściciel sklepu, u którego Antonapoulos pracował, nie zagłębiał się zupełnie w te kłopoty. Charles Parker (bo takie przybrał nazwisko) zatrudniał nadal Antonapoulosa, ale obserwował go stale z bladą ściągniętą twarzą i wcale nie starał się mu pomóc. Singer czuł do niego antypatię.

Żył w ciągłym niepokoju i stale się martwił. Antonapoulos natomiast był zawsze spokojny; cokolwiek się działo, z twarzy jego nie schodził lekki, pogodny uśmiech. W latach poprzednich Singerowi wydawało się, że uśmiech przyjaciela jest mądry i subtelny. Nigdy właściwie nie wiedział, co Antonapoulos myśli. Teraz miał wrażenie, że w twarzy przyjaciela odkrywa jakiś nowy wyraz: chytry i żartobliwy. Chwytał go za ramiona i trząsał nim, aż się zmęczył, tłumaczył mu też coś ciągle na migi. Ale na nic się to zdało.

Singer wydał wszystkie swoje pieniądze i musiał pożyczać od jubilera, u którego pracował. Raz nie był w stanie zapłacić kaucji za przyjaciela i Antonapoulos spędził noc w więzieniu. Kiedy Singer przyszedł po niego nazajutrz, był bardzo ponury. Nie chciał wyjść z więzienia. Smakował mu obiad złożony z wędzonego boczku i kukurydzianego placka polanego syropem. Podobało mu się nowe posłanie i towarzysze w celi.

Tak długo mieszkali tylko we dwóch, że Singer nie miał nikogo, kto by go w strapieniu pocieszył. Antonapoulos nie pozwalał sobie przeszkadzać i nie chciał wyleczyć się ze swoich nawyków. W domu gotował czasem potrawę, którą jadł w więzieniu, a na ulicy nigdy nie było wiadomo, co za chwilę zrobi.

Aż w końcu Singera spotkała ostateczna klęska.

Kiedy pewnego dnia przyszedł do sklepu po Antonapoulosa, Charles Parker podał mu list. Z listu tego wynikało, że Charles załatwił co trzeba, by umieścić kuzyna w państwowym zakładzie dla umysłowo chorych, odległym o dwieście mil. Wykorzystał swoje stosunki w mieście i szczegóły zostały już ustalone. W przyszłym tygodniu miał zawieźć i umieścić Antonapoulosa w zakładzie.

Singer przeczytał list kilka razy i przez chwilę nie mógł zebrać myśli. Charles Parker mówił coś do niego poprzez ladę, ale on nie próbował nawet odczytać z ruchu warg, o co mu chodzi. W końcu napisał na bloczku, który zawsze nosił w kieszeni: „Nie może pan tego zrobić, Antonapoulos musi zostać ze mną”.

Charles Parker potrzęsnał gwałtownie głową. Nie bardzo dobrze umiał porozumiewać się po angielsku.

- To nie pana rzecz - powtarzał.

Singer wiedział, że wszystko skończone. Grek obawiał się, że pewnego dnia mógłby odpowiadać za zachowanie swego kuzyna. Charles Parker nie znał dobrze języka angielskiego, lecz wiedział, że dolar amerykański znaczy niemało. Użył więc swoich wpływów i pieniędzy, by bez zwłoki umieścić krewniaka w zakładzie.

Singer nie mógł na to nic poradzić.

Następny tydzień upłynął jak w gorączce. Singer mówił bez przerwy. Choć ani na chwilę nie przestawał poruszać rękami, nie mógł wyrazić tego, co miał do powiedzenia. Chciał przekazać Antonapoulosowi wszystkie myśli, jakie kiedykolwiek nosił w głowie i w sercu, ale nie było na to czasu. Jego szare oczy błyszczały, a żywa, inteligentna twarz wyrażała ogromne napięcie. Antonapoulos przyglądał mu się sennie, a przyjaciel nie wiedział, co on naprawdę myśli.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Antonapoulos miał wyjechać. Singer wyciągnął swoją walizkę i bardzo starannie zapakował najlepsze z ich wspólnych rzeczy. Antonapoulos przygotował sobie kanapki na drogę. Późnym popołudniem szli po raz ostatni ulicą trzymając się pod rękę. Był chłodny dzień pod koniec listopada; w powietrzu przed sobą widzieli małe obłoczki pary z własnych oddechów.

Charles Parker miał jechać wraz z kuzynem, ale na dworcu autobusowym trzymał się z daleka od nich. Antonapoulos wpakował się do autobusu i po starannym dobieraniu miejsca usadowił się na przodzie. Singer patrzył na niego przez okno, a ręce jego poruszały się rozpaczliwie w ostatniej rozmowie z przyjacielem. Lecz Antonapoulos był tak zajęty oglądaniem wiktuałów, które miał w pudełku, że nie zwracał na Singera uwagi. Dopiero tuż przed odjazdem autobusu odwrócił się do niego z uśmiechem tak bladym i dalekim, jakby dzieliło ich wiele mil.

Tygodnie, które nastąpiły potem, wydawały się zupełnie nierealne. Singer pracował cały dzień, pochylony nad warsztatem w głębi jubilerskiego sklepu, a wieczorem wracał do domu sam. Nade wszystko pragnął usnąć. Po przyjściu z pracy kładł się na łóżku i próbował zdrzemnąć się chociaż chwilę. Gdy tak leżał w półuśpieniu, nawiedzały go sny. A we wszystkich snach był Antonapoulos. Ręce Singera wykonywały nerwowe ruchy, bo we śnie rozmawiał z przyjacielem, który się w niego wpatrywał.

Singer próbował myśleć o czasach, kiedy jeszcze go nie znał. Próbował przypomnieć sobie pewne rzeczy, które wydarzyły się w latach jego młodości. Lecz nic z tego nie wydawało się rzeczywiste.

Pamiętał dobrze zwłaszcza jeden fakt, który wcale jednak nie wydawał mu się ważny. Przypomniawszy sobie mianowicie, że choć od dziecka był głuchy, nigdy nie był całkowicie niemy. Bardzo wcześnie został sierotą i umieszczono go w zakładzie dla głuchoniemych. Nauczył się tam porozumiewać na migi i czytać. Nie miał jeszcze lat dziewięciu, kiedy potrafił porozumiewać się jedną ręką w sposób amerykański, a dwiema na modłę europejską. Nauczył się śledzić ruchy warg innych ludzi i rozumieć, co mówią. Na koniec nauczono go mówić.

W szkole miał opinię bardzo inteligentnego chłopca. Uczył się lekcyj szybciej od swoich kolegów. Ale nigdy nie mógł się przyzwyczaić do mówienia wargami. Miał uczucie, że to rzecz nienaturalna, język w ustach wydawał mu się wielorybem.

Widząc zakłopotanie na twarzach ludzi, do których odzywał się w ten sposób, czuł, że jego głos brzmi jak głos jakiegoś zwierzęcia, że w jego mowie jest coś odpychającego. Poruszanie wargami sprawiało mu przykrość, lecz jego ręce zawsze gotowe były nakreślić gestami słowa, które chciał wyrazić.

Kiedy skończył dwadzieścia dwa lata, przyjechał z Chicago do tego miasta na południu i natychmiast spotkał Antonapoulosa. Od tej pory nie mówił już nigdy wargami, bo w rozmowie z przyjacielem nie było to potrzebne.

Wszystko wydawało się nierealne z wyjątkiem tych dziesięciu lat, które spędził bardzo wyraźnie, a gdy się budził, odczuwał boleśnie swoją samotność. Kilka razy posłał mu paczkę, ale nigdy nie otrzymał odpowiedzi. I tak mijały puste senne miesiące.

Z wiosną zaszła w Singerze zmiana. Nie mógł sypiać i dręczył go niepokój. Wieczorem spacerował w kółko po pokoju, nie mogąc w ciągu dnia zużyć tej nowej energii, która go rozsadzała. Odpoczywał jedynie w ciągu paru godzin przed świtem, zapadał wtedy w twardy sen, który trwał, dopóki ranny blask nie uderzył nagle jak zakrzywiona szabla w jego uchylające się powieki.

Zaczął wieczorami spacerować po mieście. Nie mógł wytrzymać w pokoju, gdzie mieszkał Antonapoulos, wynajął więc inny w marnym pensjonacie w pobliżu centrum miasta.

Posiłki jadał w restauracji dwie przecznice dalej. Znajdowała się ona na samym końcu głównej ulicy i nosiła nazwę „New York Cafe”. Pierwszego dnia Singer przejrzał szybko kartę, a potem napisał krótką notatkę i podał ją właścicielowi lokalu.

Co rano na śniadanie chciałbym dostać jajko, grzankę i kawę - 15 centów.

Na lunch - zupę (obojętnie jaką), kanapkę z mięsem i mleko - 25 centów.

Na obiad - trzy rodzaje jarzyn (wszystko jedno jakie, prócz kapusty), rybę lub mięso i kufel piwa - 35 centów.

Dziękuję.

Właściciel przeczytał karteczkę i obrzucił go szybkim, dyskretnym spojrzeniem. Był to tęgi mężczyzna średniego wzrostu, o zaroście tak ciemnym i gęstym, że dolna część jego twarzy wyglądała jak odlana z żelaza. Zwykle stał w rogu przy kasie z rękami skrzyżowanymi na piersi i obserwował spokojnie wszystko, co się wokół niego działo. Singer poznał z czasem dobrze twarz tego człowieka, bo jadał w jego restauracji trzy razy dziennie.

Co wieczór głuchoniemy godzinami spacerował samotnie po ulicach. Niekiedy noce były chłodne, wiały ostre, wilgotne marcowe wiatry i padały gęste deszcze. Ale jemu było to obojętne. Poruszał się krokiem nerwowym, ręce miał zawsze wciśnięte w kieszenie spodni. Z upływem tygodni dni stawały się cieplejsze i jakby ospałe. Niepokój Singera ustąpił stopniowo miejsca wyczerpaniu. Sprawiał teraz wrażenie całkowicie spokojnego. Na twarzy jego malował się wyraz zadumy, jaki widuje się najczęściej u ludzi zmartwionych lub bardzo mądrych. Nadal jednak błąkał się po ulicach, zawsze samotny i milczący.

2.

W ciemną parną noc wczesnym latem Biff Brannon stał za kasą w „New York Cafe”. Była północ. Na ulicy pogaszono latarnie, światło padające z okien restauracji tworzyło na chodniku ostry, żółty prostokąt. Ulica była pusta, lecz w lokalu znajdowało się jeszcze paru gości, którzy pili piwo, wino „Santa Lucia” lub whisky. Biff przyglądał się im flegmatycznie, z łokciem opartym o ladę, ugniatając kciukiem

czubek swego długiego nosa. Oczy jego były jednak czujne. Obserwował specjalnie uważnie niskiego, krępego mężczyznę w roboczym kombinezonie, który podpił sobie i zachowywał się hałaśliwie. Co pewien czas wzrok jego przesunął się na głuchoniemego, który siedział sam przy jednym ze stolików pośrodku sali, lub na innych gości stojących przy bufecie. Lecz wracał znów do pijaka w kombinezonie. Godzina była już późna, a Biff ciągle w milczeniu czuwał za ladą. W końcu obrzucił ostatnim spojrzeniem lokal i skierował się ku drzwiom w głębi, prowadzącym na górę.

Wszedł cicho do pokoju na piętrze. Było tam ciemno, więc poruszał się ostrożnie. Po paru krokach uderzył butem w coś twardego, schylił się i namacał rączkę stojącej na podłodze walizki. Spędził w pokoju zaledwie kilka sekund i właśnie zamierzał wyjść, kiedy zabłysło światło.

Alice usiadła na zagniecionej pościeli i popatrzyła na niego.

- Co ty tu robisz z tą walizką? - spytała. - Czy nie możesz pozbyć się tego wariata, nie zwracając mu rzeczy, które już i tak przepił?

- Rozbudź się i zejdz sama na dół. Zawołaj policjanta, niech go zabierze na ciężkie roboty i więzienny wikt. Idź, zrób to, pani Brannon.

- Zrobię na pewno, jeśli będzie tam jeszcze rano. Ale zostaw walizkę. Nie należy już do tego darmozjada.

- Znam się na darmozjadach, ale Blount nie jest darmozjadem. A ja sam... no, nie wiem... Ale złodziejem też jeszcze nie jestem.

Biff wystawił spokojnie walizkę na schody. Powietrze w pokoju nie było tak stęchłe i duszne jak na dole. Zdecydował się pozostać tu chwilę i przed wyjściem oplukać twarz zimną wodą.

- Powiedziałam ci już, co zrobię, jeżeli nie pozbędziesz się na dobre tego typu. W dzień leży do góry brzuchem i drzemie, a wieczorem dajesz mu obiad i piwo. Od tygodnia nie zapłacił ani centa. A to jego skandaliczne zachowanie i głupia gadanina zrujniają przyzwoity lokal.

- Nie znasz się ani na ludziach, ani na interesach - odpowiedział. - Facet, o którym tu mowa, zjawiał się przed dwunastu dniami. Nikt go nie znał. W pierwszym tygodniu dał nam zarobić dwadzieścia dolarów. Co najmniej dwadzieścia.

- A od tamtej pory żyje na kredyt - stwierdziła Alice. - Pięć dni na kredyt. I taki pijak to hańba dla lokalu. A poza tym to włóczęga i postrzeleniec.

- Ja lubię postrzeleńców - powiedział Biff.

- No myślę! Musisz ich lubić, panie Brannon, bo sam jesteś postrzelony.

Potarł sinawy podbródek, nie zwracając na nią uwagi. Przez pierwsze piętnaście lat małżeństwa mówili do siebie po prostu „Biff” i „Alice”. Potem w czasie jakiejś sprzeczki zaczęli tytułować się „pan” i „pani” i odtąd nigdy nie pogodzili się na tyle, żeby to zmienić.

- Ostrzegam cię, że lepiej, by go tam nie było, kiedy zejdziesz jutro na dół.

Biff wszedł do łazienki i opłukawszy twarz, stwierdził, że zdąży się jeszcze ogolić. Podbródek miał ciemny i tak zarośnięty, jakby od trzech dni się nie golił. Stanął przed lustrem i w zamyśleniu tarł policzki. Żałował, że rozmawiał z Alice. Milczenie było lepszą metodą w stosunku do niej. Kiedy ta kobieta znajdowała się blisko, czuł się zawsze inny, niż był naprawdę. Stawał się uparty, małostkowy, pospolity - jak ona. Oczy Biffa były chłodne i błyszczące, na pół ukryte pod cynicznie opuszczonymi powiekami. Na piątym palcu stwardniałej ręki widniała obrączka ślubna. Drzwi za jego plecami były otwarte, mógł więc widzieć w lustrze leżącą na łóżku Alice.

- Posłuchaj - powiedział. - Cała bieda w tym, że nie masz prawdziwej życzliwości dla ludzi. Taką życzliwość miała tylko jedna kobieta, którą kiedyś znałem.

- A ja wiem, że ty robisz rzeczy, którymi żaden mężczyzna na świecie nie mógłby się chlubić. Wiem, że...

- Albo to może sprawa zainteresowań. Nigdy nie dostrzegasz rzeczy naprawdę ważnych. Nie obserwujesz, nie myślisz, nie próbujesz sobie niczego wyobrazić. Na tym chyba w końcu polega największa między nami różnica.

Alice już prawie zasypiała. Przyglądał się jej obojętnie w lustrze. Nie było w niej nic, na co mógłby zwrócić uwagę: wzrok jego prześliznął się z kasztanowatych włosów na ciężkie stopy rysujące się pod kołdrą i z twarzy o miękkich zarysach na krągłe biodra i pełne uda. Kiedy był z daleka od niej, cała postać zamazywała mu się przed oczami, pamiętał tylko jedną niekształtą bryłę.

- Nie wiesz, co to za przyjemność przyglądać się czemuś - powiedział.

W głosie jej brzmiało znużenie.

- Ten facet na dole to rzeczywiście coś do przyglądania się - po prostu cyrk. Ale mam go dość!

- Do licha, mnie na nim nie zależy. Ani on mi brat, ani swat. Ale ty nie wiesz, co to znaczy stworzyć sobie prawdziwy obraz z mnóstwa szczegółów. - Odkręcił kran z gorącą wodą i zaczął się szybko golić.

Było to rano, piętnastego maja, kiedy do restauracji wszedł Jake Blount. Zauważył go natychmiast i zaczął obserwować. Był to niski mężczyzna o grubych jak belki ramionach, z małym postrzępionym wąsikiem, pod którym dolna warga wyglądała jak ukłuta przez osę. Wiele rzeczy wydawało się w tym człowieku sprzecznych. Głowę miał bardzo dużą i kształtną, ale szyję miękką i szczupłą jak chłopiec. Wąsiki sprawiały wrażenie sztucznych, jakby zostały przyklejone na bal maskowy i miały odpaść za chwilę, gdy właściciel ich będzie mówił zbyt szybko. Wyglądał z tymi wąsami na człowieka w średnim wieku, choć twarz jego o wysokim gładkim czole i szeroko otwartych oczach była młoda. Ręce miał bardzo duże, stwardniałe, całe w plamach, a ubrany był w tanie płócienne ubranie. Było w nim coś zabawnego, a równocześnie widok jego budził inne uczucie, które nie pozwalało się z niego śmiać.

Zamówił pół litra whisky i wypił ją w ciągu pół godziny. Potem usiadł przy stoliku i zjadł na obiad dużego kurczaka. Następnie czytał książkę i pił piwo. Tak się zaczęło. Choć Biff obserwował bacznie Blounta, nigdy by nie odgadł jego późniejszych szaleńczych wyczynów. Nie widział jeszcze człowieka, który by się w ciągu dwunastu dni tyle razy zmieniał. Nigdy nie widział, by ktoś pił tak dużo i tak długo był pijany.

Biff uniósł dużym palcem do góry czubek nosa i ogolił górną wargę. Skończył; twarz jego wyglądała teraz jakby bardziej chłodna. Alice spała, kiedy przechodził przez sypialnię idąc ku schodom.

Walizka była ciężka. Zaniósł ją do restauracji i postawił za kasą, gdzie stał każdego wieczoru. Rozejrzył się uważnie po lokalu. Paru gości już wyszło i na sali zrobiło się luźniej, lecz scena się nie zmieniła. Głuchoniemy dalej pił samotnie piwo przy jednym ze stolików na środku. Pijak nie przestawał gadać. Nie zwracał się specjalnie do tych, którzy go otaczali i nikt go też nie słuchał. Przyszedł dziś w niebieskim kombinezonie zamiast brudnego płóciennego ubrania, które nosił przez dwanaście dni. Był bez skarpetek, a kostki nóg miał oblepione błotem.

Biff czujnie chwycił uchem urywki jego monologu. Mężczyzna plótł znów jakieś androny na temat polityki. Poprzedniego wieczoru opowiadał o stanach, które znał - o Teksasie, Oklahomie i obu Kaliforniach.

Kiedyś wjechał na temat burdela i zaczął sypać tak nieprzyzwoitymi dowcipami, że trzeba było go uciszyć piwem. Ale przeważnie nikt nie wiedział, o czym on właściwie mówi. Gadał i gadał, i gadał. Słowa płynęły mu z ust potokiem. I stale zmieniał akcent i słownictwo. Raz mówił jak robotnik z fabryki włókienniczej, kiedy indziej jak profesor. Używał słów wyszukanych, to znów robił gramatyczne błędy. Trudno było orzec, do jakiego przynależy środowiska lub z jakiej części kraju pochodzi. Ciągłe się zmieniał. Biff w zamyśleniu gładził czubek nosa. Nie było w tym wszystkim żadnego związku. A przecież logiczny związek wiąże się zwykle z rozumem. Ten człowiek miał rozum w porządku, ale przeskakiwał z tematu na temat bez żadnego sensu.

Biff oparł się całym ciężarem o ladę i zaczął czytać wieczorną gazetę. Wielki nagłówek donosił o decyzji Rady Miejskiej podjętej po czterech miesiącach debat, a streszczającej się w tym, że budżet lokalny nie jest w stanie pokryć kosztu świateł ulicznych na niektórych niebezpiecznych skrzyżowaniach w mieście. Lewa kolumna dawała sprawozdanie z wojny na Wschodzie. Biff przeczytał obie wiadomości z jednakową uwagą. Wzrok jego przesunął się po drukowanych literach, ale inne zmysły wyostrzone były czujnie na wszystko, co działo się dookoła niego. Skończywszy czytać te dwa artykuły, wpatrywał się dalej w gazetę z półprzymkniętymi oczami. Był zdenerwowany. Ten człowiek to problem: do rana musi z nim sprawę jakoś załatwić. Czuł też, nie wiadomo czemu, że coś ważnego wydarzy się tej nocy. Nieznajomy gość nie może tkwić tu wiecznie.

Biff poczuł, że ktoś stanął na progu, i podniósł szybko wzrok. W drzwiach ukazała się chuda jasnowłosa dziewczynka, lat około dwunastu. Ubrana była w szorty khaki, niebieską bluzkę i tenisówki. Na pierwszy rzut oka przypominała młodziutkiego chłopca. Biff ujrawszy ją, odsunął gazetę i uśmiechnął się, kiedy dziewczynka do niego podeszła.

- Hallo, Mick. Byłaś może na zbiórce skautek?

- Nie - odrzekła. - Nie należę do skautów.

Kątem oka dojrzał, że pijak uderzył pięścią w stół i odwrócił się od mężczyzn, do których mówił. Biff surowym głosem zapytał stojącą przed nim dziewczynkę:

- Czy twoi rodzice wiedzą, że jesteś poza domem po północy?

- Tak. Wszystko w porządku. Jeszcze kupa dzieci bawi się na naszej ulicy.

Nigdy nie widział, by przyszła do jego lokalu z jakimś dzieckiem w swoim wieku. Parę lat temu chodziła stale ze starszym bratem. Rodzina Kellych była bardzo liczna. Później zaczęła się zjawiać, pchając wózek z dwojgiem zasmarkanych niemowląt. Ale jeśli nie niańczyła maleństw lub nie starała się dotrzymać kroku starszym, była zawsze sama. Teraz, gdy tak stała, wydawało się, że nie może się zdecydować, po co przyszła. Dłonią co chwila odgarniała do tyłu wilgotne płowe włosy.

- Proszę paczkę papierosów. Najtańszych.

Biff chciał coś powiedzieć, ale się zawahał. Potem sięgnął ręką do szuflady. Mick wyjęła chusteczkę i zaczęła rozwiązywać jej róg, gdzie miała pieniądze. Kiedy szarpnęła za węzeł, na podłogę upadły z brzękiem drobne monety i potoczyły się w stronę Blounta, który stał, mruczając coś do siebie. Przez chwilę wpatrywał się w nie oszołomiony, lecz zanim dziewczynka zdołała podbiec, by je pozbierać, przykucnął w skupieniu i podniósł z podłogi pieniądze. Podeszedł potem ciężkim krokiem do lady i stanął, kołyszając w dłoni dwa centy oraz dwie monety po pięć i dziesięć centów.

- Siedemnaście centów na papierosy, co?

Biff czekał, a Mick spoglądała teraz to na jednego, to na drugiego. Pijak ułożył monety w mały stosik na ladzie, osłaniając je dużą brudną łapą. Wolnym ruchem wziął jednego centa i przytknął go palcem po ladzie.

- Pół centa dla tego biedaka, co sadził tytoń, i tyle samo dla durnia, co go zwijał. A dla pana, Biff, cały cent. - Starał się skupić wzrok, by odczytać napisy na pięciocentówce i dziesięciocentówce. Palcem przytrzymał dwie monety i kręcił nimi w kółko. W końcu odepchnął je od siebie. - Oto pokorny hołd złożony wolności. Demokracji i tyranii. Wolności i grabieży.

Biff spokojnie wziął pieniądze i wrzucił do szuflady. Mick miała taką minę, jakby chciała zostać tu jeszcze chwilę. Obrzuciła długim spojrzeniem pijanego mężczyznę, a potem skierowała wzrok na środek sali, gdzie głuchoniemy siedział samotnie przy swoim stoliku. Po chwili i Blount zaczął zerkać w tamtą stronę. Niemowa siedział spokojnie nad szklanką piwa, rysując leniwie po stole kawałkiem wypalonej zapalki.

Pierwszy odezwał się Jake Blount.

- Zabawne, ale we śnie w ciągu ostatnich trzech czy czterech nocy widziałem tego człowieka. Nie chce zostawić mnie w spokoju. Zauważył pan chyba, że on się w ogóle nie odzywa.

Biff rzadko wdawał się w dyskusje z jednym gościem na temat drugiego.

- Nie, nigdy - odpowiedział wymijająco.

- To zabawne.

Mick przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą i włożyła paczkę papierosów do kieszeni szortów.

- Nie ma w tym nic zabawnego, jak się go zna - powiedziała - pan Singer mieszka u nas. Wynajmuje pokój w naszym domu.

- Naprawdę? - zdziwił się Biff. - Coś takiego! Nie wiedziałem.

Mick ruszyła ku drzwiom i nie oglądając się powiedziała:

- No pewnie. Już od trzech miesięcy.

Biff obciągnął rękawy koszuli, a potem podwinął je starannie z powrotem. Nie odrywał wzroku od Mick, kiedy wychodziła z restauracji. A nawet parę minut po jej odejściu ciągle jeszcze bawił się swoimi rękawami i wpatrywał w puste drzwi. Potem skrzyżował ręce na piersiach i zwrócił się znów do pijaka.

Blount oparł się ciężko o ladę. Jego piwne oczy były wilgotne i szeroko otwarte w jakimś wyrazie otepienia. Bardzo potrzebował kąpieli, cuchnął jak kozioł. Na spoczonej szyi miał paciorki z brudu, a twarz umazaną jakimś smarem. Wargi jego były grube i czerwone, ciemne włosy opadały w splątanych kosmykach na czoło. Kombinezon był za ciasny w kroku, toteż obciągał go co chwila.

- Człowieku, miej trochę rozumu. Nie możesz się tak wałęsać. Dziwię się, że cię nie zatrzymano za włóczęgostwo. Najpierw musisz wytrzeźwieć. Potrzebujesz kąpieli, a twoje włosy fryzjera. Matko Boska! Nie możesz się tak pokazywać wśród ludzi!

Blount skrzywił się i zagryzł dolną wargę.

- No, nie masz się czego obrażać i złościć - ciągnął Biff. - Zrób to, co ci powiem. Idź do kuchni i powiedz chłopcu, żeby dał ci dużą miskę gorącej wody. Niech Willie da ci też ręcznik i mydło i umyj się porządnie. Potem zjedz trochę chleba z mlekiem, otwórz walizkę i włóż czystą koszulę i jakieś lepsze spodnie. A jutro możesz zacząć robić, co zechcesz, i pracować, gdzie zechcesz - i usatkuj się.

- Wiesz, co ci powiem - powiedział po pijacku Blount. - Możesz się po prostu...

- Nie, nie mogę - odparł bardzo spokojnie Biff. - Zachowuj się przyzwoicie.

Biff przeszedł na koniec lady i wrócił z dwoma kufkami beczkowego piwa. Pijak wziął w rękę kufel tak niezgrabnie, że piwo wylało mu się na ręce i na ladę. Biff popijał swoją porcję, smakując powoli napój. Wpatrywał się w Blounta spod półprzymkniętych powiek. Blount nie był nienormalny, choć na pierwszy rzut oka takie sprawiał wrażenie. Wydawało się, że coś w nim jest nie w porządku, lecz przy bliższych oględzinach każda część jego ciała okazywała się być normalna, taka, jak być powinna. Jeśli więc fizycznie nic mu nie brakowało, to nie był chyba zupełnie zdrow na umyśle. Sprawiał wrażenie człowieka, który siedział dłuższy czas w więzieniu albo studiował na Uniwersytecie Harvarda, albo też żył długo wśród obcych w Ameryce Południowej. W każdym razie jakby przebywał gdzieś, gdzie inni ludzie dotrzeć nie mogą albo zrobił coś, czego inni zrobić nie potrafią.

Biff przekrzywił głowę i zapytał:

- Skąd pochodzisz?

- Znikąd.

- No, gdzieś się przecież urodziłeś. W Karolinie Północnej - w Tennessee - w Alabamie...

Oczy Blounta były mętne i rozbiegane.

- W Karolinie - powiedział.

- Chyba szwendałeś się trochę po świecie? - podsunął delikatnie Biff.

Ale pijak nie słuchał. Odwrócił się od bufetu i wpatrzył w ciemną pustą ulicę. Po chwili chwiejnym, niepewnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

- *Adios!* - zawołał.

Biff znów został sam. Szybkim badawczym spojrzeniem obrzucił lokal. Było już po pierwszej i na sali pozostało tylko czterech czy pięciu klientów. Głuchoniemy ciągle jeszcze siedział przy środkowym stoliku. Biff popatrzył na niego bezmyślnie i potrząsnął resztką piwa na dnie kufka. Potem wypił je do końca jednym długim haustem i powrócił do gazety rozłożonej na ladzie.

Tym razem nie potrafił jednak skupić uwagi na słowach, które miał przed oczyma. Przypomniał sobie Mick. Czy powinien był sprzedać jej paczkę papierosów i czy naprawdę palenie jest dla dzieci szkodliwe? Przypomniał sobie, jak Mick mrużyła oczy i odgarniała dłonią włosy z czoła. Przypomniał sobie jej szorstki, chłopięcy głos i zwyczaj podciągania do góry szortów koloru khaki, i rozkołysany krok jak u kowboja z filmu. Wypełniło go uczucie tkliwości i zakłopotania.

W tym niespokojnym stanie ducha skierował teraz uwagę na Singera. Głuchoniemy siedział z rękami w kieszeniach, a stojące przed nim niedopite piwo zwietrzało i zrobiło się ciepłe. Biff miał ochotę poczęstować Singera szklaneczką whisky przed odejściem. Prawdę powiedział Alice: lubił postrzelców. Żywił też szczególnie przyjazne uczucia dla ludzi chorych i kalek. Gdy tylko zjawił się w restauracji człowiek z zajęczą wargą lub gruźlik, stawiał przed nim piwo. A jeśli przyszedł garbaty czy kulawy, dostawał darmo whisky. Był taki chłopak, który przy eksplozji kotła stracił lewą nogę i męski członek; ilekroć zjawił się w mieście, czekała na niego gratisowa półlitrowka. Gdyby Singer lubił pić, mógłby dostawać alkohol za pół ceny, kiedy tylko by zechciał. Biff pokiwał głową. Potem złożył starannie gazetę i wsunął ją pod ladę obok paru innych. Pod koniec tygodnia zaniesie je wszystkie do składziku za kuchnią gdzie od dwudziestu jeden lat gromadził pełny komplet wieczornego dziennika.

O drugiej Blount wszedł znowu do restauracji. Przyprował z sobą wysokiego Murzyna, który niósł w ręku czarną torbę. Pijak usiłował zaciągnąć go do lady, ale Murzyn wyszedł, gdy tylko zorientował się, po co go tu wciągnięto. Biff rozpoznał w nim murzyńskiego lekarza, który praktykował w mieście od niepamiętnych czasów. Był w jakimś sensie spokrewniony z młodym Williem pracującym w kuchni. Biff dostrzegł, że zanim wyszedł, obrzucił Blounta spojrzeniem pełnym tłumionej nienawiści.

Pijak sterczał dalej w restauracji.

- Nie wiesz, że nie wolno wprowadzać czarnych do lokali przeznaczonych dla białych? - zapytał ktoś.

Biff obserwował to z daleka. Blount był wściekły i widać było teraz, jak strasznie się spił.

- I ja jestem po części czarny! - wykrzyknął wyzywającym tonem. Biff przyglądał mu się uważnie. Obecni na sali milczeli. Grube nozdrza Blounta i białka oczu, którymi toczył, pozwalały w pewnym stopniu przypuszczać, że mówi prawdę.

- Jestem Murzynem i Włochem, i Cyganem, i Chińczykiem. Każdym po trochu. Rozległ się śmiech.

- I Holendrem, i Turkiem, i Japończykiem, i Amerykaninem. - Obszedł chwiejnym krokiem stół, przy którym głuchoniemy pił swoje piwo. Blount mówił głośno, chrapliwym głosem. - Jestem ten, który wie. Jestem obcy w obcym kraju.

- Uspokój się - powiedział Biff. Blount nie zwracał uwagi na nikogo prócz głuchoniemego. Patrzyli na siebie. Oczy niemowły były chłodne i łagodne niczym oczy kota, zdawał się słuchać całym sobą. Pijany mężczyzna wpadł w szaleńcze podniecenie.

- Ty jeden w całym mieście pojmujesz, o co mi chodzi - mówił. - Od dwóch dni rozmawiam z tobą w myślach, bo wiem, że rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Niektórzy ludzie przy stolikach roześmiali się, bo pijak nie zdając sobie z tego sprawy wybrał do rozmowy głuchoniemego. Biff obserwował obu mężczyzn, zerkając na nich i nasłuchując uważnie.

Blount usiadł przy stoliku i zbliżył twarz do Singera.

- Są tacy, co wiedzą, i tacy, co nie wiedzą. Na dziesięć tysięcy tych niewiedzących trafia się tylko jeden, który wie. To rzecz niepojęta, w każdej epoce - fakt, że miliony wiedzą tak wiele, a tego jednego nie wiedzą. Na przykład w piętnastym wieku wszyscy myśleli, że Ziemia jest płaska, a tylko Kolumb i paru innych jeszcze знаło prawdę. Inna rzecz, że trzeba pewnej wiedzy, by móc wyobrazić sobie, że Ziemia jest okrągła. A tymczasem ta prawda jest tak oczywista, aż niepojęte, że ludzie nie wiedzą. Ty wiesz!

Biff oparł łokcie o ladę i przyglądał się Blountowi z ciekawością.

- Co? - spytał.

- Nie słuchaj go - rzekł Blount - nie zważaj na tego platfusa, na tego sinogębego wścibskiego sukinsyna. Bo widzisz, kiedy spotykają się ci, co wiedzą, to wielkie wydarzenie. Tak rzadko się to zdarza. Niekiedy spotykają się, ale wcale się nie domyślają, że ten drugi wie. To źle. Już wiele razy tak mi się zdarzyło. A zrozum, jest nas tak niewielu.

- Masonów? - spytał Biff.

- Zatkaj się, ty! Bo ci ręce, nogi powyrywam! - wrzasnął Blount. Przysunął się bliżej do głuchoniemego, głos jego przeszedł w pijacki szept. - A jak się to dzieje? Skąd ta straszliwa niewiedza? Powód jest tylko jeden - konspiracja. Podstępna, szeroko rozumiana konspiracja. Obskurantyzm.

Goście przy stolikach nadal śmiali się z pijaka, który próbował podtrzymać rozmowę z głuchoniemym. Jedyne Biff zachowywał powagę. Chciał upewnić się, czy niemowła naprawdę rozumie, co się do niego mówi. Potakiwał często głową, a jego twarz miała wyraz zamyślony. Tylko reagował powoli - to wszystko. Blount zaczął

teraz wtrącać żarciki do swojej przemowy. Głuchoniemy uśmiechał się teraz, dopiero parę sekund po wygłoszonej uwadze, a kiedy padały znów poważne słowa, uśmiech wciąż jeszcze trochę zbyt długo pozostawał na jego twarzy. Człowiek ten był jakiś niesamowity. Ludzie przyglądali mu się, zanim jeszcze zauważyli, że jest w nim coś dziwnego. Wzrok jego nasuwał myśli, że słyszy rzeczy, których nikt nigdy nie słyszał, i wie to, czego nikt dotąd nie odgadł. Wydawało się, że jest w nim coś nadludzkiego.

Jake Blount pochylił się nad stołem, a słowa płynęły z jego ust potokiem, jakby pękła w nim jakaś tama. Biff nie rozumiał już, co mówi. Blount miał język tak ciężki po przepiciu, i mówił z takim uniesieniem, że wszystkie słowa zlewały się ze sobą. Biff zastanawiał się, gdzie ten człowiek pójdzie, kiedy Alice go przepędzi. A rano nastąpi to na pewno - tak jak zapowiadała.

Biff ziewnął lekko, uderzając się czubkami palców po otwartych ustach. Była już prawie trzecia, najbardziej martwa godzina dnia i nocy.

Głuchoniemy okazał cierpliwość. Słuchał Blounta już blisko godzinę. Teraz zaczął co jakiś czas spoglądać na zegarek. Blount nie dostrzegał tego i gadał dalej. W końcu zamilkł, by skrócić papierosa, a wtedy głuchoniemy skinął głową w kierunku zegara, uśmiechnął się w swój zagadkowy sposób i wstał od stolika. Trzymając ręce jak zawsze w kieszeniach, wyszedł szybko z lokalu.

Blount był tak pijany, że nawet tego nie zauważył. Nie zauważył też wcale, że niemowa nie odpowiadał na jego pytania. Zaczął rozglądać się po sali, z otwartymi ustami, przewracając zamglonymi oczyma. Na czoło wystąpiła mu czerwona żyła, począł z wściekłością walić pięściami w stół. Doszedł do szczytu w swoim pijackim zapamiętaniu.

- Przestań - odezwał się spokojnie Biff. - Twój przyjaciel poszedł sobie.

Pijak nadal szukał Singera. Był chyba bardziej pijany niż kiedykolwiek. Miał jakieś nieprzyjemne spojrzenie.

- Mam tu coś dla ciebie i chcę z tobą chwilę pomówić - próbował go udobruchać Biff.

Blount dźwignął się od stołu i długim niedbałym krokiem wyszedł znów na ulicę.

Biff oparł się o ścianę. Tam i z powrotem - tam i z powrotem. Ostatecznie to nie jego rzecz. Sala była teraz cicha i pusta. Minuty wlokły się. Opuścił ze znużeniem głowę. Wszelki ruch jakby z wolna stąd odpływał. Bufet, twarze, stoliki, łóżka, radio w

kącie, obracające się u sufitu wentylatory - wszystko zdawało się zanikać, blednąć i cichnąć.

Musiał się zdrzemnąć. Jakaś ręka ciągnęła go za łokieć. Wrócił z wolna do świadomości i podniósł wzrok, żeby zobaczyć, czego od niego chcą. Stał przed nim Willie, młody Murzyn z kuchni, w długim białym fartuchu i czapce na głowie. Jąkał się z podniecenia, starając się coś powiedzieć.

- I on tam stał, wa... walił pięścią o mur.

- Co takiego?

- Tam... na ulicy... dwa domy stąd.

Biff rozprostował pochylone ramiona i poprawił krawat.

- Co?

- Chcą przyprowadzić go tu... zaraz tu będą.

- Willie - powiedział spokojnie Biff - zacznij od początku, żebym zrozumiał, o co chodzi.

- To ten niski biały z wą... wąsami, co tu był...

- Pan Blount. I co dalej?

- No... ja nie wiem, jak się to zaczęło. Stoję w drzwiach od kuchni i nagle tam jakieś zamieszanie. Wyglądało na to, że się biją na ulicy. Więc ja poleciałem zobaczyć. I właśnie ten biały jakby się wściekł. Walił głową i pięściami o mur. Klął i miotał się jak wściekły. Ja nie widziałem jeszcze, żeby biały tak się awantuował. O tę ścianę tak walił. Mógł rozwalić sobie łeb. A dwóch innych białych usłyszało hałas i przyszli, stanęli i patrzą.

- I co się dalej stało?

- Ten pan, co nie mówi... co to trzyma ręce w kieszeniach... ten co tu przychodzi.

- Pan Singer.

- On przyszedł i stanął, i patrzy, co się dzieje. A pan B... Blount go zobaczył i zaczął coś gadać i wrzeszczeć. A potem nagle przewrócił się na ziemię. Może naprawdę rozwalił sobie łeb. I po... policjant przyszedł i ktoś powiedział mu, że pan Blount był tu u nas...

Biff pochylał głowę, żeby ułożyć sobie porządnie w myśli to, co usłyszał. Siedział tak przez chwilę zamyślony, pocierając nos.

- Mogą tu zaraz wpaść. - Willie podszedł do drzwi i wyjrzał na ulicę. O, już idą, muszą go ciągnąć.

Do restauracji wtoczyło się kilkunastu gapiów i policjant. Przez okno zaglądały do środka prostytutki. Zabawna rzecz - ilekroć zdarzy się coś niezwykłego, zawsze skądś uzbiera się tyle ludzi.

- Nie ma co robić zamieszania - powiedział Biff. Popatrzył na policjanta, który podtrzymywał pijaka. - Ta reszta może się stąd wynosić.

Policjant posadził pijanego mężczyznę na krzesło i wypchnął na ulicę wszystkich, którzy zdążyli się już zgromadzić. Potem zwrócił się do Biffa:

- Podobno siedział tu u pana.

- Nie. Ale mógłby siedzieć.

- Chce pan, żebym go zabrał?

Biff zastanowił się chwilę.

- Już dziś nie będzie rozrabiał. Oczywiście nie mogę za niego odpowiadać, ale tu się może uspokoi.

- Dobra. Wpadnę tu jeszcze, nim zejdem ze służby.

Biff, Singer i Jake Blount zostali sami. Po raz pierwszy od kiedy wniesiono pijaka, Biff przyjrzał mu się uważnie. Wyglądało na to, że Blount rozciął sobie mocno szczękę. Osunął się ciężko na stół, osłaniając ogromną ręką usta i kołysząc się w tył i w przód. Na głowie miał ranę, ze skroni ciekła mu krew. Kostki palców obtarł sobie do żywego i był tak brudny, jakby go wyciągnięto z kloaki. Opuściła go cała żywotność, był kompletnie załamany. Głuchoniemy usiadł przy stole naprzeciwko, wpatrując się w niego swymi szarymi oczami.

Po chwili Biff spostrzegł, że Blount nie skaleczył się w szczękę, lecz zakrywa dłońią usta, bo drżą mu wargi. Po jego brudnej twarzy zaczęły płynąć łzy. Co jakiś czas odwracał głowę i spoglądał na Biffa i Singera zły, że widzą go płaczącego. Było to trochę krępujące. Biff patrząc na głuchoniemego wzruszył ramionami i unióśł brwi z wyrazem bezradności. Singer przekrzywił głowę na bok.

Biff był w kłopotcie. Zastanawiał się, jak z tego wybrnąć. Próbował powziąć jakąś decyzję, kiedy głuchoniemy odwrócił kartę z menu i zaczął coś na niej pisać.

Jeśli nie ma pan go gdzie umieścić, może iść ze mną. A przedtem dobrze by mu zrobiło trochę zupy i kawy.

Biff z ulgą skinął energicznie głową.

Postawił na stole trzy dania z ostatniej kolacji, dwie wazki zupy, kawę i deser. Ale Blount nie chciał jeść. Nie chciał odjąć ręki od ust, jakby te usta były jakąś wstydliwą częścią ciała. Wydobywał się z nich urywany szloch, a szerokie ramiona drgały nerwowo. Singer wskazywał mu kolejno wszystkie potrawy, ale Blount siedział dalej z ręką przyciśniętą do warg, potrząsając głową.

Biff mówił wolno, by głuchoniemy mógł zrozumieć.

- Zupełnie rozstrzęsiony... - zaczął.

Para z zupy owiewała twarz Blounta; po chwili sięgnął trzęsącą się ręką po łyżkę. Jego grube obwisłe wargi ciągle jeszcze drżały, pochylił głowę nisko nad talerzem.

Biff to zauważył. Pomyślał, że prawie każdy ma jakąś część ciała, którą stara się zakryć. Głuchoniemy - ręce. Mała Mick skubała przód bluzki, aby materiał nie ocierał się o delikatne, świeżo wyklute pączuszki jej piersi. Słabym punktem Alice były włosy. Nigdy nie zgadzała się spać z nim, kiedy natarł głowę oliwą. A on sam?

Biff z wahaniem obrócił obręczkę na małym palcu. Ale wiedział, że to nie to. Nie. Już nie. Ostra bruzda przecięła mu czoło. Ręka w kieszeni przesunęła się nerwowym ruchem w kierunku genitaliów. Zaczął gwizdać jakąś melodię i wstał od stołu. To jednak zabawne spostrzec to samo u innych ludzi.

Pomogli Blountowi stanąć na nogi. Chwiały się lekko. Nie płakał już, lecz zdawał się rozmyślać nad czymś ponurym i haniebnym. Szedł tam, gdzie go prowadzono. Biff wyciągnął zza lady walizkę i wyjaśnił głuchoniememu, że to walizka Blounta. Singer wyglądał tak, jakby nic nie mogło go zadziwić.

Biff poszedł z nimi do wyjścia.

- Rozruszaj się, głowa do góry - powiedział do Blounta.

Czarne nocne niebo zaczynało blednąć, zmieniając barwę na granatową wraz z nadchodzącym rankiem. Pozostało już tylko parę bladych gwiazd. Ulica była pusta, cicha, przejmująca chłodem. Singer niósł w lewej ręce walizkę, a prawą, wolną, podtrzymywał Blounta. Skinął Biffowi głową na pożegnanie i ruszył z Blountem chodnikiem prosto przed siebie. Biff stał i patrzył za nimi. Kiedy byli w połowie drogi do następnej przecznicy, już tylko ich ciemne sylwetki majaczyły w ciemności: wyprostowany, krzepki głuchoniemy i uczepony jego ramienia barczysty, potykający się Blount. Mimo że nie mógł ich już dojrzeć, Biff stał jeszcze chwilę i patrzył na niebo,

którego rozległa głębia fascynowała go i przygnębiała. Potarł czoło i wszedł znów do jasno oświetlonej restauracji.

Stał za kasą, a jego twarz skurczyła się i zeszywniała, kiedy próbował przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się w ciągu nocy. Czuł się tak, jakby koniecznie chciał coś sam sobie wyjaśnić. Odtwarzał w pamięci drobiazgowo całe zajście i nie przestawał się dziwić.

Drzwi otworzyły się i zamknęły parę razy; zaczęli znowu napływać goście. Noc minęła. Willie ustawił krzesła na stolikach i wytarł podłogę. Zrobił już, co do niego należało, i podśpiewywał. Willie był leniwy. W kuchni przerywał ciągle robotę, by pograć na harmonijce ustnej, którą stale nosił przy sobie. Wycierał teraz podłogę sennymi ruchami i nucił monotonnie tęskną murzyńską melodię.

Lokal się jeszcze nie wypełnił - o tej godzinie spotykają się zwykle ludzie, którzy całą noc spędzili przy pracy, i ci, co właśnie się zbudzili i mają rozpocząć nowy dzień. Zaspana kelnerka podawała kawę i piwo. Nie słyhać było gwaru ani rozmów; każdy wydawał się osamotniony. Wzajemna nieufność tych, dla których skończyła się długa noc, i tych, co się właśnie obudzili, zrażała ich do siebie.

Po drugiej stronie ulicy, w świetle brzasku, zaczęły się wyłaniać kontury budynku, w którym mieścił się bank. Z upływem czasu jego białe ściany zarysowały się wyraźniej. Kiedy wreszcie pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na ulicę, Biff obrzucił ostatnim spojrzeniem lokal i poszedł na górę.

Zakołatał klamką, aby obudzić Alice.

- Matko Boska! Co za noc! - jęknął.

Alice rozbudzała się powoli. Leżała na zmierzwionym łóżku, przeciągając się niczym nadąsany kot. Pokój w jasnym ciepłym słońcu poranka wyglądał szaro; para jedwabnych pończoch zwisała miękko na sznurku od story.

- Czy ten pijany kretyn ciągle jeszcze tkwi na dole? - spytała Alice.

Biff ściągnął koszulę i sprawdził, czy kołnierzyk jest jeszcze dość czysty.

- Idź i zobacz. Powiedziałem, że możesz go wyrzucić, nikt ci na pewno nie przeszkodzi.

Alice opuściła sennym ruchem rękę i wzięła z podłogi leżącą koło łóżka Biblię, niezapisaną kartę potraw i podręcznik szkoły niedzielnej. Szeleściła cienkimi kartkami Biblii, aż znalazła ustęp, którego szukała, i zaczęła czytać, wymawiając

głośno słowa w uciążliwym skupieniu. Była to niedziela. Przygotowywała cotygodniową lekcję dla swojej klasy chłopców w szkole niedzielnej.

„Gdy zaś Jezus szedł nad Morzem Galilejskim, ujrzał dwóch braci, Szymona, którego zowią Piotrem, i Andrzeja, brata jego, zapuszczających sieci w morze (albowiem byli rybakami). I rzekł im: Pójdźcie za mną, a uczynię, że się staniecie rybakami ludzi. A oni natychmiast, opuściwszy sieci, poszli za Nim”.

Biff wszedł do łazienki, żeby się umyć. Cichy szept nie ustawał, bo Alice uczyła się głośno. Słuchał.

„...a bardzo rano wstawszy, wyszedł i udał się na miejsce pustynne, i tam się modlił. I poszedł za nim Szymon i ci, co z nim byli. A znalazłszy go, powiedzieli mu: Wszyscy Cię szukają”.

Skończyła. Biff przeżuwał spokojnie w myśli usłyszane słowa. Próbował oddzielić je od brzmienia głosu Alice. Pragnął przypomnieć sobie ten ustęp, tak jak czytała go zwykle matka, kiedy był jeszcze chłopcem. Popatrzył ze smutkiem na obrączkę na małym palcu: kiedyś należała do niej. Zastanowił się znowu, co by powiedziała na to, że porzucił Kościół i religię.

„Dzisiejsza lekcja będzie o tym, jak zostali wybrani uczniowie - powtarzała sobie głośno Alice, przygotowując się do wykładu. - A cytat z tekstu brzmi: Wszyscy Cię szukają”.

Biff otrząsnął się nagle z rozmyślań i odkręcił z całej siły kurek z wodą. Zdjął podkoszulek i zaczął się myć. Dbał zawsze skrupulatnie o czystość od pasa w górę. Co rano mył mydłem piersi, szyję, ręce i nogi, a dwa razy na kwartał kąpał się cały.

Stał teraz przy łóżku z niecierpliwością, żeby Alice wstała. Widział z okna, że dzień będzie bezwietrzny i upalny. Alice skończyła powtarzać swoją lekcję. Leżała dalej leniwie w poprzek łóżka, chociaż wiedziała, że on czeka. Wzbierał w nim cichy, ponury gniew. Zaśmiał się ironicznie i powiedział gorzko:

- Jeśli chcesz, mogę usiąść i poczytać gazetę. Ale wolałbym, byś dała mi teraz pospać.

Alice zaczęła się ubierać, a Biff przez ten czas wzruszył pościel i zasłał ją równo. Potem zaczekał, aż Alice wyjdzie z pokoju, i wtedy dopiero zdjął spodnie i wślizgnął się pod koc, spod którego sterczały mu nogi, a pierś porośnięta kręconym włosem odbijała się ciemną plamą na poduszce. Był zadowolony, że nie powiedział Alice o tym, co przytrafiło się pijakowi. Miał jednak ochotę pomówić z kimś na ten temat;

gdyby opowiedział sobie to wszystko głośno, może wtedy potrafiłby lepiej zrozumieć i przestał łamać sobie głowę. Ten nieszczęsny sukinsyn gadał i gadał, a nie znalazł nikogo, kto by zrozumiał, o co mu chodzi. Prawdopodobnie sam tego nie wiedział. A jak krążył wkoło głuchoniemego! Aż wybrał go i próbował obdarować wszystkim, co tylko w nim tkwiło!

Dlaczego?

Bo niektórzy są już tacy, że czasem wyrzucają z siebie to, co w nich tkwi, zanim przefermentuje i stanie się trucizną, oddają to wszystkowi człowiekowi lub jakiejś idei. Muszą tak zrobić. Bo niektórzy są już tacy... Ten cytat mówi: „Wszyscy cię szukają”. Może dlatego... może... Powiedział, że jest Chińczykiem. I Murzynem, i Włochem, i Żydem. A jeśli wierzy w to mocno, może i tak jest. Powiedział, że jest każdym i wszystkim...

Biff rozłożył ramiona i skrzyżował nagle stopy. Twarz jego w świetle poranka wydawała się starsza, przymknięte powieki były pomarszczone, zarost na policzkach i brodzie gęsty i twardy. Stopniowo zarys ust miękł i łagodniał. Złote intensywne promienie słońca wdarły się przez okno, w pokoju zrobiło się jasno i gorąco. Biff obrócił się ze znużeniem i zakrył oczy rękami. Nie był nikiem innym tylko sobą - Bartholomew, starym Biffem, który miał dwie pięści i obrotny język, panem Brannonem we własnej osobie.

3.

Słońce zbudziło Mick wcześniej, chociaż poprzedniego wieczoru do późnej godziny przebywała poza domem. Było za gorąco, aby pić kawę na śniadanie, napiła się więc wody z lodu z sokiem i zjadła parę biskwitów. Pokręciła się chwilę po kuchni, a potem wyszła na ganek, żeby przejrzeć komiksy. Spodziewała się, że może pan Singer czyta tam gazetę, jak w każdy niedzielny ranek. Ale nie było go, a później ojciec powiedział jej, że głuchoniemy wrócił poprzedniego wieczoru bardzo późno i że ma jakiegoś gościa. Czekala na niego długo. Wszyscy inni lokatorzy zeszli już na dół, prócz niego. W końcu Mick wróciła do kuchni, zaszła Ralpa z wysokiego krzeselka, włożyła mu czystą sukienkę i wytarła buzię. A kiedy Bubber wrócił do domu ze szkoły niedzielnej, wzięła dzieci na spacer. Pozwoliła Bubberowi jechać w wózku z Ralphem,

gdyż był boso i gorący chodnik parzył mu stopy. Ciągnęła wózek, aż za ósmą przecznicą dotarli do dużego budującego się domu. O krawędź dachu stała oparta drabina; Mick wzięła się na odwagę i zaczęła się wspinać.

- Uważaj na Ralpa! - zawołała do Bubbera. - Pilnuj, żeby komary nie siadały mu na powiekach.

Pięć minut później stanęła i wyprostowała się. Rozpostarła ramiona jak skrzydła. Było to miejsce, gdzie każdy chciał stanąć. Na samym szczycie. Ale niewiele dzieci potrafiło tego dokonać. Większość bała się, bo można było spaść z dachu i się zabić. Wokoło widziała dachy innych domów i wierzchołki innych drzew. Na drugim krańcu miasta wznosiły się wieże kościelne i kominy fabryk. Niebo było ciemnoniebieskie i gorące jak ogień. Każdy szczegół na ziemi wydawał się w słońcu oślepiająco biały lub intensywnie czarny.

Mick chciała zaśpiewać. Wszystkie znane piosenki cisnęły jej się na usta, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Pewien chłopak, wdrapawszy się w zeszłym tygodniu na ten dach, wydał najpierw dziki okrzyk, a potem zaczął wywrzaskiwać przemówienie, którego nauczył się w szkole: „Rzymianie, bracia, rodacy, użycie ucha mym słowom”. Tu na szczycie dachu człowiek miał jakąś dziką ochotę krzyczeć, śpiewać lub podnieść ramiona w górę i ulecieć w powietrze.

Poczuła, że ślizga się w tenisówkach, przykucnęła więc, a potem usiadła okrakiem na dachu. Dom był już prawie wykończony. Miał być jednym z największych budynków w tej dzielnicy - wielopiętrowy, o wysokich pokojach, z najbardziej stromym dachem, jaki w życiu widziała. Niebawem praca nad nim zostanie całkowicie ukończona. Cieśle odejdą, a dzieci będą musiały znaleźć sobie inne miejsce do zabawy.

Była sama. W pobliżu nie widziała nikogo, panowała zupełna cisza: mogła przez chwilę pomyśleć spokojnie. Z kieszonki szortów wyjęła paczkę papierosów kupioną poprzedniego wieczoru. Zaciągnęła się mocno. Poczuła się jak pijana, głowa jej ciążyła i chwiała się niepewnie, ale postanowiła dokończyć papierosa.

M.K. Tak będzie znaczyła wszystko, kiedy skończy siedemnaście lat i stanie się sławna. Przyjedzie do domu biało-czerwonym packardem z tymi inicjałami na drzwiczkach. Wyhaftuje czerwonymi nićmi M.K. na chusteczkach i bieliźnie. Może zostanie wielkim wynalazcą. Skonstruuje maleńkie aparaciki radiowe wielkości ziarnka grochu, które będzie można nosić w kieszeni i wkładać do uszu. I latające

maszyny, które będzie się umocowywało na plecach jak tornistry, by latać po świecie. Następnie ona pierwsza zbuduje ogromny tunel przez cały świat, aż do Chin, i ludzie w dużych balonach będą się spuszczać prosto w dół. To będą jej pierwsze wynalazki. Już to sobie uplanowała.

Mick wypaliła połówkę papierosa, zgasiła go i przytknęła niedopałek po pochyłym dachu. Potem pochyliła się do przodu, oparła głowę na rękach i zaczęła coś sobie nucić.

Zabawne, ale prawie stale snuła się jej po głowie jakaś melodia. Cokolwiek robiła czy myślała, było tak prawie zawsze. Panna Brown, która mieszkała u nich, miała w swoim pokoju radio; całą ubiegłą zimę Mick siadywała w niedzielne popołudnia na schodach i słuchała nadawanego programu. Najlepiej pamiętała utwory, które były utworami klasycznymi. Zwłaszcza na dźwięk muzyki jednego człowieka ścisnęło jej się serce. Muzyka ta przypominała czasami kolorowe przezroczyste cukierki, kiedy indziej była czymś miękkim i smutnym, najsmutniejszym, co można sobie wyobrazić.

Nagle rozległ się płacz. Mick wyprostowała się i zaczęła nasłuchiwać. Wiatr rozwiał jej grzywkę, a twarz na silnym słońcu zbladła i pokryła się kropelkami potu. Kwilenie nie ustawało, więc Mick zaczęła się posuwać wolno na czworakach wzdłuż kalenicy dachu. Gdy znalazła się na jego skraju, pochyliła się do przodu i leżąc na brzuchu wysunęła głowę tak, że widziała, co się dzieje na dole.

Dzieci były tam, gdzie je zostawiła. Bubber przykucnął, a tuż obok mały czarny karłowaty cień. Ralph siedział przywiązany do wózka. Był już dość duży, by siedzieć. W przekrzywionej czapce na głowie trzymał się brzegów wózka i krzyczał.

- Bubber! - zawołała Mick. - Zobacz, czego chce Ralph, i daj mu to.

Bubber podniósł się i popatrzył nieprzyjaźnie na niemowlę.

- On nic nie chce.

- No to go pokolysz.

Mick cofnęła się z powrotem na to samo miejsce. Pragnęła pomyśleć jeszcze o paru osobach, pośpiewać sobie, pomarzyć. Ale Ralph wrzeszczał dalej i nie było chwili spokoju.

Zaczęła śmiało zsuwać się w dół ku drabinie opartej o krawędź dachu. Był on bardzo stromy, tylko gdzieniegdzie sterczało parę drewnianych kołków, które służyły

robotnikom za oparcie. Mick poczuła zawrót głowy, a serce biło jej tak, że aż drżała. Powiedziała do siebie rozkazującym tonem:

- Trzymaj się mocno rękami i ześlizguj się w dół, aż palce prawej nogi dosięgną jakiegoś oparcia: potem stój spokojnie i przenieś ciężar ciała na lewą nogę. Spokój, Mick. Musisz zachować spokój.

Zejscie w dół było najtrudniejsze. Długo trwało, zanim dosięgła drabiny i poczuła się znów bezpieczna. Kiedy stanęła w końcu na ziemi, wydawało się jej, że jest niższa i szczuplejsza. A nogi na chwilę ugięły się pod nią. Podciągnęła szorty i zapięła pasek o jedną dziurkę ciaśniej. Ralph dalej płakał, ale nie zwracała na to uwagi i weszła do nowego, pustego jeszcze domu.

W ubiegłym miesiącu wywieszono ostrzeżenie, że dzieciom nie wolno bawić się na parceli, bo pewnego wieczoru, gdy gromada dzieciaków kotłowała się po pokojach, jakaś dziewczynka biegnąc po ciemku, wpadła do pomieszczenia, gdzie nie położono jeszcze podłogi, i złamała nogę. Dotąd leżała w szpitalu w gipsie. Innym razem paru chuliganów zasmarowało ścianę brzydkimi wyrazami. Lecz choćby nie wiem ile zakazów wywieszali, dzieci nie zdoła się odpędzić stamtąd, póki dom nie zostanie wykończony i ktoś się nie wprowadzi.

Pokoje pachniały świeżym drewnem. Podeszwy tenisówek, gdy Mick szła przez dom, klapały głośno, aż się echo rozlegało. Powietrze było tu nieruchome i gorące. Stała chwilę spokojnie na środku frontowego pokoju, a potem nagle przyszło jej coś na myśl. Sięgnęła do kieszeni i wydobyla z niej dwa kawałki kredy - zielony i czerwony.

Pisała bardzo wolno grubymi drukowanymi literami. Na górze EDISON, pod spodem DICK TRACY i MUSSOLINI. Potem we wszystkich rogach największymi zielonymi literami podkreślonymi czerwono wypisała swoje inicjały M.K. Kiedy to skończyła, przeszła do przeciwległej ściany i nabazgrała na niej nieprzyzwoite słowo, a pod nim również swoje inicjały.

Stała pośrodku pustego pokoju i wpatrywała się w swoje dzieło. Ciągle trzymała w ręku kredę i jeszcze nie czuła się naprawdę zadowolona. Próbowwała myśleć o tym, kto napisał muzykę, którą słyszała ubiegłej zimy przez radio. Zapytała o niego koleżankę w szkole, która miała w domu fortepian i brała lekcje muzyki, a ta z kolei spytała swoją nauczycielkę. Okazało się, że był to chłopczyk, który żył w jakimś kraju w Europie już dawno temu. Choć był tylko dzieckiem, wymyślił te wszystkie piękne

utwory na fortepian i na skrzypce, a także orkiestrę. Pamiętała chyba ze sześć melodii z tych różnych rzeczy, które on napisał. Kilka było szybkich i dźwięcznych jak dzwoneczki, inne przypominały pachnące wiosną po deszczu powietrze. A wszystkie zasmucały ją trochę, a równocześnie podniecały.

Zanuciła jedną z tych melodii i po chwili, gdy tak stała sama w nagrzanym pustym domu, poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Gardło miała ściśnięte i chropawe, nie mogła dłużej śpiewać. Do listy widniejących na ścianie słów dopisała szybko na samej górze nazwisko: MOTSART.

Ralph siedział przywiązany do wózka, tak jak go zostawiła. Siedział cichutko i spokojnie, trzymając się tłustymi rączkami brzegów wózka. Wyglądał jak mały Chińczyk ze swoją ciemną kwadratową grzywką i czarnymi oczkami. Słońce świeciło mu prosto w oczy i dlatego krzyczał. Bubbera nie było widać w pobliżu. Kiedy Ralph spostrzegł ją, zaczął się nastrojać do nowego krzyku. Mick wepchnęła wózek w cień pod ścianę nowego domu, wyjęła z kieszeni niebieskawy cukierek i wetknęła go w ciepłe, miękkie usteczka niemowlęcia.

- Poczuj sobie - powiedziała.

To w pewnym sensie marnotrawstwo, gdyż Ralph był jeszcze za mały, by poznać się na smaku cukierka. Wystarczyłby mu czysty kamyczek, tylko że głuptas połknąłby go na pewno. Nie rozróżniał smaku tak samo, jak nie rozumiał, co się do niego mówi. Można było mówić, że jest się zmęczonym, że ma się dość pchania jego wózka i chętnie wrzuciłoby się go do rzeki - przyjmował to tak samo, jakby usłyszał, że się go kocha. Wszystko było mu obojętne. Dlatego tak piekielnie nudne wydawało się wożenie go po ulicy.

Mick stuliła dłonie i dmuchnęła przez szparę pomiędzy kciukami. Wydęła policzki, lecz z początku spomiędzy jej palców wydobył się jedynie świst wypychanego powietrza. Potem zabrzmiał głośny, przenikliwy gwizd i zza rogu domu wybiegł Bubber.

Mick wytrząsnęła trociny z jego włosów i poprawiła Ralphowi czapkę. Ta czapka była najpiękniejszą rzeczą, jaką posiadał. Koronkowa, cała haftowana, z niebiesko-białą wstążeczką wiązaną pod brodą i dużymi rozetkami nad każdym uchem. Głowa Ralph'a była już do niej za duża, a haft drapał go, ale Mick zawsze mu ją wkładała, kiedy wyjeżdżali na spacer. Ralph nie miał prawdziwego niemowlęcego wózka, jak większość dzieci, ani letnich buczków. Trzeba go było wozić w marnym

starym wózku, który Mick dostała na Gwiazdkę przed trzema laty. Ale ładna czapeczka wynagradzała wszystko.

Na ulicy było pusto w ten upalny niedzielny ranek. Wózek piszczał i skrzypiał. Rozgrzany chodnik parzył bosc nózki Bubbera. Zielone dęby rzucały na ziemię chłodny, czarny cień, ale było go o wiele za mało.

- Wejdz do wózka - powiedziała do Bubbera - i wez Ralpha na kolana.

- Mogę iść.

W lecie Bubber miał zawsze kłopoty z żołądkiem. Był bez koszuli; pod białą skórą uwydatniały się sterczące żebra. Nie opalał się na słońcu, lecz bladł; małe brodawki na piersiach wyglądały jak niebieskawe rodzynki.

- Będę cię wieźć. Właż do wózka - powtórzyła Mick.

- No, dobrze.

Pchała wolno wózek, nie spieszyło jej się wcale do domu. Zaczęła mówić coś do dzieci. Właściwie mówiła raczej do siebie niż do nich.

- Zabawna rzecz te moje ostatnie sny. Niby to płynę, lecz zamiast rozgarniać rękami wodę, płynę przez jakiś ogromny tłum ludzi. Tłum sto razy większy niż w sklepie Kressa w sobotę po południu. Największy tłum, jaki może istnieć na świecie. A ja chwilami krzyczę i płynę przez ten tłum, przewracając ludzi po drodze, to znów jestem na ziemi, a ludzie depczą po mnie i moje wnętrzości wylewają się na chodnik. To raczej jakiś koszmar niż zwykły sen...

W niedzielę dom był zawsze pełen, bo do lokatorów przychodzili goście. Szeleściły gazety, w powietrzu unosił się dym cygar, a kroki na schodach nie milkły ani na chwilę.

- Niektóre rzeczy chce się zatrzymać tylko dla siebie. Nie dlatego, że są złe, ale po prostu nie chce się o nich mówić. Jest parę takich rzeczy, o których wolałabym wam nie opowiadać.

Kiedy dojechali do rogu, Bubber wysiadł z wózka i pomógł jej przenieść go przez krawężnik i postawić na drugim chodniku.

- Jest też jedna rzecz, za którą oddałabym wszystko. To znaczy fortepian. Gdybyśmy go mieli, ćwiczyłabym co wieczór i nauczyłabym się wszystkich utworów, jakie istnieją na świecie. To moje największe pragnienie.

Dojechali tymczasem do swojej ulicy. Dom ich znajdował się już tylko o parę bram dalej. Był to dom dwupiętrowy, jeden z największych w zachodniej części

miasta. A zamieszkiwało go czternaście osób. Nie wszyscy należeli właściwie do rodziny Kelly'ch, ale jedli tam i spali za pięć dolarów od osoby, można więc ich było nieomal zaliczyć do rodziny. Wyjątek stanowił pan Singer, który tylko wynajmował pokój i sam go sprzątał.

Dom był ciasny i od wielu lat nie odnawiany. Wydawał się za mało solidny na swoją dwupiętrową wysokość. Jedną stroną chylił się ku ziemi.

Mick odwiązała Ralpha i wyjęła go z wózka. Przebiegła szybko przez hol: kątem oka dojrzała, że salonik jest pełen lokatorów. Był tam też ojciec. Mama pewnie w kuchni. Wszyscy kręcili się w oczekiwaniu obiadu.

Weszła do pierwszego z trzech pokoiów, które rodzina zachowała dla siebie. Położyła Ralpha na łóżku, gdzie sypiali rodzice, i dała mu do zabawy sznur paciorków. Zza zamkniętych drzwi sąsiedniego pokoju dobiegały głosy. Zdecydowała się tam wejść.

Hazel i Etta na jej widok nagle umilkły. Etta siedziała na krześle przy oknie i czerwonym lakierem malowała paznokcie u nóg. Włosy miała nawinięte na metalowe wałki, a miejsce na brodzie, gdzie wyskoczył pryszczyk, posmarowała białym kremem. Hazel jak zwykle leżała w leniwej pozie na łóżku.

- O czym gadacie?

- Nie twoja rzecz - odparła Etta. - Bądź cicho i zostaw nas w spokoju.

- To mój pokój tak samo jak wasz. Mam takie samo prawo siedzieć tutaj jak wy.

Mick przeszła z jednego końca pokoju w drugi majestatycznym krokiem. - Ale nie chcę się z wami kłócić. Żądam tylko swoich praw.

Odgarnęła dłonią zwichrzoną grzywkę. Ruch ten powtarzała tak często, że nad czołem jeżył się rząd niesfornych kosmyków. Zmarszczyła nos i zrobiła grymas do lustra. Potem znów zaczęła krążyć po pokoju.

Hazel i Etta jako siostry były całkiem do rzeczy. Ale Etta wiecznie bujała w obłokach. Myślała tylko o gwiazdach filmowych i dostaniu się do filmu. Pewnego dnia napisała do Jeanette MacDonald i w odpowiedzi dostała list na maszynie, w którym Jeanette zaprasza ją do popływania w jej basenie, gdyby kiedykolwiek znalazła się w Hollywood. Od tej pory ten basen nie schodził z myśli Etty. Myślała wciąż o wyjeździe do Hollywood, jak tylko zbierze dość pieniędzy na bilet autobusowy; tam znajdzie pracę jako sekretarka, zaprzyjaźni się z Jeanette MacDonald i także zostanie aktorką.

Stroiła się przez cały dzień. To była jej słabość. Nie była tak ładna jak Hazel. Przede wszystkim nie miała prawie wcale brody. Ciągnęła się za szczękę i wykonywała mnóstwo ćwiczeń brodą, o których wyczytała w jakiejś książce. Stale oglądała w lustrze swój profil i starała się układać wargi w pewien określony sposób. Ale nie na wiele się to zdało. Niekiedy Etta płakała z tego powodu po nocach, kryjąc twarz w dłoniach.

Hazel była po prostu leniwa. Niebrzydka, ale tępa. Miała osiemnaście lat i nie licząc Billa, była najstarsza z rodzeństwa. Może na tym polegał cały kłopot. Dostawała wszystko pierwsza i w największej ilości, zarówno garderobę, jak i jedzenie. Nie potrzebowała niczego dla siebie zagarniać. Była też dobroduszna.

— Czy masz zamiar tak przez cały dzień chodzić po pokoju? Zbrzydło mi już patrzeć na ten głupi strój chłopaka. Ktoś powinien wziąć się za ciebie, Mick Kelly, i nauczyć cię dobrych manier — powiedziała Etta.

— Cicho bądź — odrzekła Mick — noszę szorty, bo nie chcę nosić starych łachów po was. Nie chcę być taka jak wy ani tak wyglądać. I nie będę. Dlatego noszę szorty. Wolalabym być chłopcem. Chciałabym mieszkać w pokoju z Billem.

Mick wlaźła pod łóżko i wyciągnęła stamtąd duże pudło do kapeluszy. Gdy niosła je do drzwi, obie siostry zawołały za nią:

— Chwała Bogu, że sobie poszła!

Bill miał najładniejszy pokój z całej rodziny. Zaciszny i prawie samodzielny, bo dzielił go tylko z Bubberem. Na ścianach wisiały ryciny wycięte z pism ilustrowanych, przeważnie głowy pięknych dam, a w jednym rogu parę obrazków, które namalowała w ubiegłym roku Mick, kiedy uczęszczała na bezpłatny kurs rysunku. W pokoju było tylko łóżko i biurko.

Bill siedział zgarbiony nad biurkiem i czytał pismo „Mechanika dla wszystkich”. Podeszła od tyłu i objęła go za ramiona.

— Hej, stary huncwocie!

Nie zaczął się z nią szamotać jak zwykle.

— Jak się masz! — odrzekł i poruszył lekko ramionami.

— Czy nie będzie ci przeszkadzać, jeśli posiedzę tu chwilkę?

— Siedź sobie, jak masz ochotę.

Mick uklękała na podłodze i rozsypała sznurek, którym obwiązane było pudełko. Ręce jej błądziły niepewnie po skraju pokrywki, ale jakoś nie mogła się zdecydować, by ją podnieść.

— Myślę nad tym, co już zrobiłam — powiedziała. — Może będzie coś z tego, a może nie.

Bill czytał dalej. Mick klęczała nad pudełkiem, ale go nie otwierała. Oczy jej spoczęły na bracie siedzącym tyłem do niej. Kiedy czytał, jedną swoją dużą stopę przyciskał drugą. Buty miał zdarte. Raz ojciec powiedział, że wszystkie obiady Billa idą w jego stopy, śniadania w jedno ucho, a kolacje w drugie. Nieładnie było tak mówić i Bill dąsał się z tego powodu przez miesiąc, ale brzmiało to zabawnie. Uszy Billa były odstające i płonęły czerwienią. Choć ukończył dopiero szkołę średnią, nosił już czterdziesty numer obuwia. Starał się chować stopy ocierając je o siebie, kiedy stał, ale to tylko pogarszało sprawę.

Mick uchyliła na parę cali pokrywę pudełka i znów ją zamknęła. Była zbyt podniecona, żeby do niego teraz zajrzeć. Wstała i obeszała pokój wokół, chcąc się trochę uspokoić. Po paru minutach zatrzymała się przed obrazkiem, który namalowała ubiegłej zimy. Obrazek przedstawiał burzę na oceanie i gnaną wiatrem mewę i nosił tytuł: „Mewa morska z grzbietem złamanym w czasie burzy”. Nauczyciel na kilku pierwszych lekcjach opisywał ocean i prawie wszyscy od tego zaczęli, choć większość dzieci, tak jak i ona, nie widziała nigdy morza.

Był to pierwszy namalowany przez nią obrazek i Bill przybił go na ścianie w swoim pokoju. Jej pozostałe malowidła wypełniali ludzie. Z początku odtworzyła jeszcze kilka burz morskich. Na jednym obrazku samolot spadał w dół, a ludzie wyskakiwali z niego chcąc się ratować, na drugim tonął statek transatlantycki, a pasażerowie pchali się i tłoczyli w jednej małej łodzi ratunkowej.

Z szafki w pokoju Billa Mick wyjęła jeszcze kilka innych obrazków wykonanych w klasie — szkice ołówkowe, akwarele i jeden olejny. Na wszystkich było dużo ludzi. Wyobraziła sobie wielki pożar na Broad Street i namalowała go tak, jak sądziła, że mógłby wyglądać. Płomienie miały barwę jasnozieloną i pomarańczową, a restauracja pana Brannona i Pierwszy Bank Narodowy były niemal jedynymi ocalałymi z pożaru budynkami. Trupy leżały na ulicach, niektórzy ludzie uciekali, żeby ratować życie. Jakiś mężczyzna był w koszuli nocnej, a jakaś pani trzymała w ręku wiązkę bananów. Inny obrazek opatrzony tytułem „Wybuch kotła w fabryce” przedstawiał mężczyzn skaczących z okien i uciekających w popłochu oraz stłoczoną grupkę dzieci w

kombinezonach, z menażkami, w których przyniosły obiad dla swoich ojców. Malowidło olejne ukazywało całe miasto w jakiejś bójce na Broad Street. Nie wiedziała, dlaczego to namalowała, i nie umiała wymyślić właściwego tytułu. Nie widać tam było ani ognia, ani burzy, ani żadnej innej przyczyny, która mogłaby dać początek tej utarczce. Ale na obrazie było więcej ludzi i panował większy ruch niż na jakimkolwiek innym. Ten był najlepszy i zadręczała się, że nie umie dać mu dobrego tytułu. Wiedziała jednak, że tkwi on gdzieś w głębi jej mózgu.

Mick odłożyła obraz na półkę w szafce. Żadne z jej dzieł nie było wiele warte. Ludzie na tych obrazach nie mieli palców, a ręce dłuższe nieraz od nóg. Lekcje rysunku były jednak zabawne. Mick rysowała, co jej przyszło do głowy, ale nie czuła tej przyjemności, jaką dawała jej muzyka. Nic naprawdę nie mogło się równać z muzyką.

Uklękła na podłodze i uniosła szybko pokrywkę pudełka do kapeluszy. Wewnątrz znajdowało się pęknięte ukulele, dwie struny skrzypcowe, jedna z gitary i jedna z banjo. Pęknięcie na grzbiecie ukulele było starannie zalepione plastrem, a okrągła dziura pośrodku zakryta kawałkiem drewna. Podpórka skrzypiec podtrzymywała struny, a na pudle wycięte były po obu stronach otwory rezonansowe. Mick fabrykowała sobie sama skrzypce. Położyła je na kolanach. Miała takie uczucie, jakby patrzyła na te skrzypce po raz pierwszy. Niedawno skonstruowała dla Bubbera małą mandolinę z pudełka po cygarach i kawałków gumy i to nasunęło jej nową myśl. Odtąd szukała wszędzie różnych części i co dzień coś przybywało, a robota posuwała się naprzód. Wydawało się jej, że już zrobiła wszystko.

— Bill, to nie jest podobne do żadnych prawdziwych skrzypiec, jakie widziałam.

Bill mruknął, nie przerywając czytania:

— Naprawdę?

— To jest niedobre. To jest...

Zamierzała nastroić dziś skrzypki, przykręcając kołeczki. Ale kiedy zdała sobie nagle sprawę, jak wygląda jej robota, nie chciała już na nią patrzeć. Szarpała wolno kolejne struny. Wszystkie wydawały cichy, głęboki dźwięk.

— Jak ja zrobię smyczek? Czy koniecznie musi być z końskiego włosia?

— Tak — odrzekł niecierpliwie Bill.

— A nie można wziąć cienkiego drutu albo ludzkich włosów naciągniętych na giętki pręt?

Bill pocierał pięty jedna o drugą i nie odpowiadał. Pod wpływem gniewu krople potu wystąpiły na czoło Mick. Głos jej był ochrypły.

— To nie są nawet złe skrzypce. To po prostu krzyżówka mandoliny z ukulele. Nienawidzę tego. Nienawidzę...

Bill odwrócił się.

— Wszystko jest źle. Na nic. Zupełnie na nic!

— Uspokój się — powiedział Bill. — Czego awanturujesz się o stare połatane ukulele, przy którym majstrowałaś? Powinienem ci być powiedzieć od razu, co to za szaleństwo myśleć, że potrafisz zrobić z tego jakieś skrzypce. Nie można usiąść i zrobić skrzypiec, trzeba je po prostu kupić. Myślę, że każdy powinien to wiedzieć. Ale uważałem, że lepiej będzie, jak się sama o tym przekonasz.

Czasami nienawidziła Billa więcej niż kogokolwiek na świecie. Był teraz zupełnie inny niż dawniej. Już chciała rzucić skrzypce na podłogę i deptać po nich, ale zamiast tego rzuciła je gwałtownie do pudełka. Łzy pod powiekami piekły ją jak ogień. Kopnęła pudełko i wybiegła z pokoju, nie patrząc na Billa.

Przemykając się przez hol, by wyjść na podwórze za domem, natknęła się na matkę.

— Co ci się stało? Co nowego przeskrobałaś?

Mick próbowała się wyrwać, ale mama trzymała ją mocno za rękę. Z ponurą miną dziewczynka otarła łzy wierzchem dłoni. Mama wyszła z kuchni i miała na sobie fartuch i domowe pantofle. Jak zwykle wyglądała tak, jakby miała dużo spraw na głowie i mało czasu na zadawanie dalszych pytań.

— Pan Jackson przyprowadził na obiad swoje dwie siostry i będzie mało krzesel, więc zjesz dziś z Bubberem w kuchni.

— To w sam raz miejsce dla mnie — odrzekła Mick.

Matka pozwoliła jej odejść i poszła zdjąć fartuch. Z jadalni dobiegł dźwięk obiadowego dzwonka i nagły wybuch wesołej rozmowy. Mick usłyszała, jak ojciec mówi, ile stracił nie płacąc składek ubezpieczeniowych, aż do chwili gdy złamał nogę w biodrze. To był temat, który nigdy nie schodził tacie z myśli — sposoby, jakimi mógł zdobyć pieniądze, a nie zdobył. Rozległ się brzęk talerzy, a po chwili rozmowa ucichła.

Mick oparła się o poręcz schodów. Nagły szloch poderwał ją całą jak czkawka. Kiedy myślała o minionym miesiącu, zdawało jej się, że nigdy naprawdę nie wierzyła, że skrzypce będą grały. Lecz własnemu sercu kazała w to wierzyć. Nawet teraz trudno

jej było wyzbyć się całkiem tej wiary. Czuła się wyczerpana. Bill teraz w niczym nie chciał pomóc. Dawniej myślała, że jest najwspanialszym człowiekiem na świecie. Chodziła za nim krok w krok, gdziekolwiek się ruszył — na ryby, do lasu, do domków, które budował z innymi chłopcami, do automatu w głębi restauracji pana Brannona — wszędzie. Może i nie chciał tak zawieść jej zaufania. Jednakże nigdy już nie będą mogli być dobrymi kompanami.

W holu czuć było zapach dymu z papierosów i niedzielnego obiadu. Mick wciągnęła głęboko oddech i zawróciła do kuchni. Obiad pachniał smakowicie, a ona była głodna. Słyszała głos Portii rozmawiającej z Bubberem; brzmiało to tak, jakby coś sobie nuciła lub opowiadała mu bajkę.

— I dlatego mam o wiele więcej szczęścia, niż prawie każda jedna czarna dziewczyna — mówiła Portia, kiedy Mick otworzyła drzwi.

— Dlaczego? — spytała.

Portia i Bubber siedzieli przy kuchennym stole i jedli obiad. Zielona suknia z taniego wzorzystego kretonu odbijała jaskrawo od ciemnobrunatnej skóry Portii. Miała też zielone kolczyki, a włosy zaczesane gładko i starannie.

— Łapiesz zawsze ostatnie słowo, jakie kto mówi, a potem chcesz wiedzieć dokładnie, o co chodzi — powiedziała Portia. Wstała i stanęła przy rozgrzanej płycie kuchennej, nakładając obiad na talerz Mick. — Rozmawialiśmy właśnie z Bubberem o domu mojego dziadunia za miastem przy Old Sardis Road. Ja mówię Bubberowi, że ferma należy tylko do niego i moich wujów. Piętnaście i pół akra. Z tego cztery obsiewają bawełną, co parę lat zmieniając ją na groch, żeby użyźnić ziemię, a jeden akr na wzgórzu przeznaczili pod brzoskwinie. Mają muła i prośną maciorę i zawsze dwadzieścia pięć nośnych kur i kurcząt. Mają warzywnik i dwa drzewa pekanowe, a ile fig, czereśni i śliwek! Słowo daję. Niewielu białych gospodarzy się tak na swoich fermach jak mój dziadunio.

Mick oparła łokcie na stole i pochyliła się nad talerzem. Jeśli Portia nie opowiadała o bracie lub mężu, to chętniej mówiła o fermie niż o czymkolwiek innym. Kiedy się jej słuchało, można by pomyśleć, że ta murzyńska ferma to Biały Dom.

— Dom to była z początku tylko jedna mała izba. Ale w ciągu lat dobudowywali coś ciągle, aż jest teraz miejsce dla dziadunia, jego czterech synów, ich żon, dzieci i mego brata Hamiltona. W bawialni mają prawdziwą fisharmonię i gramofon. A na ścianie wisi duża fotografia dziadka w paradnym mundurze. Mają w puszkach

konserwy ze wszystkich owoców i jarzyn i choćby zima była nie wiem jak chłodna i mokra, prawie zawsze mają pełno jedzenia.

— No to dlaczego nie mieszkasz z nimi? — spytała Mick.

Portia przerwała nakładanie kartofli i bębniąc w takt swoich słów długimi brązowymi palcami po stole, odrzekła:

— To jest tak. Posłuchaj. Każdy dobudował izbę dla swojej rodziny. Pracowali ciężko przez te wszystkie lata. A teraz dla każdego też nielekkie czasy. Zrozum, mieszkałam z dziadkiem jako mała dziewczynka. Od tamtej pory palcem nie ruszyłam na tej fermie. Ale zawsze możemy tam wrócić — ja i Willie, i Highboy — gdyby nas bieda przydusiła.

— A twój ojciec nie dobudował sobie pokoju?

Portia przestała żuć.

— Czyj ojciec? Mówisz o moim ojcu?

— Oczywiście — potwierdziła Mick.

— Wiesz przecież dobrze, że mój ojciec jest lekarzem tu w mieście.

Mick słyszała to już przedtem od Portii, ale myślała, że to nieprawda. Jak Murzyn może być lekarzem?

— To jest tak. Zanim mama wyszła za ojca, nie znała nic prócz prawdziwej dobroci. Mój dziadunio to chodząca dobroć. A ojciec niepodobny do niego jak dzień do nocy.

— Jest niedobry? — spytała Mick.

— Nie, nie jest niedobry — odrzekła wolno Portia. — Chodzi o co innego. Mój ojciec nie jest podobny do innych Murzynów. Trudno to wytłumaczyć. Uczy się ciągle sam. I dawno już temu umyślił sobie, jaka powinna być rodzina. W domu rządził wszystkim, a wieczorami próbował nas, dzieci, uczyć.

— Nie wydaje mi się, żeby to było coś złego — powiedziała Mick.

— Posłuchaj. Widzisz, w ogóle był bardzo spokojny, ale nieraz wieczorem dostawał jakichś ataków. Wpadał w szał, jakiego nie widziałam u nikogo. Każdy, kto zna mojego ojca, mówi, że to na pewno pomylenieć. Robił różne wariactwa i mama go w końcu rzuciła. Miałam wtedy dziesięć lat. Mama zabrała nas, dzieci, ze sobą na fermę dziadka i tam ześmy się chowali. Ojciec chciał ciągle, żebyśmy wrócili do domu. Ale nigdy nie wróciliśmy, nawet jak umarła mama. A teraz ojciec mieszka zupełnie sam.

Mick podeszła do kuchni i napełniła powtórnie swój talerz. Głos Portii wznosił się i opadał jak śpiew, nic już teraz nie mogło jej zatrzymać.

— Nieczęsto widzę ojca, najwyżej raz w tygodniu, ale dużo o nim myślę. Żał mi go tak jak nikogo na świecie. Myślę, że przeczytał więcej książek niż jakikolwiek biały w tym mieście. Czyta książki i martwi się wieloma rzeczami. Siedzi tylko w tych książkach i martwi się. Stracił wiarę i odwrócił się od Boga. Stąd wszystkie jego kłopoty.

Portia wpadła w podniecenie. Było tak zawsze, ilekroć zaczynała mówić o Bogu, o Williem, swoim bracie, albo o mężu Highboyu.

— Ja tam nie jestem wielki krzykacz. Należę do Kościoła prezbiteriańskiego, a my nie tarzamy się po podłodze i nie wydzieramy bez końca. W naszym kościele śpiewamy i słuchamy kazania. A żeby powiedzieć prawdę, nie myślę, by ci zaszkodziło trochę śpiewu i krótkie kazanie, Mick. Powinnaś odprowadzać twojego braciszka do szkoły niedzielnej, a i sama jesteś dosyć duża, by posiedzieć w kościele. Z tego, jaka ostatnio zrobiłaś się ważna, wydaje mi się, że już jesteś jedną nogą w piekle.

— Bzdura — powiedziała Mick.

— Zanim żeśmy się pobrali, Highboy należał do metodystów. Lubił co niedziela podnosić się na duchu i krzyżeć, i uświęcać się. Ale po ślubie namówiłam go, żeby chodził do mojego kościoła, i choć trudno czasem utrzymać go w spokoju, myślę, że zachowuje się zupełnie przyzwoicie.

— Nie wierzę w Boga, tak samo jak w Świętego Mikołaja — oświadczyła Mick.

— Zaczekaj! To dlatego wydajesz mi się czasem taka podobna do mojego ojca jak nikt inny.

— Ja? Mówisz, że ja jestem do niego podobna?

— Nie z twarzy ani z figury. Ja tylko mówiłam o barwie waszych dusz.

Bubber siedział, przenosząc wzrok z jednej na drugą. Serwetkę miał zawiązaną pod brodą, w ręku trzymał ciągle jeszcze pustą łyżkę.

— A co Bóg je? — zapytał.

Mick podniosła się od stołu i stanęła w drzwiach gotowa do odejścia. Zabawnie nieraz było drażnić się z Portią. Zaczynała zawsze na tę samą nutę i powtarzała w kółko to samo, jakby tylko to wiedziała.

— Tacy ludzie jak ty i mój ojciec, którzy nie chodzą do kościoła, nigdy nie będą spokojni. A weź mnie, ja wierzę i jestem spokojna. Tak samo Bubber i mój Highboy, i

Willie. I zdaje mi się, jak patrzę na tego pana Singera, co tu mieszka, że i on ma w sobie spokój. Poczulałam to, ledwo go zobaczyłam.

— Myśl sobie po swojemu — powiedziała Mick. — Jesteś na pewno o wiele bardziej pomyłona niż ten twój ojciec.

— Ale ty nigdy nie kochałaś Boga ani nikogo. Jesteś twarda i nieustępliwa jak wołowa skóra. Ale ja cię znam. Dziś po Południu będziesz się wałęsać po domu, stale niezadowolona. Będziesz się włóczyć, jakbyś szukała tego, czego nie zgubiłaś. Będziesz się sztucznie podniecać. Serce będzie ci biło tak mocno, jakby cię miało zabić, bo nie ma w tobie miłości i spokoju. Aż kiedyś tak się rozhulasz, że cię to wykończy, i nic ci już wtedy nie pomoże.

— Powiedz, Portia — pytał Bubber. — Co On je?

Mick roześmiała się i wyszła z kuchni.

Istotnie, błąkała się koło domu w ciągu południa, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Już od kilku dni tak było. Po pierwsze, dręczyła ją nadal myśl o skrzypcach. Nie potrafiłaby nigdy zrobić ich tak, by wyglądały jak prawdziwe. Po tych wszystkich tygodniach, w czasie których planowała to sobie, sama myśl o skrzypcach wywoływała mdłości. Jak mogła być tak pewna, że jej się uda? Taka głupia? Może gdy ludzie marzą o czymś tak bardzo, to marzenie każe im wierzyć we wszystko, co mogłoby je spełnić?

Mick nie chciała wracać do mieszkania, gdzie przebywała rodzina. I nie miała ochoty rozmawiać z żadnym z lokatorów. Pozostawała tylko ulica, a tam słońce grzało zbyt silnie. Chodziła bez celu z góry na dół po klatce schodowej, odgarniając dłonią zwichrzone włosy.

— Do licha! — powiedziała nagle głośno. — Drugą rzeczą po prawdziwym fortepianie, którą najbardziej chciałabym mieć, to jakiś kąpiel dla siebie.

Ta Portia to trochę zwariowana Murzynka, ale nie najgorsza. Nigdy nie skrzywdziłaby Bubbera ani Ralpa, jak to robią inne Murzynki. Ale powiedziała o niej, że ona nigdy nikogo nie kochała. Mick zatrzymała się i stała bez ruchu, pocierając pięścią czubek głowy. Co pomyślałaby Portia, gdyby wiedziała prawdę? Co by pomyślała?

Mick zachowywała dla siebie swoje tajemnice. To jedno! było pewne.

Weszła wolno po schodach. Minęła pierwszy podest i szła dalej na piętro. Kilko drzwi było otwartych dla przewiewu, z mieszkań dobiegały różne odgłosy.

Mick zatrzymała się na ostatnim zakręcie schodów i usiadła. Jeśli panna Brown otworzy radio, mogłaby posłuchać muzyki. Może będzie jakaś dobra audycja.

Oparła głowę na kolanach i zawiązała sznurowadła tenisówek. Co powiedziała by Portia, gdyby wiedziała, że ona kochała stale kogo innego? A za każdym razem było tak, jakby coś ją rozsadzało.

Ale nigdy nie mówiła o tym nikomu i nikt nie wiedział.

Mick siedziała dłuższy czas na schodach. Panna Brown nie otworzyła radia i słyhać było tylko hałasy dochodzące z mieszkań. Uderzając pięściami o biodra, rozmyślała długo. Miała uczucie, jakby twarz jej rozpadła się w kawałki, a ona nie mogła złożyć jej z powrotem. Było to uczucie o wiele gorsze niż głód przed obiadem, ale tak się czuła. „Chcę... chcę... chcę...” — to była jej jedyna myśl, ale nie wiedziała, czego chce naprawdę.

Po jakiejś godzinie na podeście nad nią rozległ się zgrzyt obracanej klamki. Mick spojrzała szybko w górę. Był to pan Singer. Stał chwilę w sieni, twarz jego była spokojna i smutna. Potem poszedł do łazienki. Jego gość się nie pokazał. Z miejsca, gdzie siedziała, mogła dojrzeć część pokoju; gość spał przykryty prześcieradłem. Czekała, aż pan Singer wyjdzie z łazienki. Policzki ją paliły, dotknęła ich rękoma. Może to prawda, że przychodziła czasem na te schody, by zobaczyć pana Singera, słuchając jednocześnie radia panny Brown, grającego o piętro niżej. Zadawała sobie pytanie, czy słyszał on w myśli jakąś muzykę, której nie mógł uchwycić uchem. Nikt tego nie wiedział. I co by mówił, gdyby mógł mówić. Tego też nikt nie wiedział.

Mick czekała, a po chwili Singer znów wyszedł do sieni. Miała nadzieję, że spojrzy w dół i uśmiechnie się do niej, ale dopiero kiedy doszedł do drzwi swego pokoju, popatrzył na nią i skinął jej głową. Mick uśmiechnęła się szeroko drżącymi wargami. Singer wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Mógłby przecież zaprosić ją do siebie. Mick zapragnęła nagle wejść do jego pokoju. Kiedyś później, jak będzie sam, pójdzie i odwiedzi go. Naprawdę to zrobi.

Gorące popołudnie mijalo wolno, a Mick siedziała ciągle sama na schodach. Po głowie snuła się jej znów muzyka tego Motaarta. Zabawne, ale pan Singer przypominał jej tę melodię. Zapragnęła jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby ją sobie zanucić. Niektóre melodie wydawały jej się zbyt osobiste, by śpiewać je w zatłoczonym, pełnym ludzi domu. Zabawne też, jak samotnym może czuć się człowiek w takim domu. Mick próbowała sobie przypomnieć jakiś miły, zaciszny kącik, gdzie

mogłaby zająć się swoją muzyką. Ale choć myślała nad tym długo, wiedziała od początku, że takiego miejsca nie ma.

4.

Późno po południu Jake Blount obudził się z uczuciem, że jest wyspany. Pokój, w którym leżał, był mały i schludny; umeblowanie stanowiły stół, biurko, łóżko i parę krzeseł. Wentylator elektryczny na biurku obracał się wolno raz ku jednej ścianie, raz ku drugiej, a gdy wzniecony przezeń chłodny powiew musnął twarz Jake'a, zamarzył on o zimnej wodzie. Przy stole pod oknem siedział mężczyzna wpatrując się w rozłożoną przed nim szachownicę. Pokój wydawał się Jake'owi obcy, lecz rozpoznał od razu twarz mężczyzny, tak jakby go znał od dawna.

Wiele wspomnień mieszało się w myślach Jake'a. Leżał bez ruchu, z otwartymi oczami i odwróconymi do góry dłońmi. Jego duże ręce odcinały się ciemną plamą na tle białego prześcieradła. Kiedy podniósł je do twarzy, spostrzegł, że są podrapane i potłuczone, a żyły miał tak nabrzmiałe, jakby ścisnął coś mocno przez długi czas. Wyglądał na znużonego i zaniedbanego. Ciemne włosy opadały mu na czoło, a wąsy leżały nierówno. Nawet brwi, przypominające skrzydła ptaka, były nastroszone i zmierzwiłone. Gdy tak leżał, wargi jego poruszyły się parę razy, a wąsy drgały nerwowo. Po chwili usiadł i walnął się wielką pięścią w głowę, by się całkowicie rozbudzić. Kiedy się poruszył, mężczyzna grający sam ze sobą szachy podniósł szybko wzrok i się uśmiechnął.

— Boże, ale mi się chce pić! — powiedział Jake. — Czuję się tak, jakby cała armia w skarpetkach przemaszerowała przez moje usta.

Mężczyzna popatrzył na niego, znowu się uśmiechnął, a potem sięgnął na drugą stronę stołu i podał Jake'owi oszroniony dzbanek wody z lodem i szklankę. Jake pił dużymi haustami i sapał, stojąc półnagi na środku pokoju z głową przechyloną do tyłu i ręką zaciśniętą w pięść. Wypił cztery szklanki i dopiero wtedy głęboko zaczerpnął oddechu i odprężył się nieco.

W tej chwili przepłynęły mu przez myśl niektóre wspomnienia. Nie mógł przypomnieć sobie, jak przyszedł tu z tym człowiekiem, ale to, co wydarzyło się potem, teraz było o wiele jaśniejsze. Obudził się w wannie z zimną wodą, a potem pili

kawę i rozmawiali, opowiedział dużo rzeczy, które mu leżały na sercu, a mężczyzna słuchał. Jake mówił, aż ochrypl. Lepiej niż wszystko inne pamiętał wyraz twarzy tego człowieka. Położyli się nad ranem, zapuściwszy story, by światło nie docierało do pokoju. Z początku nie spał, prześladowany jakimiś zmorami, i musiał zapalić lampę, by się ich pozbyć. Światło na pewno nie pozwalało spać tamtemu, ale się wcale nie skarżył.

— Jak to się stało, że nie wyrzucił mnie pan tej nocy?

Mężczyzna uśmiechnął się znowu. Jake zastanawiał się, czemu jest on taki milczący. Rozejrzał się za ubraniami i zobaczył, że na podłodze koło łóżka stoi jego walizka. Nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób wy dostał ją z restauracji, gdzie winien był za wypite trunki. Książki, białe ubranie i parę koszul — wszystko to było tak, jak zapakował. Zaczął się szybko ubierać.

Zanim skończył, na stole gotowała się kawa w elektrycznym dzbanku. Gospodarz sięgnął do kieszeni marynarki, która wisiała na poręczy krzesła. Wyciągnął z niej wizytówkę. Jake wziął ją z zaciekawieniem do ręki. Na środku widniało nazwisko mężczyzny — John Singer — a pod nim, wypisana równie starannie jak nazwisko, krótka uwaga:

*Jestem głuchoniemy, ale czytam z warg i rozumiem, co się do mnie mówi.
Proszę nie krzyczeć.*

Jake z wrażenia poczuł się lekki i pusty. Przez chwilę obaj wpatrywali się w siebie w milczeniu.

— Ciekaw jestem, jak długo by trwało, zanimbym się tego domyślił — powiedział Jake.

Gdy mówił, Singer uważnie patrzył na jego wargi, co już przedtem zauważył. Naprawdę głuchoniemy!

Usiedli przy stole i pili gorącą kawę z niebieskich filiżanek. W pokoju było chłodno, bo na pół zapuszczone story łagodziły ostry blask bijący z okien. Singer wyjął z szafki blaszane pudełko, w którym był bochenek chleba, parę pomarańczy i ser. Sam nie jadł dużo, siedział na krześle, z jedną ręką w kieszeni. Jake jadł łapczywie. Musi zaraz stąd wyjść i przemyśleć wszystko. Jest w takich tarapatach, że powinien szybko poszukać jakiegoś zajęcia. Cichy pokój wydawał się zbyt spokojny i wygodny, by można się tu martwić, wyjdzie stąd i pospaceruje chwilę sam.

— Czy w mieście są jeszcze jacyś inni głuchoniemi? — zapytał. — Ma pan wielu przyjaciół?

Singer ciągle się uśmiechał. Początkowo nie zrozumiał wypowiedzianych słów i Jake musiał je powtórzyć. Głuchoniemy uniósł ciemne, ostro zarysowane brwi i potrząsnął głową.

— Nie czuje się pan samotny?

Mężczyzna poruszył głową w ten sposób, że mogła to być odpowiedź zarówno twierdząca, jak i przecząca. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, potem Jake wstał gotów do odejścia. Podziękował kilkakrotnie Singerowi za gościnę, poruszając wolno wargami, by zostać na pewno zrozumianym. Głuchoniemy uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami.

Kiedy Jake spytał, czy może zostawić na parę dni walizkę pod łóżkiem, Singer ruchem głowy wyraził zgodę.

Potem wyjął ręce z kieszeni i srebrnym ołówkiem napisał starannie parę słów na bloczku, który podał Jake'owi.

Rozłożę materac na podłodze i może Pan tu mieszkać, póki nie znajdzie Pan mieszkania. Mnie przez większość dnia nie ma w domu. Nie będzie żadnego kłopotu.

Jake poczuł, że wargi mu drżą z wdzięczności. Ale nie mógł przyjąć tej propozycji.

— Dziękuję — powiedział — mam już mieszkanie. Kiedy wychodził, głuchoniemy podał mu zwinięty ciasno granatowy kombinezon i siedemdziesiąt pięć centów. Kombinezon był brudny; Jake rozpoznał go; obudził w nim nagle wspomnienia z ubiegłego tygodnia. A pieniądze, jak dał mu do zrozumienia Singer, znajdowały się w jego kieszeniach.

— *Adios!* — powiedział Jake. — Wrócę tu niedługo. Rozstał się z głuchoniemy, który stał w progu, ciągle z rękami w kieszeniach i bladym uśmiechem na twarzy. Kiedy Jake zszedł parę stopni w dół, odwrócił się i pomachał mu ręką. Głuchoniemy odwzajemnił ten gest i zamknął drzwi.

Na dworze nagły ostry blask uderzył go w oczy. Stał na chodniku przed domem tak z początku oślepiiony słońcem, że prawie nic nie widział. Na poręczy ganku

siedziała dziewczynka. Gdzieś już ją przedtem widział. Pamiętał chłopięce spodnie, które miała na sobie, i sposób, w jaki mrużyła oczy.

Podniósł w górę brudny zwinięty kombinezon.

— Chcę to wyrzucić. Gdzie jest śmietnik?

Dziewczynka zeskoczyła z poręczy.

— Na podwórku za domem. Pokażę panu.

Poszedł za nią wąskim wilgotnym przejściem z boku domu. Kiedy znaleźli się na podwórku, Jake zobaczył dwóch Murzynów siedzących na schodkach. Ubrani byli w białe ubrania i białe pantofle. Jeden z nich był wysoki i miał jaskrawozielony krawat i takie same skarpetki. Drugi, przypominający trochę Mulata, był średniego wzrostu. Wycierał blaszaną harmonijkę, którą miał na kolanach. Jakby dla kontrastu ze swoim wysokim towarzyszem miał płomiennie czerwony krawat i skarpetki.

Dziewczynka wskazała pojemnik na śmieci pod płotem, a potem zawołała w stronę kuchennego okna:

— Portia! Czekają tu na ciebie Highboy i Willie.

Z kuchni odpowiedział cichy głos:

— Nie krzycz tak. Wiem, że czekają. Wkładam już kapelusz.

Jake obejrzał jeszcze kombinezon, nim go wrzucił do śmieci. Był tak ubłocony, że aż sztywny. Jedną nogawkę miał rozdartą, a na przodzie kilka kropel krwi. Cisnął go do śmietnika. Z domu wyszła młoda Murzynka i przyłączyła się do biało ubranych chłopców siedzących na schodkach. Jake spostrzegł, że dziewczynka w szortach przygląda mu się badawczo. Przeszepowywała z nogi na nogę i wyglądała na wyraźnie podnieconą.

— Czy pan jest jakimś krewnym pana Singera?

— Nie.

— A może dobrym przyjacielem?

— Na tyle dobrym, żeby u niego przenocować.

— Zastanawiałam się właśnie...

— W której stronie jest główna ulica?

Pokazała w prawo.

— Dwie przecznice dalej.

Jake pogładził palcami wąsy i ruszył przed siebie. Pobrzękiwał centami, które trzymał w ręku, i zagryzał dolną wargę tak długo, aż wystąpiły na niej czerwone cętki. Troje Murzynów szło przed nim, rozmawiając. Czuł się samotny w obcym mieście, posuwał się więc za nimi i słuchał. Dziewczyna trzymała chłopców za ręce. Miała na sobie zieloną suknię, czerwony kapelusz i czerwone pantofle. Chłopcy szli tuż przy niej.

— Co planujemy na dzisiejszy wieczór? — zapytała.

— To zależy tylko od ciebie, kochana — odrzekł wysoki chłopak. — Willie i ja nie mamy specjalnych planów.

Przeniosła wzrok z jednego na drugiego.

— Musimy się zdecydować na coś wszyscy razem.

—No... — powiedział niższy Murzyn w czerwonych skarpetkach — myśleliśmy z Highboyem o tym, żeby mo... może pójść w trójkę do kościoła.

Dziewczyna powiedziała śpiwnym głosem:

— Zgoda...! A po kościele idę zobaczyć się na chwilę z ojcem... tylko na chwilę...

Skręcili w pierwszą przecznicę, a Jake stał przez moment i patrzył za nimi.

Główna ulica była nagrzana słońcem, cicha, nieomal pusta. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że to niedziela, i myśl ta przygnębiła go. Markizy nad zamkniętymi sklepami były podniesione, a budynki w oślepiającym słońcu wyglądały nago i pusto. Minął „New York Cafe”. Drzwi były otwarte, ale lokal pusty i ciemny. Nie znalazł skarpetek, ubierając się rano, rozgrzany chodnik parzył przez cienkie podeszwy butów. Słońce jak gorący kawał żelaza uciskało mu głowę. Wydawało mu się, że w życiu nie widział tak bezludnej miejscowości. Cisza panująca na ulicy napełniała go dziwnym uczuciem; kiedy był pijany, miasto wydawało się hałaśliwe i głośnie. A teraz było tak, jakby wszystko zamarło nagle w bezruchu.

Wszedł do sklepu owocowo-cukierniczego, by kupić gazetę. Rubryka „Pracownicy poszukiwani” była bardzo krótka. Parę propozycji dla młodych ludzi w wieku od dwudziestu sześciu do czterdziestu lat, posiadających samochody, do sprzedaży różnych towarów za prowizję. Rozejrzał się szybko. Na chwilę wzrok jego przyciągnęło ogłoszenie, w którym poszukiwano kierowcy ciężarówki. Ale inne u dołu strony bardziej go zainteresowało. Przeczytał:

Potrzebny doświadczony mechanik. Wesole miasteczko. Zgłaszać się róg Weavers Lane i Piętnastej Ulicy.

Nieświadomie zawrócili ku drzwiom restauracji, gdzie spędzał czas w ciągu ubiegłych dwóch tygodni. Poza owocarnią był to jedyny otwarty lokal na tym odcinku ulicy. Jake zdecydował nagle, że wstąpi tam i zobaczy się z Biffem Brannonem. Restauracja wydawała się bardzo ciemna po oślepiająco jasnej ulicy. Było tu spokojniej i brudniej, niż pamiętał. Brannon stał jak zwykle za kasą, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Jego przystojna pulchna żona siedziała lakierując paznokcie przy drugim końcu lady. Jake spostrzegł, że popatrzyli na siebie, gdy wszedł.

— Dzień dobry — powiedział Brannon.

Jake czuł coś w powietrzu. Może ten facet śmiał się, bo przypomniał sobie, jak on się upił. Jake stał sztywny i urażony.

— Proszę paczkę „Target”.

Kiedy Brannon sięgnął pod ladę, Jake stwierdził, że on się wcale nie śmieje. W dzień twarz jego miała wyraz mniej twardy niż w nocy. Był blady, jakby się nie wyspał, w jego oczach widniało znużenie.

— Niech no pan powie — odezwał się Jake — ile jestem winien.

Brannon otworzył szufladę i wyjął z niej jakiś blok. Przewracał wolno kartki, a Jake przez cały czas mu się przyglądał. Blok wyglądał raczej jak prywatny notes, nie księga, w której prowadził systematyczne rachunki. Były tam długie kolumny cyfr, dodawanych, mnożonych i dzielonych, i małe rysunekczki. Brannon zatrzymał się na jednej ze stron i Jake dojrzał u dołu w rogu swoje nazwisko. Na tej stronie nie było cyfr, tylko kwadraciki i krzyżyki, a gdzieś wyrysowane małe krągłe siedzące kotki z długimi zakrętami zamiast ogonów. Kotki miały kobiece twarze, twarze pani Brannon.

— Kwadraciki oznaczają piwa, krzyżyki obiady, a kreski whisky — wyjaśnił Brannon. — Zaraz... — Potarł nos i spuścił wzrok na księgę. Potem zamknął ją. — W przybliżeniu dwadzieścia dolarów.

— Trochę to potrwa — powiedział Jake — ale może je pan dostanie.

— Nie ma gwałtu.

Jake oparł się o ladę.

— Niech mi pan powie, co to za miasto?

— Zwykle miasto — odrzekł Brannon. — Mniej więcej podobne do innych miast tej samej wielkości.

— Ilu ma mieszkańców?

— Około trzydziestu tysięcy.

Jake otworzył paczkę tytoniu i skręcił sobie papierosa. Ręce mu drżały.

— Dużo tu fabryk, co?

— Tak. Cztery duże przędzalnie. Fabryka pończoch. Parę greplarni i tartaków.

— A jakie płace?

— Przeciętnie około dziesięciu, jedenastu dolarów tygodniowo, ale oczywiście zdarzają się i przestoje. Dlaczego pan o to pyta? Chce pan dostać się do fabryki?

Jake wetknął pięść w oko i potarł je sennie.

— Nie wiem jeszcze. Może tak, może nie. — Położył gazetę na ladzie i wskazał ogłoszenie, które właśnie przeczytał. — Myślę, że przejdę się i dowiem o to.

Brannon przeczytał ogłoszenie i namyślał się chwilę.

— Tak... — powiedział w końcu. — Widziałem to wesołe miasteczko. Nic wielkiego... parę urządzeń rozrywkowych, takich jak karuzela, huśtawki. Ściąga to Murzynów, robotników fabrycznych i dzieci. Przenoszą się ciągle z jednego pustego placu na drugi.

— Niech mi pan pokaże, jak się tam idzie.

Brannon podszedł z nim do drzwi i wskazał kierunek.

— Poszedł pan dziś rano do domu z Singerem? — spytał.

Jake skinął głową.

— Co pan o nim myśli?

Jake zagryzł wargi. Miał wyraźnie przed oczami twarz głuchoniemego, jak twarz przyjaciela znanego od dawna. Myślał o tym człowieku, od kiedy opuścił jego pokój.

— Nawet nie wiedziałem, że on jest głuchoniemy — powiedział w końcu.

Zaczął znów iść rozgrzaną pustą ulicą, nie szedł już jak obcy w obcym mieście. Wyglądał, jakby kogoś szukał. Niebawem wkroczył w jedną z fabrycznych dzielnic, położoną nad rzeką. Ulice były tu wąskie, niebrukowane i wcale nie puste. Gromadki brudnych dzieci, które sprawiały wrażenie głodnych, nawoływały się i grały w różne gry. Dwuizbowe budy, wszystkie do siebie podobne, były przegniłe i niepomalowane.

Zapach jedzenia i nieczystości mieszał się w powietrzu z kurzem. Wodospady w górze rzeki szumiały cicho. Ludzie stali w milczeniu na progach domów lub siedzieli beczynnie na schodkach. Żółtawe twarze bez wyrazu wpatrywały się w Jake'a. On patrzył w nie szeroko otwartymi ciemnymi oczami. Szedł nerwowym krokiem, od czasu do czasu ocierając usta owłosionym wierzchem dłoni.

Na końcu Weavers Lane znajdowała się pusta parcela. Kiedyś wykorzystano ją na skład starych samochodów. Zardzewiałe części silników i porwane dętki jeszcze teraz zaśmiecały ziemię. W jednym rogu zaśmieconego placu stała przyczepa, a obok karuzela częściowo przykryta plandeką.

Jake podszedł wolno. Dwaj mali chłopcy w kombinezonach stali przed karuzelą. Obok nich w słońcu późnego popołudnia siedział zaspany Murzyn z założonymi bezwładnie nogami. W ręku trzymał torebkę roztopiających się czekoladowych cukierków. Jake przyglądał się, jak wsadził palce w słodką maź i zaczął je powoli oblizywać.

— Kto tu jest kierownikiem?

Murzyn nadal oblizywał dwa słodkie palce.

— Taki rudy — powiedział, skończywszy. — Tyle tylko wiem, szefie.

— Gdzie on jest?

— Tam, za tym największym wozem.

Jake idąc po trawie, ściągnął krawat i wsunął go do kieszeni. Słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi. Ponad ciemną linią dachów niebo miało barwę ciepłoszkarłatną. Właściciel wesołego miasteczka stał sam, paląc papierosa. Jego rude sterzące włosy przypominały gąbkę. Patrzył na Jake'a szarymi oczami bez wyrazu.

— Pan jest kierownikiem?

— Mhm. Nazywam się Patterson.

— Przychodzę w sprawie ogłoszenia w porannej gazecie.

— Aha. Ale ja nie potrzebuję fryców, tylko doświadczonego mechanika.

— Mam duże doświadczenie — powiedział Jake.

— Jakie?

— Pracowałem jako tkacz i majster tkacki. Pracowałem także w garażach i przy montażu samochodów. Robiłem różne rzeczy.

Patterson podprowadził go do przykrytej częściowo karuzeli. Nieruchome drewniane koniki wyglądały dziwnie w popołudniowym słońcu. Wspięte na

zadnich nogach trwały nieruchomo, przekłute matowozłotymi drążkami. Ten, który był najbliżej Jake'a, miał dużą rysę na brudnym kadłubie i oszalałe ślepe spojrzenie oczu, z których odpadło trochę farby. Nieruchoma karuzela wydawała się Jake'owi jakąś zjawą z pijackiego snu.

— Potrzebuję dobrego mechanika, który by to uruchamiał i utrzymywał w porządku — oznajmił Patterson.

— Mogę to robić.

— Ale tu jest kupa roboty: odpowiadać za wszystko, pilnować maszynerii, a równocześnie utrzymać w porządku tłum ludzi. Musi być pan pewny, że każdy, kto wszedł, ma bilet. I że to bilety ważne, nie z jakiejś zabawy tanecznej. Każdy chce się przejechać na tych konikach: zdziwiłby się pan, do czego uciekają się te czarnuchy, kiedy nie mają pieniędzy, trzeba mieć cały czas oczy i uszy otwarte.

Patterson wprowadził go pomiędzy koniki i pokazał różne części mechanizmu. Nastawił dźwignię i w powietrzu zabrzmiały cienkie tony muzyki. Krążąca wokół nich kawalkada zdawała się odcinać ich od reszty świata. Kiedy koniki zatrzymały się, Jake zadał parę pytań i uruchomił sam mechanizm.

Gość, którego zatrudniałem, odszedł — powiedział Patterson, kiedy wyszli znów na plac. — Nie cierpię przyzwyczajając się do nowego człowieka.

— Kiedy mam zacząć?

— Jutro po południu. Kręcimy ten interes sześć dni i sześć nocy w tygodniu — zaczynamy o czwartej, zamykamy o dwunastej. Przychodzi się koło trzeciej i pomaga to i owo przygotować. A po zakończeniu schodzi blisko godzina, bo trzeba złożyć wszystko na noc.

— Ile pan płaci?

— Dwanaście dolarów.

Jake skinął głową, a Patterson wyciągnął bladą, miękką rękę o brudnych paznokciach.

Późno już było, kiedy Jake opuścił plac. Granatowe niebo pojaśniało, na wschodzie ukazał się blady księżyc. Zmierzch złagodził zarysy domów wzdłuż ulicy. Jake nie wrócił od razu przez Weavers Lane, lecz wałęsał się w pobliżu. Niektóre zapachy czy głosy słyszalne z daleka sprawiały, że przystawał na pełnej kurzu ulicy. Szedł chwiejnym krokiem, zmieniając bez celu kierunek. Głowę miał tak lekką, jakby była zrobiona z cienkiego szkła. Zachodziła w nim jakaś chemiczna przemiana. Piwo i

whisky gromadzone bez przerwy w organizmie wywołały reakcję. Pijackie zamroczenie jeszcze go całkiem nie opuściło. Ulice, które przedtem wydawały mu się martwe, były teraz pełne życia. Wzdłuż chodnika ciągnął się nierówny skrawek trawy. Jake'owi wydawało się, że ziemia zbliża się do jego twarzy. Usiadł na brzegu murawy i oparł się o słup telefoniczny. Rozparł się wygodnie, skrzyżował nogi po turecku i przyglądał końce wąsów. Na myśl napłynęły mu słowa, które wyrzekł sennie i głośno do samego siebie:

— Rozgoryczenie to najcenniejszy wykwit nędzy.

Dobrze było móc mówić. Dźwięk własnego głosu sprawiał mu przyjemność. Każde słowo powtarzane przez echo zawisało w powietrzu i rozbrzmiewało dwa razy. Przełknął ślinę i zwilżył językiem wargi, by odezwać się znów. Zapragnął nagle wrócić do cichego pokoju Singera i powiedzieć, jakie myśli chodzą mu po głowie. Dziwna to rzecz pragnąć rozmawiać z głuchoniemym. Ale czuł się osamotniony.

Ulica przed nim pociemniała wraz z nadchodzącym wieczorem. Co jakiś czas przechodzili koło niego wąską uliczką mężczyźni zajęci rozmową, wzniesając za każdym krokiem chmurę kurzu wokół siebie. Przechodziły też dziewczęta albo matka z dzieckiem na ręku. Jake siedział jakiś czas odrętwiały, w końcu wstał i poszedł dalej.

Weavers Lane była ciemna. Latarnie naftowe rzucały żółte drżące plamy światła na progi i okna. Niektóre domy były zupełnie ciemne, a jedynie odbłask od sąsiednich domów ukazywał siedzące na schodkach od frontu rodziny. Jakaś kobieta wychyliła się z okna i wylała na ulicę wiadro brudnej wody. Parę kropel opryskało twarz Jake'a. Zza niektórych domów dobiegały wysokie gniewne głosy. Z innych słyhać było miarowy stukot bujającego się fotela.

Jake przystanął przed domem, gdzie trzech mężczyzn siedziało obok siebie na schodkach. Oświetlało ich żółtawe światło padające z wnętrza domu. Dwaj z nich mieli na sobie kombinezony, ale byli bez koszul i boso. Jeden był wysoki i gibki. Drugi — niski, z niezabliźnioną raną w kąciu ust. Trzeci mężczyzna ubrany w koszulę i spodnie trzymał na kolanach słomkowy kapelusz.

— Hej! — powiedział Jake.

Tamci trzej zwrócili ku niemu ziemistożółte twarze bez wyrazu. Mruknęli coś, ale nie zmienili pozycji. Jake wyjął z kieszeni paczkę tytoniu i poczęstował ich. Usiadł na najniższym schodku i zdjął buty, chłodna wilgotna ziemia sprawiła ulgę stopom.

— Pracujecie teraz?

— Tak — odpowiedział ten, który trzymał słomkowy kapelusz. — Przeważnie tak.

Jake dłubał między palcami nóg.

— Ja noszę w sobie ewangelię — odezwał się. — I chcę ją komuś głosić.

Mężczyźni uśmiechnęli się. Z drugiej strony wąskiej uliczki dobiegał głos śpiewającej kobiety. Dym z papierosów wisiał tuż nad nimi w nieruchomym powietrzu. Mały chłopczyk idący ulicą zatrzymał się i rozpiął rozporek, żeby się wysiusiać.

— Niedaleko stąd rozstawili namiot i dziś jest niedziela — powiedział w końcu niski mężczyzna. Może pan tam głosić swoją ewangelię.

— To nie ta zwykła ewangelia. Lepsza. To prawda.

— Jaka?

Jake ssal węża i nie odpowiadał. Po chwili spytał:

— Mieliście tu kiedy strajki?

— Raz — odpowiedział wysoki. — Był tu strajk jakieś sześć lat temu.

— Jak to było?

Mężczyzna ze zranioną wargą zaszurał nogami i upuścił na ziemię niedopałek papierosa.

— No... po prostu rzucili pracę, bo chcieli dwadzieścia centów za godzinę. Blisko trzystu ludzi tak zrobiło. Cały dzień włóczyli się po ulicach. Fabryka wysłała więc ciężarówki i w ciągu tygodnia miasto roiło się od takich, co tu przyjechali szukać pracy.

Jake odwrócił głowę, by na nich popatrzeć. Mężczyźni siedzieli o dwa schodki nad nim. Musiał podnieść głowę, żeby spojrzeć im w oczy.

— Czy to nie doprowadza was do szału?

— Jak to... do szału?

Żyła na czole Jake'a nabrzmiała i nabiegła krwią.

— Rany boskie, człowieku! Mówię przecież wyraźnie: do szału. SZAŁU! SZAŁU!

Popatrzył groźnie na ich zdumione ziemiste twarze. Za nimi przez otwarte drzwi mógł dojrzeć wnętrze domu. W pierwszym pokoju były trzy łóżka i umywalka.

W drugim bosa kobieta siedziała na krześle i spała. Z któregoś z sąsiednich domów płynął dźwięk gitary.

— Ja byłem jednym z tych, co przyjechali na ciężarówkach — powiedział wysoki mężczyzna.

— To nie zmienia postaci rzeczy. Próbuję wam wytłumaczyć coś, co jest zupełnie proste i jasne. Dranie, do których należą te fabryki, to milionerzy. A włókniarze, gręplarze i wszyscy inni ludzie pracujący przy maszynach, ci co przędą i tkają materiały, z trudem zarabiają tyle, by zaspokoić głód. Rozumiecie? Kiedy więc idzie się ulicami i myśli o tym, i widzi głodnych, wyczerpanych ludzi i rachityczne dzieciaki, to czy nie można dostać szału?

Twarz Jake'a nabiegła krwią a wargi mu drżały. Trzej mężczyźni wpatrywali się w niego nieufnie. Po chwili ten w słomkowym kapeluszu zaczął się śmiać.

— Śmieście się, śmieście! Siedzicie tu i śmiecie się, aż boki pozrywacie ze śmiechu!

Zarechotali swobodnie, szeroko, jak zwykli śmiać się mężczyźni w grupie. Jake otarł kurz z pięt i włożył buty. Pięści miał zaciśnięte, a usta wykrzywione w gniewnym szyderczym uśmiechu.

— Śmieście się! Na to was tylko stać! Siedzicie tu i śmiecie się, aż pognijecie!

Kiedy szedł sztywnym krokiem ulicą, ścigał go dalej ich śmiech i gwizdy.

Główna ulica była jasno oświetlona. Jake zatrzymał się na rogu, bawiąc się drobnymi monetami, które miał w kieszeni. W skroniach mu pulsowało i choć noc była ciepła, całym jego ciałem wstrząsały dreszcze. Pomyślał o głuchoniemym i zapragnął nagle wrócić i posiedzieć z nim chwilę. W sklepie, gdzie kupił po południu gazetę, wybrał koszyk owoców opakowany w celofan. Grek za ladą powiedział, że kosztuje to siedemdziesiąt centów, tak że gdy zapłacił, zostało mu tylko pięć centów. Kiedy opuścił sklep, kosz ten wydał mu się śmiesznym prezentem dla zdrowego mężczyzny. Skubnął łapczywie zwisające spod celofanu winogrono.

Singer był w domu. Siedział pod oknem. Na stole przed nim stała rozłożona szachownica. Pokój wyglądał tak samo jak wtedy, gdy Jake go opuścił; wentylator obracał się, koło stołu stał dzbanek wody z lodem. Na łóżku leżał kapelusz panama i jakaś paczka owinięta w papier. Singer chyba przed chwilą wrócił do domu. Ruchem głowy wskazał krzesło przy stole naprzeciwko siebie i odsunął trochę szachownicę.

Przechylił się do tyłu z rękami w kieszeniach, a twarz jego zdawała się pytać Jake'a, co się z nim działo przez cały dzień. Jake postawił na stole kosz z owocami.

— Na dzisiejszy wieczór — powiedział.

Głuchoniemy uśmiechnął się, ale Jake nie potrafił powiedzieć, czy zrozumiał jego słowa. Popatrzył ze zdziwieniem na owoce, a potem rozwinął celofanowe opakowanie. W twarzy tego człowieka, gdy brał do ręki winogrona, było coś szczególnego. Jake próbował dociec, co oznaczał jej wyraz, ale nie potrafił. Singer uśmiechnął się do niego promiennie.

— Dostałem dziś po południu pracę w wesołym miasteczku. Mam obsługiwać karuzelę.

Głuchoniemy nie wydawał się wcale zdziwiony. Podszedł do szafki, z której wyjął butelkę wina i dwie szklanki. Wypili w milczeniu. Jake miał wrażenie, że nigdy jeszcze nie był w tak zacisznym pokoju. Światło nad głową odbijało w dziwny sposób jego postać w płonącej czerwieni szklance wina, którą miał przed sobą — tę samą karykaturę, oglądaną wiele razy przedtem w krzywych powierzchniach dzbanów i cynowych kubków — twarz w kształcie spłaszczonego jajka, z wąsami rozciągniętymi od ucha do ucha. Siedzący naprzeciw niego głuchoniemy trzymał swoją szklankę w obu rękach. Wino zaczynało krążyć w żyłach Jake'a, czuł, że wkracza znów w kalejdoskop zmiennych pijackich doznań. Był tak podniecony, że drżały mu wąsy. Pochylił się do przodu z łokciami wspartymi na kolanach i utkwiał bystry, uważny wzrok w Singerze.

— Założę się, że jestem jedynym w tym mieście człowiekiem doprowadzonym do szału — mówię o prawdziwym szale — i to od dziesięciu lat. O mało co nie wdałem się przed chwilą w bójkę. Czasami wydaje mi się, że mógłbym dostać bzika. Sam nie wiem.

Singer podsunął gościowi wino. Jake napił się z butelki i potarł ręką czubek głowy.

— Widzi pan, we mnie jest jakby dwóch ludzi. Jeden to człowiek wykształcony. Przesiadywałem w kilku największych bibliotekach w kraju. Czytałem. Czytałem bez przerwy. Czytałem książki, w których jest czysta, uczciwa prawda. W walizce mam dzieła Karola Marksa i Thorsteina Veblena, i innych podobnych autorów. Czytałem je w kółko, a im bardziej się w nie zagłębiałem, tym bardziej byłem zwariowany. Znam każde słowo na każdej stronie. Lubię nade wszystko takie słowa, jak materializm

dialektyczny, jezuickie zakłamanie, skłonności teologiczne. — Jake wymawiał te zgłoski z jakąś nabożną rozkoszą.

Głuchoniemy otarł starannie czoło złożoną chusteczką.

— Ale zmierzam do tego: kiedy ktoś wie, a nie potrafi przekonać innych, to co ma robić?

Singer sięgnął po szklanke, napełnił ją po brzegi i wcisnął w posiniaczoną rękę Jake'a.

— Upić się, co? — powiedział Jake i targnął ramieniem tak, że rozlał parę kropel wina na swoje białe spodnie. — Ale niech pan posłucha! Gdziekolwiek się spojrzy, tam korupcja i podłość. Ten pokój, ta butelka gronowego wina, te owoce w koszyku to wszystko to produkty zysku i straty. Na to, żeby żyć, trzeba się biernie pogodzić z podłością. Ktoś wypruwa z siebie wszystkie żyły dla każdego kęsa, który zjadamy, dla każdego ściegu, który mamy na sobie, a nikt zdaje się o tym nie wiedzieć. Ludzie są ślepi, głusi i tępi — głupi i podli.

Jake przycisnął pięści do skroni. Myśli jego rozpierzchły się w różne strony i nie mógł ich skupić. Pragnął wpaść w szal. Pragnął wyjść i bić się z kimś na zatłoczonej ulicy.

Patrząc ciągle na niego z cierpliwym zainteresowaniem, głuchoniemy wyjął z kieszeni srebrny ołówek. Napisał bardzo starannie na skrawku papieru: „Czy pan jest demokratą, czy republikaninem?” — i podał go przez stół Jake'owi. Ten zgniół papier w dłoni. Pokój zaczął wirować wokół niego, nie mógł nawet czytać.

Chcąc się uspokoić, nie spuszczał oczu z twarzy głuchoniemego. Tylko oczy Singera w całym tym pokoju wydawały się nieruchome. Były wielobarwne: szare, ciepłobrazowe w bursztynowe cętki. Patrzył w nie tak długo, że się prawie zahipnotyzował. Stracił chęć do ekscesów, poczuł, że znów jest spokojny. Oczy Singera jakby rozumiały wszystko, zdawały się przekazywać mu jakieś polecenie. Po chwili pokój przestał wirować.

— Zrozumiał pan — powiedział ochrypłym głosem. — Wie pan, co mam na myśli?

Z daleka zabrzmiał cichy, srebrzysty dźwięk kościelnych dzwonów. Światło księżycy zalewało białym blaskiem sąsiedni dach, a niebo miało łagodną barwę letniego błękitu. Bez słów zostało uzgodnione, że Jake zamieszka u Singera, póki nie

znajdzie sobie pokoju. Kiedy wypili wino, głuchoniemy rozłożył materac na podłodze obok łóżka. Nie zdejmując ubrania Jake położył się i natychmiast usnął.

5.

Z dala od głównej ulicy, w jednej z murzyńskich dzielnic miasta, doktor Benedict Mady Copeland siedział sam w ciemnej kuchni. Minęła dziewiąta, umilkły już kościelne dzwony. Choć noc była bardzo ciepła, w brzuchatym piecu tlił się ogień. Tuż przy nim na kuchennym krześle z prostym oparciem siedział doktor Copeland pochylony do przodu, z głową ukrytą w długich szczupłych rękach. Czerwony blask przedzierający się przez szpary pieca oświetlał jego twarz; w blasku tym grube wargi wydawały się nieomal sine na tle czarnej skóry, a siwe włosy, przylegające ciasno do czaszki niby włóczkowa czapeczka, przybrały cień niebieskawy. Siedział w tej pozycji bez ruchu już od dłuższego czasu. Nawet oczy jego, spoglądające spod okularów w srebrnej oprawie, patrzyły wciąż tak samo nieruchomo i posepnie. Nagle odkaslnął mocno i wziął do ręki leżącą obok krzesła na podłodze książkę. Pokój pogrążony był zupełnym mrokiem; musiał trzymać książkę blisko pieca, chcąc odczytać litery. Czytał dziś Spinozę. Niezupełnie rozumiał zawily tok myśli i poplątanych zdań, lecz gdy czytał, czuł, że za tymi słowami kryje się jakaś wielka prawda, którą prawie pojmuje.

Często wśród nocy ostry dźwięk dzwonka wrywał go z ciszy, a przed drzwiami zastawał pacjenta ze złamaną kończyną lub pokaleczonego brzytwą. Ale tego wieczora nikt mu spokoju nie zakłócił. Przesiedziawszy samotnie parę godzin w ciemnej kuchni, zaczął się z wolna kiwać w obie strony, a z gardła wydobył się jakby śpiewny jęk. W tym właśnie momencie przyszła Portia.

Doktor Copeland wiedział, że ona nadchodzi. Usłyszał dobiegającą z ulicy smętną murzyńską melodię graną na harmonijce; grał jego syn Willie. Nie zapalając światła, przeszedł przez sień i otworzył frontowe drzwi. Nie wyszedł na ganek, lecz stał w ciemnościach za siatką. Księżyc świecił jasno i cienie Portii, Williego i Highboya odcinały się czarno i wyraźnie na tle ulicy. Sąsiednie domy wyglądały nędznie. Dom doktora Copelanda różnił się od wszystkich innych znajdujących się w pobliżu. Był solidny, murowany i otynkowany. Mały ogródek od frontu otaczały sztachety. Portia pożegnała się przed furtką z mężem i bratem i zapukała do siatkowych drzwi.

— Dlaczego siedzisz tu tak po ciemku?

Weszli razem przez ciemną sień do kuchni.

— Masz przecież wspaniałe lampy elektryczne. To nienormalne siedzieć tak cały czas po ciemku.

Doktor pokręcił żarówką wiszącą nad stołem i w kuchni zrobiło się nagle bardzo jasno.

— Dobrze mi w ciemności — powiedział.

Kuchnia była czysta i prawie pusta. Na stole z jednej strony stał kałamarz i leżały książki, z drugiej widelec, łyżka i talerz. Doktor siedział wyprostowany, skrzyżowawszy długie nogi. Z początku Portia trzymała się tak samo sztywno. Ojciec i córka byli do siebie bardzo podobni. Oboje mieli szerokie płaskie nosy i takie same czoła i usta. Ale skóra Portii w porównaniu ze skórą ojca była bardzo jasna.

— Można się tu upiec — powiedziała. — Powinieneś wygaszać ten ogień, jak nie gotujesz.

— Możemy pójść na górę do mego gabinetu — odrzekł doktor.

— Nie, nie chcę. Dobrze mi tu.

Doktor poprawił okulary w srebrnej oprawie i złożył ręce na kolanach.

— Jak tam się miewacie od czasu, kiedyśmy się ostatni raz widzieli? Ty i twój mąż, i twój brat?

Portia odprężyła się i wysunęła nogi z pantofli.

— Highboy i Willie, i ja mamy się zupełnie dobrze.

— Willie ciągle jeszcze mieszka u was?

— Naturalnie, że mieszka — odpowiedziała Portia. — Widzisz, my żyjemy po swojemu i mamy własny plan. Highboy płaci komorne. Ja ze swoich pieniędzy kupuję całe jedzenie. A Willie opłaca wszystkie składki, to znaczy kościelne i ubezpieczeniowe, klubowe i sobotnie wieczory. Mamy we troje własny plan i każdy płaci, co do niego należy.

Doktor Copeland siedział ze zwieszoną głową i wyłamywał swoje długie palce, aż stawy zaczęły trzeszczeć. Czyste mankiety jego rękawów zakrywały przeguby dłoni; szczupłe ręce wydawały się jaśniejsze od reszty ciała, dłonie były żółtawe. Te ręce wyglądały zawsze jak pomarszczone i niepokalanie czyste, jakby wyszorowane szczotką i długo moczone w wodzie.

— No proszę! O mało nie zapomniałam, co przyniosłam! — powiedziała nagle Portia. — Jadłeś już kolację?

Doktor wymawiał tak starannie słowa, że każda sylaba wydawała się przefiltrowana przez jego wargi.

— Nie, nie jadłem.

Portia otworzyła papierową torbę, którą położyła przedtem na stole.

— Pomyślałam, że zjemy może razem kolację, i przyniosłam ładną kapustę. I kawałek mięsa. Kapustę trzeba tym mięsem doprawić. Nie przeszkodzi ci, że ugotuję to razem?

— Wszystko mi jedno.

— Ciągłe nie jesz mięsa?

— Nie. Z powodów czysto osobistych jestem wegetarianinem ale nie mam nic przeciwko temu, jeśli chcesz ugotować kapustę razem z mięsem.

Nie wkładając pantofli, Portia stanęła przy stole i zaczęła płukać liście kapusty.

— Ta podłoga dobrze zrobi moim nogom. Nie pogniewasz się, jak pochodzę bez butów? Są ciasne i okropnie pieką.

— Nie — odrzekł doktor. — Nic mi to nie przeszkadza.

— No więc, zjemy kapustkę i parę kukurydzianych placków i napijemy się kawy. A ja ukroję sobie jeszcze i usmażę parę kawałków tego wieprzowego mięsa.

Doktor śledził wzrokiem Portię. Poruszała się wolno po kuchni w samych tylko pończochach, zdejmując ze ścian wyszorowane patelnie, rozniecając ogień, płucząc kapustę. Otworzył raz usta, by coś powiedzieć, i znów je zamknął.

— A więc ty z twoim mężem i bratem macie swój własny, wspólny plan? — zapytał w końcu.

— Tak.

Doktor Copeland pociągnął palce, aż znów zatrzeszczały stawy.

— Czy w tym planie są także dzieci?

Portia nie patrzyła na ojca. Wylała z gniewem wodę z garnka.

— Są takie rzeczy — rzekła — co zależą chyba wyłącznie od Pana Boga.

Nie rozmawiali więcej. Portia postawiła garnki na kuchennej płycie i usiadła w milczeniu, opuściwszy bezwładnie długie ręce pomiędzy kolana. Głowa doktora spoczęła na piersi, jakby spał. Ale nie spał; od czasu do czasu nerwowo skurcz

przebiegał mu po twarzy Oddychał wtedy głębiej i mięśnie znów się wygładzały. Duszną kuchnię wypełniła woń gotującej się kolacji. Wśród ciszy zegar stojący na kredensie tykał głośno, a po tym, o czym przed chwilą rozmawiali, jego monotonne tykanie brzmiało jak słowo: dzie—ci, dzie—ci, powtarzane bez końca.

Zawsze spotykał jakieś dzieci na swojej drodze — czołgającego się po podłodze naguska, dzieciaka zajętego grą w kulki albo chłopca obejmującego dziewczynę w ciemnej ulicy. Wszyscy chłopcy nazywali się tak samo: Benedict Copeland. Dziewczynki miały na imię Benny, Mae albo Madyben lub Benedine Madine. Naliczył pewnego dnia przeszło tuzin takich, które nazwano na jego cześć.

Ale przez całe życie tłumaczył, wyjaśniał, upominał.

— Nie możecie tak robić — mówił. — Jest bardzo wiele powodów, żeby nie mieć piątego, szóstego czy dziesiątego dziecka — tłumaczył. — Nie potrzebujemy więcej dzieci, lecz większych możliwości dla tych, co już są na świecie. — Namawiał czarną rasę do stosowania zasad eugeniki. Mówił do nich zawsze tak samo, w prostych słowach; z upływem lat stały się one jakąś gniewną recytacją od dawna znaną na pamięć.

Studiował każdą nową teorię i jej rozwój. Rozdawał środki antykoncepcyjne swoim pacjentom. Był pierwszym lekarzem w mieście, który w ogóle o tym pomyślał. Rozdawał i tłumaczył, rozdawał i wyjaśniał. A potem przyjmował na świat po dwadzieścioro dzieci na tydzień. Madyben i Benny Mae.

To była jedyna ważna rzecz. Jedyna.

Przez całe życie wiedział, jaki jest cel jego pracy. Zawsze wiedział, że jego przeznaczeniem jest uczyć swoich braci. Jak dzień długi chodził z torbą od domu do domu i rozmawiał z ludźmi na różne tematy.

Po długim, męczącym dniu ogarniało go wielkie znużenie. Ale mijało, kiedy wieczorem otwierał furtkę swego domu. Byli tam przecież Hamilton i Karol Marks, i Portia, i mały William. I Daisy.

Portia zdjęła pokrywkę z garnka i zamieszała widelcem kapustę.

— Ojciec... — zaczęła po chwili.

Doktor Copeland odchrząknął i splunął w chusteczkę. Głos miał szorstki i ochrypły.

— Co?

— Przestańmy się kłócić.

— Wcaleśmy się nie kłócili — odrzekł doktor.

— Nie trzeba słów, żeby się kłócić — powiedziała Portia. — Mnie się zdaje, że my się zawsze spieramy, nawet jeżeli siedzimy zupełnie cicho jak w tej chwili. Tak mi się zdaje. Powiem ci prawdę: ile razy przyjdę do ciebie, bardzo mnie to męczy. Więc spróbujmy już się więcej nie kłócić.

— Ja na pewno nie chcę się kłócić. Przykro mi, jeśli tak uważasz, córko.

Nalała kawę do filiżanek i podała niesłodzoną ojcu. Do swojej wsypała kilka łyżeczek cukru.

— Zaczynam być głodna, kolacja będzie nam smakować. Wypij tę kawę, a ja przez ten czas opowiem ci, co nam się niedawno przytrafiło. Teraz, jak już po wszystkim, wydaje się to zabawne, ale nie mieliśmy naprawdę powodów do śmiechu.

— No mów — zachęcił ją doktor.

— A więc niedawno przyjechał do naszego miasta przystojny, wystrojony elegancko Murzyn. Mówił, że nazywa się B.F. Mason i pochodzi z samej stolicy, z Waszyngtonu. Spacerował co dzień po ulicy z laską w ładnej kolorowej koszuli. Wieczorem szedł do „Society Cafe”. Nikt tak nie jadł w mieście jak on. Co wieczór zamawiał na kolację butelkę dżinu i dwa wieprzowe kotlety. Nic, tylko się uśmiechał i kłaniał się na prawo i lewo dziewczętom, i przytrzymywał drzwi, gdy wchodziło się lub wychodziło z pokoju. Przez blisko tydzień starał się być strasznie miły, gdzie tylko się znalazł. Ludzie zaczęli się zastanawiać nad tym bogatym panem B.F. Masonem. Prędko się zadomowił i zabrał się spokojnie do interesów.

Portia ściągnęła wargi i podmuchała na spodeczek z kawą.

— Myślę, że czytałeś w gazecie o tych rządowych zasiłkach dla starców?

Doktor Copeland skinął głową.

— O tych rentach?

— Tak... on był z tym związany. To rząd go wysłał. Przyjechał wprost od prezydenta, z samego Waszyngtonu, zachęcać wszystkich do zapisania się do związku rencistów. Chodził od domu do domu i wyjaśniał, że wpłaca się dolara jako wpisowe, a potem dwadzieścia pięć centów co tydzień — a gdy skończy się czterdzieści pięć lat, rząd będzie płacił po pięćdziesiąt dolarów co miesiąc do końca życia. Wszystkim moim znajomym bardzo się to podobało. On każdemu, kto się zapisał, dawał za darmo fotografię prezydenta z jego podpisem. Opowiadał, że za pół roku wszyscy członkowie dostaną bezpłatne mundury. Związek otrzymał nazwę Liga Kolorowych

Rencistów, a po dwóch miesiącach każdy dostał pomarańczową odznakę z literami LKR zamiast pełnej nazwy. Wiesz, jak te wszystkie rządowe odznaki. Chodził po domach z notesem i wszyscy zaczęli się zapisywać. Notował nazwiska i brał pieniądze. Zbierał je w każdą sobotę. Musiał opłacać pomocników, którzy zbierali składki, każdy na kilku ulicach. Ja zbierałam w sobotę wczesnym rankiem w mojej dzielnicy. Oczywiście od początku Willie zapisał nas na członków tej ligi: siebie, Highboya i mnie.

— Widziałem wiele fotografii prezydenta w różnych domach w twoim sąsiedztwie i przypominam sobie nazwisko Masona — powiedział doktor. — Więc to był oszust?

— Tak — odrzekła Portia. — Ktoś go wykrył i aresztowano B.F. Masona. Okazało się, że pochodził z Atlanty i nigdy nie był nawet w pobliżu Waszyngtonu ani żadnego prezydenta. Wszystkie pieniądze schował lub przepuścił. Willie stracił siedem dolarów i pięćdziesiąt centów.

Doktor Copeland wyglądał na podnieconego.

— To właśnie rozumiem przez...

— Kiedyś — mówiła Portia — ten człowiek na pewno ocknie się z gorącymi widłami w brzuchu. Teraz, gdy to się skończyło, wydaje się zabawne, choć wtedy wcale nam nie było do śmiechu.

— Rasa murzyńska z własnej woli wspina się co piątek na krzyż — powiedział doktor.

Ręka Portii zadrżała i trochę kawy wylało się ze spodeczka. Zlizła ją z ręki.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że stale szukam. Chcę powiedzieć, że gdybym mógł znaleźć dziesięciu Murzynów — dziesięciu ludzi mojej rasy — z kręgosłupem, rozumem, odwagą, którzy gotowi byliby oddać wszystko, co mają...

Portia odstawiła swoją kawę.

— Nie mówiliśmy przecież o niczym takim.

— Tylko czterech Murzynów — mówił doktor — Tylko sumę tego, czym jest Hamilton, Karol Marks, William i ty. Tylko czterech Murzynów naprawdę coś wartych, z kośćcem moralnym...

— Willie, Highboy i ja mamy kościec moralny — odrzekła z gniewem Portia. Na świecie jest ciężko, a my radzimy sobie chyba dzielnie.

Na chwilę zaległo milczenie. Doktor położył okulary na stole i przycisnął do oczu pomarszczone palce.

— Używasz cały czas słowa „Murzyn” — powiedziała Portia. — A to ciągle powtarzanie obraża ludzi. To prawie tak, jakbyś po dawnemu mówił „czarnuch”.

Doktor Copeland nie odpowiedział.

— Weź Williego i mnie. My nie jesteśmy całkiem czarni. Nasza mama była zupełnie jasna i oboje mamy w sobie sporo białej krwi. A Highboy to Indianin. W każdym razie ma dużo z Indianina. W żadnym z nas nie ma tylko jednego koloru, a słowo, którego cały czas używasz, rani ludzkie uczucia.

— Nie interesują mnie te rozróżnienia. Interesuje mnie prawda.

— No więc prawda jest taka: każdy się ciebie boi. Hamilton, Buddy, Willie czy mój Highboy musieliby wypić dużo dżinu, żeby przyjść tu i siedzieć z tobą jak ja. Willie mówi, że pamięta, jak bał się ciebie, własnego ojca, kiedy był mały.

Doktor odkaslnął mocno, by przeczyszczyć gardło.

— Każdy coś czuje — obojętne, kim jest — i nikt nie pójdzie do domu, gdzie ranią jego uczucia. Ty też. Widziałam tyle razy, jak ranili cię biali, że wiem to dobrze.

— Nie, nie widziałaś, by mnie raniono — powiedział doktor.

— Ja sama dobrze wiem, że Willie, Highboy i ja nie jesteśmy uczonymi ludźmi. Ale Highboy i Willie to szczerze jak złoto chłopaki. To cała różnica między nimi a tobą.

— No tak — powiedział doktor.

— Hamilton, Buddy, Willie czy ja, nikt z nas nie stara się mówić w ten sposób, jak ty mówisz. My mówimy tak, jak mówiła nasza mama i jej rodzina, i ich przodkowie. Ty nad wszystkim za dużo medytujesz. My mówimy to, co leży nam na sercu. To jedyna różnica.

— No tak — powtórzył doktor.

— Nie można wziąć swoich dzieci i zrobić ich takimi, jakimi chciałoby się je mieć. Nie zważając wcale, czy to boli, czy nie. Czy to dobrze, czy źle. Ty próbowałeś to robić, i do tego tak ostro jak nikt. A teraz ja jedna z nas wszystkich przychodzę tutaj, by posiedzieć z tobą, jak w tej chwili.

Oczy doktora Copelanda błyszczały. Portia mówiła głośno i twardo. Odkaslnął, twarz mu drgnęła. Spróbował podnieść filiżankę z zimną kawą, ale nie mógł utrzymać jej w ręku. Łzy napłynęły mu do oczu, więc sięgnął po okulary, aby je ukryć.

Portia dostrzegła to i szybko podeszła do ojca. Objęła jego głowę rękami i przycisnęła policzek do jego czoła.

— Zraniłam mojego ojca — powiedziała miękko.

— Nie — odrzekł. Głos jego brzmiał twardo. — To głupie i naiwne mówić ciągle o tym ranieniu uczuć.

Łzy spłynęły wolno po jego policzku, w blasku ognia niebieskie, zielone, czerwone.

— Naprawdę szczerze żałuję — powiedziała Portia.

Doktor Copeland otarł twarz bawełnianą chustką.

— No, już dobrze.

— Nie spierajmy się nigdy więcej. Nie mogę znieść tych kłótni. Wydaje mi się, że ile razy się zejdziemy, wstępuje w nas oś złego. Nie kłóćmy się już.

— Tak — powiedział doktor. — Nie kłóćmy się.

Portia pociągnęła nosem i otarła go wierzchem dłoni. Przez chwilę stała, obejmując głowę ojca. Potem raz jeszcze otarła twarz i podeszła do garnka z kapustą stojącego na kuchni.

— Już niedługo powinna być miękka — powiedziała wesoło. — Chyba wezmę się już do tych kukurydzianych placków.

Poruszała się wolno po kuchni w samych tylko pończochach, a ojciec śledził ją wzrokiem. I znów milczeli.

Poprzez łyzy zacierające kontury przedmiotów patrzył na Portię, która wydawała mu się zupełnie podobna do swojej matki. Przed laty Daisy chodziła tak samo po kuchni, zajęta i milcząca. Daisy była mniej czarna od niego — skóra jej miała piękną barwę ciemnego miodu. Była zawsze łagodna i bardzo spokojna. Lecz pod tą łagodnością krył się upór, którego nie mógł zrozumieć u swojej żony, choć starał się go zgłębić.

Upominał ją i mówił wszystko, co miał na sercu, a ona, nadal łagodna, nie słuchała go wcale i postępowała, jak sama chciała.

A potem przyszli na świat: Hamilton, Karol Marks, William i Portia. Był tak przeświadczony o konieczności znalezienia dla nich konkretnego prawdziwego celu, że wiedział dokładnie, jak ułożą się ich losy. Hamilton miał być wielkim uczonym, Karol Marks nauczycielem swojej rasy, William prawnikiem walczącym z niesprawiedliwością, a Portia lekarzem kobiet i dzieci.

Kiedy byli jeszcze mali, mówił im o jarzmie, które muszą zrzucić — o jarzmie uległości i lenistwa. A gdy trochę podrośli, wpał w nich przekonanie, że nie ma Boga, ale ich życie to rzecz święta, i że każdy ma przed sobą istotny prawdziwy cel. Powtarzał im to stale, oni zaś, zbici w gromadkę, siedzieli z dala od niego i dużymi oczami murzyńskich dzieci wpatrywali się w matkę. A Daisy siedziała nie słuchając, łagodna i stanowcza.

Ponieważ określił sobie dokładnie losy Hamiltona, Karola Marksa, Williama i Portii, wiedział też, jak w każdym szczególe powinno wyglądać ich życie. Co roku na jesieni zabierał ich do miasta i kupował im czarne solidne buciki i czarne pończochy. Portia dostawała czarną wełnę na sukienki i białe płótno na kołnierzyki i mankiety. Chłopcy czarny wełniany materiał na spodnie i cienkie białe płótno na koszule. Nie chciał, by nosili kolorowe ubrania. Ale kiedy poszli do szkoły, chcieli nosić właśnie tylko kolorowe i Daisy mówiła, że czują się skrepowani i że on jest surowym ojcem. Miał też swoje własne pojęcie o tym, jak powinien wyglądać dom. Żadnych ozdób, kolorowych kalendarzy, koronkowych poduszek, fatałaszków — wszystko w domu powinno być ciemne, skromne i służyć pracy i konkretnym celom.

Pewnego wieczora odkrył, że Daisy przekłula uszka Portii, by mogła nosić kolczyki. A innym razem, gdy przyszedł do domu, na kominku stała lalka w spódniczce z piór, a Daisy łagodnie, lecz stanowczo odmówiła usunięcia jej stamtąd. Wiedział też, że Daisy wpała w dzieci kult uległości. Mówiła im o niebie i o piekle, wmówiła w nich, że istnieją duchy i miejsca przez nie nawiedzane. Chodziła co niedziela do kościoła i ze smutkiem rozmawiała z kaznodzieją o swoim mężu. Z właściwym też sobie uporem prowadziła dzieci do kościoła, a one jej słuchały.

Wszyscy Murzyni chorowali, zajęty był wciąż przez cały dzień, a niekiedy i pół nocy. Po długim dniu pracy czuł się bardzo znużony, lecz gdy otwierał swoją furtkę, znużenie mijało. Kiedy wchodził do domu, William wygrywał na grzebieniu owiniętym w papier toaletowy, Hamilton i Karol grali w kości o pieniądze, które dostali na lunch w szkole, Portia śmiała się i żartowała z matką.

Zajmował się nimi, lecz w zupełnie inny sposób. Pomagał im w odrabianiu lekcji i przemawiał do nich. Siedzieli wszyscy razem blisko siebie i wpatrywali się w matkę. On mówił i mówił, ale żadne z nich nie chciało zrozumieć.

Ogarniało go straszliwe, ponure przygnębienie. Szedł wtedy do swego gabinetu, czytał i rozmyślał, aż uspokajał się i mógł wu zacząć pracować. Zaciągał zasłony w pokoju, by pozostać tylko w sztucznym świetle ze swoimi książkami w nastroju do

rozmyślał. Lecz spokój nie zawsze wracał. Był młody i ten okropny nastrój nie chciał zniknąć mimo wszystkich jego usiłowań.

Hamilton, Karol Marks, William i Portia bali się ojca i wpatrywali się w matkę — a gdy nieraz to sobie uświadamiał, ponury nastrój znów go ogarniał i potem już nie wiedział, co robi.

Nie umiał tych okropnych napadów opanować, a gdy mijały, sam siebie nie pojmował.

— Pysznie pachnie ta nasza kolacja — odezwała się Portia. — Bierzmy się do jedzenia, bo Highboy i Willie mogą przyjść tu lada chwila.

Doktor poprawił okulary na nosie i przysunął krzesło do stołu.

— Gdzie twój mąż i William spędzają wieczór?

— Rzucają podkowami na podwórzu za domem Raymonda Jonesa. Ten Raymond i jego siostra Love zabawiają się tak co wieczór. Love to taka brzydka dziewczyna, że pozwalam Highboyowi i Williemu chodzić tam, ile razy zechcą. Ale powiedzieli, że przyjdą po mnie za kwadrans dziesiąta, więc lada chwila tu będą.

— Aha, póki pamiętam — wtrącił doktor — masz chyba często wiadomości od Hamiltona i Karola Marksa?

— Od Hamiltona tak. On właściwie przejął całą robotę u dziadunia. A Buddy jest w Mobile i, jak wiesz, nigdy nie lubił pisać listów. Ale on potrafi być taki miły z ludźmi, że się o niego nie martwię. On sobie zawsze poradzi.

Siedzieli w milczeniu przy stole, na którym stała kolacja. Portia spoglądała ciągle na zegar na kredensie, bo była to już pora, kiedy Highboy i Willie mieli się zjawić. Doktor zwiesił głowę nad talerzem. Trzymał widelec w ręku tak, jakby mu ciążył, palce mu drżały. Jadł jednym zębem, każdy kęs przełykał z trudem. Panowało między nimi jakieś napięcie, zdawało się, że obydwójce chcą coś powiedzieć.

Doktor nie wiedział, jak zacząć. Czasem myślał sobie, że tak dużo mówił w dawnych latach do swoich dzieci, a one tak mało rozumiały, że teraz nie ma im już nic do powiedzenia. Po chwili otarł chustką usta i odezwał się niepewnie:

— Nic prawie nie powiedziałaś mi o sobie. Opowiedz coś o swojej pracy, o tym, co ostatnio robisz.

— Jestem jeszcze ciągle u Kellych — odrzekła Portia. — Ale mówię ci, ojczu, sama nie wiem, jak długo potrafię jeszcze u nich wytrzymać. Praca ciężka i zajmuje dużo czasu. Ale to nic. Martwię się tylko zapłatą. Powinnam dostawać trzy dolary

tygodniowo, ale nieraz pani Kelly urywa mi dolara albo pięćdziesiąt centów. Naturalnie jak tylko może, stara się to wyrównać. Ale przez to jestem w biedzie.

— To nie jest w porządku — powiedział doktor. — Dlaczego się na to zgadzasz?

— Ona nic na to nie może poradzić — tłumaczyła Portia. — Połowa ludzi w tym domu nie płaci komornego, a utrzymać wszystko w porządku to dużo kosztuje. Powiem ci prawdę: Kelly są o krok od tego, żeby wtrącił się do nich szeryf. Bardzo im ciężko.

— Mogłabyś dostać inną pracę.

— Wiem, ale Kelly to tacy porządni biali i warto dla nich pracować. Naprawdę ich lubię. A tych troje malców to jak dzieci z mojej rodziny. Wydaje mi się, jakbym naprawdę wychowywała Bubbera i tego malutkiego. A choć z Mick często się spieramy, i ją naprawdę szczerze lubię.

— Ale powinnaś myśleć o sobie — wtrącił doktor.

— Z Mick — mówiła Portia — to ciężka sprawa. Nikt nie wie jak postępować z tym dzieckiem. Jest zarozumiała i niemożliwie uparta. Coś się w niej ciągle burzy. Tak mi się widzi, że ta mała któregoś dnia zrobi jakąś niespodziankę. Nie wiem, czy to będzie dobra, czy zła niespodzianka. A mimo wszystko bardzo ją lubię.

— Powinnaś dbać przede wszystkim o siebie.

— Jak powiedziałam, to nie jest wina pani Kelly. Zarządzać takim starym dużym domem to wielki koszt, a komorne nie sływa. Tylko jeden lokator płaci przyzwoitą sumę za swój pokój i to punktualnie, bez zawodu. A mieszka tam od niedawna. To głuchoniemy. Pierwszego takiego białego zobaczyłam z bliska. Bardzo przyzwoity biały.

— Wysoki, szczupły, z szarozielonymi oczami? — spytał nagle doktor. — Zawsze dla wszystkich uprzejmy i starannie ubrany? Jakby nie z tego miasta, lecz raczej z północy albo Żyd?

— To on — odrzekła Portia.

Twarz doktora Copelanda ożywiła się. Rozkruszył na talerzu placek kukurydziany polany sosem z kapusty i zaczął go jeść ze świeżym apetytem.

— Mam głuchoniemego pacjenta — powiedział.

— W jaki sposób poznałeś pana Singera?

Doktor zakaszłał i zakrył twarz chusteczką.

— Widziałem go po prostu parę razy.

— Pozmywam może teraz — powiedziała Portia. — Jeszcze na pewno zdążę, zanim przyjdą Willie i Highboy, a w tym porządnym zlewie ze wspaniałą bieżącą wodą te parę talerzy zmyje się raz-dwa.

Cicha bezczelność białych była jedną z tych rzeczy, które latami próbował usunąć z myśli. Kiedy wzbierała w nim uraza, rozmyślał nad tym zagadnieniem i roztrząsał je. Na ulicy i pośród białych zachowywał godną minę i milczał. Gdy był młodszy, mówiono do niego: „Chłopcze”, teraz: „Wuju”. „Wuju, pobiegnij na róg do stacji benzynowej i sprowadź mi mechanika”. Jakiś biały zawołał tak niedawno do niego z samochodu. „Chłopcze, pomóż mi”, „Wuju, zrób to”. A on nie słuchał, lecz szedł dalej, godny i milczący.

Niedawno któregoś wieczoru podszedł do niego pijany biały i zaczął ciągnąć za sobą po ulicy. Doktor miał przy sobie swoją torbę; był pewny, że ktoś się skaleczył i dlatego go wzywają. Ale pijak wepchnął go do restauracji, której właścicielem był biały, a zgromadzeni przy bufecie inni biali zaczęli coś bezczelnie wykrzykiwać. Zorientował się, że pijak zakpił sobie z niego, ale nawet wtedy zachował się godnie.

Jeśli chodzi o tego wysokiego, szczupłego mężczyznę o szaro, zielonych oczach, to wydarzyło mu się coś, co nie spotkało go nigdy przedtem z żadnym białym.

Parę tygodni temu w ciemny deszczowy wieczór wracał od porodu i przystanął na rogu ulicy, próbując zapalić papierosa ale zapalki gasły mu jedna po drugiej. Stał z niezapalonym papierosem w ustach, kiedy podszedł jakiś biały i podał mu zapalkę. W blasku ognia dojrzał w ciemności jego twarz. Biały uśmiechnął się i zapalił mu papierosa. Doktor nie wiedział, jak zareagować, nic podobnego nigdy mu się dotąd nie przytrafiło.

Stali chwilę razem na rogu ulicy, potem biały podał mu swój bilet. Doktor chciał z nim porozmawiać, zadać mu parę pytań, ale nie był całkiem pewny, czy tamten go zrozumie. Z powodu tej wiecznej arogancji białych bał się, że mógłby utracić własną godność okazując im życzliwość i uprzejmość.

Ale ten biały zapalił mu papierosa, uśmiechnął się i zdawał się mieć ochotę na jego towarzystwo. Odtąd rozmyślał często o tym wydarzeniu.

— Mam głuchoniemego pacjenta — powiedział do Portii. — Pięcioletni chłopiec. Jakoś nie mogę pozbyć się uczucia, że to ja jestem winien jego upośledzenia. Przyjmowałem go na świat i po dwóch jeszcze wizytach zapomniałem o nim. Rozwinęły się u niego dolegliwości uszne, ale matka nie zwracała uwagi na wydzieliny

z ucha i nie przyniosła go do mnie. Kiedy w końcu mi o tym powiedziano, było już za późno. Nic nie słyszy i dlatego też nie umie mówić. Ale obserwowałem go uważnie i wydaje mi się, że gdyby słyszał, byłby wyjątkowo inteligentnym dzieckiem.

— Zawsze bardzo interesują cię małe dzieci — powiedziała Portia. — Czasami myślę, że więcej zależy ci na nich niż ni dorosłych, co?

— W małym dziecku można pokładać większą nadzieję — odrzekł doktor Copeland. — Ale ten głuchy chłopczyk... zamierzałem popytać się i znaleźć jakiś zakład, gdzie można by go umieścić.

— Pan Singer ci poradzi. To naprawdę miły biały i wcale nie udaje ważnego.

— Sam nie wiem... — mówił doktor. — Myślałem parę razy, aby do niego napisać. Może mógłby udzielić mi informacji.

— Zrobiłabym tak na twoim miejscu. Wspaniale piszesz listy, a ja doręczę twój panu Singerowi — powiedziała Portia. — Przyszedł do kuchni dwa czy trzy tygodnie temu, bo chciał, żebym mu uprała kilka koszul. Te koszule nie były brudniejsze, niż gdyby je nosił święty Jan Chrzciciel. Trzeba było tylko zamoczyć je w gorącej wodzie, zaprać kołnierzyki i uprasować. A jakem mu odniosła pięć czystych koszul do pokoju, wiesz, ile mi dał?

— Nie.

— Uśmiechnął się jak zawsze i podał mi dolara. Całego dolara za te parę koszul. To naprawdę miły i dobry biały i nie bałabym się zapytać go o coś. Napisałabym bez wahania do tego sympatycznego człowieka. Zrób to, ojczu, nie namyślaj się.

— Może i tak zrobię — odparł doktor.

Portia usiadła nagle i zaczęła czesać swoje gęste, natarte oliwą włosy. Rozległ się cichy dźwięk harmonijki i stopniowo stawał się coraz głośniejszy.

— Idą już Willie i Highboy — powiedziała Portia. — Muszę wyjść im na spotkanie. Uważaj na siebie i przyślij wiadomość, jakbyś czegoś potrzebował. Miło mi było zjeść kolację z tobą i porozmawiać.

Melodię graną na harmonijce słyszeć było już teraz wyraźnie, wiedzieli, że to gra Willie, stojąc przed frontową furtką.

— Zaczekaj — powiedział doktor. — Widziałem twego męża zaledwie parę razy z tobą, ale wydaje mi się, żeśmy się chyba nigdy nie poznali. A William od trzech lat nie odwiedził ojca. Zapytaj ich, może by tu weszli na chwilę?

Portia stała na progu, dotykając palcami koleczyków i włosów.

— Kiedy Willie przyszedł tu ostatnim razem, zraniłeś jego uczucia. Nie rozumiesz, że...

— Dobrze już. Wysunąłem tylko propozycję.

— Czekaj — powiedziała Portia. — Zawołam ich i zaproszę,

Doktor zapalił papierosa i przeszedł się po kuchni. Palce mu ciągle drżały, nie mógł nasadzić równo na nos okularów. Przed domem słychać było stłumione głosy. W holu rozległy się ciężkie kroki i do kuchni weszli Portia, William i Highboy.

— Jesteśmy — oznajmiła Portia. — Highboy, zdaję mi się że wy się z ojcem właściwie nie znacie. Ale wiecie o sobie, co trzeba.

Doktor Copeland uścisnął ręce obu mężczyznom. Willie oparł się nieśmiało o ścianę, ale Highboy wystąpił naprzód i ukłonił się oficjalnie.

— Bardzo dużo o panu słyszałem — powiedział. — Miło mi pana poznać.

Portia i doktor przynieśli krzesła z holu i usiedli we czworo koło pieca. Milczeli skępowani. Willie rozglądał się nerwowo po kuchni; patrzył na książki na stole, na zlew, na tapczan pod ścianą, na ojca. Highboy uśmiechał się i skubał krawat. Zdawało się, że doktor chce coś powiedzieć, ale zwilżył tylko językiem wargi i milczał.

— Willie, tak dobrze grałeś na swoim instrumencie — odezwała się w końcu Portia — że chyba musieliście zajrzeć z Highboyem do butelki z dżinem.

— Nie, proszę pani — odrzekł uprzejmie Highboy. — Nie piliśmy nic od ostatniej soboty. Zabawialiśmy się tylko rzucaniem podków.

Doktor dalej się nie odzywał, a oni wpatrywali się w niego i czekali. W zamkniętej kuchni ta cisza działała wszystkim na nerwy.

— Mam ciężką robotę z ubraniami tych chłopców — odezwała się Portia. — Piorę te białe garnitury co sobotę i prasuję je dwa razy w tygodniu. I spójrz na nie teraz. Naturalnie wkładają je tylko, jak wrócą z pracy. Ale po dwóch dniach są prawie czarne. Prasowałam im spodnie nie dalej jak wczoraj wieczorem i już nie widać ani śladu kantu.

Doktor Copeland ciągle milczał. Oczy miał utkwione w twarzy syna, lecz gdy Willie to spostrzegł, zaczął gryźć grube, szorstkie palce i wbił wzrok w swoje stopy. Doktor czuł, jak puls bije mu w skroniach i przegubach dłoni. Zakaszłał i podniósł rękę do piersi. Chciał przemówić do syna, ale nie wiedział, co powiedzieć. Wezbrała w nim dawna gorycz, ale nie miał czasu zastanowić się i stłumić jej w sobie. Puls walił

mu mocno, czuł się zakłopotany. Ale oni wpatrywali się w niego i milczenie panowało tak głębokie, że musiał się w końcu odezwać.

Przemówił cienkim, jakby nie swoim głosem.

— William, ciekaw jestem, ile z tego wszystkiego, co mówiłem wam w dzieciństwie, zostało ci w głowie.

— Nie wiem, co chcesz po... powiedzieć... — wyjąkał William.

Słowa popłynęły z ust doktora, zanim zdał sobie sprawę, co powie.

— Chcę powiedzieć, że przekazałem tobie, Hamiltonowi i Karolowi Marksowi wszystko, co sam wiedziałem, że pokładałem w was moje zaufanie i nadzieję. A otrzymałem za to jedynie obojętność, tępe niezrozumienie i lenistwo. Nie pozostało nic z tego, co w was zaszczepiłem. Wszystko, co starałem się...

— Cicho! — rzekła Portia. — Ojczy, obiecałeś, że nie będziemy się spierali. To szaleństwo. Nie możemy pozwolić sobie na kłótnie.

Portia wstała i ruszyła ku drzwiom. Willie i Highboy podążyli spieszenie za nią. Doktor Copeland szedł na końcu.

Stali w ciemności przed drzwiami. Doktor chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu głęboko w gardle. Willie, Portia i Highboy zbili się w gromadkę. Portia wyciągnęła jedną rękę do męża i brata, a drugą do ojca.

— Pogódźmy się, zanim odejdziemy. Nie mogę znieść tej niezgody między nami. Nie kłóćmy się już nigdy więcej.

Doktor uściśnął im wszystkim ręce w milczeniu.

— Przepraszam — powiedział.

— Ja nie mam żalu — odrzekł grzecznie Highboy.

— Ja też nie — bąknął Willie.

Portia trzymała ich wszystkich za ręce.

— Nie wolno nam się kłócić.

Pożegnali się. Doktor patrzył z ciemnego ganku, jak szli razem ulicą. Ich kroki, gdy się oddalały, brzmiały jakoś samotnie. Poczul się słaby i zmęczony. Kiedy minęli pierwszą przecznice, William zaczął znów grać na harmonijce. Muzyka ta była smutna i bez treści. Doktor stał na ganku tak długo, aż nie mógł ich już ani dojrzeć, ani słyszeć.

Zgasił światła w domu i usiadł przed piecem w ciemności. Ale spokój odbiegł od niego. Chciał usunąć z myśli Hamiltona, Karola Marksa i Williama. Każde wypowiedziane przez Portię słowo wracało w pamięci głośno, nieustępliwie. Wstał nagle i zapalił światło. Zasiadł przy stole pośród książek Spinozy, Williama Szekspira i Karola Marksa. Kiedy czytał sobie głośno Spinozę, jego słowa brzmiały głęboko i tajemniczo.

Pomyślał o białym, o którym rozmawiali. Byłoby dobrze, gdyby mógł on pomóc w sprawie głuchoniemego pacjenta Augustusa Benedicta Mady Lewisa. Byłoby dobrze napisać do tego białego, gdyby nawet nie miał pretekstu i pytań, które chciał mu zadać. Doktor ujął głowę w dłonie, a z gardła wydobył mu się jakiś dziwny odgłos, niby śpiewna skarga. Przypomniawszy sobie twarz białego, który uśmiechał się do niego w deszczowy wieczór zza żółtego płomyka zapalniczki — i ogarnął go spokój.

6 .

W lecie Singer miewał gości częściej niż inni mieszkańcy domu. Wieczorem z jego pokoju prawie zawsze rozbrzmiewały głosy. Po obiedzie, który zjadał w „New York Cafe”, kąpał się i przebierał w jedno ze swoich przewiewnych płóciennych ubrań i zasadniczo nie wychodził. W pokoju było chłodno i przyjemnie. Miał w schowku lodówkę, gdzie trzymał butelki z zimnym piwem i napoje owocowe. Nigdy się nie spieszył i nie był zajęty. Zawsze z uśmiechem witał gości.

Mick lubiła chodzić do pokoju pana Singera. Choć był głuchoniemy, rozumiał każde jej słowo. Rozmowa z nim była grą. A czasem nawet czymś więcej niż grą. To było coś podobnego do odkrywania nowych rzeczy w muzyce. Zawierzała mu swoje plany, których nie zdradziłaby nikomu innemu. Pozwalał jej przestawiać małe zgrabne pionki na szachownicy. Kiedy pewnego razu wkręciła bluzkę w wentylator, zachował się tak taktownie, że wcale nie była speszona. Z wyjątkiem taty pan Singer był najmiłszym mężczyzną, jakiego znała.

Kiedy doktor Copeland napisał kartkę do Johna Singera w sprawie Augustusa Benedicta Mady Lewisa, odpowiedział on uprzejmie, zapraszając doktora, by przyszedł do niego, kiedy będzie miał ochotę. Doktor wszedł do domu od tyłu i posiedział chwilę w kuchni z Portią. Potem wdrapał się po schodach do pokoju

białego. Naprawdę nie było w tym człowieku śladu bezczelności. Wypili razem lemoniadę, a potem głuchoniemy odpowiedział mu pisemnie na pytania. Ten człowiek był inny od wszystkich przedstawicieli białej rasy, jakich w życiu spotkał doktor. Potem długo myślał o nim. A jeszcze później, zaproszony serdecznie, odwiedził go po raz drugi.

Jake Blount przychodził co tydzień. Kiedy szedł do pokoju Singera, cała klatka schodowa drżała. Niósł zwykle w papierowej torbie butelki z piwem. Często z pokoju dobiegał jego głośny, gniewny głos. Lecz potem stopniowo cichnął. Schodząc po schodach nie niósł już torby z piwem, szedł zamyślony, jakby nie wiedział, gdzie idzie.

Nawet Biff Brannon zjawił się któregoś wieczoru w pokoju głuchoniemego. Ale wyszedł po półgodzinie, bo nie mógł na długo zostawić swojej restauracji.

Singer był zawsze dla wszystkich jednakowy. Siedział na prostym krześle przy oknie, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie, i kiwał głową lub uśmiechał się, by dać do zrozumienia gościom, że rozumie, co się do niego mówi.

Jeśli wieczorem nikt go nie odwiedził, szedł na późny seans do kina. Lubił siedzieć w głębi i patrzeć na poruszających się i mówiących na ekranie aktorów. Nigdy nie interesował się tytułem filmu przed wejściem do kina i z równym zajęciem przyglądał się każdej scenie.

Pewnego lipcowego dnia Singer wyszedł nagle bez uprzedzenia. Zostawił drzwi pokoju otwarte, a na stole kopertę zaadresowaną do pani Kelly, w niej zaś cztery dolary, jako czynsz za ubiegły tydzień. Parę należących do niego przedmiotów zniknęło, pokój był wysprzątnany i pusty. Kiedy zobaczyli to jego goście, nie posiadali się ze zdumienia. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego Singer wyprowadził się w ten sposób.

A on spędził swój cały letni urlop w mieście, gdzie Antonapoulos siedział zamknięty w zakładzie. Planował to od kilku miesięcy i wyobrażał sobie każdą chwilę, którą spędzą razem. Zamówił hotel dwa tygodnie naprzód i od dawna już nosił w koperce w kieszeni bilet kolejowy.

Antonapoulos wcale się nie zmienił. Kiedy Singer wszedł do pokoju, przywitał spokojnie przyjaciela. Był jeszcze grubszy niż przedtem, ale senny uśmiech na jego twarzy pozostał niezmienny. Singer przyniósł kilka paczek, Grek na nie przede wszystkim zwrócił uwagę. Był tam czerwony szlafrok, miękkie ranne pantofle i dwie nocne koszule z wyhaftowanymi monogramami. Antonapoulos zaglądał uważnie pod

wszystkie bibułki w pudełkach. Kiedy przekonał się, że nie ma tam nic do jedzenia, rzucił z pogardą podarunki na łóżko i więcej się nimi nie interesował.

Pokój był duży i słoneczny. Kilka łóżek stało w rzędzie. Trzej mężczyźni w starszym wieku grali w kącie w karty. Nie zwracali uwagi na Singera i Antonapoulosa i dwaj przyjaciele zasiedli sami w drugim rogu pokoju.

Singerowi wydawało się, że lata minęły od czasu, gdy mieszkali razem. Tak wiele było do opowiadania, że nie nadążał ruszać rękami. Jego zielone oczy płonęły, a czoło lśniło od potu. Dawne uczucie radości i szczęścia ogarnęło go znowu tak całkowicie, że nie mógł się opanować.

Antonapoulos nie spuszczał z przyjaciela ciemnych oczu o obleśnym spojrzeniu i siedział prawie bez ruchu, gmerając rekami w okolicach rozporka. Singer opowiedział mu między innymi o gościach, którzy go odwiedzają, i o tym, że pomagają mu oderwać się od samotnych rozważań. Mówił, że to dziwni ludzie, którzy nie przestają mówić, ale on lubi, jak przychodzą. Naszkicował szybko postaci Jake'a Blounta, Mick, doktora Copelanda. Gdy spostrzegł, że Antonapoulos nie okazuje zainteresowania, zgniół rysunki i zapomniał o nich. Kiedy wszedł posługacz i oznajmił, że czas się pożegnać, Singer nie opowiedział jeszcze nawet połowy tego, co chciał opowiedzieć. Wyszedł z pokoju bardzo zmęczony i szczęśliwy.

Pacjenci mogli przyjmować gości tylko w czwartki i niedziele. W te dni, kiedy nie mógł być z Antonapoulosem, Singer spacerował po swym pokoju w hotelu.

Druga wizyta u przyjaciela odbyła się tak jak pierwsza, tylko starzy mężczyźni nie grali już w karty, lecz przyglądali im się obojętnie.

Po usilnych staraniach pozwolono Singerowi zabrać ze sobą przyjaciela na parę godzin. Zaplanował z góry każdy szczegół tej małej wycieczki. Pojechali za miasto taksówką, a potem o wpół do piątej udali się do hotelowej jadalni. Antonapoulos bardzo się ucieszył z tego nadprogramowego posiłku. Zamówił połowę dań z karty i jadł łakomie. Ale gdy skończył, nie chciał wyjść. Trzymał się stołu. Singer namawiał go, a taksówkarz chciał nawet użyć siły. Antonapoulos siedział nieporuszony; kiedy się do niego zbliżali, wykonywał sprośne gesty. W końcu Singer kupił od zarządzającego hotelem butelkę whisky i zwabił nią przyjaciela do taksówki. Gdy wyrzucił nieotwartą butelkę za okno, Antonapoulos rozplakał się rozczarowany i obrażony. Takie zakończenie wyprawy bardzo zmartwiło Singera.

Jego następna wizyta była już ostatnią, bo dwutygodniowy urlop dobiegał końca. Antonapoulos zapomniał o wszystkim co się wydarzyło. Siedzieli w tym samym kącie pokoju. Minuty mijały szybko. Ręce Singera poruszały się rozpaczliwie, a jego wąska twarz była bardzo blada. Wreszcie musiał już iść. Trzymał przyjaciela za rękę i patrzył w jego twarz, tak jak zwykł był patrzeć, kiedy rozstawali się codziennie, idąc do pracy. Antonapoulos wpatrywał się w niego sennie, stojąc bez ruchu. Singer wyszedł z pokoju, wepchnąwszy mocno rękę w kieszenie.

Wkrótce wrócił do swego pokoju w pensjonacie, a Mick, Jake Blount i doktor Copeland zaczęli odwiedzać go znowu. Każde z nich chciało wiedzieć, gdzie był i dlaczego nie powiadomił ich o swoich planach. Ale Singer udawał, że nie rozumie tych pytań, a uśmiech jego był nieodgadniony.

I tak kolejno przychodzili do pokoju Singera, by spędzić z nim wieczór. Głuchoniemy był zawsze zamyślony i skupiony. Jego łagodne wielobarwne oczy były poważne jak oczy czarownika. Mick Kelly, Jake Blount i doktor Copeland przychodzili na rozmowę w cichym pokoju, bo czuli, że głuchoniemy zawsze zrozumie, cokolwiek mu powiedzą. A może nawet więcej.

Część druga

1.

To lato było inne od wszystkich pór roku, jakie pamiętała Mick. Nie zdarzyło się nic ważnego, co potrafiłaby opisać w myślach lub słowach, ale doznawała uczucia czegoś niezwykłego. Rano nie mogła doczekać się wyjścia z łóżka i rozpoczęcia nowego dnia, a wieczorem okropnie nie chciało jej się kłaść.

Zaraz po śniadaniu wyprowadzała dzieci na spacer i chodzili przez większą część dnia po mieście, wracając do domu tylko na posiłki. Przeważnie wałęsali się po ulicach — ona pchała wózek Ralpa, a Bubber szedł za nią. Pochłaniały ją bez reszty myśli i plany. Czasami podnosiła nagle wzrok i spostrzegała, że znajdują się daleko, w jakiejś nieznannej zupełnie części miasta. Parę razy natknęli się na Billa, a ona była tak zamyślona, że musiał chwycić ją za rękę, by go zauważyła.

Rankiem bywało trochę chłodno; ich cienie wydłużały się przed nimi na chodniku. Ale koło południa niebo było zawsze rozpalone i oślepiające. Bił z niego tak silny blask, że aż raził w oczy. Często w jej marzeniach o przyszłości pojawiał się śnieg i lód. Czasami wyobrażała sobie, że jest w Szwajcarii; wszystkie góry pokryte są śniegiem, a ona ślizga się na zielonkawym zimnym lodzie. Pan Singer ślizgałby się razem z nią. A może także Carole Lombard i Arturo Toscanini, który dawał koncerty w radiu. Jeździliby razem na łyżwach, a potem pan Singer wpadłby pod lód, ona zaś, nie zważając na niebezpieczeństwo, dałaby nurka w przerębę, popłynęła pod lodem i uratowała mu życie. To było jedno z marzeń, które snuło jej się stale po głowie.

Zazwyczaj, gdy pospacerowali chwilę, umieszczała Bubbera i Ralpa w jakimś cieniastym miejscu. Bubber był to chłopiec do rzeczy i wytresowała go doskonale. Jeśli zapowiedziała mu, by nie oddalał się na odległość głosu od Ralpa, to bawił się w pobliżu wózka, mimo że o parę ulic dalej inne dzieci grały w kulki. Mogła spokojnie zostawić ich samych, Albo szła do biblioteki i przeglądała miesięczniki geograficzne, albo po prostu wałęsała się i rozmyślała. Jeśli miała pieniądze, kupowała jakieś słodczy lub coś do picia u pana Brannona. Dzieciom liczył on taniej. To, co kosztowało pięć centów, sprzedawał za trzy.

Ale przez cały czas — bez względu na to, co robiła — zajęta była muzyką. Czasami idąc, nucila sobie, kiedy indziej słuchała w skupieniu dźwięków, które

rozbrzmiewały jej w głowie, W myślach snuły jej się różne melodie. Niektóre słyszała w radiu, inne rodziły się same, choć nigdzie i nigdy ich nie słyszała.

Wieczorem, gdy tylko położyła dzieci, była wolna. To były najważniejsze dla niej godziny. Działo się wiele rzeczy, kiedy znajdowała się sama w ciemnościach. Natychmiast po kolacji wybiegała znowu z domu. Nie mogła powiedzieć nikomu, co robiła w nocy, a kiedy matka wypytywała ją, opowiadała jakąś mniej lub więcej prawdopodobną bajeczkę. Ale przeważnie, gdy ją wołano, biegła dalej, jakby nie słyszała. Tak było zawsze, chyba że zawołał ojciec. Jego głos miał coś takiego, że nie mogła przed nim uciec. Był jednym z najwyższych i najtęższych mężczyzn w mieście, a głos miał tak cichy i łagodny, że ludzie dziwili się, gdy go słyszeli. Żeby nie wiadomo jak się spieszyła, musiała przystanąć, kiedy zawołał ojciec.

Tego lata uświadomiła sobie jedną rzecz, która przedtem nawet nie zaświtała w jej głowie. Nie myślała nigdy o ojcu jako o odrębnym człowieku posiadającym własną osobowość. Często ją wołał. Wchodziła wtedy do pokoju od frontu, gdzie pracował, i stała przed nim słuchając, co mówi, lecz jej myśli wybiegały gdzieś dalej. Pewnego wieczoru zdała sobie jednak sprawę, jaki jest naprawdę ojciec. Nie stało się nic nadzwyczajnego, i sama nie wiedziała, dlaczego nagle to pojęła. Ale poczuła się potem starsza i wydawało jej się, że zna go tak dobrze jak nikogo na świecie.

Był wieczór pod koniec sierpnia, a ona bardzo się spieszyła, by zdążyć do tamtego domu na dziewiątą, inaczej będzie za późno. Ojciec zawołał ją, więc weszła do jego pokoju. Siedział zgnębiony przed swoim warsztatem. Zawsze wydawało się to nienaturalne, gdy go się tu widziało. Aż do zeszłego roku, do czasu wypadku, był malarzem i cieślą. Ubrany w kombinezon wychodził co rano przed świtem i nie było go przez cały dzień. A wieczorem dłubał czasem trochę przy zegarach, żeby coś dorobić. Wiele razy próbował zdobyć pracę w sklepie jubilerskim, gdzie mógłby siedzieć cały dzień przy stole, w czystej białej koszuli i krawacie. Teraz, kiedy nie pracował już jako cieśla, umieścił na froncie domu szyld: TANIA REPERACJA ZEGARÓW I ZEGARKÓW. Ale nie wyglądał jak większość jubilerów — ci ze śródmieścia to byli Żydzi, drobni, żwawi, ciemni. Jej ojciec był za wysoki, by pochylać się nad warsztatem, jego grube kości zdawały się jakoś za luźno ze sobą spojone.

Teraz patrzył na nią. Wiedziała, że nie miał żadnego powodu, aby ją wołać. Naprawdę to chciał z nią tylko porozmawiać. Namyślał się, od czego zacząć. Jego ciemne oczy były zbyt duże w długiej, szczupłej twarzy, a ponieważ nie miał ani jednego włosa, biała naga czaszka nadawała mu jakiś obnażony wygląd. Patrzył ciągle

na nią, nic nie mówiąc, a jej się spieszyło. Musiała być w tamtym domu punktualnie o dziewiątej i nie miała chwili czasu do stracenia. Ojciec spostrzegł, że ona się spieszy, i odchrząknął.

— Mam coś dla ciebie — powiedział. — Niewiele, ale może ci się przyda.

Nie potrzebował dawać jej pięciu czy dziesięciu centów tylko dlatego, że czuł się samotny i chciał z nią porozmawiać. Z tego, co zarabiał, zatrzymywał sobie tyle, by ze dwa razy w tygodniu napić się piwa. Dwie butelki stały i teraz koło krzesła na podłodze, jedna pusta, druga świeżo otwarta. Kiedy napił się piwa, lubił z kimś pogadać. Grzebał palcami przy pasku, a ona odwróciła wzrok. Tego lata zbierał jak dziecko pięcio- i dziesięciocentówki. Chował je w bucie lub w małej szczelinie, którą wyciął w pasku. Nie bardzo chciała wziąć dziesięciocentówkę, ale gdy ją podał, ręka jej była oczywiście otwarta i gotowa przyjąć monetę.

— Mam tyle pracy, że nie wiem, od czego zacząć — powiedział.

Była to nieprawda i on wiedział o tym równie dobrze jak i ona. Nigdy nie miał dużo zegarków do naprawy, a kiedy skończył z nimi, kręcił się koło domu, wykonując jakieś niezbędne małe roboty. Wieczorem siadał na ławce, czyszcząc stare sprężyny i kółka i starając się przedłużyć to zajęcie aż do chwili, gdy kładł się spać. Od kiedy złamał biodro i nie mógł pracować stale, musiał sobie wymyślać ciągle coś do roboty.

— Dużo myślałem dziś wieczorem — powiedział. Nalał sobie piwa i nasypał na wierzch dłoni parę ziarenek soli. Potem zlizął sól i upił łyk ze szklanki.

Mick tak się spieszyła, że zaledwie mogła ustać spokojnie. Ojciec to zauważył. Próbował coś powiedzieć, ale nie miał do powiedzenia nic specjalnego i nie po to ją zawołał. Chciał z nią po prostu chwilę porozmawiać. Zaczął mówić, urwał i przełknął ślinę. Patrzyli tylko na siebie. Milczenie przedłużało się, żadne z nich nie mogło wymówić słowa.

Wtedy właśnie uświadomiła sobie, jak to jest z ojcem. Nie stwierdziła właściwie niczego nowego, wiedziała to wszystko doskonale, ale jakoś nie ogarniała rozumem. Teraz nagle stwierdziła, że wie, jaki jest naprawdę ojciec. Był stary i samotny. Żadne z dzieci nie przychodziło po nic do niego, ponieważ niewiele zarabiał, czuł się odcięty od rodziny. I w swojej samotności pragnął zbliżyć się do kogoś z nich, a oni wszyscy byli tak zajęci, że nawet o tym nie wiedzieli. Czuł się właściwie nikomu niepotrzebny.

Mick zrozumiała to w chwili, gdy patrzyli na siebie. Doznała dziwnego uczucia. Ojciec wziął w rękę sprężynę zegarka i czyścił ją szczoteczką umoczoną w benzynie.

— Wiem, że się spieszysz. Zawołałem, żeby cię zobaczyć.

— Nie, wcale się nie spieszę — odrzekła. — Naprawdę.

Tego wieczoru siedziała na krześle przy jego warsztacie i rozmawiali. On mówił o rachunkach i wydatkach domowych, i o tym, jak by to było, gdyby urządził się inaczej. Pił piwo, a raz łzy napłynęły mu do oczu i pociągnął nosem, wycierając go o rękaw koszuli. Pozostała z nim długo, choć okropnie się spieszyła. Ale jakoś nie mogła mu opowiedzieć o tym, co nie schodziło z jej myśli — o swoich ciemnych, gorących nocach.

Te noce to była tajemnica i w ciągu lata najważniejsza dla niej rzecz. Chodziła sama po ciemku, jakby była jedynym człowiekiem w mieście. Prawie każda ulica wydawała się swojska — jak ta, na której mieszkała. Niektóre dzieci lękały się chodzić po ciemku w nieznanym miejscach. Dziewczęta obawiały się, że jakiś mężczyzna może wyskoczyć znienacka i zgwałcić je. Musiały mieć bzika, jeżeli przychodziły im do głowy takie myśli. Gdyby ktoś wzrostu Joe Louisa albo Człowieka Gór, Deana, chciał ją zaatakować, uciekłyby przed nim. Ale każdego, kto ważyłby tyle co ona albo nawet dwadzieścia funtów więcej, walnęłyby pięścią i poszła dalej.

Noce były cudowne i nie miała czasu myśleć o tym, że coś mogłoby ją przestraszyć. Ilekroć znajdowała się w ciemnościach, myślała o muzyce. Śpiewała sobie, idąc ulicami. I czuła się tak, jakby całe miasto słuchało, nie wiedząc, że to śpiewa Mick Kelly.

Nauczyła się dużo o muzyce podczas tych letnich pełnych swobody nocy. W dzielnicach zamieszkałych przez ludzi zamożnych, gdzie chodziła, każdy dom miał radio. Wszystkie okna były otwarte i mogła słuchać cudownej muzyki. Niebawem wiedziała, w jakich domach słuchano audycji, które i ona pragnęła usłyszeć. Był na przykład jeden, skąd zawsze dobiega dźwięki dobrych orkiestr. Chodziła tam w nocy i zakradała się do ogrodu, by posłuchać. Wokoło domu rosły piękne krzewy siadała pod jednym z nich w pobliżu okna. A gdy muzyka ucichła, zostawała jeszcze w ciemnościach i słuchała z rękami w kieszeniach, przetrawiając długo w myśli to, co usłyszała. To były najlepsze chwile z całego lata — słuchanie muzyki i rozmyślanie o niej.

— *Cerre la puerta, señor* — powiedziała Mick.

Bubber był bystry.

— *Haga me usted el favor, señorita* — odpowiedział natychmiast.

Wybór języka hiszpańskiego w szkole zawodowej okazał się rzeczą wspaniałą. Kiedy mówiła obcym językiem, wydawało jej się, że wiele podróżowała po świecie. Co dzień po południu, od kiedy zaczęła się szkoła, powtarzała dla zabawy świeżo wyuczone słowa i zdania hiszpańskie. Z początku Bubber był zupełnie oszołomiony. Zabawnie było patrzeć na jego buzię, gdy Mick odzywała się w obcym języku. Szybko się jednak połapał i wkrótce umiał naśladować każde jej słowo. Pamiętał też to, czego się nauczył. Oczywiście nie rozumiał znaczenia wszystkich zdań, ale i ona nie mówiła do sensu. Po jakimś czasie uczył się już tak szybko, że zarzuciła hiszpański i powtarzała tylko zmyślane dźwięki. Ale on ją na tym przyłapał — trudno było nabrać takiego cwaniaka jak Bubber Kelly.

— Będę udawała, że wchodzę do tego domu po raz pierwszy — powiedziała sobie Mick. Wtedy lepiej ocenię, jak wyglądają dekoracje.

Wyszła na ganek, a potem zawróciła i stanęła w holu. Przez cały dzień razem z Bubberem, Portią i ojcem dekorowała hol i jadalnię na mającą się odbyć zabawę. Dekoracje wykonane były z jesiennych liści, gałązek winorośli i czerwonej karbowanej bibułki. Na kominku w jadalni stał pęk żółtych liści, taki sam zatknięty był za wieszak w holu. Rozwiesili też długie pędy na ścianach i ułożyli je na stole, gdzie miała stać waza z ponczem. Długie festony z czerwonej bibułki zwisały z kominka i oplatały oparcia krzeseł. Dekoracji było mnóstwo i wyglądało to ślicznie.

Mick potarła ręką czoło i zmrużyła oczy. Bubber stał obok niej i naśladował każdy jej ruch.

— Bardzo chcę, żeby się ta zabawa udała. Bardzo tego chcę.

To pierwsza zabawa, jaką urządza. Sama też była zaledwie na kilku. Ubiegłego lata poszła na wieczorek taneczny. Ale żaden z chłopców nie poprosił jej do tańca. Stała więc tylko przy wazie z ponczem, póki nie wypito wszystkich napojów chłodzących, a potem wróciła do domu. Jej zabawa nie będzie ani trochę podobna do tamtej. Za parę godzin zaproszeni goście zaczną się schodzić i będzie ruch.

Z trudem przypominała sobie, skąd przyszedł jej do głowy pomysł urządzenia zabawy. Narodził się wkrótce po tym, jak zaczęła chodzić do szkoły zawodowej. Szkoła była wspaniała. Wszystko było tu inne niż w szkole podstawowej. Nie lubiłaby jej tak, gdyby musiała uczyć się stenografii, jak Hazel czy Etta, ale za specjalnym zezwoleniem wybrała mechanikę niczym chłopiec. Mechanika, algebra i hiszpański —

wspaniałe przedmioty. Angielski był bardzo trudny. Uczyła go panna Minner. Wszyscy mówili, że sprzedała za dziesięć tysięcy dolarów swój mózg jakiemuś sławnemu lekarzowi, aby po jej śmierci mógł rozciąć go i zobaczyć, dlaczego była taka mądra. Na klasówki wymyślała tematy w tym rodzaju: „Wymień ośmiu sławnych ludzi współczesnych doktorowi Johnsonowi” albo: „Zacytuj dziesięć wierszy z książki *Pleban z Wakefieldu*”. Wywoływała uczniów według alfabetu i przez cały czas lekcji trzymała otwarty dziennik. I chociaż taka mądra, była też starą zrzędziarą. Nauczycielka hiszpańskiego podróżowała kiedyś po całej Europie. Opowiadała, że we Francji ludzie przynosili do domu bochenki chleba niezawinięte w papier. Przystawali, by porozmawiać na ulicy, i tręcali bochenkiem o latarnię. I nie pito we Francji wcale wody, tylko wino.

Szkoła zawodowa była prawie pod każdym względem wspaniała. Na przerwach spacerowało się po korytarzu, a w porze lunchu uczniowie kręcili się koło sali gimnastycznej. To właśnie zaczęło ją niebawem drażnić.

Po korytarzu przechadzały się grupki i każdy zdawał się do jakiejś należeć. Po dwóch tygodniach znała już kolegów z wszystkich klas i z korytarza na tyle, by z nimi rozmawiać — ale to było wszystko. Nie należała do żadnej paczki. W poprzedniej szkole mogła dołączyć się do każdej gromadki, i koniec. Tu było inaczej.

Przez pierwszy tydzień spacerowała po korytarzu sama rozmyślając nad tym. Myślała o przyłączeniu się do którejś grupki równie dużo jak o muzyce. Te dwie sprawy bezustannie tkwiły jej w mózgu. I w końcu przyszedł jej do głowy pomysł, by urządzić zabawę.

Rozsyłając zaproszenia zachowała ścisłą selekcję. Żadnych dzieci ze szkoły podstawowej i nikogo poniżej lat dwunastu. Zaprosiła gości tylko w wieku lat trzynastu do piętnastu. Wszystkich ich znała na tyle, by rozmawiać z nimi na korytarzu, a jeśli nie wiedziała, jak się nazywają, dowiedziała się. Zadzwoiła do tych, którzy mieli telefon, a resztę zaprosiła w szkole.

Przez telefon mówiła zawsze to samo. Pozwoliła Bubberowi podsłuchiwać.

— Tu mówi Mick Kelly — zaczynała. Jeśli nie zrozumieli nazwiska, powtarzała je tak długo, aż pojęli, kto mówi. — W sobotę o ósmej urządzam zabawę, na którą cię zapraszam. Mieszkam na Czwartej Ulicy sto trzy, mieszkanie A.

„Mieszkanie A” brzmiało przez telefon wspaniale. Prawie wszyscy odpowiedzieli, że z przyjemnością przyjdą. Paru łobuziaków próbowało żartować, dopytując się bez końca o jej nazwisko. Jeden chciał okazać się dowcipny i powiedział:

— Ja ciebie nie znam.

Rąbnęła szybko:

— To się wypchaj!

Poza tym przemądrzałym chłopakiem pozostało jeszcze dziesięć dziewczynek i dziesięciu chłopców i wiedziała, że oni przyjdą. To będzie prawdziwa zabawa, lepsza i inna niż wszystkie na których była lub o których słyszała.

Mick obrzuciła po raz ostatni spojrzeniem jadalnię i hol. Przy wieszaku zatrzymała się przed portretem Starej Brudnej Twarzy. Była to fotografia ojca jej mamy, majora z czasów wojny domowej, który zginął w bitwie. Jakieś dziecko dorysowało mu okulary i brodę, a kiedy wymazano ślady ołówka, twarz pozostała brudna. Dlatego tak ją nazwała. Fotografia znajdowała się pośrodku ramki złożonej z trzech części. Po dwóch stronach dziadka stali jego synowie, chyba w wieku Bubbera. Ubrani byli w mundurki i mieli zdziwione miny. I oni zginęli w jakiejś bitwie dawno temu.

— Zdejmę to na czas zabawy. To wygląda pospolicie, nie uważasz?

— Nie wiem — odpowiedział Bubber. — Czy my jesteśmy pospolici, Mick?

— Ja nie.

Schowała fotografię pod wieszak. Dekoracje były wspaniałe. Pan Singer będzie zadowolony, jak przyjdzie do domu. Pokoje wydawały się puste i ciche. Stół nakryty był do kolacji. A po kolacji rozpocznie się zabawa. Weszła do kuchni, aby dopilnować przygotowania napojów chłodzących.

— Myślisz, że wszystko się uda? — spytała Portię.

Portia piekła biskwity. Napoje stały na kuchni. Były też kanapki z masłem orzechowym i kanapki z galaretką, ciasteczka czekoladowe i poncz. Kanapki Portia przykryła wilgotną ściereką. Mick zerknęła na nie, ale nie wzięła żadnej.

— Mówiłam ci już ze czterdzieści razy, że wszystko będzie, jak trzeba — odezwała się Portia. — Niech tylko wrócę z domu, gdzie muszę przygotować kolację, włożę biały fartuch i będę elegancko roznosić jedzenie. Gdzieś koło wpół do dziesiątej muszę wyjść. Dziś jest sobota i my z Highboymem i Williem też mamy swoje plany.

— Oczywiście — zgodziła się Mick. — Chcę tylko, żebyś mi pomogła na samym początku.

Załamala się i wzięła jedną kanapkę. Potem namówiła Bubbera, by został z Portią, i weszła do środkowego pokoju. Suknia, którą miała włożyć, leżała na łóżku. Hazel i Etta okazały dobre serce — zważywszy na to, że nie miały wziąć udziału w zabawie — pożyczając jej swoje najlepsze rzeczy. Leżała więc przygotowana długa niebieska krepdeszynowa sukienka Etty i białe pantofelki, i diadem ze sztucznych brylantów. Były to naprawdę wspaniałe rzeczy. Nie mogła sobie wyobrazić, jak będzie w tym wyglądać.

Było już późne popołudnie i słońce rzucało przez okno długie ukośne promienie. O ile chce poświęcić dwie godziny na ubranie się, czas zaczynać. Kiedy myślała o włożeniu tych rzeczy, nie mogła dłużej siedzieć i czekać. Weszła bardzo wolno do łazienki i zrzuciła z siebie stare szorty i bluzkę, a potem odkręciła kran z wodą. Wyszorowała starannie stwardniałe pięty i kolana, i specjalnie starannie łokcie. Kąpiel zajęła jej dużo czasu.

Pobiegła naga do środkowego pokoju i zaczęła się ubierać. Włożyła jedwabne majteczki i pończochy, i nawet staniczek Etty. Potem bardzo ostrożnie suknię i pantofle. Po raz pierwszy miała na sobie wieczorową suknię. Stała długo przed lustrem. Była taka wysoka, że suknia sięgała jej dwa lub trzy cale ponad kostki, a pantofle były tak ciasne, że ją gniotły. Stała długo przed lustrem i w końcu zdecydowała, że wygląda albo zupełnie idiotycznie, albo bardzo pięknie. Jedno lub drugie.

Sześć razy próbowała ułożyć włosy. Trochę kłopotu sprawiały niesforne kosmyki, więc zwilżyła grzywkę i zakręciła trzy loczki. Na koniec umieściła na włosach diadem, umalowała się i uszminowała. Kiedy skończyła, uniosła brodę i przymknęła oczy jak gwiazda filmowa. Obróciła wolno twarz najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Wyglądała pięknie — po prostu pięknie.

Nie czuła się wcale sobą. Była kimś zupełnie innym niż Mick Kelly. Zabawa miała się zacząć dopiero za dwie godziny i wstydziłaby się, gdyby ktoś z rodziny zobaczył ją tak wcześnie już ubraną. Weszła znów do łazienki i zamknęła drzwi. Nie mogła usiąść, by nie pognieść sukni, stała więc na środku. Otaczające ją ściany zdawały się zamykać w sobie całe jej podniecenie. Czuła się tak inna niż dawna Mick Kelly, że wiedziała, iż to będzie najlepsza rzecz w całym jej życiu — ta zabawa.

— O! Poncz!

— Ładna sukienka...

— Słuchaj, rozwiążesz to tak...

— Puście! Z drogi!

Drzwi wejściowe trzaskały co chwila, w domu roilo się od gości. Głosy ostre i łagodne rozbrzmiewały równocześnie, aż zlały się w jeden głośny gwar. Dziewczęta w długich wieczorowych sukniach stały w grupkach, a chłopcy kręcili się po pokojach w czystych płóciennych spodniach, w mundurach przysposobienia wojskowego lub w ciemnych garniturach. Panowało takie ożywienie, że Mick nie mogła dostrzec żadnej poszczególnej twarzy czy osoby. Stała koło wieszaka i obserwowała całe towarzystwo.

— Wszyscy biorą karnety i zaczynamy je wypełniać!

Z początku było zbyt głośno, by ktoś usłyszał cokolwiek i zwrócił na to uwagę. Chłopcy skupili się tak gęsto wokoło wazy z ponczem, że nie widać było ani stołu, ani liści winorośli. Tylko twarz ojca wznosiła się nad ich głowami: uśmiechał się i rozlewał poncz w małe tekturowe kubki. Na półce od wieszaka, obok którego stała Mick, leżał słoiczek landrynek i dwie chusteczki do nosa. Parę dziewczynek myślało, że to są jej urodziny, więc podziękowała im i rozpakowała prezenty nie mówiąc, że skończy czternaście lat za osiem miesięcy. Wszyscy byli wypucowani, wystrojeni i wyświeżeni tak jak i ona. I ładnie uperfumowani. Chłopcy mieli włosy ulizane na mokro. Dziewczynki w różnokolorowych długich sukienkach stały wszystkie razem. Wyglądały jak pęk jasnych kwiatów. Początek był wspaniały. Zaczęło się doskonale.

— Ja jestem pół Szkotem, pół Francuzem...

— A ja mam w sobie krew niemiecką...

Zanim weszła do jadalni, zawołała raz jeszcze, by wszyscy brali karnety. Po chwili zaczęli tłoczyć się w holu. Brali karnety i stawali w grupkach pod ścianami. Dopiero teraz był prawdziwy początek.

I jakoś dziwnie nagle zaległo milczenie. Chłopcy stali razem w jednym końcu pokoju, a dziewczęta naprzeciwko nich. Nie wiadomo dlaczego wszyscy umilkli. Chłopcy trzymali karnety w rękach i patrzyli na dziewczynki. Panowała cisza. Żaden z chłopców nie poprosił o wpisanie do karnetu, jak należało oczekiwać. Okropna cisza stawała się coraz nieznośniejsza, a Mick za mało bywała na zabawach, by wiedzieć, co powinna zrobić. Po chwili chłopcy zaczęli się poszturchiwać i rozmawiać. Dziewczynki

chichotały i choć nie patrzyły na chłopców, widać było, że myślą tylko o tym, czy będą miały powodzenie, czy nie. Okropna cisza skończyła się, ale w pokoju wyczuwało się jakieś zdenerwowanie.

Po chwili jeden z chłopców podszedł do dziewczynki nazwiskiem Dolores Brown. Gdy tylko zamówił ją do tańca, wszyscy inni chłopcy zaczęli nagle tłoczyć się także do niej. Kiedy jej karnet wypełnił się, ruszyli do następnej dziewczynki imieniem Mary. A potem wszystko nagle znowu stanęło. Jeszcze karnety jednej czy dwóch dziewcząt uzyskały parę zapisów, no i do Mick, jako do gospodyni, podeszło trzech chłopców. Na tym się skończyło.

Goście snuli się po jadalni i holu. Chłopcy gromadzili się przeważnie przy wazie z ponczem i starali się wzajemnie przed sobą popisywać. Dziewczynki zbiły się w gromadkę i zaśmiewały, udając, że się świetnie bawią. Myślały o chłopcach, a chłopcy o nich. Ale w rezultacie w pokoju panowała sztuczna atmosfera.

Wtedy właśnie Mick zwróciła uwagę na Harry'ego Minowitza. Mieszkał w sąsiednim domu i znała go od bardzo dawna, choć był o dwa lata starszy od niej, rosła prędzej od niego. Latem mocowali się i bili na skrawku trawy na ulicy. Harry był Żydem, ale nie bardzo na Żyda wyglądał. Miał kasztanowate proste włosy. Ubrany dziś był bardzo porządnie, a kiedy wszedł, powiesił na wieszaku męski kapelusz panama z piórem.

Nie ubranie jednak sprawiło, że zwróciła na niego uwagę. Bez okularów w rogowej oprawie, które zwykle nosił, twarz jego była jakaś dziwna. Na jednym oku miał wielki czerwony jęczmień. Musiał przekrzywiać głowę jak ptak, chcąc coś zobaczyć. Długimi szczupłymi rękami dotykał ciągle jęczmienia, jakby go bolał. Kiedy poprosił o poncz, trącił ojca tekturowym kubkiem w twarz. Wydawało się, że bardzo mu brak okularów. Był zdenerwowany i wpadał na ludzi. Nie poprosił do tańca żadnej dziewczynki prócz niej — i to tylko dlatego, że to ona urządzała zabawę.

Cały poncz był już wypity. Ojciec obawiał się, że Mick się zmartwi, poszli więc z matką do kuchni przygotować lemoniadę. Część gości stanęła na ganku i na chodniku przed domem. Z przyjemnością znalazła się na dworze w chłodnym powietrzu nocy. Wyszedłszy z rozgrzanego, jasno oświetlonego domu, znalazła się w ciemnościach i stała wdychając pierwsze jesienne powiewy.

Ale wtedy zobaczyła coś, co ją zaskoczyło. Na skraju chodnika w ciemnej ulicy zebrała się gromadka dzieci z sąsiedztwa. Pete i Sucker Wellowie, Baby i Spareribs —

cała banda, od dzieciaków młodszych od Bubbera do dwunastolatków i starszych. Były tam nawet dzieci, których wcale nie znała; dowiedziały się skądś o zabawie i przyszły popatrzeć. Były też dzieci w jej wieku i starsze, których nie zaprosiła, bo jej kiedyś dokuczały albo ona im dokuczała. Wszystkie były brudne, ubrane w zwykłe szorty, zaszargane błotem pumpy i stare codzienne sukienki. Kręciły się w ciemności, przyglądając się zabawie. Ujrawszy je Mick poczuła smutek i niepokój.

— Ten taniec zatańczę z tobą.

Harry Minowitz udawał, że czyta ze swego karnetu, ale ona wiedziała, że nic tam nie jest napisane. Ojciec wyszedł na ganek i zagwizdał na gwizdku, co oznaczało, że zaczyna się pierwszy taniec.

— Wiesz — powiedziała Harry'emu — chodźmy się przejść. Ruszyli na spacer ulicą. W długiej sukni ciągle jeszcze czuła się bardzo elegancko.

— Spójrzcie na Mick Kelly! — wrzasnęło któreś z dzieci z ciemności. Popatrzcie tylko na nią!

Szła dalej, jakby nie słyszała, ale to był Spareribs; porachuje się z nim kiedyś. Szli z Harrym szybko ciemnym chodnikiem, a kiedy dotarli do końca ulicy, skręcili w następną przecznicę.

— Ile ty masz lat, Mick? Trzynaście?

— Zaczęłam czternasty rok.

Wiedziała, o czym on myśli. Gnębiło ją to stale. Pięć stóp i sześć cali wzrostu, sto trzy funty wagi, a miała dopiero trzynaście lat. Każde z zaproszonych dzieci było mikrusem przy niej, z wyjątkiem Harry'ego, który był niższy tylko o parę cali. Żaden chłopiec nie chciał tańczyć z dziewczynką o tyle od niego wyższą. Ale może papierosy pomogą jej zahamować dalszy wzrost.

— Urosłam w ostatnim roku trzy cale i ćwierć — powiedziała.

— Widziałem na jarmarku jedną panią która miała osiem i pół stopy wzrostu. Ale ty chyba aż tak nie urośniesz.

Harry zatrzymał się obok czarnego jak kir mirtowego krzewu. Wokoło nie było żywego ducha. Wyjął coś z kieszeni i zaczął się tym bawić. Nachyliła się, by zobaczyć — były to jego okulary, które przecierał chustką.

— Wybacz — powiedział. Potem włożył okulary i odetchnął z ulgą.

— Powinieneś cały czas nosić szkła.

— Tak.

— A dlaczego nie nosisz?

— Sam nie wiem...

Noc była ciemna i bardzo cicha. Harry ujął ją za łokieć, kiedy przechodzili przez ulicę.

— Tam na zabawie jest pewna młoda dama, która uważa, że to zniewieścialsłość, kiedy chłopak nosi okulary. Ona... no, może jestem...

Nie dokończył. Zesztywniał nagle, podbiegł parę kroków i podskoczył do liścia zwisającego o cztery stopy nad jego głową. Z trudem dojrzał ten liść wysoko w ciemności. Skoczył z dobrego odbicia i schwycił go od pierwszego razu. Wpakował liść do ust i boksował się chwilę w ciemnościach z urojonym przeciwnikiem. Dogoniła go.

Jak zwykle jakaś piosenka snuła się jej po głowie. Nuciała ją sobie.

— Co ty śpiewasz?

— Coś, co wymyślił Mozart.

Harry w dobrym humorze skakał to w jedną stronę, to w drugą jak szybki bokser.

— Nazwisko brzmi z niemiecka.

— I ja tak myślę.

— Faszysta?

— Co?

— Pytam, czy ten Mozart to faszysta, czy hitlerowiec?

Mick zastanowiła się chwilę.

— Nie. To są ludzie żyjący, a tamten umarł już dawno temu.

— To dobrze. — Zaczął znów zadawać bokserskie ciosy w ciemność. Chciał, by Mick zapytała dlaczego.

— Mówię, że to dobrze — powtórzył.

— Dlaczego?

— Bo ja nienawidzę faszystów. Gdybym spotkał któregoś na ulicy, zabiłbym go.

Popatrzyła na Harry'ego. Liście rzucały na jego twarz ruchliwe cętkowane cienie. Był wyraźnie podniecony.

— Jak to?

— Do licha! Czy ty wcale nie czytasz gazet? Widzisz, to jest tak...

Wrócili z powrotem drugą ulicą. W domu trwało zamieszanie. Wszyscy krzyczeli i biegali po chodniku. Zemdziło ją.

— Nie ma teraz czasu tego wyjaśniać, chyba że jeszcze raz zrobilibyśmy taki sam spacer. Chętnie opowiem ci, dlaczego nienawidzę faszystów. Chciałbym ci to opowiedzieć.

Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu mógł z kimś o tym mówić. Ale ona nie miała czasu go słuchać. Uwagę jej przykuwało to, co działo się przed domem.

— Dobrze. Zobaczymy się później.

Taniec się skończył; widziała przed sobą nieopisany bałagan.

Cóż to się stało podczas jej nieobecności? Gdy odchodziła, goście stali w pięknych strojach i wszystko było jak na prawdziwej zabawie. A teraz — po pięciu minutach zaledwie — przypominało to dom wariatów. Kiedy się oddaliła, dzieciarnia wyszła z ciemności i wdarła się na zabawę. Co za bezczelność! Pete Wells wypadł, trzaskając drzwiami, z kubkiem ponczu w rękę. Wrzeszczeli, biegali i mieszały się z zaproszonymi gośćmi. W swoich starych luźnych portkach i codziennych sukienkach.

Baby Wilson plątała się po ganku. Baby, która nie miała więcej jak cztery lata! O tej porze powinna być przecież w łóżku, tak jak Bubber. Szła wolniutko po schodach, trzymając nad głową kubek z ponczem. Nie wiadomo, jakim sposobem znalazła się tutaj. Pan Brannon był jej wujem i mogła dostać za darmo w jego restauracji słodycze i napoje, kiedy tylko chciała. Gdy zeszła na chodnik, Mick schwyciła ją za ramię.

— Wracaj do domu, Baby! Wracaj w tej chwili!

Mick rozejrzała się, by zobaczyć, co jeszcze mogłaby zrobić, żeby przywrócić porządek. Podeszła do Suckera Wellsa. Stał nieco dalej na chodniku, gdzie było ciemno, trzymając w rękę tekturowy kubek i przyglądając się wszystkiemu sennym wzrokiem. Sucker miał siedem lat; był w szortach, bez koszuli i boso. Nie przyczynił się do zamieszania, ale ona była wściekła jak diabli.

Chwyciła go za ramiona i zaczęła mm trząść. Z początku miał usta zaciśnięte, ale po chwili zaczęły mu szczełkać zęby.

— Marsz do domu, Sucker! Nie kręć się tam, gdzie cię nie proszą!

Kiedy go puściła, oddalił się skruszony. Ale nie poszedł do domu. Zobaczyła, że usiadł na rogu ulicy na krawężniku i sądząc, że ona nie może go tam dojrzeć, przyglądał się zebranym.

Przez chwilę miała ochotę napluć na niego. Ale natychmiast zrobiło jej się przykro i gotowa była pozwolić mu wrócić. Całe to zamieszanie wywołały starsze dzieci. Okropne smarkacze i tak bezczelne, jakich w życiu nie widziała. Piły lemoniadę i psuły całą zabawę, wprowadzając bałagan. Trzaskały drzwiami, wpadały jedno na drugie. Podeszła do Pete'a Wellsa, bo on był najgorszy. Miał na głowie hełm futbolowy i rozbijał się wśród gości. Zaczął już czternasty rok, ale siedział jeszcze w siódmej klasie. Podeszła do niego, lecz był za duży, by potrząsnąć nim jak Suckerem. Kiedy powiedziała mu, żeby poszedł do domu, zatańczył parę taktów shimmy i dał nura w ciemność.

— Byłem w sześciu stanach. Floryda, Alabama...

— Ze srebrnego materiału z szarfą...

Zabawa zmieniła się w wielki chaos. Wszyscy mówili naraz. Zaproszeni goście ze szkoły zawodowej mieszały się z bandą z sąsiedztwa. Chłopcy i dziewczynki wciąż jeszcze stali w oddzielnych grupach i nikt nie tańczył. Lemoniada już prawie się skończyła. Zostało na dnie wazy tylko trochę wody, w której pływały cytrynowe skórki. Ojciec zawsze był dla dzieci zanadto uprzejmy. Nalewał poncz każdemu, kto tylko wyciągnął do niego kubek. Kiedy Mick weszła do jadalni, Portia częstowała kanapkami. Zniknęły w mgnieniu oka. Jej przypadła tylko jedna.

Portia została w pokoju, by popatrzeć na zabawę.

— Za dobrze się bawię, żeby wyjść — powiedziała. — Dałam znać Highboyowi i Williemu, żeby spędzili ten sobotni wieczór beze mnie. Wszyscy są tu tacy podnieceni, że zaczekam, by zobaczyć koniec tej zabawy.

Podniecenie — to było właściwe słowo. Mick wyczuwała je w pokoju, na ganku i na chodniku przed domem. I ona też była podniecona. Nie tylko z powodu sukni i swojej ładnej buzi którą widziała w lustrze przechodząc obok wieszaka w holu, czerwonych umalowanych policzków i brylantowego diademu we włosach. Może także z powodu dekoracji i gości ze szkoły zawodowej, i tych dzieci zmieszanych razem z nimi.

— Patrz, jak biegnie!

— Au!.. Przestań...

— Zachowuj się stosownie do swego wieku!

Grupka dziewczynek biegła ulicą, z rozwianymi włosami, unosząc spódniczki. Gonilo je paru chłopców z długimi ostrymi patykami. Uczniowie pierwszej klasy

szkoły zawodowej, ubrani jak na wieczorek taneczny, zachowywali się niczym dzieci. Była to na pół zabawa, a równocześnie wcale nie zabawa. Jakiś chłopiec z kolczastą gałęzią podbiegł do niej i ona też zaczęła uciekać.

Myśl o tańcach wszystkim już wywietrzała z głowy. Była to teraz zwykła zabawa na świeżym powietrzu. Lecz i najbardziej szalona noc, jaką w życiu widziała. A spowodowały to tamte dzieci. Podziały jak zaraźliwa choroba, swoim wtargnięciem na zabawę sprawiły, iż goście zapomnieli o tym, że skończyli już szkołę podstawową, że są prawie dorośli. Tak jakby ktoś tuż przed wieczorną kąpielą wytarzał się na podwórzu za domem, żeby być porządnie brudnym, jak wejdzie do wanny. Każdy stał się teraz rozszalałym dzieciakiem dokazującym w sobotni wieczór — a ona czuła się najbardziej szalona ze wszystkich.

Krzyczała i rozpychała się, była pierwsza do każdego nowego psikusa. Robiła tyle hałasu i biegła tak szybko, że nie dostrzegała, co robią inni. Nie starczało jej tchu na wszystkie szaleństwa, które miała ochotę popełnić.

— Kanał na ulicy! Kanał! Kanał!

Rzuciła się tam pierwsza. O jedną przecznicę dalej zakładano pod powierzchnią jezdni nowe rury i wykopano w tym celu wspaniały głęboki kanał. Pochodnie, ustawione na jego krawędzi, płonęły jasnym czerwonym blaskiem. Chciała natychmiast zsunąć się w dół. Dobięła do chwiejących się płomyków i skoczyła.

W tenisówkach opadłaby na dno jak kot, ale w pantoflach na wysokich obcasach poślizgnęła się i uderzyła brzuchem o rurę. Zabrakło jej tchu, leżała spokojnie z zamkniętymi oczami.

Zabawa... Przez dłuższą chwilę wspominała, jaką widziała ją w myślach, jak wyobrażała sobie nowych kolegów z zawodówki, jak co dzień marzyła, by zbliżyć się do jakiejś grupki. Będzie się teraz inaczej czuła na korytarzach szkoły, kiedy wie, że oni nie są jacyś inni, lecz tacy jak wszystkie dzieci. Nic nie szkodzi, że zabawa się nie udała. Ale to koniec. Wszystko się skończyło.

Mick wyczołgała się z dołu. Kilkoro dzieci bawiło się wokoło małych miseczek, w których płonęły pochodnie. Ogień rzucał czerwone blaski i długie migocące cienie. Jeden z chłopców poszedł do domu i włożył maskę kupioną na Halloween. Nic się nie zmieniło, tylko coś w niej samej.

Szła wolno w stronę domu. Mijając dzieci nie odzywała się do nich i nie patrzyła na nie. Dekoracje w holu były pozdierane i dom wydawał się bardzo pusty;

wszyscy z niego wyszli. Zajęła w łazience niebieską sukienkę. Obrąbek się oberwał, więc złożyła ją tak, żeby nie było tego widać. Zgubiła gdzieś brylantowy diadem. Jej szorty i bluzka leżały na podłodze, tam gdzie je zostawiła. Włożyła je na siebie. Ostatni raz. Nie włoży ich już więcej po tej nocy. Nigdy więcej.

Stała na ganku. Twarz jej bez szminki była bardzo blada. Przyłożyła zwinięte w trąbkę dłonie do ust i wzięła głęboki oddech.

— Wszyscy do domu! Zamykamy drzwi! Zabawa skończona!

Znalazła się teraz znowu sama pośród cichej, tajemniczej nocy. Nie było jeszcze późno. Żółte kwadraty oświetlonych okien jaśniały w domach wzdłuż ulicy. Szła wolno, z rękami w kieszeniach, z odwróconą w bok głową. Szła długo, nie zwracając uwagi, dokąd idzie.

Domy stały teraz rzadziej od siebie, na otaczających je trawnikach rosły wysokie drzewa i ciemne krzewy. Rozejrzała się i spostrzegła, że znajduje się niedaleko domu, koło którego tyle razy chodziła w lecie. Nogi same bezwiednie zanosły ją tutaj. Podeszła pod dom i zaczęła chwilę, by się upewnić, że nikt jej nie widzi. Potem podeszła z boku przez trawnik.

Radio grało jak zwykle. Na moment przystanąła pod oknem i przyjrzała się ludziom siedzącym w pokoju. Łysy pan i siwa pani grali przy stole w karty. Mick usiadła na ziemi. Było to doskonale, ustronne miejsce. Osłaniały je gęste cedry, tak że czuła się dobrze ukryta. W radiu nie było dziś nic nadzwyczajnego, ktoś śpiewał pieśni ludowe, a wszystkie kończyły się tak samo. Miała wrażenie, że jest w środku pusta. Pomacała palcami w kieszeni. Były tam rodzynki, kasztan i sznur paciorków, jeden papieros i zapalki. Zapaliła go i objęła rękami kolana. Czuła się taka pusta, jakby nie było w niej żadnej myśli, żadnego uczucia.

Audycje zmieniały się jedna po drugiej i wszystkie były nędzne. Nie bardzo ją to obchodziło. Palila papierosa i skubała źdźbła trawy. Po chwili zaczął mówić nowy spiker. Wymienił nazwisko Beethovena. Czytała w bibliotece o tym kompozytorze. Był Niemcem — jak Mozart. Mówił obcym językiem i mieszkał w obcym mieście — o czym ona marzyła. Spiker zapowiedział, że odegrana zostanie III Symfonia. Słuchała jednym uchem, chciała jeszcze trochę pospacerować i było jej wszystko jedno, co zagrają. Po chwili zabrzmiała muzyka. Mick podniosła głowę i przyłożyła zaciśnięte pięści do gardła.

Co to? Przez chwilę wstępne tony niejako się ważyły. Brzmiało to jak kroki w marszu. Jakby majestatycznie kroczył pośród nocy Bóg. Mick zlodowaciała nagle, tylko serce jej było gorące, rozgrzane tymi pierwszymi taktami. Nie słyszała nawet dalszych tonów, siedziała zdrętwiała i czekała z zaciśniętymi dłońmi. A potem muzyka popłynęła znowu, brzmiała teraz głośniejsz, mocniejsz. Nie miało to nic wspólnego z Bogiem. To była ona, Mick Kelly, idąca przed siebie dniem i nocą sama. W upalnym słońcu i w ciemności, pełna marzeń i nieznanego dotąd uczuć. Ta muzyka to była ona — po prostu prawdziwa ona.

Nie potrafiła słuchać dość uważnie, by wszystko usłyszeć. Muzyka przelewała się w niej i kipiała. Więc co? Czy zapamiętać niektóre cudowne fragmenty i przetrwać je w myśli tak, żeby ich nie zapomnieć, czy dać się ponieść tym dźwiękom i słuchać kolejnych części symfonii, nie myśląc ani nie starając się ich zapamiętać? Och, ta muzyka to był cały świat, ale nie umiała jej słuchać z dostateczną uwagą. Na koniec znowu zabrzmiały pierwsze takty, różne instrumenty zmieszane razem, a każda nuta była jak twarda zaciśnięta pięść trafiająca prosto w jej serce. Skończyła się część pierwsza.

Muzyka nie trwała długo ani krótko. Nie miała w ogóle nic wspólnego z czasem. Mick siedziała, objawszy nogi rękoma, gryząc mocno słone kolana. Słuchała może pięć minut, a może pół nocy. Część druga, powolny marsz, była posępna. Nie smutna, lecz taka, jakby cały świat był już tylko ponurym wspomnieniem. Jeden z rożków grał smutną srebrzystą melodię. Potem muzyka stała się gniewna, jakby podminowana. A na koniec zabrzmiał znów ponury marsz.

Lecz ostatnia część symfonii podobała jej się może najbardziej, lubiła właśnie taką muzykę: wesołą, swobodną, niczym nieskrępowane tony, zdecydowane jak krok ludzi wybitnych, którzy się czymś wyróżnili. Taka cudowna muzyka sprawiała największy w świecie ból. Ta symfonia to cały świat i mogłaby jej słuchać bez końca.

Muzyka umilkła, a ona siedziała sztywno dalej, obejmując rękami kolana. W radiu zaczęła się następna audycja. Mick wetknęła palce w uszy. Tamta muzyka pozostawiła w niej tylko pustkę i ból. Nie pamiętała ani jednego fragmentu, nawet paru ostatnich nut. Koniecznie chciała sobie przypomnieć, ale nie zapamiętała ani jednego dźwięku. Teraz, gdy wszystko się skończyło, tylko serce jej drżało jak schwytany królik i bolało okropnie.

Radio i światła w domu zgasły. Noc była bardzo ciemna. Nagle Mick zaczęła tłuc się pięściami po udach. Walila w ten sam mięsień z całej siły, aż lzy popłynęły jej

po twarzy. Ale i tego bólu było za mało. Pod krzakiem leżały ostre kamyki, chwyciła pełną garść i zaczęła pocierać nimi w to samo miejsce na udzie, aż pokazała się krew. Potem padła na ziemię i leżała patrząc w noc. Z tym wściekłym bólem poczuła się lepiej. Leżała bezwładnie na miękkiej trawie; po chwili jej oddech stał się znów równy i spokojny.

Czemu uczeni, patrząc w niebo, nie poznali, że Ziemia jest okrągła? Niebo jest wklęsłe, jak wnętrze ogromnego szklanego dzwonu, ciemnogrnatowe, usiane jasnymi gwiazdami. Noc była cicha. Pachniały nagrzane słońcem cedry. Wcale nie próbowała myśleć o muzyce, kiedy nagle sama napłynęła do głowy. Pierwsza część symfonii wyraźnie rozbrzmiewała w jej mózgu. Słuchała spokojnie, zastanawiając się nad poszczególnymi nutami jak nad zadaniem geometrycznym. Widziała wyraźnie te dźwięki i już ich nigdy nie zapomni.

Czuła się teraz dobrze. Szepnęła głośno:

— Przebacz mi, Boże, bo nie wiem, co czynię. — Dlaczego o tym pomyślała? Każdy w naszych czasach wie, że nie ma właściwie żadnego Boga. Kiedy myślała o tym, jak Go sobie wyobrażała, widziała tylko pana Singera spowitego w długie, białe prześcieradło. Bóg milczał — może dlatego jej się to przypomniało. Powtórzyła znów, jakby mówiła do pana Singera: — Boże, przebacz mi, bo nie wiem, co czynię.

Ta część symfonii była piękna i czysta. Mogłaby ją teraz zaśpiewać, jakby chciała. Może później, gdy obudzi się rano, przypomni jej się reszta. Gdyby kiedyś usłyszała ją znowu, można by dodać inne części do tego, co już tkwiło w mózgu. A gdyby mogła posłuchać symfonii jeszcze ze cztery razy, tylko cztery, może umiałaby ją całą na pamięć. Może...

Jeszcze raz wysłuchała części wstępnej. Tony stawały się coraz bardziej miękkie i powolne, czuła się tak, jakby zapadała się w ciemną ziemię.

Mick obudziła się nagle cała rozdygotana. Zrobiło się chłodno. Śniło jej się, że Etta ściągnęła z niej całą kołdrę. „Daj mi kawałek...” — próbowała powiedzieć i otworzyła oczy. Niebo było bardzo ciemne, wszystkie gwiazdy znikły. Trawę pokrywała rosa. Wstała spieszenie, bo pomyślała, że ojciec będzie się niepokoił. I przypomniała sobie wtedy znowu tę muzykę. Nie potrafiła określić, czy jest północ, czy trzecia nad ranem; zaczęła biec pędem do domu. W powietrzu czuć było jesień. Muzyka w jej mózgu rozbrzmiewała głośno, a ona biegła prędko, coraz prędzej w stronę domu.

2.

Dnie październikowe były chłodne i błękitne. Biff Brannon zmienił lekkie bawełniane spodnie na serżowe granatowe. Za bufetem w swojej restauracji zainstalował aparaturę do przyrządzania gorącej czekolady. Mick uwielbiała gorącą czekoladę i wpadała trzy, cztery razy w tygodniu, by wypić filiżankę. Brannon liczył jej za to pięć centów zamiast dziesięciu i chciał nawet dawać darmo. Patrzył na Mick, kiedy stała po drugiej stronie lady, i czuł zakłopotanie i smutek. Miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej zmierzwionych, spłowiałych w słońcu włosów, lecz nie w ten sposób, jak dotykał kobietę. Czuł się jakiś skrępowany, a gdy odzywał się do niej, jego głos brzmiał dziwnie szorstko.

Gnębiło go wiele rzeczy. Po pierwsze, Alice nie czuła się dobrze. Pracowała jak zwykle na dole od siódmej rano do dziesiątej wieczorem, ale poruszała się wolno, a pod oczami miała brunatne sińce. Choroba uwidaczniała się najwyraźniej w jej pracy. Pewnej niedzieli, przepisując menu na maszynie, wyceniła obiad ekstra z kurczęciem po królewsku na dwadzieścia centów zamiast pięćdziesięciu i dostrzegła tę omyłkę dopiero wtedy, kiedy zamówiło go już paru gości i chciało płacić. Innym razem wydała dwie piątki i trzy jednodolarówki jako resztę z dziesięciu dolarów. Biff z półprzymkniętymi oczami stał i patrzył na nią przez czas dłuższy, pocierając w zamyśleniu nos.

Nie rozmawiali ze sobą o tym. W nocy, gdy ona spała, on był na dole, a rano kierowała sama restauracją. Kiedy pracowali razem, stał za kasą i pilnował kuchni i stolików, jak zwykle. Nie rozmawiali ze sobą z wyjątkiem spraw związanych z prowadzeniem lokalu, ale Biff stał nieraz obserwując żonę, a twarz jego miała zafrasowany wyraz.

Ósmego października po południu z ich wspólnej sypialni rozległ się nagle krzyk bólu. Biff pobiegł na górę. W ciągu godziny zabrano Alice do szpitala i doktor wyjął z niej guz wielkości niemal noworodka. I nie minęła druga godzina, jak Alice umarła.

Biff siedział przy jej łóżku w szpitalu otępiąły. Był przy śmierci żony. Pod wpływem narkozy miała oczy nieprzytomne i zasnutę mgłą; potem stwardniały jak lód. Pielęgniarka i doktor wyszli z pokoju. Patrzył dalej w twarz Alice. Mało się

zmieniła, powlekła ją tylko niebieskawa bladość. Dostrzegał każdy szczegół postaci żony, jakby jej nie znał, nie patrzył na nią przez dwadzieścia jeden lat. A gdy siedział tak, myśli jego z wolna zwróciły się ku obrazowi, który od dawna przechowywał w pamięci.

Chłodny, zielony ocean i złoty pas gorącego piasku. Małe dzieci bawiące się na skraju jedwabistej linii morskich pian. Krzepka, opalona dziewczyneczka, szczupłe nagie chłopaczki i trochę starsze dzieci — biegające i nawołujące się miłymi dziecinnymi głosikami. Były tam dzieci, które znał, Mick i jego siostrzenica Baby, były też obce młode twarzyczki, których nigdy w życiu nie widział. Biff pochylił głowę.

Po długiej chwili wstał z krzesła i stanął na środku pokoju. Usłyszał głos swojej szwagierki Lucile spacerującej po korytarzu. Tłusta pszczoła szła niezdarnie po szafce. Biff schwycił ją zręcznie i wypuścił przez otwarte okno. Spojrzał jeszcze na martwą twarz i jak spokojny, opanowany wdowiec otworzył drzwi na korytarz.

Późnym rankiem następnego dnia siedział w pokoju na górze i szył. Dlaczego? Dlaczego jest tak, że gdy dwoje ludzi naprawdę się kocha, to ta osoba, która pozostaje przy życiu, najczęściej nie idzie w ślady ukochanej istoty i nie popełnia samobójstwa? Czy tylko dlatego, że żywi muszą grzebać umarłych? Czy z powodu uświęconego rytuału, który musi być spełniony po śmierci? Czy dlatego, że to, które nie umarło, stąpa przez jakiś czas niejako po scenie na oczach wszystkich, a każda przeżyta sekunda urasta do ogromu wieczności? Czy dlatego, że ma do wykonania określone zadanie? A może dlatego, że kiedy kochają się, to to, które owdowiało, musi pozostać przy życiu, aby to, które odeszło, mogło zmartwychwstać, aby nie umarło naprawdę, lecz żyło w duszy tego, co żyje? Dlaczego?

Biff pochylony nisko nad szyciem rozmyślał o wielu sprawach. Szył wprawnie. Koniuszki jego palców były tak zgrubiałe, że przepychał igłę przez materiał bez napałka. Opaski żałobne na rękawy dwóch szarych garniturów były już gotowe, a teraz szył ostatnią.

Dzień był jasny i ciepły; pierwsze martwe jesienne liście tułały się po chodnikach. Wszedł wcześnie. Każda minuta wydawała się nieskończenie długa. Miał przed sobą nieograniczoną ilość wolnego czasu. Zamknął drzwi restauracji i powiesił na nich wieniec z białych lili. Poszedł najpierw do domu pogrzebowego i obejrzał trumny, by wybrać jedną z nich. Dotykał materiałów na wyściółkę i próbował mocy drewnianych boków.

— Jak się nazywa ten materiał? Żorżeta?

Przedsiębiorca pogrzebowy odpowiadał na pytania ugrzecznionym, namaszczonym tonem.

— Jaki jest procent kremacji w pana zakładzie?

Znalazłszy się na ulicy, Biff kroczył godnie i dostojnie. Z zachodu wiał ciepły wiatr, słońce świeciło jasno. Zegarek mu stanął, więc skręcił w kierunku ulicy, gdzie Wilbur Kelly wywiesił ostatnio swój zegarmistrzowski szyld. Kelly siedział w swoim warsztacie w połatanym kąpielowym płaszczu. Jego pracownia była równocześnie sypialnią, a niemowlę, które Mick zwykle pchała przed sobą w wózku, siedziało spokojnie na sienniku. Każda minuta była tak długa, że zawierało się w niej mnóstwo czasu na medytację i dociekania. Poprosił Kelly'ego o ścisłe wyjaśnienie zastosowania kamieni w zegarku. Zauważył, że Kelly ma zezę w jednym oku, co widać było, gdy patrzył przez lupę. Rozmawiali chwilę o Chamberlainie i Monachium. Potem, ponieważ było jeszcze wcześniej, postanowił pójść na górę do pokoju głuchoniemego.

Singer wkładał właśnie robocze ubranie. Wczoraj wieczorem przyszedł do niego list kondolencyjny. Miał nieść trumnę na pogrzebie. Biff usiadł na łóżku i wypalili razem papierosa. Singer spoglądał na niego od czasu do czasu swymi zielonymi, inteligentnymi oczyma. zaproponował mu kawę. Biff nic nie mówił; głuchoniemy poklepał go po ramieniu i spojrzał mu z bliska w twarz. Potem skończył się ubierać i wyszli razem. Biff kupił w sklepie czarną wstążkę i odwiedził kaznodzieję z kościoła Alice. Kiedy wszystko zostało załatwione, wrócił do domu. W głowie kołatała mu myśl: „Trzeba uporządkować rzeczy”. Zgarnął suknie i rzeczy osobiste Alice, żeby dać je Lucile. Wysprzątał starannie i uporządkował szuflady w biurku. Zrobił nawet ład na półkach w kuchni na dole i zdjął kolorowe bibułkowe wstążki z elektrycznych wiatraczków. Kiedy z tym skończył, wszedł do wanny i wykąpał się. W ten sposób minął ranek.

Biff przegryzł nitkę i wygładził czarną opaskę na rękawie marynarki. Lucile pewnie już na niego czeka. Pojedzie z nią i z Baby pogrzebowym samochodem. Odstawił koszyk z szyciem i obciągnął starannie na ramionach marynarkę z żałobną opaską. Zanim wyszedł, rozejrzał się szybko po pokoju, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Godzinę później znajdował się w kuchence Lucile. Siedział skrzyżowanymi nogami, z serwetką na kolanach, pijąc herbatę z filiżanki. Lucile i Alice bardzo się pod

każdym względem różniły, jak to się często zdarza między siostrami. Lucile była szczupła i ciemnowłosa; dziś ubrana całkiem na czarno. Układała włosy Baby. Dziecko, siedzące na kuchennym stole z rączkami złożonymi na kolanach, czekało cierpliwie, a matka czesała je starannie. Pokój zalewało łagodne miękkie światło.

— Bartholomew... — zaczęła Lucile.

— Co?

— Czy myślisz czasem o tym, co było?

— Nie — odrzekł Biff.

— Wiesz, ja to tak jakbym nosiła cały czas końskie okulary. Nie chcę myśleć ani o tym, co się dzieje koło mnie, ani o tym, co się działo kiedyś. Mogę sobie co najwyżej pozwolić na to, by codziennie chodzić do pracy, przygotowywać posiłek i troszczyć się o przyszłość Baby.

— Bardzo słuszna postawa.

— Kazałam ułożyć włosy Baby u nas w zakładzie. Ale tak źle się trzymają, że myślę o zrobieniu trwałej ondulacji. Nie chcę zrobić tego sama; może wezmę ją do Atlanty, gdzie jadę na zjazd kosmetyczek i każę ją tam uczesać.

— Matko Boska! Ona ma dopiero cztery lata! To może ją przestraszyć. A poza tym włosy po trwałej ondulacji robią się często bardzo sztywne.

Lucile umoczyła grzebień w szklance wody i pogładziła loki nad uszami Baby.

— Nie, nic podobnego. A ona potrzebuje trwałej. Choć Baby jest jeszcze bardzo mała, ma już tyle samo ambicji co ja. To znaczy dużo.

Biff, polerując paznokcie o wierzch dłoni, potrząsnął głową.

— Ile razy chodzę z nią do kina i oglądamy dzieci w różnych dobrych rolach, reaguje tak samo jak ja. Przysięgam ci, że tak jest. Nie mogę nawet skłonić jej potem do zjedzenia kolacji.

— Na litość boską — powiedział Biff.

— Takie śliczne robi postępy na lekcjach tańca i rytmik Chcę, żeby w przyszłym roku zaczęła uczyć się gry na fortepianie, bo myślę, że przyda jej się to, zostanie artystką. Nauczyciel tańca zamierza powierzyć jej partię solową na popisowym wieczorku. Czuję, że muszę za wszelką cenę dbać o karierę Baby. Bo im prędzej ją rozpocznie, tym lepiej dla nas obu.

— Matko Boska!

— Ty tego nie rozumiesz! Utalentowane dziecko nie może być traktowane jak zwyczajne dzieci. Dlatego też chcę zabrać stąd Baby. Nie mogę pozwolić, by zaczęła mówić tak jak te bachory tutaj albo latać jak szalona tak jak one.

— Znam dzieci z tej ulicy — wtrącił Biff. — Wszystkie są zupełnie na poziomie. Ci mali Kelly po tamtej stronie... chłopiec Crane'ów...

— Wiesz doskonale, że żadne z nich nie dorównuje poziomem Baby.

Poszczypała małą w policzki, by mocniej poróżwiały. Potem zdjęła ją ze stołu. Baby ubrana była na pogrzeb w krótką białą sukienkę, białe buciki i skarpetki, i białe rękawiczki. Miała specjalny sposób trzymania głowy, kiedy ludzie patrzyli na nią, i tak właśnie trzymała ją teraz.

Siedzieli chwilę w milczeniu w małej gorącej kuchence. Potem Lucile zaczęła płakać.

— Nie żyłyśmy zbyt blisko jako siostry. Różniłyśmy się w wielu sprawach i rzadko się widywałyśmy. Może dlatego, że ja byłam o tyle młodsza. Ale są jakieś rodzinne więzy i gdy zdarza się coś takiego...

Biff wydawał jakieś pocieszające pomruki.

— Wiem, jak było między wami — mówiła dalej. — Nie zawsze najlepiej. Ale może dlatego jest ci teraz jeszcze gorzej.

Biff ujął Baby pod pachy i posadził sobie na ramieniu. Dziewczynka stawała się coraz cięższa. Wchodząc do saloniku, trzymał ją ostrożnie. Baby ciepła i przytulona do jego ramienia, w jedwabnej sukience, odbijała białą plamą na tle ciemnego garnituru. Chwyciła go mocno małą rączką za ucho.

— Wujo Biff! Popatrz, jak robię szpagat!

Opuścił ją łagodnie na podłogę. Uniosła łukiem ramiona nad głowę, a jej nogi rozsunęły się wolno w dwie strony na żółtej woskowanej podłodze. Usiadła na sekundę z jedną nogą wyciągniętą do przodu, a drugą do tyłu. Upozowała się trzymając ręce pod jakimś dziwnym kątem i spoglądała w bok na ścianę ze smutną minką.

Po chwili dźwignęła się na nogi.

— Popatrz, jak fiknę koziołka. Popatrz, jak...

— Kochanie, uspokój się — upomniała Lucile. Usiadła obok Biffa na pluszowej kanapie. — Czy ona ci go trochę nie przypomina? Ma coś podobnego w oczach i twarzy.

— Do licha, nie! Nie widzę najmniejszego podobieństwa pomiędzy Baby a Leroyem Wilsonem.

Lucile wydawała się na swój wiek zbyt szczupła i zniszczona. Może dlatego, że miała na sobie czarną suknię, a może dlatego, że płakała.

— Ostatecznie on jest ojcem Baby — powiedziała.

— Czy nigdy nie potrafisz zapomnieć o tym człowieku?

— Nie wiem. Sądzę, że byłam zawsze zwariowana na punkcie Leroya i Baby.

Cień zarostu wydawał się sinawy na twarzy Biffa, a w jego głosie brzmiało znużenie.

— Czy nigdy nie przemyślałaś tego do głębi i nie uprzytomniłaś sobie, co się stało i jakie powinny być tego skutki? Czy nigdy nie myślisz logicznie: jeśli takie są fakty, wynika z nich to a to?

— Chyba nie, kiedy o niego chodzi

Biff mówił zmęczonym głosem, z przymkniętymi oczami.

— Wyszłaś za tego typu, kiedy miałaś siedemnaście lat. Potem były między wami ciągle awantury. Rozwiódłaś się z nim. Po dwóch latach wyszłaś za niego powtórnie. Teraz znów zniknął, a ty nie wiesz, gdzie się podziewa. Te fakty powinny były cię przekonać o jednym: że do siebie nie pasujecie. Tak w życiu bywa.

— Bóg mi świadkiem, że przez cały czas zdawałam sobie sprawę, że to łajdak. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie zapuka do tych drzwi.

— Popatrz, Baby — powiedział szybko Biff, splótł palce i podniósł ręce. — Idzie kominiarz po drabinie. Fik-mik już jest w kominie.

Lucile potrząsnęła głową.

— Nie troszcz się o Baby. Ja jej mówię wszystko. Zna tę paskudną sprawę od A do Z.

— A jeśli wróci, to znowu pozwolisz mu zostać i żerować na sobie, jak długo mu się spodoba? Tak jak przedtem?

— Sądzę, że tak. Ilekroć rozlega się dzwonek do drzwi, zadzwięczy telefon lub ktoś wejdzie na ganek, natychmiast myślę, że to on.

Biff rozłożył ręce.

— No, widzisz!

Zegar wybił drugą. W pokoju było zacisznie i ciepło. Baby fiknęła drugiego koziołka i zrobiła szpagat na śliskiej podłodze. Potem Biff wziął ją na kolana. Małe nóżki zwisały wzdłuż jego łydki. Odpięła mu kamizelkę i ukryła twarz na jego piersi.

— Słuchaj — powiedziała Lucile. — Czy obiecasz, że powiesz mi prawdę, jeśli cię o coś zapytam?

— Oczywiście.

— Niezależnie od tego, co to będzie?

Biff dotknął ręką miękkich złotych włosów Baby i pogłaskał ją po głowie.

— Naturalnie.

— To było jakieś siedem lat temu. Krótco po tym, jakeśmy się pierwszy raz pobrali. On przyszedł któregoś wieczoru z twojej restauracji z guzami na głowie i powiedział, że złapałeś go za kark i waliłeś jego głową o ścianę. Opowiedział jakąś bajeczkę, wyjaśniając, dlaczego to zrobiłeś, ale chciałabym znać prawdziwą przyczynę.

Biff obrócił obrączkę na palcu.

— Po prostu nigdy nie lubiłem Leroya i pobiliśmy się. Byłem wtedy inny niż teraz.

— Nie. Był jakiś określony powód, dla którego to zrobiłeś. Znamy się od dość dawna i wiem, że niczego nie robisz bez powodu. Kierujesz się logiką, a nie zachciankami. Obiecałeś, że mi powiesz, i chcę wiedzieć, o co chodziło.

— To teraz nie ma znaczenia.

— Mówię ci, że muszę wiedzieć.

— Dobrze — zgodził się Biff. — A więc przyszedł tamtego wieczoru i zaczął pić, a kiedy się upił, wygadywał na ciebie. Opowiadał, że przychodzi do domu mniej więcej raz w miesiącu i tłucze cię, ile wlezie, a ty to znosisz. A potem wychodzisz na schody i śmiejesz się głośno, żeby sąsiedzi myśleli, że wyście się przed chwilą dobrze bawili i że to wszystko były żarty. A więc było tak, a teraz zapomnij o tym.

Lucile siedziała sztywno wyprostowana, na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

— Widzisz, Bartholomew, dlaczego muszę się zachowywać tak, jakbym miała cały czas na głowie końskie okulary. Nie rozmyślać o tym, co było, nie patrzeć w bok, tylko myśleć o pracy, o przygotowaniu tu w domu trzech posiłków dziennie i o karierze Baby.

— Tak.

— Mam nadzieję, że ty zrobisz tak samo i nie zaczniesz rozmyślać o przeszłości...

Biff spuścił głowę na piersi i zamknął oczy. Przez cały długi dzień nie był w stanie myśleć o Alice. Kiedy próbował sobie przypomnieć jej twarz, czuł dziwną pustkę. Jedyne, co miał w pamięci, to jej stopy, bardzo miękkie i białe, z małymi, wypukłymi palcami. Od spodu były różowe, a w okolicy lewej pięty znajdował się drobny brunatny pieprzyk. W ich noc poślubną zdjął Alice pantofle i pończochy i całował jej stopy. I gdy pomyśleć o tym, warto się zastanowić, bo skoro Japończycy uważają, że najdoskonalsza część ciała kobiety...

Biff drgnął i popatrzył na zegarek. Niedługo pójda do kościoła, gdzie odbędzie się nabożeństwo żałobne. W myśli widział wszystkie kolejne stadia ceremonii. Kościół, jazda z Lucile i Baby za karawanem w takt żałobnych pień, grupka ludzi stojąca z pochylonymi głowami w październikowym słońcu. Słoneczny blask na białych grobowcach i więdnących kwiatach, i na płóciennej płachcie okrywającej świeżo wykopany grób. Potem znowu dom — i co dalej?

— Żeby nie wiem jak się kłócić, rodzona siostra to jest jednak coś — powiedziała Lucile.

Biff podniósł głowę.

— Dlaczego nie wyjdiesz po raz drugi za mąż? Za jakiegoś miłego kawalera, który zaopiekowałby się tobą i Baby?

Gdybyś zapomniała o Leroyu, byłabyś świetną żoną dla porządnego faceta.

— Wiesz, jak było między nami, prawie zawsze rozumieliśmy się dobrze bez żadnych dodatkowych uczuć. Nie mam ochoty na bliższe stosunki z kimkolwiek.

— Ja czuję to samo — odrzekł Biff.

Pół godziny później zapukano do drzwi. Przed domem stał samochód pogrzebowy. Biff i Lucile podnieśli się powoli. We troje, z Baby w białej jedwabnej sukience na przedzie, wyszli z domu spokojnym, uroczystym krokiem.

Przez cały następny dzień Biff nie otwierał restauracji. Dopiero pod wieczór zdjął zwiędły wieniec z drzwi frontowych i otworzył znów lokal. Stali bywalcy wchodzili ze smutnymi minami, zatrzymywali się chwilę przy bufecie, by z nim porozmawiać, i dopiero potem zamawiali coś do zjedzenia. Zjawili się Singer, Blount i inni mężczyźni zatrudnieni w sklepach na sąsiednich ulicach i w fabrykach nad rzeką. Po kolacji przysła ze swoim braciszkiem Mick Kelly i wrzuciła do automatu pięć

centów. Kiedy je straciła, zabębniła po nim pięściami i otworzyła parę razy szufladkę, by upewnić się, że nic do niej nie wpadło. Potem wrzuciła drugą pięciocentówkę i wygrała nieomal najwyższą stawkę. Monety wypadły z brzękiem i rozsypały się po podłodze. Dziewczynka z bratem zaczęli je szybko zbierać, przez cały czas rozglądając się bystro, by któryś z gości nie zakrył ich nogą. Głuchoniemy siedział przy stoliku na środku sali, a przed nim stał zamówiony obiad. Na wprost niego Jake Blount w swoim niedzielnym ubraniu pił piwo i gadał. Wszystko było tak jak zawsze. Po chwili powietrze poszarzało od dymu z papierosów, a gwar wzmógł się jeszcze bardziej. Biff był czujny; żaden dźwięk, żaden ruch nie uszedł jego uwagi.

— Chodzę — mówił Blount — i próbuję ich przekonać. — Przechylił się z powagą przez stół i utkwiał wzrok w twarzy głuchoniemego. — A oni się śmieją. Nie potrafię im nic wytłumaczyć. Choćbym nie wiem co mówił, nie mogę sprawić, by ujrzeli prawdę.

Singer kiwnął głową i otarł usta serwetką. Obiad wystygł mu, bo nie mógł spuścić oczu na talerz, z uprzejmości pozwalając mówić Blountowi bez przerwy. Jasne, wysokie głosiki dzieci stojących koło automatu brzmiały czysto przy ochryplych głosach mężczyzn. Mick wpychała nowe pięciocentówki do otworu automatu, spoglądając często na środkowy stolik, ale głuchoniemy, odwrócony tyłem, nie widział jej.

— Pan Singer dostał na kolację pieczonego kurczaka i jeszcze go nie ruszył — zauważył chłopczyk.

Mick pociągnęła bardzo wolnym ruchem dźwignię automatu.

— Pilnuj swego nosa.

— Chodzisz zawsze na górę do jego pokoju albo tam, gdzie wiesz, że on będzie.

— Powiedziałam, żebyś był cicho, Bubber.

— Ale robisz tak.

Mick potrząsnęła chłopcem, aż zaszczekały mu zęby, i odwróciła go w stronę drzwi.

— Marsz do domu, do łóżka! Powiedziałam ci już, że mam was dość z Ralphem przez cały dzień i nie chcę, żebyście jeszcze wieczorem kręcili się koło mnie, kiedy powinnam mieć czas dla siebie.

Bubber wyciągnął brudną rączkę.

— No to daj mi pięć centów. — Włożył monetę do kieszonki koszuli i poszedł do domu.

Biff obciągnął marynarkę i przyglądał włosy. Miał czarny krawat i żalobną opaskę na rękawie, którą sam sobie przyszył. Pragnął podejść do automatu i porozmawiać z Mick, ale coś go powstrzymywało od tego. Wciągnął głęboko oddech i wypił szklankę wody. W radiu odezwała się orkiestra taneczna ale nie chciał jej słuchać. Wszystkie melodie na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat wydawały mu się takie podobne, że nie umiał ich od siebie odróżnić. Od 1928 roku nie sprawiała mu już przyjemności muzyka. Choć w młodości grywał na mandolinie i znał słowa i melodie wszystkich popularnych piosenek.

Przyłożył palec do nosa i przekrzywił głowę w bok. Mick tak urosła w ostatnim roku, że niedługo będzie wyższa od niego. Ubrana była w czerwony sweter i granatową plisowaną spódniczkę, którą nosiła co dzień, od kiedy zaczęła się szkoła. Fałdy jej już się rozeszły, a odpruty obrąbek opadał na sterzące ostro kolana. Była w tym wieku, kiedy wyglądała równie dobrze na wyrosniętą dziewczynkę, jak na chłopca podrostopka. Dlaczego najbystrzejsze umysły przeważnie nie rozumieją istoty rzeczy? Ludzie są z natury dwupłciowi. Małżeństwo i łóżko to bynajmniej nie wszystko. A dowód tego? Młodość i starość. Często głosy starych mężczyzn stają się wysokie i ostre i chodzą oni drobnym kroczkiem. A stare kobiety tyją nieraz, rośnie im mały ciemny wąsik, głos staje się niski i ochrypły. Nawet sam na sobie miał dowód — jakaś część jego istoty nieomal pragnęła być matką Mick i Baby. Biff odwrócił się raptownie od kasy.

Gazety leżały w nieładzie. Od dwóch tygodni nie wciągnął do swego rejestru ani jednej. Wyjął cały ich plik spod lady. Doświadczonym wzrokiem przebiegł stronicę od nagłówka do samego dołu. Jutro przejrzy stosy nagromadzone w pokoju na tyłach domu i zobaczy, czy nie da się zmienić systemu układania. Można by zrobić półki i wykorzystać na szuflady te mocne skrzynie po konserwach. Ułożyć pisma chronologicznie od października 1918 roku po dzień dzisiejszy. W teczkach z adnotacjami określającymi wydarzenia historyczne. Trzy rodzaje adnotacji. Pierwsza: sprawy międzynarodowe od dnia zawieszenia broni do konsekwencji w Monachium. Druga: zagadnienia narodowe. Trzecia: informacje lokalne od dnia, gdy burmistrz Lester zastrzelił w miejscowym klubie swoją żonę, do pożaru w fabryce Hudsona. Wszystkie wiadomości z ubiegłych dwudziestu lat skompletowane, zarejestrowane, opatrzone adnotacjami. Biff, pocierając ręką brodę, uśmiechnął się pogodnie. Alice

chciała, żeby wyniósł papiery, chciała zmienić ten pokój w damską toaletę. Chciała gderaniem zmusić go do tego, ale raz przynajmniej zwyciężył on. Ten jedyny raz.

Biff zagłębił się spokojnie w wiadomościach, które podawała leżąca przed nim gazeta. Czytał w skupieniu i z uwagą, lecz z przyzwyczajenia druga część jego istoty czujna była na wszystko, co działo się dokoła. Jake Blount mówił dalej i często walił pięścią w stół. Głuchoniemy popijał piwo. Mick krążyła niespokojnie koło radia, przyglądając się gościom. Biff przeczytał od deski do deski pierwszą gazetę i zrobił na marginesie parę uwag.

Nagle ze zdziwieniem podniósł głowę. Zamknął otwarte do ziewnięcia usta. W radiu zabrzmiała stara piosenka z czasów, kiedy byli zaręczeni z Alice: „Modlitwa dziecka o zmierzchu”. Pewnej niedzieli pojechali tramwajem do Old Sardis Lake i wynajęli łódkę. O zachodzie słońca on grał na mandolinie, Alice śpiewała. Miała na głowie marynarski kapelusik, a gdy ją objął...

Sieć na wygasłe uczucia.

Biff złożył gazety i wsunął je z powrotem pod ladę. Stanął na jednej nodze, potem na drugiej. W końcu zawołał przez salę do Mick:

— Nie słuchasz, prawda?

Mick zamknęła radio.

— Nie. Nie ma dziś nic ciekawego.

Nie dopuści do siebie tego wszystkiego, skoncentruje się na czymś innym. Przechylił się przez ladę i kolejno przyglądał się swoim gościom. W końcu uwaga jego skupiła się na głuchoniemym, siedzącym przy środkowym stoliku. Spostrzegł, że Mick pomalutku podchodzi do niego coraz bliżej, a kiedy ją zaprosił usiadła. Singer wskazał jakąś pozycję w karcie i kelnerka przyniosła dla niej coca-colę. Nikt inny, tylko taki dziwak jak głuchoniemy mógł zaprosić dziewczynkę, by usiadła przy stoliku, przy którym on pił z drugim mężczyzną. Blount i Mick nie spuszczaali wzroku z Singera. Rozmawiali, a twarz niemowy zmieniała się, gdy patrzył na nich. Zabawne. Czy powód tego tkwił w nich, czy w nim? Siedział spokojnie, z rękami w kieszeniach, a ponieważ się nie odzywał, wyglądał tak, jakby nad nimi górował. Co ten człowiek myślał, z czego zdawał sobie sprawę? Co wiedział?

Dwa razy w ciągu wieczora Biff chciał podejść do środkowego stolika i za każdym razem powstrzymał się. Kiedy wszyscy wyszli, myślał dalej o głuchoniemym, a gdy o świcie położył się do łóżka, ciągle jeszcze wirowały mu po głowie pytania, na

które nie mógł znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Ta zagadka intrygowała go mocno. Dręczyła go i budziła niepokój. Coś tu było nie w porządku.

3.

Doktor Copeland wiele razy rozmawiał z Singerem. Różnił się on naprawdę od innych białych. Był człowiekiem mądrym i pojmował prawdziwy sens życia inaczej, niż oni go pojmowali. W jego twarzy było coś szlachetnego, jakiś rys żydowski, jakaś mądrość człowieka należącego do prześladowanej rasy. Pewnego razu zabrał Singera na swój codzienny obchód. Prowadził go przez zimne wąskie korytarze, wypełnione wonią brudu, chorób i smażeniny. Pokazał mu udane przeszczepienie skóry na twarzy pacjentki, która się mocno poparzyła. Miał pacjenta, małego syfilityka, i pokazał Singerowi łuszczącą się skórę na dłoniach dziecka, ciemną i mętną powierzchnię oka, chwiejące się górne siekacze. Odwiedzali dwuizbowe rudery, w których mieszkało po dwanaście, czternaście osób. W pewnym pokoju, gdzie na kominku tlił się pomarańczowy ogieniek, patrzyli bezradnie, jak męczył się jakiś staruszek chory na zapalenie płuc. Singer siedł za doktorem, przyglądał się i rozumiał wszystko. Rozdawał dzieciom pięciocentówki, a ponieważ zachowywał się spokojnie i przyzwoicie, nie niepokoił pacjentów, jak mógłby robić ktoś inny.

Dnie były chłodne, a pogoda zdradziecka. W mieście wybuchła grypa. Doktor Copeland był zajęty przez większą część dnia i nocy. Jeździł po dzielnicach murzyńskich wysokim dodgem, którego używał od dziewięciu lat. Zamykał szczelnie szybki z miki, by ustrzec się przeciągów, a szyję okręcał ciasno szarym wełnianym szalikiem. W tym czasie nie widywał Portii, Williama ani Highboya, ale często o nich myślał. Raz, kiedy nie było go w domu, przysłała Portia, zostawiła karteczkę i pożyczyła pół woreczka mąki.

Pewnej nocy był tak wyczerpany, że choć miał jeszcze kilka wizyt do odbycia, wypił gorące mleko i położył się do łóżka. Było mu zimno, miał gorączkę i z początku nie mógł usnąć. A kiedy zdawało mu się, że dopiero co zasnął, obudził go jakiś głos. Wstał znużony z łóżka i w długiej flanelowej nocnej koszuli poszedł otworzyć drzwi. Na progu stała Portia.

— Niech nam Jezus pomaga, ojcie — pozdrowiła go.

Doktor stał drżąc i zaciskając nocną koszulę na piersi. Podniósł rękę do gardła i patrzył wyczekująco na Portię.

— Chodzi o Williego. Ten nieznośny chłopak wpakował się w straszne kłopoty, a my musimy coś na to poradzić.

Doktor sztywnym krokiem wyszedł z holu. Zatrzymał się w sypialni, by włożyć szlafrok i pantofle i narzucić na ramiona szal, potem wrócił do kuchni. Portia czekała tam na niego. Kuchnia była zimna i ziała pustką. No więc co on takiego zrobił?

— Zaczekaj chwilę. Pozwól mi odzyskać zmysły i ochłonąć, żebym mogła to wszystko przemyśleć i opowiedzieć ci dokładnie.

Zgniółł gazety leżące na palenisku i dołożył parę patyków na podpałkę.

— Pozwól, że ja rozpalę ogień. Ty usiądź sobie przy stole a jak tylko ta kuchnia się rozgrzeje, napijemy się po filiżance kawy. Może wtedy to wszystko nie będzie się wydawało takie okropne.

— Nie ma kawy. Zużyłem resztę wczoraj.

Na te słowa Portia zaczęła płakać. Wepchnęła gwałtownym ruchem gazety i drzewo do pieca i podpaliła drżącą ręką.

— To było tak — zaczęła. — Willie i Highboy płatali się dziś w miejscu, gdzie nie mieli nic do roboty. Wiesz przecież, jak mi na tym zależy, żeby mieć ich zawsze blisko siebie. Gdybym ja tam była, nie przytrafiłoby się żadne nieszczęście. Ale poszłam do kościoła na zebranie kobiet, a chłopcy nie mieli co robić. Poszli więc do Pałacu Rozkoszy madame Reby. To na pewno złe, występne miejsce, ojciec. Czego im tam nie zachwalali, byle tylko zapłacili... A te zarozumiałe czarne dziwki, i zasłony z czerwonego atlasu, i...

— Córkó — przerwał z irytacją doktor, przyciskając ręce do skroni — znam to miejsce. Mów dalej.

— Była tam Love Jones... To zła, zepsuta czarna dziewczyna. Willie podpił sobie i tańczył z nią, aż ni z tego, ni z owego wdał się w bójkę. W bójkę o Love z chłopakiem, co się nazywa Junebug. Najpierw się bili na pięści, a potem ten Junebug wyciągnął nóż. Nasz Willie nie miał noża, zaczął więc biegać po pokoju i wrzeszczeć. W końcu Highboy znalazł brzytwę i dał ją Williemu, a ten wpadł w szal i o mało nie odciął głowy Junebugowi.

Doktor owinął się szczelniej szalem.

— Czy on nie żyje?

— To taki podły chłopak, że nie umrze. Jest w szpitalu, ale wyjdzie stamtąd niedługo i narobi znowu kłopotu.

— A William?

— Przyjechała policja i zabrali go do więzienia. Siedzi tam zamknięty.

— Nie jest poraniony?

— Ma podbite oko i małe skaleczenie na siedzeniu. Ale nic mu nie będzie. Czego nie mogę zrozumieć, to tego, jak to się stało że on się zadawał z tą Love. Ona jest co najmniej dziesięć razy czarniejsza ode mnie i to najbrzydsza Murzynka, jaką w życiu widziałam. Chodzi tak, jakby miała jajko między nogami i bała się je stłuc. I jest brudna. I żeby to przez nią William pokrajał tego typa!

Doktor przysunął się bliżej pieca i chrząknął. Zakaszłał, twarz mu zeszywniała. Podniósł do ust papierową chustkę, która splamiła się krwią. Ciemną skórę jego twarzy pokryła zielonkawa bladość.

— Oczywiście Highboy przyszedł mi zaraz powiedzieć, jak to się stało. Zrozum, mój Highboy nie miał nic do czynienia z tymi wstrętnymi dziewczynami. Poszedł tam tylko razem z Williem. Tak się o niego martwi, że siedzi cały czas na chodniku przed więzieniem. — Ogień barwił na kolorowo łzy, które spływały po twarzy Portii. — Wiesz, jak my troje żyjemy wspólnie. Mamy nasz plan i jak dotąd nic go nigdy nie zepsuło. Nawet z pieniędzmi nie mieliśmy żadnych kłopotów. Highboy płaci komorne, ja kupuję żywność, a Willie troszczy się o sobotnie wieczory. Żyliśmy zawsze jak zgodne trojaczki.

Siedzieli tak, aż wstał ranek. Syreny fabryczne zawyły na pierwszą zmianę. Wzeszło słońce i oświetliło czyste patelnie wiszące na ścianie nad kuchnią. Siedzieli razem długo. Portia szarpała kolczyki, aż uszy jej przybrały fioletowoczerwoną barwę. Doktor ciągle jeszcze miał twarz ukrytą w dłoniach.

— Wydaje mi się — powiedziała Portia — że pomogłoby coś może, jakby namówić większą liczbę białych do napisania listów w sprawie Williego. Byłam już u pana Brannona. Napisał dokładnie to, o co go prosiłam. Jak co noc siedział w swojej restauracji, kiedy to się stało. Poszłam tam i wyjaśniłam mu wszystko. Zabrałam ten list do domu i włożyłam go w Biblię żeby nie zginął albo się nie ubrudził.

— Co jest napisane w liście?

— Pan Brannon napisał go tak, jak go poprosiłam. W liście jest napisane, że Willie już trzeci rok pracuje u pana Brannona i że to wspaniały, wyjątkowy chłopiec, i

że nigdy dotąd nie był wmieszany w żadne awantury. W liście jest też mowa o tym, że w restauracji ma on pełno okazji, żeby coś ukraść, gdyby był jak inni murzyńscy chłopcy, i że...

— Ech! — powiedział doktor. — To wszystko na nic.

— Nie możemy tak siedzieć z założonymi rękami, a biedaka tymczasem będą trzymać w więzieniu. Mój Willie, kochany chłopak, choć tak źle dzisiaj postąpił! Nie możemy tak siedzieć i czekać.

— A jednak będziemy musieli. To jedyne, co nam pozostało.

— Ja nie mam zamiaru.

Portia wstała z krzesła. Zatroskanym wzrokiem błędziła po pokoju, jakby czegoś szukała. Potem nagle skierowała się w stronę drzwi.

— Zaczekaj chwilę — powiedział doktor. — Dokąd zamierzasz teraz iść?

— Idę do pracy. Muszę się jej przecież trzymać. Muszę pozostać u pani Kelly i zarobić coś co tydzień.

— Chcę pójść do więzienia — oznajmił doktor. — Może uda mi się zobaczyć Williama.

— Ja tam wpadnę, idąc do pracy. Muszę posłać także Highboya do roboty, inaczej gotów siedzieć i zamartwiać się o Williama cały dzień.

Doktor ubrał się szybko i w holu przyłączył do Portii. Wyszli w chłodny, błękitny jesienny ranek. Strażnicy więzienni byli dla nich tak opryskliwi, że bardzo niewiele zdołali się tam dowiedzieć. Potem doktor poszedł po radę do prawnika, z którym miał wcześniej jakieś sprawy. Następne dni były długie i pełne dręczących myśli. Po trzech tygodniach William stanął przed sądem i uznano go winnym napadu z bronią w rękę. Skazano go na dziewięć miesięcy ciężkich robót i wysłano natychmiast do więzienia w północnej części stanu.

Nawet teraz przyświecał mu określony cel, lecz nie było czasu, by nad nim rozmyślać. Chodził od domu do domu, a jego praca nigdy się właściwie nie kończyła. Wczesnym rankiem wyjeżdżał swoim samochodem, potem, o jedenastej, zaczynali schodzić się do niego pacjenci. Po ostrym jesiennym powietrzu, którym oddychał na dworze, nieświeży zaduch wypełniający dom przyprawiał go o kaszel. Ławki w holu były zawsze pełne chorych, cierpliwych Murzynów, którzy na niego czekali, a niekiedy nawet ganek i sypialnia były zatłoczone. Pracował cały dzień, a nieraz nawet i pół

nocy. Bywał tak zmęczony, że czasem pragnął położyć się na podłodze, walić w nią pięściami i krzyżeć. Gdyby mógł odpocząć, poczułby się lepiej. Miał gruźlicę płuc; mierzył sobie temperaturę cztery razy dziennie, a raz na miesiąc chodził się prześwietlać. Ale nie mógł odpocząć. Istniała bowiem rzecz ważniejsza niż zmęczenie, a był nią realny, ważny cel.

Myślał o nim tyle, że czasami po długiej dziennej i nocnej pracy czuł w sobie kompletną pustkę i na chwilę zapominał, po co żyje. A potem przypominał sobie znowu i gotów był z zapalem, bez wytchnienia rozpocząć pracę od nowa. Lecz słowa często więzły mu w gardle, a głos stawał się coraz cichszy i ochrypły. Z trudem rzucał te słowa w chore, cierpliwe twarze swoich braci, Murzynów.

Rozmawiał często z Singerem. O zagadnieniach chemicznych i o tajemnicy wszechświata. O mikroskopijnych komórkach spermy, o podziale dojrzałego jajeczka i o skomplikowanym niekończącym się dzieleniu komórek. O tajemnicy żyjącej materii i prostocie śmierci. Mówił z nim także na tematy rasowe.

— Moich braci przywieziono z rozległych równin i ciemnych zielonych dżungli — powiedział kiedyś do Singera. — Tysiące ich umierało w ciągu długiej drogi do morskich wybrzeży. Przeżyli tylko najsilniejsi. W kajdanach na brudnych statkach które ich tu przywiozły, co słabsi marli dalej. Tylko twardy Murzyni z silną wolą zdołali przeżyć. Bici, skuci łańcuchami sprzedawani na licytacji, zdołali przeżyć znów tylko najsilniejsi, aż w końcu w ciągu tych wszystkich ciężkich lat najdzielniejsi z moich braci przetrwali i żyją w tym kraju. Synowie i córki tamtych, ich wnuki i prawnuki.

— Przychodzę coś pożyczyć i prosić cię o coś — powiedziała Portia.

Doktor Copeland siedział sam w kuchni, kiedy przeszła przez hol i stanęła w progu z tymi słowami. Minęło już dwa tygodnie, od kiedy wysłano z miasta Williama. Portia zmieniła się. Włosy jej nie były natarte oliwą i zaczesane gładko jak zwykle, oczy miała przekrwione, jakby wypila dużo alkoholu. Policzki jej się zapadły. Ze swoją smutną twarzą barwy miodu bardzo przypominała matkę.

— Wiesz, chodzi o te twoje ładne białe talerzyki i filiżanki.

— Możesz je sobie wziąć.

— Nie, chcę je tylko pożyczyć. I jeszcze chcę cię o coś prosić.

— Proś, o co tylko chcesz.

Portia usiadła naprzeciwko ojca.

— Najpierw może powiem, o co chodzi. Dostałam wczoraj wiadomość od dziadunia, który pisze, że oni wszyscy przyjeżdżają tu jutro i spędzą wieczór i część niedzieli z nami. Oczywiście zmartwili się bardzo Williem i dziadunio uważa, że powinniśmy zebrać się razem. Ma rację. Ja też chcę zobaczyć się z rodziną. Bardzo mi tęskno za domem, kiedy nie ma Williego.

— Możesz wziąć talerze i wszystko, co tu znajdziesz — powiedział doktor. — Ale głowa do góry, córko. Nie należy się poddawać.

— To będzie prawdziwe rodzinne zebranie. Po raz pierwszy od dwudziestu lat dziadunio spędzi noc w mieście. W całym swoim życiu tylko dwa razy spał poza domem. W nocy bywa zdenerwowany; wstaje, pije wodę i sprawdza, czy dzieci są dobrze przykryte. Niepokoję się trochę, czy dziaduniowi będzie tu wygodnie.

— Wszystkie moje rzeczy, które twoim zdaniem mogą się przydać...

— Oczywiście przywiezie ich tu Lee Jackson — mówiła dalej Portia. — A podróż z nim zajmie im cały dzień. Nie spodziewam się ich wcześniej jak na kolację. Dziadunio ma zawsze tyle cierpliwości dla Lee Jacksona, że nie będzie go wcale poganiał.

— Boże! To ten stary muł jeszcze żyje? Musi już mieć z osiemnaście lat!

— Nawet więcej. Dziadunio ma go przeszło dwadzieścia lat i mówi zawsze, że Lee Jackson to jak ktoś z rodziny. Rozumie go i kocha jak własne wnuki. Nigdy nie widziałam człowieka, który by tak rozumiał zwierzęta. Bliskie mu jest wszystko, co je i się porusza.

— Dwadzieścia lat to długi okres pracy dla muła.

— Na pewno. Lee Jackson jest już bardzo słaby. Ale dziadunio dobrze o niego dba. Kiedy orzą na silnym słońcu, Lee Jackson ma na łbie duży słomkowy kapelusz, taki sam jak dziadunio — z dziurami wyciętymi na uszy. Ten słomkowy kapelusz muła to naprawdę śmieszna rzecz. Lee Jackson nie pociągnąłby pług na krok bez tego kapelusza na łbie.

Doktor zdjął z półki białe porcelanowe półmiski i zaczął zawijać je w gazetę.

— Czy masz dość garnków i patelni, żeby ugotować wszystko, co zechcesz?

— Mam pełno — odpowiedziała Portia. — Nie będzie specjalnego kłopotu. Dziadunio to gospodarz co się zowie — zawsze przywozi coś, by pomóc, kiedy rodzina

zjeżdża na obiad. Ja muszę przygotować tylko sporo mąki, kapustę i dwa funty ładnej ryby.

— To doskonale.

Portia splotła drżące palce.

— Jest jeszcze jedna rzecz, której ci nie powiedziałam. Niespodzianka. Przyjedzie tu Buddy i Hamilton. Buddy właśnie wrócił z Mobile i pomaga na fermie.

— Już pięć lat nie widziałem Karola Marksa.

— I właśnie przyszedłam cię o coś prosić. Pamiętasz, że jak weszłam w drzwi, powiedziałam, że przychodzę pożyczyć coś i o coś prosić.

Doktor szarpnął palce, aż zatrzeszczały stawy.

— O co?

— Przyszedłam, żeby się dowiedzieć, czy nie mógłbyś przyjść jutro na to spotkanie rodzinne. Będą tam wszystkie twoje dzieci z wyjątkiem Williego. Wydaje mi się, że powinieneś być z nami. Naprawdę bardzo bym się cieszyła, gdybyś przyszedł.

Hamilton i Karol Marks, Portia i William. Doktor zdjął okulary i przycisnął palce do oczu. Przez chwilę zobaczył ich wszystkich czworo bardzo wyraźnie, tak jak wyglądali dawno temu. Potem podniósł głowę i nałożył z powrotem okulary.

— Dziękuję — powiedział. — Przyjdę.

Tej nocy siedział sam przy piecu i wspominał. Myślał o czasach swego dzieciństwa. Matka jego urodziła się jako niewolnica, a po uzyskaniu wolności była praczką. Ojciec był kaznodzieją i znał Johna Browna. Uczyli go, a z dwóch czy trzech dolarów, które zarabiali tygodniowo, jeszcze oszczędzali. Kiedy skończył siedemnaście lat, posłali go na Północ z osiemdziesięcioma dolarami ukrytymi w bucie. Pracował u kowala, jako kelner i jako chłopiec hotelowy. A przez cały czas uczył się, czytał i chodził do szkoły. Ojciec umarł, a matka wkrótce po nim. Po dziesięciu latach zmagania został lekarzem, wiedział, jakie jest jego życiowe zadanie i wrócił znów na Południe.

Ożenił się i założył rodzinę. Chodził niezmordowanie od domu do domu, głosząc swoje posłannictwo i prawdę. Beznadziejne cierpienia jego ludu doprowadzały go do szału, budziły dziką, złą chęć niszczenia. Czasem pił i walił głową o podłogę. Tkwiła w nim jakaś dziwna gwałtowność; chwycił raz z paleniska pogrzebacz i uderzył żonę. Wyjechała do ojca zabrawszy ze sobą dzieci. Walczył ze sobą i pokonał złą, ciemną moc. Ale Daisy nie chciała do niego wrócić, a gdy osiem lat później umarła,

jego synowie nie byli już dziećmi i też do niego nie wrócili. Pozostał sam, stary, w pustym domu.

Następnego dnia o piątej po południu wyruszył do domu Portii i Highboya. Mieszkali w części miasta zwanej Sugar Hill; ich ciasny domek miał dwa pokoje i ganek. Z wewnątrz dochodził szmer zmieszanych głosów. Doktor wszedł sztywnym krokiem i stanął w drzwiach, trzymając w ręku zniszczony pilśniowy kapelusz.

W pokoju było tłoczno i z początku nikt go nie zauważył. Dostrzegł Hamiltona i Karola Marksa. Obok nich siedział dziadek i dwoje dzieci na podłodze. Doktor stał wpatrzony w twarze swoich synów, kiedy Portia spostrzegła go w drzwiach.

— O, jest ojciec!

Głosy umilkły. Dziadek obrócił się na krześle. Był chudy, zgarbiony, cały pomarszczony. Miał na sobie to samo zielonkawoczarne ubranie, co przed trzydziestu laty na ślubie córki. Kamizelkę przecinał mu matowy mosiężny łańcuszek od zegarka. Karol Marks i Hamilton spojrzeli na siebie, potem na podłogę i w końcu na ojca.

— Benedict Mady — zaczął starzec. — Dawne czasy. Naprawdę dawne.

— Prawda! — powiedziała Portia. — Po raz pierwszy od lat zebraliśmy się razem. Highboy, przynieś krzesło z kuchni. Ojczy, przywitaj się z Buddym i Hamiltonem.

Doktor uściskał ręce synom. Obaj byli wysocy, silni, niezgrabni. W zestawieniu z niebieskimi koszulami i kombinezonami skóra ich miała tę samą ciemnobrunatną barwę co skóra Portii. Nie patrzyli ojcu w oczy, w twarzach ich nie było ani miłości, ani nienawiści.

— Naprawdę szkoda, że wszyscy nie mogli przyjechać Ciotka Sara, Jim i reszta — powiedział Highboy. — Ale naprawdę przyjemnie widzieć was tutaj.

— Na wozie nie było miejsca — odezwało się jedno z dzieci. — Musieliśmy iść spory kawałek piechotą, bo wóz był całkiem pełny.

Dziadek podrapał się zapalką w ucho.

— Ktoś musiał zostać w domu.

Portia oblizwała nerwowo ciemne, wąskie wargi.

— Myślę o naszym Williem. On tak zawsze lubił wszystkie zebrania i zabawy. Nie schodzi mi z myśli.

Przez pokój przeszedł cichy, zgodny szmer. Starzec przechylił się do tyłu w krześle i pokiwał głową.

— Portia, kochana, może poczytasz nam trochę. Słowo Boże w ciężkich chwilach wiele znaczy.

Portia wzięła Biblię ze stołu stojącego na środku pokoju.

— Co chcesz usłyszeć, dziaduniu?

— To wszystko księga Boża. Czytaj tam, gdzie padnie twój wzrok.

Portia zaczęła czytać Ewangelię Świętego Łukasza. Czytała wolno, przesuwając po wyrazach długim poślinionym palcem. Panowało milczenie. Doktor siedział z boku, z trzaskiem wyłamując palce, oczy jego błędziły po pokoju. Był mały i duszny. Cztery ściany zawieszono były kalendarzami i kolorowymi ogłoszeniami wyciętymi z pism. Na kominku stał wazon czerwonych papierowych róż. W palenisku tlił się ogień, a chwiejny płomień oliwnej lampki rzucał cienie na ścianę. Portia czytała wolno i monotonicznie. Rytm jej słów podziałał na doktora usypiająco. Karol Marks leżał na podłodze wyciągnięty obok dzieci. Hamilton i Highboy drzemali. Jedyne starzec zdawał się śledzić treść czytanych przez Portię słów.

Portia skończyła rozdział i zamknęła książkę.

— Rozmyślałem nad tym wiele razy — odezwał się dziadek.

Zebrani w pokoju otrząsnęli się z senności.

— Nad czym? — spytała Portia.

— To jest tak. Pamiętacie te rozdziały, gdzie Jezus wskrzeszał umarłych i uzdrowiał chorych?

— Naturalnie, że pamiętamy, proszę pana — odrzekł Highboy tonem pełnym szacunku.

— Wiele razy przy orce albo przy innej jakiej pracy — mówił wolno dziadek — tak sobie rozmyślałem nad tymi czasami, kiedy Jezus zejdzie znów na ziemię. Bo tak zawsze tego pragnąłem, że wydawało mi się, że muszę dożyć tych dni. Rozmyślałem o tym wiele razy i tak to sobie uplanowałem: Stanę przed Jezusem ze wszystkimi moimi dziećmi, wnukami, z krewniakami i kumami i powiem Mu: „Jezu Chryste, oto my, biedni Murzyni”. A On położy swoją świętą rękę na naszych głowach i staniemy się biali jak bawełna. Taki plan, takie myśli wiele, wiele razy snułem w sercu.

W pokoju zaległo milczenie. Doktor obciągnął gwałtownie mankiety i odchrząknął. Puls bił mu bardzo szybko, gardło miał ściśnięte. Siedząc w kącie, czuł się opuszczony, zły i samotny.

— Czy ktoś z was otrzymał kiedyś znak z nieba? — spytał dziadek.

— Ja otrzymałem, proszę pana — powiedział Highboy. — Kiedy byłem chory na zapalenie płuc, zobaczyłem twarz Boga, który patrzył na mnie z kominka. To była duża twarz białego mężczyzny z siwą brodą i niebieskimi oczami.

— Ja widziałam ducha — powiedziała mała dziewczynka.

— A ja raz widziałem... — zaczął chłopczyk.

Dziadek uniósł rękę do góry.

— Dzieci, cicho. Ty, Cecylio, i ty, Whitman, macie teraz słuchać, a nie mówić. Ja tylko jeden raz otrzymałem prawdziwy znak. To było tak: W zeszłe gorące lato próbowałem wykopać ten duży dębowy pniak koło zagrody dla świń i jakem się schylił, złapał mnie straszny ból w krzyżach. Wyprostowałem się; wszystko wokół mnie wydawało się czarne. Przytknąłem rękę do pleców, spojrzałem w niebo i nagle zobaczyłem małego aniołka. Był to biały aniołek, taki mały jak polny groch, z jasnymi włosami, w białej szacie. Latał sobie wokół słońca. Poszedłem wtedy do domu i modliłem się. Czytałem przez trzy dni Biblię, zanim wyszedłem znowu w pole.

Doktor czuł wzbierający w nim dawny gniew. Do gardła napłynęły mu jakieś słowa, ale nie mógł ich wymówić. Będą słuchali tego starca, a na rozsądne słowa nie zwracają uwagi „To moja rodzina” — próbował tłumaczyć sobie, lecz ponieważ nie mógł się odezwać, ta myśl mu nie ulżyła. Siedział w ponurym napięciu.

— Dziwna rzecz — powiedział nagle dziadek. — Benedict Mady, taki dobry z ciebie lekarz. Powiedz, czemu dostaję czasem tych bóli w krzyżach, kiedy kopię albo sadzę przez dłuższy czas? Dlaczego dokucza mi ten ból?

— Ile masz lat?

— Coś między siedemdziesiątką a osiemdziesiątką.

Starzec lubił się kurować i zażywać lekarstwa. Ile razy przyjeżdżał z rodziną odwiedzić Daisy, kazał się badać i zabierał do domu leki i maści dla wszystkich. Ale po śmierci Daisy nie przyjeżdżał już i musiał zadowalać się środkami przeczyszczającymi i pigułkami na nerki, o których wyczytał w gazetach. Wpatrywał się teraz w doktora nieśmiało i prosząco.

— Pij dużo wody i jak najwięcej wypoczywaj — powiedział doktor.

Portia poszła do kuchni przygotować kolację. Ciepłe zapachy zaczęły wypełniać pokój. Toczyła się spokojna, leniwa rozmowa, lecz doktor nie słuchał jej i nie odzywał się. Karol Marks mówił o Joe Louisie, Hamilton mówił o gradzie, który zniszczył część zbiorów. Kiedy napotykali wzrok ojca, uśmiechali się i szurali nogami po podłodze. Wpatrywał się w nich w gniewnej udręce.

Zacisnął mocno zęby. Myślał tak dużo o Hamiltonie i Karolu Marksie, o Williamie i Portii, i o prawdziwych celach życia, jakie ongiś planował dla nich, że widok ich twarzy budził w nim jakieś ponure uczucia. Gdyby mógł im to kiedyś opowiedzieć, wszystko od samego początku aż po ten wieczór, ostry ból w sercu zmniejszyłby się trochę. Ale oni nie chcieliby słuchać ani zrozumieć.

Nie słuchał i nie patrzył, co się wokół niego dzieje. Siedział w kącie jak człowiek ślepy i niemy. Niebawem zasiedli przy stole do kolacji; starzec odmówił modlitwę. Ale doktor nie jadł. Kiedy Highboy przyniósł ćwiartkę dzinu i wszyscy śmiali się i podawali sobie butelkę z ust do ust, on i tego odmówił. Siedział sztywny i milczący. W końcu wziął kapelusz i wyszedł z domu bez pożegnania. Nie mógł wyrazić całej długo niewypowiadanej prawdy, a o innych rzeczach nie chciało mu się mówić.

Leżał w napięciu i nie spał całą noc. Następnego dnia była niedziela. Odbył sześć wizyt i koło południa zaszedł do pokoju Singera. Ta wizyta złagodziła uczucie osamotnienia; gdy się z nim pożegnał, był znów spokojny.

Zanim jednak znalazł się na ulicy, spokój znowu go opuścił. Coś się bowiem wydarzyło. Kiedy ruszył w dół po schodach, zobaczył nagle białego mężczyznę z dużą papierową torbą w ręku, więc przycisnął się do poręczy, żeby się z nim minąć. Ale biały biegł przeskakując po dwa stopnie, na oślep, i zderzyli się z taką siłą, że doktorowi zapało dech w piersiach. I poczuł się niedobrze.

— Chryste! Nie zauważyłem cię.

Doktor popatrzył na tamtego z bliska, lecz nie odpowiedział. Widział już kiedyś tego białego. Pamiętał krępą, ciężką sylwetkę i duże, niezgrabne ręce. Z nagłą lekarską uwagą przyjrzał się twarzy mężczyzny, bo w jego oczach dostrzegł dziwny wyraz oczywistego, choć utajonego obłędu.

— Przepraszam — powiedział biały.

Doktor oparł rękę na poręczy schodów i poszedł dalej.

4.

— Kto to był? — zapytał Jake Blount. — Kto to był ten wysoki, szczupły Murzyn, który przed chwilą stąd wyszedł?

Niewielki pokój był bardzo schludny. Słońce oświetlało kosz fioletowych winogron stojących na stole. Singer, z rękami w kieszeniach, siedział na odchylonym do tyłu krześle, zapatrzony w okno.

— Wpadłem na niego na schodach i spojrzał na mnie tak... no, nikt jeszcze tak paskudnie na mnie nie spojrzał.

Jake postawił na stole torbę, w której były butelki z piwem. Zdał sobie nagle sprawę, że Singer nie zauważył, że on jest w pokoju. Podszedł do okna i dotknął jego ramienia.

— Nie chciałem go potrącić, nie miał powodu tak na mnie patrzeć.

Jake wzdrygnął się. Choć słońce świeciło jasno, w pokoju było chłodno. Singer podniósł wskazujący palec do góry i wyszedł do sieni. Wrócił po chwili, niosąc wiaderko węgla i trochę drewna na podpałkę. Jake obserwował go, kiedy ukląkł przed paleniskiem. Połamał starannie parę patyków, ułożył je na podkładzie z papieru, a na tym wszystkim węgiel, zgodnie z jakąś swoją metodą. Z początku ogień nie chciał się rozpalić. Migoczące słabo płomyki tłamsiła czarna wijąca się smuga dymu. Singer przykrył ruszt podwójną warstwą gazet. Ciąg powietrza ożywił ogień. W pokoju zahuczało. Papier zapłonął i został wciągnięty w głąb pieca. Potrzaskujący, lekko pomarańczowy płomień buchnął na palenisku.

Pierwsze ranne piwo miało doskonały, łagodny smak. Jake połknął szybko swoją porcję i otarł wargi wierzchem dłoni.

— Dawno temu znałem jedną panią — powiedział. — Trochę mi ją przypominasz. Nazywała się Clara. Miała małą fermę w Teksasie. Wyrabiała pralinki na sprzedaż do miasta. Była to wysoka, tęga, przystojna kobieta. Nosiła długie workowate swetry, ciężkie obuwie i męski kapelusz. Mąż jej już nie żył, kiedy ją poznałem. Ale zmierzam do tego: gdyby nie ona nigdy nie poznałbym prawdy. Przeszedłbym przez życie jak miliony innych, którzy jej nie znają. Zostałbym kaznodzieją, robotnikiem włókienniczym albo subiektem. Mógłbym zmarnować całe swoje życie.

Jake zastanowił się i potrząsnął głową.

— Żeby zrozumieć, musisz się dowiedzieć, co było przedtem — Widzisz, jako chłopiec mieszkałem w Gastonii. Byłem drobnym mikrusem z iksowatymi nogami, za małym na to, by dostać się do fabryki. Ustawiałem kręgle w kręgielni i dostawałem za to jeść. Potem dowiedziałem się, że zwinny, szybki chłopak może zarobić trzydzieści centów dziennie, niżąc tytoń na sznurek. Było to niedaleko od miejsca, gdzie pracowałem, poszedłem więc tam i zarabiałem trzydzieści centów na dzień. Miałem wtedy dziesięć lat. Porzuciłem właśnie moją rodzinę. Nie pisałem do nich. Byli zadowoleni, że sobie poszedłem. Wiesz przecież, jak to jest. Zresztą nikt z wyjątkiem mojej siostry nie potrafiłby przeczytać listu.

Machnął ręką, jakby ścierał coś z twarzy.

— Ale chcę powiedzieć to: najpierw wierzyłem w Jezusa. Pracował ze mną w szopie pewien człowiek. Miał namiot i wygłaszał co wieczór kazanie. Chodziłem tam, słuchałem i uwierzyłem. Przez cały dzień myślałem o Jezusie. W wolnych chwilach studiowałem Biblię i modliłem się. Pewnej nocy wziąłem młotek, położyłem rękę na stole i w uniesieniu przebiłem ją gwoździem. Patrzyłem na tę rękę przybitą do stołu, a moje palce drgały i siniały.

Jake wyciągnął dłoń i pokazał poszarpaną białawą bliznę.

— Pragnąłem zostać kaznodzieją. Zamierzałem chodzić po kraju, głosić kazania i urządzać zebrania religijne. Tymczasem przenosiłem się z miejsca na miejsce i gdy miałem już blisko dwadzieścia lat, przybyłem do Teksasu. Pracowałem w lasku pekanowym, niedaleko miejsca, gdzie mieszkała pani Clara. Zawarłem z nią znajomość i czasem wieczorami chodziłem do niej. Rozmawialiśmy. Jasne, że z początku nie wszystko rozumiałem. Nikt z nas nie pojmie tak od razu. Przychodzi to stopniowo. Zacząłem czytać. Pracowałem tyle, by móc odłożyć dość pieniędzy, rzucić pracę i się uczyć. Tak jakbym się po raz drugi narodził. Tylko my, którzy wiemy, możemy zrozumieć co to znaczy. Otwarły się nam oczy i zobaczyliśmy. Jesteśmy jak ludzie, którzy przyszli gdzieś z daleka.

Singer mu potakiwał. W pokoju było spokojnie i zacisznie Głuchoniemy wyjął z szafki blaszaną puszkę, w której trzymał sucharki, ser i owoce. Wybrał pomarańczę i obrał ją wolno ze skórki. Ściągał włókna, aż owoc stał się przezroczysty w słońcu. Rozdzielił owoc na części i ułożył dla każdego równą ilość. Jake połknął dwie naraz i

wypluł głośno pestki w ogień. Singer jadł swoją porcję wolno, a pestki ułożył starannie na dłoni. Otworzyli dwie następne butelki piwa.

— A ilu nas jest w tym kraju? Dziesięć tysięcy. Może dwadzieścia. Może dużo więcej. Byłem w wielu miejscowościach, ale spotkałem tylko paru takich jak my. Przypuśćmy jednak, że człowiek wie. Widzi świat takim, jakim jest, spogląda tysiące lat wstecz, by zgłębić, jak do tego doszło. Obserwuje powolne scalanie się władzy i kapitału, i szczyt, jaki osiągnęło to dzisiaj. Patrzy na Amerykę jak na dom szaleńców. Widzi, jak ludzie muszą rabować swoich braci, aby żyć. Widzi dzieci przymierające głodem i kobiety pracujące po sześćdziesiąt godzin tygodniowo, by mieć co włożyć do ust. Widzi tę nieszczęsną rzeszę bezrobotnych, a biliony dolarów i tysiące mil ziemi zmarnowane. Widzi nadchodzącą wojnę. Widzi, że kiedy ludzie tyle cierpią, to stają się podli i paskudni, i coś w nich zamiera. Ale przede wszystkim widzi, że świat jest zbudowany na kłamstwie. I choć to jasne jak słońce — ci, co nie wiedzą, żyli w tym kłamstwie tak długo, że nie potrafią go dostrzec.

Czerwone węzły żył na czole Jake'a nabrzmiały gniewnie. Schwycił wiaderko i z grzechotem sygnął w ogień lawinę węgla. Zdrętwiała mu noga, więc tupnął tak mocno, że aż podłoga zadrżała.

— Schodziłem całe to miasto. Obszedłem je wokół. Mówiłem, próbowałem im to wytłumaczyć. Ale na co się to zdało? Boże drogi!

Wpatrzył się w ogień. Pod wpływem piwa i żaru z pieca ciemne rumieńce wystąpiły mu na twarz. Drętwe klucie w stopie rozeszło się po całej nodze. Przymknął oczy. Płomienie ognia wydawały mu się teraz zielone, niebieskie, jaskrawożółte.

.—Tylko ty jeden — mówił sennie — ty jeden...

Nie czuł się tu już obcy. Znał teraz każdą ulicę i uliczkę, każdy płot w tych szeroko rozrzuconych dzielnicach nędzy, walących się ruder w mieście. Pracował dalej w wesołym miasteczku. Jesienią przenosiło się ono z jednego wolnego placu na drugi, pozostając zawsze w granicach miasta, aż w końcu okrążyło je całe. Zmieniał się teren, ale sceneria pozostawała ta sama: skrawek pustego placu otoczony rzędami zmurszałych bud, gdzieś w pobliżu fabryka, gręplarnia bawełny, rozlewnia. Publiczność też była zawsze ta sama, przeważnie robotnicy fabryczni i Murzyni. Plac, na którym odbywała się impreza, oświetlano wieczorem kolorowymi lampkami. Drewniane koniki karuzeli obracały się w kółko przy dźwiękach muzyki. Huśtawki wlatywały w niebo i opadały w dół, wokół barierki, za którą za centa rzucono do celu,

było zawsze tłoczno. W dwóch budkach sprzedawano napoje chłodzące, kanapki z wołowiną i cukierki.

Został zaangażowany jako mechanik, ale stopniowo rozszerzył się zakres jego obowiązków. Jego ochryply, donośny głos rozbrzmiewał wśród gwaru, chodził bez przerwy z jednego końca placu w drugi. Pot występował mu na czoło, wąsy miał często mokre od piwa. W sobotę zajęcie jego polegało na utrzymywaniu porządku. Z dziką energią przepychał przez tłum swoje krępe, muskularne ciało. Tylko oczy jego nie wyrażały gwałtowności. Szeroko otwarte pod mocno sklepionym, zmarszczonym czołem, miały wyraz daleki i udręczony.

Między dwunastą a pierwszą w nocy wracał do domu, który składał się z czterech pokoi, wynajmowanych po półtora dolara od osoby. Za domem znajdowała się ubikacja, przed domem hydrant. Ściany i podłoga w jego pokoju wydzielaly wilgotna kwaśną woń. W oknie wisiały tanie, czarne od sadzy firanki. Swoje porządne ubranie trzymał w walizce, kombinezon wieszał na gwoździu. Pokój nie miał elektryczności ani centralnego ogrzewania. Światło padało z ulicy oślepiając bladozielonkawym blaskiem. Jake nigdy nie zapalał lampy naftowej przy łóżku, chyba że chciał czytać. Ostry zapach palącej się w zimnym pokoju nafty przyprawiał go o mdłości.

Jeśli przebywał w domu, spacerował nerwowo po pokoju lub siedział na brzegu nieposłanego łóżka i ogryzał z dziką furią połamane, brudne paznokcie. W ustach miał ostry smak brudu. Czuł się tak strasznie samotny, że napełniało go to strachem. Miał zazwyczaj ćwierć galona spirytusu z przemytu. Pił więc ten mocny trunek i gdy wstawał dzień, było mu już ciepło i doznawał uczucia jakiegoś odprężenia. O piątej syreny fabryczne gwizdały na pierwszą zmianę. Dźwięki ich rozbrzmiewały niesamowitym, dalekim echem; nie mógł usnąć, dopóki ich nie usłyszał.

Ale zwykle nie siedział w domu, wychodził na wąskie puste ulice. W pierwszych godzinach ranka niebo było jeszcze czarne, a gwiazdy lśniły jasnym blaskiem. Czasem fabryki były w ruchu. Z budynków, w których oknach płonęło żółte światło, dochodził stukot maszyn. Czekał przed bramą, aż wyjdzie nocna zmiana. Na pogrążoną w mroku ulicę wynurzały się młode dziewczyny w swetrach i w sukienkach z wzorzystych kretonów. I mężczyźni z menażkami w ręku. Niektórzy z nich przed pójściem do domu szli jeszcze na coca-colę lub kawę. Jake szedł tam z nimi. W pełnej hałas fabryce mężczyźni słyszeli każde wypowiedane słowo, lecz gdy znaleźli się na ulicy, przez pierwszą godzinę nie słyszeli nic.

Jake pił coca-colę z whisky lub kawę i rozmawiał. Biały zimowy świt był blady i zasnuty dymem. Wpatrywał się z pijacką natarczywością w wychudzone, pożółkłe twarze. Często budziło to śmiech. Prostował wtedy swą krępą postać i odpowiadał pogardliwym wielosylabowym słowem. Odchyłał mały palec daleko od trzymanej szklanki i z wyższością podkreślał węża. A jeśli dalej się z niego wyśmiewano, brał się do pięści. Wymachiwał nimi z wściekłością i głośno szlochał.

Po takich rankach wracał z ulgą do wesołego miasteczka. Ogarniał go spokój, gdy przepychał się wśród tłumów. Hałas, smrodliwe wyziewy, dotknięcia ludzkich ciał kołysły jego roztrzęsione nerwy.

Na skutek surowych purytańskich praw panujących w mieście wesołe miasteczko było w niedzielę nieczynne. Tego dnia wstawał wcześniej i wyjmował z walizki swoje serżowe ubranie. Wychodził na główną ulicę. Najpierw wstępował do „New York Cafe” i kupował całą torbę piwa. Potem szedł do Singera. Choć znał z nazwiska i twarzy wielu ludzi w mieście, głuchoniemy był jego jedynym przyjacielem. Siedzieli beczynnie w cichym pokoju i pili piwo. Jake mówił. Wypowiadał słowa zrodzone z tych ciemnych poranków spędzanych na ulicach lub w samotności swego pokoju.

Ogień przygasł. Singer kładł pasjansa. Jake drzemał. Drgnął nerwowo i obudził się. Podniósł głowę i zwrócił się do przyjaciela.

— Tak — odezwał się jakby w odpowiedzi na niespodziewane pytanie — niektórzy z nas są komunistami. Ale nie wszyscy — ja na przykład nie jestem członkiem partii komunistycznej. Przede wszystkim dlatego, że znam tylko jednego komunistę. Można włóczyć się latami po świecie i nie spotkać innych. Nie ma tu blisko żadnego biura, gdzie człowiek mógłby pójść i powiedzieć, że chce się zapisać, a jeśli jest, nigdy o nim nie słyszałem. Nie można też po prostu pojechać do Nowego Jorku i tam wstąpić do partii. Jak powiedziałem, nigdy nie znałem żadnych komunistów prócz jednego, to był mały obdarty abstynent, któremu śmierdziało z ust. Pobiliśmy się. Nie żebym miał coś przeciwko komunistom. Chodzi o to, że nie mam specjalnie dobrego mniemania o Stalinie. Nie lubię takich rządów. Ale mimo to może powinienem się przyłączyć do komunistów. Sam nie wiem. A jak ty myślisz?

Singer zmarszczył czoło i zastanawiał się. Sięgnął po swój srebrny ołówek i napisał na swoim bloczku, że nie wie.

— Chodzi o to, że nie możemy siedzieć beczynnie. Kiedy znamy prawdę, musimy działać. Niektórzy z nas dostają bzika. Za dużo jest do zrobienia, nie wiadomo od czego zacząć. To doprowadza do szału. Nawet ja... robiłem rzeczy które teraz, kiedy patrzę na nie z daleka, nie wydają się rozumne. Raz sam założyłem organizację. Zebrałem dwudziestu włókniarzy i mówiłem do nich tak długo, aż wydawało mi się, że zrozumieli. Nasze motto to było jedno słowo: „Czyn”. Zamierzaliśmy podburzać do rozruchów, robić jak największe zamieszanie. Naszym celem była wolność, ale prawdziwa wolność, wspaniała wolność, możliwa w duszy człowieka tylko dzięki poczuciu sprawiedliwości. Nasze motto „Czyn” oznaczało zniszczenie kapitalizmu. W statucie, który sam napisałem, pewne punkty mówiły o zmianie tego motta na słowo „Wolność”, jak tylko dokonamy naszego dzieła.

Jake zastrugał zapałkę i zaczął dłużyć w bolącym zębie. Po chwili mówił dalej:

— Kiedy statut został napisany i pierwsi członkowie zorganizowani, wyruszyłem w podróż przygodnymi samochodami, by stworzyć inne równorzędne komórki. Wróciłem po trzech miesiącach i jak myślisz, co zastałem? Czy może poniósł ich słuszny gniew, czy zamiast planowej działalności poszli naprzód beze mnie? Organizując zniszczenie, mord, rewolucję?

Jake pochylił się do przodu w krześle. Po chwili mówił pośpiesznie dalej:

— Przyjacielu, oni ukradli z naszej kasy pięćdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści centów, aby kupić czapki i mieć pieniądze na kolacje w sobotnie wolne wieczory. Kiedy wróciłem, na stole konferencyjnym była szynka i galon dżinu, a oni w czapkach na głowach grali sobie w kości.

Nieśmiały uśmiech Singera był odpowiedzią na wybuch śmiechu Jake'a, lecz po chwili śmiech ten znikł. Jake śmiał się dalej. Żył na jego czole nabrzmiała, twarz była purpurowa. Śmiał się już zbyt długo.

Singer spojrział na zegar i wskazał czas — wpół do pierwszej. Wziął zegarek, srebrny ołówek, bloczek, zabrał z półki papierosy i zapałki i rozłożył to wszystko po kieszeniach. Nadeszła pora obiadu.

Ale Jake ciągle się śmiał — jakimś śmiechem obłąkańca. Chodził po pokoju, pobrękując monetami, które miał w kieszeniach. Jego długie ręce kołysały się sztywne i niezgrabne. Zaczął wymieniać kolejno dania zbliżającego się posiłku. Kiedy mówił o jedzeniu, jego twarz miała wyraz błędnego zapamiętania. Przy każdym słowie unosił górną wargę jak wygłodniałe zwierzę.

— Rostbef w sosie. Ryż. Kapusta i bułki. I duży kawał szarlotki. Jestem głodny. O, Johnny, słyszę nadchodzących Jankesów. A jeśli mowa o jedzeniu, czy opowiadałem ci kiedy o panu Clarku Pattersonie, właścicielu wesołego miasteczka? Jest taki gruby, że od dwudziestu lat nie oglądał swoich genitaliów. Siedzi cały dzień w swojej przyczepie, układa pasjanse i pali papierosy z marihuaną. Zamawia sobie posiłki w pobliskiej taniej restauracji i co dzień na śniadanie je...

Jake cofnął się, żeby przepuścić Singera. Zawsze dawał mu pierwszeństwo w drzwiach i szedł za nim oczekując, że Singer go poprowadzi. Kiedy schodzili po schodach, mówił dalej nerwowo i bez przerwy. Nie spuszczał dużych ciemnych oczu z twarzy głuchoniemego.

Popołudnie było senne i leniwe. Pozostali w domu. Jake przyniósł z restauracji ćwierć galona whisky. Siedział zamyślony i milczący w nogach łóżka, schylając się co jakiś czas, by napełnić szklaneczkę z butelki stojącej na podłodze. Singer przy stole koło okna grał w szachy. Jake jakoś się trochę odprężył. Obserwując grę przyjaciela, czuł, jak ciche, łagodne popołudnie wtapia się w ciemność wieczoru. Ogień rzucał ruchliwe cienie na ściany pokoju.

Ale wieczorem znów powróciła atmosfera napięcia. Singer odsunął pionki szachowe i siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie. Wargi Jake'a drgały ze zdenerwowania, pił, żeby się uspokoić. Ogarnęła go jakaś fala niepokoju pełnego pragnień. Wypił whisky i zaczął znowu mówić do Singera. Słowa wzbierały w nim i płynęły potokiem. Spacerował od okna do łóżka i z powrotem, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Z pijackim uporem zalewał głuchoniemego lawiną tych nie wypowiedzianych dotąd słów.

— Co oni narobili! Obrócili prawdę w kłamstwo! Splugawili i upodlili ideały! Weź choćby Jezusa. On był jednym z nas. On znał prawdę. Kiedy mówił, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi dostać się do królestwa niebieskiego, to wiedział dobrze, co mówi. A spójrz, co zrobił Kościół w ciągu dwóch tysięcy lat! Co zrobili z Niego! Obrócili każde słowo, które wypowiedział, na własne nikczemne cele. Gdyby Jezus żył dzisiaj, oskarżono by Go i zamknięto w więzieniu. On byłby tym, który naprawdę wiedział. Usiadłby naprzeciwko mnie przy stole i popatrzyłbym na Niego, a On na mnie, i wiedzielibyśmy obaj, że ten drugi wie. Ja i Jezus, i Karol Marks moglibyśmy usiąść przy stole i... A popatrz, co się stało z naszą wolnością. Ludzie, którzy walczyli o dawną amerykańską wolność, byli równie mało podobni do Cór Amerykańskiej Rewolucji, jak ja do tłustego, uperfumowanego

pekińczyka. Tamci, jeśli mówili o wolności, to w nią wierzyli. Walczyli w prawdziwej rewolucji. Walczyli o to, by ten kraj stał się krajem, gdzie każdy mógłby być równy i wolny. Tak! Co oznaczało równość każdego człowieka w obliczu Natury i równe szanse dla wszystkich. A wcale nie oznaczało, że dwadzieścia procent ludzi ma prawo obrabowywać pozostałe osiemdziesiąt procent ze środków do życia, że jeden bogacz może wycisnąć pot z dziesięciu tysięcy biedaków, by się jeszcze więcej bogacić, że tyrani mają prawo doprowadzić ten kraj do tego że miliony ludzi gotowe są robić wszystko — oszukiwać, kłamać, uciąć sobie prawą rękę — byle tylko mieć trzy razy dziennie suty posiłek i dach nad głową. Oni zamienili wolność świata w bluźnierstwo. Słyszysz? Sprawili, że ta wolność cuchnie jak śmierdziel dla tych wszystkich, którzy znają prawdę.

Żyła na czole Jake'a pulsowała gwałtownie. Usta jego wykrzywione były konwulsyjnie. Singer siedział trochę przestraszony. Jake próbował mówić dalej, ale słowa uwięzły mu w gardle. Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Siedział na krześle i przyciskał palcami drżące wargi. Po chwili powiedział ochryple:

— No, Singer! Nie ma sensu szaleć. Cokolwiek zrobimy, nie zda się to na nic. Tak mi się wydaje. Możemy tylko chodzić i głosić prawdę. Kiedy dostateczna liczba tych, co jeszcze nie wiedzą, dowie się prawdy, nie będzie trzeba już walczyć. Jedyne rzecz, jaką możemy zrobić, to sprawić, żeby poznali prawdę. Tylko tego trzeba. Ale jak to zrobić? Co?

Cienie, które rzucał ogień, migotały na ścianach. Ciemne ich fale wznosiły się coraz wyżej, cały pokój zdawał się poruszać. Podnosił się i opadał, znikła wszelka równowaga. Jake w swoim osamotnieniu czuł, że zapada wolno pośród ruchu tych fal w ocean cieni. W bezradnym przestkach wyteżał wzrok, lecz nie widział nic prócz czarnych i czerwonych bałwanów, które wyły pożądliwie nad jego głową. Na koniec dojrzał to, czego szukał wzrokiem: twarz głuchoniemego. Daleką i niewyraźną. Zamknął oczy.

Nazajutrz obudził się bardzo późno. Singer wyszedł już przed paroma godzinami. Na stole przygotowany był chleb, ser, pomarańcza i dzbanek kawy. Kiedy skończył śniadanie, czas już było iść do pracy. Szedł z pochyloną głową i posępną twarzą przez miasto w kierunku swego domu.

Przechodząc przez wąską uliczkę, do której przytykał z jednej strony okopcony murowany magazyn, dostrzegł na ścianie tego budynku jakiś napis, którym się z

początku wcale nie zainteresował. Chciał już iść dalej, ale nagle przystanął. Na murze grubymi literami dziwnego kształtu jaskrawoczerwoną kredą wypisane były słowa:

Będziecie pożerać ciała możnych i pić krew książąt tej ziemi.

Przeczytał to dwa razy i rozejrzał się niespokojnie. Nie było nikogo widać. Po chwili namysłu wyjął z kieszeni gruby czerwony ołówek i dopisał starannie:

Ktokolwiek wypisał powyższe słowa niech spotka się ze mną jutro w południe. Środa 29 listopada. Lub nazajutrz.

Na drugi dzień o dwunastej czekał pod murem. Co jakiś czas szedł z niecierpliwością na róg, by rozejrzeć się po sąsiednich ulicach. Po godzinie musiał iść do pracy. Nikt nie przyszedł.

Następnego dnia czekał znowu.

W piątek padał uporczywy zimowy deszcz. Ściana domu nasycona była wilgocią; napis rozlał się na smugi, tak że nie można było odczytać ani słowa. Deszcz padał ciągle, szary, przenikliwie zimny.

5.

— Mick — powiedział Bubber — coś mi się zdaje, że się wszyscy potopimy.

Istotnie wyglądało na to, że nigdy nie przestanie padać. Pani Wells odwoziła ich do szkoły i przywoziła swoim samochodem, a po południu musieli siedzieć na ganku albo w domu. Mick z Bubberem grali w tryktraka i w starą pannę, a także w kulki na dywanie w saloniku. Zbliżało się Boże Narodzenie. Bubber zaczynał mówić o małym Jezusku i o czerwonym rowerze, który chciał dostać od Świętego Mikołaja. Deszcz srebrzył się na szybach, niebo było mokre, szare i zimne. Poziom rzeki podniósł się tak bardzo, że niektórzy ludzie mieszkający w pobliżu fabryki musieli opuścić swoje domy. Kiedy wydawało się, że deszcz nigdy nie przestanie padać, nagle przestał. Obudzili się rano i świeciło słońce. Po południu było prawie tak gorąco jak w lecie. Mick przyszła późno ze szkoły; Bubber, Ralph i Spareribs bawili się przed domem na chodniku. Byli zgrzani i spoceni, zimowe ubrania wydzielały kwaskowatą woń. Bubber trzymał w ręku procę, a kieszeń miał pełną kamyków. Ralph

rozgrymaszony siedział w swoim wózku w przekrzywionym kapelusiku na głowie. Spareribs miał przy sobie nową strzelbę. Niebo było cudownie błękitne.

— Czekamy na ciebie tak długo, Mick — powiedział Bubber. — Gdzie byłaś?

Przeskakując po trzy stopnie wbiegła po schodach i rzuciła sweter w stronę wieszaka.

— Ćwiczyłam na fortepianie w sali gimnastycznej.

Co dzień po południu zostawała godzinę po lekcjach, by grać. W sali gimnastycznej było tłoczno i głośno, bo dziewczynki grały w koszykówkę. Dziś dwa razy dostała piłką w głowę. Ale gotowa była znieść wszelkie przykrości, byle tylko zasiąść przy fortepianie. Dobierała nuty tak długo, aż z fortepianu wydobywał się dźwięk, który chciała usłyszeć. Było to łatwiejsze, niż myślała. Po pierwszych dwóch czy trzech godzinach skomponowała parę akordów basowych, które pasowały do melodii granej prawą ręką. Teraz mogła wygrać ze słuchu prawie wszystko. Komponowała też własne melodie. To było lepsze niż naśladowanie cudzych. Czula się najszczęśliwsza na świecie, kiedy palce jej opanowały te nowe piękne dźwięki.

Chciała nauczyć się czytać z nut. Dolores Brown uczyła się od pięciu lat muzyki. Mick płaciła jej tygodniowo pięćdziesiąt centów, które dostawała na śniadanie, aby uczyła ją grać. Była przez cały dzień bardzo głodna. Dolores grała dużo szybkich utworów, ale nie umiała odpowiedzieć na wszystkie pytania Mick. Nauczyła ją tylko różnych gam, wartości nut, akordów majorowych i minorowych i tym podobnych początkowych rzeczy.

Mick zatrzasnęła drzwiczki kuchennego piecyka.

— To wszystko, co jest do jedzenia?

— Nic lepszego nie mogłam ci przygotować, kochanie — powiedziała Portia.

Tylko placki kukurydziane z margaryną. Wypiła szklankę wody, by łatwiej to przełknąć.

— Nie jedz tak łapczywie. Nikt ci nie zabierze.

Dzieci ciągle jeszcze kręciły się przed domem. Bubber włożył procę do kieszeni i bawił się teraz fuzją. Spareribs miał dziesięć lat; broń należała do jego ojca, który umarł przed miesiącem. Młodsze dzieci marzyły, by choć dotknąć fuzji. Co parę chwil Bubber podnosił ją do ramienia. Celował i mówił głośno: „Paf!”

— Nie baw się spustem — ostrzegł go Spareribs. — Broń jest nabita.

Mick skończyła jeść placek i rozejrzała się wokoło, zastanawiając się, co teraz robić. Harry Minowitz siedział w swoim domu na poręczu ganku z gazetą w ręku. Ucieszyła się na jego widok. Dla żartu wyciągnęła rękę i krzyknęła do niego: „Heil!”

Ale Harry nie wziął tego za żart. Wszedł do sieni i zamknął drzwi. Łatwo go było urazić. Zmartwiła się, bo ostatnio żyli z Harrym w wielkiej przyjaźni. Jako małe dzieci bawili się zawsze w tej samej grupie na podwórku, lecz gdy Harry przyszedł przed trzema laty do zawodówki, ona była jeszcze w szkole podstawowej. Pracował już także dorywczo. Podrósł nagle i przestał się bawić z dziećmi przed domem i na podwórku. Czasami widywała go z daleka przez okno, jak czytał gazetę albo rozbierał się późnym wieczorem. W szkole zawodowej był najlepszym uczniem z matematyki i historii. Często teraz, kiedy i ona przeszła do tej samej szkoły, spotykali się wracając do domu. Na mechanikę chodzili razem i kiedyś nauczyciel kazał im wspólnie zmontować silnik. Harry czytał książki i śledził codziennie wiadomości w gazetach. Głowę miał nabitą polityką światową. Mówił wolno, a kiedy się czymś przejął, pot występował mu na czoło. A teraz pogniwał się na nią z jej własnej winy.

— Ciekaw jestem, czy Harry ma jeszcze swoją złotą monetę — powiedział Spareribs.

— Jaką złotą monetę?

— Kiedy rodzi się w żydowskiej rodzinie chłopiec, składają dla niego w banku złotą monetę. Żydzi mają taki zwyczaj.

— Wcale nie! Pokręciłeś coś — powiedziała Mick. — Myślisz o katolikach. To oni kupują nowo narodzonemu niemowlęciu pistolet. Bo chcą pewnego dnia wywołać wojnę i wszystkich pozabijać.

— A ja się śmiesznie czuję, jak widzę zakonnice — dorzucił Spareribs. — Boję się, kiedy spotykam którąś na ulicy.

Mick usiadła na schodach, położyła głowę na kolanach i zanurzyła się w świecie marzeń. Żyła jakby w dwóch światach: w świecie rzeczywistym i świecie marzeń. Szkoła, rodzina i to co działo się co dzień, mieściło się w świecie rzeczywistym. Pan Singer znajdował się w obu. Obce kraje, jej projekty, muzyka — to był świat marzeń. A także piosenki, które snuły jej się po głowie. I ta symfonia. Kiedy była w tym świecie sama, przypominała jej się muzyka słyszana w ową noc po zabawie. Rozrastała się w mózgu niczym duży kwiat. Czasami w ciągu dnia lub rano, kiedy się obudziła, w pamięci ożywał jakiś nowy jej fragment. Musiała wtedy wyłączyć się ze świata

zewnątrznego, by wysłuchać go wielokrotnie i spróbować połączyć z tymi częściami symfonii, które pamiętała. Ten świat marzeń to było jej sanktuarium. Mogła znajdować się w domu pełnym ludzi i jednocześnie czuć się jak zamknięta na klucz.

Spareribs podniósł brudną rękę ku jej oczom zapatrzonym gdzieś przed siebie. Dała mu klapsa.

— Co to jest zakonnica? — spytał Bubber.

— Taka katolicka pani — odrzekł Spareribs. — W długiej czarnej sukni, która zachodzi jej aż na głowę.

Mick była już zmęczona dziećmi. Pójdzie do biblioteki i obejrzy obrazki w miesięcznikach geograficznych. Fotografie obcych krajów i miast. Paryż. Francję. I ogromne lodowce. I dzikie dżungle w Afryce.

— Uważajcie dzieci, żeby Ralph nie wyszedł na ulicę —. powiedziała.

Bubber oparł dużą fuzję na ramieniu.

— Przynieś mi jakąś bajkę.

Wydawało się, że ten chłopiec od urodzenia umiał czytać. Był dopiero w drugiej klasie, ale lubił czytać bajki sam i nigdy nikogo o to nie prosił.

— Jaką bajkę chcesz dzisiaj?

— Wybierz parę, w których będzie mowa o jedzeniu. Lubię bardzo tę o dzieciach, co idą do lasu i przychodzą do domku zbudowanego z różnych słodkich rzeczy, i jest tam czarownica. Lubię bajki, gdzie jest napisane o jedzeniu.

— Dobrze, poszukam — obiecała Mick.

— Ale mam już trochę dosyć cukierków — dorzucił Bubber. — Może przynieś taką bajkę, żeby były na przykład sandwicze z mięsem. A jak nie, to coś o kowbojach.

Chciała już iść, kiedy nagle przystanęła z szeroko otwartymi oczami. Dzieci gapiły się także. Stali wszyscy w milczeniu i wpatrywali się w Baby Wilson schodzącą ze schodów po drugiej stronie ulicy.

— Jaka ta Baby ładna! — szepnął Bubber.

Może dlatego, że był gorący, słoneczny dzień po tyłu tygodniach deszczu, a może dlatego, że ich ciemne zimowe ubranka wydawały im się w to popołudnie brzydkie, w każdym razie Baby pojawiła się jak wróżka lub jakaś postać z filmu. Miała na sobie strój z zeszłorocznego popisu: krótką sztywną spódniczkę z różowej gazy, różowy staniczek, różowe balowe pantofelki, a nawet małą różową torebkę. Białoróżowo-złotą ze swymi złotymi włoskami, była tak drobna i czyściutka, że aż oczy

boląły, gdy się na nią patrzyło. Szła drobnym, wytwornym kroczkiem przez ulicę, nie zwracając na nich uwagi.

— Chodź tu! — zawołał Bubber. — Pozwól mi obejrzeć twoją różową torebkę.

Baby z odwróconą głową przeszła koło nich. Postanowiła z nimi nie rozmawiać.

Między chodnikiem a jezdnią ciągnął się pas trawy. Baby doszła do trawnika, stała chwilę bez ruchu, a potem fiknęła koziółka.

— Nie zwracajcie na nią uwagi — powiedział Bubber. — Zawsze próbuje się popisywać. Idzie po cukierka do pana Brannona. To jej wuj, więc dostanie go darmo.

Bubber oparł kolbę fuzji na ziemi. Była dla niego za ciężka. Patrząc na Baby oddalającą się ulicą, szarpnął opadające na czoło kosmyki włosów.

— To naprawdę ładna torebka — przyznał.

— Jej mama zawsze opowiada, jaki Baby ma talent. Ma nadzieję, że wpakuje ją do filmu — mówił Spareribs.

Było już za późno na oglądanie tych miesięczników geograficznych. Kolacja pewnie gotowa. Ralph krzywił się do płaczu, więc wyjęła go z wózka i posadziła na ziemi. Był grudzień, od lata upłynęło dużo czasu jak na dziecko w wieku Bubbera. Przez wszystkie miesiące letnie Baby wychodziła w tej różowej sukience i tańczyła na środku ulicy. Z początku dzieci tłoczyły się, by ją oglądać, ale wkrótce się im to znudziło. Jeden tylko Bubber lubił dalej ją podziwiać. Siedział na krawężniku i wołał do niej, kiedy widział nadjeżdżający samochód. Oglądał setki razy Baby w tym popisowym tańcu, ale od lata minęły już trzy miesiące i znowu wydawało mu się to nowością.

— Bardzo chciałbym mieć taki strój — westchnął.

— Jaki?

— Prawdziwy letni. Taki ładny, różnokolorowy. Jak motyl. Chciałbym go dostać na Boże Narodzenie. I rower też!

— Laluś! — powiedział Spareribs.

Bubber podniósł znowu ciężką fuzję do ramienia i wycelował w dom po drugiej stronie ulicy.

— Tańczyłbym w takim stroju, gdybym go miał. Nosiłbym go co dzień do szkoły.

Mick siedziała na schodach przed domem pilnując Ralpa. Bubber nie był wcale lalusiem, jak go nazwał Spareribs. Lubił tylko ładne rzeczy. Nie daruje tego Spareribsowi.

— Człowiek musi walczyć o wszystko, co ma — powiedziała wolno. — Zauważyłam już nieraz, że im młodsze dziecko w rodzinie, tym jest lepsze. Najmłodsze są też najdzielniejsze. Ja jestem dosyć twarda, bo mam sporo starszego rodzeństwa. Bubber wygląda na chorowitego i lubi ładne rzeczy, ale to zuch. Jeśli tak jest naprawdę, Ralph powinien być bardzo dzielny, kiedy podrośnie na tyle, by sam sobie radzić. Już dziś mogę wyczytać w jego buzi upór i dzielność, choć ma dopiero siedemnaście miesięcy.

Ralph wiedząc, że o nim mowa, rozglądał się wokoło. Spareribs usiadł na ziemi, ściągnął mu z głowy kapelusz i potrząsał nim, by się z małym droczyć.

— Jak zaczniesz płakać przez siebie, to ci nie daruję — ostrzegła Mick. — Lepiej uważaj.

Wokoło panował spokój. Słońce skryło się za dachy domów, niebo na zachodzie było różowoliliowe. W sąsiedniej ulicy słychać było dzieci jeżdżące na wrotkach. Bubber oparł się o drzewo i zdawał się o czymś marzyć. Z domu doleciały zapachy kolacji, niedługo pewno będzie gotowa.

— Patrzcie — powiedział Bubber — znowu idzie Baby. Naprawdę ładnie jej w tej różowej sukience.

Baby szła wolno w ich stronę. Dostała dużą ładną bombonierkę kandyzowanej kukurydzy i sięgała do niej co chwila. Poruszała się tym samym wytwornym, drobnym kroczkiem; najwyraźniej zdawała sobie sprawę, iż wszyscy na nią patrzą.

— Baby — odezwał się Bubber, kiedy ich mijala — pokaż mi, proszę, twoją różową torebkę i pozwól dotknąć sukienki.

Baby zaczęła nucić coś pod nosem i nie słuchała go wcale. Przechodząc obok Bubbera, skinęła głową i uśmiechnęła się lekko, lecz nie zgodziła się na zabawę z nim. Bubber trzymał jeszcze ciągle strzelbę na ramieniu. Krzyknął głośno: „Paf.” i udawał, że chce ją zastrzelić. Potem jeszcze raz zawołał cicho, łagodnie, jakby wołał małego kotka:

— Proszę cię, Baby, chodź tu!

To, co zrobił, zrobił tak szybko, że Mick nie zdołała mu przeszkodzić. Zobaczyła tylko jego rękę na spuście i usłyszała okropny huk. Baby upadła na chodnik. Leżała

jak przygwożdżona koło schodków, nie poruszyła się i nie krzyknęła. Spareribs podniósł rękę nad głową. Jeden Bubber nie zorientował się, co się stało.

— Wstawaj, Baby! — zawołał. — Ja się na ciebie nie gniewam.

Wszystko to stało się w ciągu sekundy. We troje rzucili się równocześnie do Baby. Leżała na brudnym chodniku, z sukienką zadartą na głowę; widać było jej różowe majteczki i małe nóżki w białych pończoszkach. Rączki miała szeroko rozrzucone, w jednej trzymała cukierek, w drugiej torebkę. Wstążka i jasne włosy na czubku głowy splamione były krwią. Leżała twarzą do ziemi, trafiona w głowę.

To wszystko stało się w jednej sekundzie. Bubber krzyknął, rzucił fuzję i uciekł. Mick stała z rękami przy twarzy i płakała. Po chwili zjawiono się więcej osób. Pierwszy nadbiegł ojciec i wniósł Baby do domu.

— Ona nie żyje — powiedział Spareribs. — Widziałem jej twarz, trafiona między oczy.

Mick chodziła tam i z powrotem po chodniku. Język stanął jej kołkiem w ustach, kiedy chciała zapytać, czy Baby nie żyje. Pani Wilson wybiegła z zakładu kosmetycznego, gdzie pracowała, wpadła do domu i po chwili z niego wypadła. Chodziła po ulicy, płacząc i szarpiąc pierścionek na palcu. Potem nadjechał ambulans i doktor poszedł do Baby. Mick wsunęła się za nim, Baby leżała na łóżku we frontowym pokoju. W domu było cicho jak w kościele.

Baby wyglądała jak mała ładna laleczka. Nie wydawała się zraniona, choć widać było krew. Doktor pochylił się i oglądał jej głowę. Potem kazał położyć Baby na nosze. Pani Wilson i ojciec też wsiedli do karetki.

W domu nadal panowała cisza. Wszyscy zapomnieli o Bubberze. Nie było go widać. Minęła godzina. Matka, Hazel, Etta i wszyscy lokatorzy czekali we frontowym pokoju. Pan Singer stał w progu. Po długim czasie wrócił ojciec. Powiedział, że Baby nie umrze, ale ma pękniętą czaszkę. Zapytał o Bubbera. Nikt nie wiedział, gdzie on jest. Na dworze było już ciemno. Wołano go na podwórku i na ulicy. Wysłano Spareribsa i innych chłopców, żeby go szukali. Wyglądało na to, że nie ma go nigdzie w pobliżu. Harry poszedł do jednego domu, bo przypuszczano, że może tam być. Ojciec Mick spacerował po ganku.

— Nigdy dotąd nie biłem moich dzieci — powtarzał — i nie wierzyłem, że trzeba to robić. A teraz spiorę tego chłopaka, jak tylko go w ręce dostanę.

Mick siedziała na poręczy i patrzyła w ciemną ulicę.

— Ja potrafię sobie poradzić z Bubberem. Zajmę się nim, jak tylko wróci.

— Idź i poszukaj go. Potrafisz go znaleźć lepiej niż ktokolwiek inny.

Ledwo ojciec wypowiedział te słowa, wiedziała już, gdzie jest Bubber. Za domem, w ogrodzie, rósł duży dąb, na którym w lecie zbudowali sobie domek ze skrzyni. Bubber lubił przesiadywać tam samotnie. Mick zostawiła wszystkich na ganku i ruszyła ścieżką do ogrodu.

Stała chwilę pod drzewem.

— Bubber — powiedziała cicho — to ja, Mick.

Nie odpowiedział, ale wiedziała, że tam jest. Czują to. Chwyła najniższą gałąź i wolno wdrapała się na drzewo. Była wściekła, musi dać nauczkę temu chłopakowi. Kiedy dotarła do domku, zawołała go po raz drugi, ale znowu nie było odpowiedzi. Wczołgała się do skrzyni i pomacała wokół. W końcu natrafiła na niego ręką. Wcisnął się mocno w kąt, nogi mu drżały. Wstrzymywał oddech, a gdy go dotknęła, oddech i szloch wydobyły się z jego ust równocześnie.

— Ja... ja nie chciałem, żeby Baby upadła. Taka była malutka... taka ładna... chciałem ją tylko nastraszyć.

Mick usiadła na podłodze domku.

— Baby nie żyje — powiedziała. — Wysłano dużo ludzi, którzy cię szukają.

Bubber przestał płakać. Siedział cichutko.

— Wiesz, co tatuś robi w domu?

Prawie że słyszała, jak Bubber słucha.

— Wiesz, kto to jest Lawes, dyrektor więzienia; słyszałeś go przez radio. I wiesz, co to jest Sing-Sing. A więc tatuś pisze list do niego, żeby miał dla ciebie trochę względów, jak cię złapią i wyślą do Sing-Sing.

Słowa te zabrzmiały tak strasznie w ciemności, że wstrząsnął nią dreszcz. Czują, że i Bubber drży.

— Mają tam małe elektryczne krzeselka, w sam raz na twój wzrost. Kiedy puszczą prąd, usmażysz się jak kawałek boczku. A potem pójdziesz do piekła.

Bubber skulił się w kącie, nie było go wcale słychać. Wczołgała się na skraj skrzyni, by zejść na dół.

— Lepiej siedź tu, bo policjanci pilnują dokoła. Może za parę dni przyniosę ci coś do jedzenia.

Mick oparła się o pień dębu. To będzie dla Bubbera nauczka. Umiała nim zawsze kierować i zna go lepiej od wszystkich. Kiedyś, rok czy dwa lata temu, zaczął przystawać za krzakami i siusiając, zabawiać się brzydko. Szybko go na tym przyłapała. Dawała mu porządnego klapsa, ilekroć się to zdarzało, i w trzy dni zupełnie się tego oduczył. Potem nie załatwiał się nawet normalnie jak inni chłopcy, ale trzymał ręce z tyłu. Musiała przecież zawsze niańczyć tego Bubbera, umie z nim postępować. Niedługo wróci do domku na drzewie i przyprowadzi go do domu. Ale Bubber już nigdy nie weźmie do ręki broni.

W domu panował nadal nastrój pogrzebowy. Wszyscy lokatorzy siedzieli w milczeniu na ganku, niektórzy kołysali się na bujanych fotelach. Rodzice byli we frontowym pokoju. Ojciec spacerował, popijając piwo z butelki. Baby wyzdrowieje, więc nie o nią się martwią. I nikt nie zdawał się troszczyć o Bubbera. Chodzi widać o co innego.

— Ach, ten Bubber! — powiedziała Etta.

— Będę się teraz wstydziła pokazać ludziom na oczy — dorzuciła Hazel.

Poszły obie do środkowego pokoju i zamknęły drzwi. Bill siedział u siebie. Mick nie miała ochoty rozmawiać z nimi. Stała w sieni i rozmyślała o tym wszystkim.

Kroki ojca ucichły.

— To było zrobione rozmyślnie — powiedział. — To nie była dziecinna zabawa z bronią ani wypadek. Wszyscy, którzy to widzieli, mówią, że wziął ją specjalnie na cel.

— Ciekawe, kiedy odezwie się pani Wilson — powiedziała matka.

— Odezwie się. I to jak!

— I ja tak sądzę.

Słońce zaszło, wieczór był znów chłodny, jak to w grudniu. Lokatorzy usiedli teraz w saloniku, ale nikt nie rozpałił ognia. Sweter Mick wisiał na wieszaku, włożyła go i stała z założonymi rękami, żeby było jej cieplej. Myślała o Bubberze; siedzi tam w zimnym, ciemnym domku na drzewie. Uwierzył na pewno we wszystko, co mu powiedziała. Ale naprawdę zasłużył na to, żeby się trochę podręczyć. O mało nie zabił tej Baby.

— Mick, nie przychodzi ci do głowy, gdzie może być Bubber? — spytał ojciec.

— Sądzę, że jest gdzieś niedaleko.

Ojciec chodził po pokoju z pustą butelką od piwa w ręku. Chodził jak człowiek ślepy, po twarzy spływał mu pot.

— Biedny dzieciak boi się wrócić do domu. Dobrze byłoby, gdybyśmy mogli go już znaleźć. Nigdy nie podniosłem na niego ręki, nie powinien się mnie bać.

Zaczeka, aż minie półtorej godziny. Wtedy będzie już porządnie żałował tego, co zrobił. Umiała zawsze kierować Bubberem i karcic go.

Po chwili w domu zapanowało wielkie podniecenie. Ojciec zatelefonował znowu do szpitala, żeby się dowiedzieć o zdrowie Baby. Po paru minutach odezwała się pani Wilson i oznajmiła, że chciałyby porozmawiać i zaraz przyjedzie.

Ojciec dalej chodził po pokoju jak człowiek ślepy. Wypił jeszcze trzy butelki piwa.

— Zważywszy na okoliczności, w jakich to się stało, ona może mnie zaskarżyć do sądu. Jedyne dostępne dla niej odszkodowanie to część domu niezapisana na hipotecę. Nie mamy wyjścia w tej sytuacji.

Mick pomyślała nagle: „Może naprawdę postawią Bubbera przed sądem i wsadzą go do więzienia dla dzieci? Może pani Wilson wyśle go do zakładu poprawczego? Może naprawdę zrobią z nim coś strasznego?”. Zapragnęła pójść natychmiast do domku na drzewie, posiedzieć z nim i pocieszyć go. Bubber był taki szczupły, mały, ładny. Zabiłaby każdego, kto chciałby oderwać to dziecko od rodziny. Pragnęła całować go i gryźć, tak bardzo go kochała.

Ale nie mogła uronić nic z tego, co będzie się działo. Pani Wilson przyjdzie tu za chwilę i ona musi wiedzieć, co się stanie. Potem pobiegnie i powie Bubberowi, że wszystko, co mu mówiła, to kłamstwo. A on na pewno wyciągnie nauczkę z tej lekcji.

Przed dom zajechała taksówka. Wszyscy czekali na ganku, przestraszeni, milczący. Z taksówki wysiadła pani Wilson i pan Brannon. Mick usłyszała, jak ojciec zazgrzytał nerwowo zębami, kiedy wchodzili po schodach. Weszli do frontowego pokoju, a ona w ślad za nimi; zatrzymała się na progu. Etta, Hazel, Bill i lokatorzy stanęli z daleka.

— Przyszłam omówić z państwem tę sprawę — powiedziała pani Wilson.

Pokój wyglądał nędznie i brudno. Mick spostrzegła, że pan Brannon zauważył wszystko. Zgnieciona celuloidowa lalka, paciorki i jakieś stare rupiecie, którymi bawił się Ralph, leżały rozrzucone na podłodze. Na warsztacie ojca stało piwo, poduszki na łóżku rodziców były brudne.

Pani Wilson szarpała pierścionek na palcu. Natomiast pan Brannon był bardzo spokojny. Siedział ze skrzyżowanymi nogami i ze swoją sinoczną brodą wyglądał jak

gangster z filmu. Czuł chyba do niej zawsze jakąś urazę. Odzywał się szorstko, inaczej niż do innych. Czy dlatego, że wiedział, że ona i Bubber ściągnęli mu kiedyś z lady paczuszkę gumy do żucia? Nienawidziła go.

— Wszystko sprowadza się do tego — powiedziała pani Wilson — że chłopiec państwa strzelił umyślnie w głowę mojej Baby.

Mick wystąpiła na środek pokoju.

— Nie, nieumyślnie — zaprzeczyła. — Ja tam byłam. Bubber celował z tej fuzji do mnie i do Ralpa, i do wszystkich po kolei. Przypadkiem wycelował też do Baby i palec ześlizgnął mu się na spust. Byłam przy tym i widziałam.

Pan Brannon pocierał nos i patrzył na nią poważnie. Naprawdę czuła do niego nienawiść.

— Rozumiem, że to bardzo smutna sprawa, więc od razu przystępuję do rzeczy.

Matka zabrzęczała pękiem kluczy. Ojciec siedział sztywno, duże ręce zwisały mu z kolan.

— Bubber wcale nie zamierzał tego zrobić — mówiła Mick. — On tylko...

Pani Wilson szarpała pierścionek na palcu.

— Zaczekaj chwilę. Wiem, jak to było. Mogłabym podać sprawę do sądu i wyciągnąć z was ostatniego centa.

Twarz ojca była zupełnie bez wyrazu.

— Powiem pani jedno — rzekł. — Nie mamy wiele, by można z nas ciągnąć. Tylko...

— Niech pan posłucha — odpowiedziała pani Wilson. — Nie przyszedłem z żadnym adwokatem, by się sądzić. Jest tylko Bartholomew... pan Brannon... jadąc tu, omówiliśmy i zgadzamy się mniej więcej w zasadniczych punktach. Po pierwsze, pragnę postąpić słusznie i uczciwie, a po drugie, nie chcę, żeby Baby, w jej wieku, wpłątana była w jakąś sprawę sądową.

Panowało głucho milczenie. Wszyscy siedzieli sztywno na krzesłach. Tylko pan Brannon uśmiechnął się lekko do Mick, ale ona spojrzała na niego twardym wzrokiem.

Pani Wilson była bardzo zdenerwowana, ręka jej drżała, kiedy zapalała papierosa.

— Nie chcę podawać państwa do sądu ani nic podobnego. Chcę tylko, abyście postąpili przyzwoicie. Nie żądam zapłaty za łzy Baby i wszystko, co musiały

wycierpieć, zanim dano jej środek nasenny. Żadne pieniądze nie mogłyby tego wynagrodzić. Nie żądam też zwrotu szkód, choć ucierpi na tym jej kariera i nasze plany. Przez parę miesięcy będzie musiała chodzić obandażowana. Nie będzie mogła tańczyć na popisie. Może nawet zostanie jej na zawsze łyse miejsce na głowie.

Pani Wilson i ojciec nie spuszczała z siebie wzroku, jak zahipnotyzowani. Pani Wilson sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej kartkę.

— Musicie państwo pokryć tylko nasze faktyczne wydatki. To znaczy, zapłacić separatkę dla Baby w szpitalu i oddzielną pielęgniarkę, dopóki dziecko nie będzie mogło wrócić do domu. Koszty sali operacyjnej i honorarium lekarza — w tym wypadku lekarz musi być wynagrodzony przyzwoicie. Zgolono Baby całą głowę, musicie więc zapłacić za trwałą ondulację, którą zrobiłam jej w Atlancie — by można zrobić drugą, jak włosy odrosną. No i jeszcze koszt sukienki i parę innych drobnych rachunków. Spiszę te wszystkie pozycje, gdy tylko będę je dokładnie znała. Postaram się być tak uczciwa i przyzwoita, jak tylko potrafię, ale wy, moi państwo, musicie zapłacić pełną sumę, kiedy ją przedstawię.

Matka wygładziła suknię na kolanach i wzięła krótki szybki wdech.

— Wydaje mi się, że ogólna sala byłaby o wiele lepsza niż separatka. Kiedy Mick miała zapalenie płuc...

— Powiedziałam: separatka.

Pan Brannon wyciągnął przed siebie białe, grube ręce i kołysał nimi przez chwilę, jakby znajdowały się na wadze.

— Może za dzień lub dwa będzie można przenieść Baby do pokoju o dwóch łózkach, z jakimś innym dzieckiem.

— Słyszeliście, co powiedziałam — rzekła twardo pani Wilson. — Wasz chłopak postrzelił moją Baby, więc powinna mieć wszelkie wygody, póki nie wyzdrowieje.

— Jest pani w swoim prawie — powiedział ojciec. — Bóg świadkiem, że w tej chwili nie mamy centa, ale może coś wyskrobie. Zdaję sobie sprawę, że nie usiłuje nas pani wykorzystać, i doceniam to. Zrobimy, co będziemy mogli.

Mick chciała zostać i posłuchać, co dalej będą mówili, ale nie schodził jej z myśli Bubber. Kiedy wyobraziła sobie, że siedzi tam na ciemnym, zimnym drzewie rozmyślając o Sing—Sing, poczuła niepokój. Wyszła z pokoju i przez sień do ogrodu. Wiał wiatr i było ciemno, tylko światło padające z kuchni rzucało żółty kwadrat na ziemię. Obejrzała się i zobaczyła, że Portia siedzi nieruchomo przy stole z twarzą

zakrytą długimi, szczupłymi rękami. Na podwórku było pusto; wiatr tworzył szybkie, ruchome cienie i jęczał żałobnie w ciemności.

Stała pod dębem. Ale w chwili, gdy sięgnęła do pierwszego konaru, przysła jej do głowy straszna myśl, że Bubber uciekł. Zawołała go. Nie odpowiedział. Szybko i cicho jak kot wdrapała się na drzewo.

— Hej, Bubber!

Nie macając nawet w środku skrzynki, wiedziała, że go tam nie ma. Żeby się ostatecznie upewnić, weszła i sprawdziła dokładnie. Chłopczyk znikł. Musiał zejść z drzewa zaraz potem, jak ona odeszła. Pewnie uciekł i jest już daleko; sprytny z niego dzieciak i nie wiadomo, gdzie zdoła się go złapać.

Zsunęła się z dębu i pobiegła na ganek. Pani Wilson właśnie wychodziła i wszyscy razem stali z nią na schodach.

— Tatusiu — powiedziała Mick — chodzi o Bubbera. Jestem pewna, że nie ma go tu blisko. Trzeba go szukać.

Nikt nie wiedział, dokąd iść i od czego zacząć. Ojciec chodził po ulicy i zaglądał we wszystkie zakamarki. Pan Brannon zamówił telefonicznie taksówkę dla pani Wilson, a potem został, by pomóc w poszukiwaniach. Singer siedział na poręczu ganku; był jedyną osobą, która zachowała spokój. Wszyscy oczekiwali, że Mick podsunie miejsca, gdzie można by znaleźć Bubbera. Ale miasto było takie duże, a chłopczyk taki sprytny, że nie wiedziała zupełnie, jak się do tego zabrać. Może poszedł do domu Portii na Sugar Hill? Zawróciła do kuchni, gdzie Portia siedziała przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Przyszło mi nagle na myśl, że on może poszedł do twojego mieszkania. Pomóż nam go odnaleźć.

— Że też mi to do głowy nie przyszło! Założę się, że mój mały Bubber siedzi cały czas, przestraszony, u mnie.

Pan Brannon pożyczył samochód. Wsiadł do niego z panem Singerem i z ojcem Mick, wsiadła także ona z Portią. Nikt prócz niej nie wiedział, co czuje Bubber. Nikt nie wiedział, że on naprawdę uciekł w przekonaniu, że ratuje życie.

W domu Portii było ciemno, tylko na podłodze kładły się jasne kwadraty księżycowego blasku. Ledwo weszli do środka, wiedzieli, że oba pokoje są puste. Portia zapaliła lampę. W mieszkaniu unosiła się ostra woń, jak zwykle u Murzynów,

pełno tam było powycinanych z pism obrazków na ścianach, koronkowych serwet na stołach i poduszek na łóżku. Bubbera — ani śladu.

— Był tutaj — powiedziała nagle Portia. — Na pewno ktoś tu był.

Singer znalazł ołówek i kartkę na kuchennym stole. Przeczytał ją szybko, a potem wszyscy po kolei. Pismo było okrągłe i koślawe, ale zdolny chłopaczek zrobił tylko jeden błąd ortograficzny. Treść brzmiała:

Kochana Portio!

Jadę na Floradę. Powiedz o tym wszystkim.

Twój Bubber Kelly

Stali zdumieni, osłupiali. Ojciec wyjrzał za próg i podrapał się zatroskany. Gotowi już byli wsiąść do samochodu i pojechać w kierunku szosy prowadzącej na południe.

— Zaczekajcie chwilę — odezwała się Mick. — Choć Bubber ma dopiero siedem lat, jest na tyle mądry, że nie powie nam, dokąd idzie, jeśli chce uciec. Ta Floryda to oszukaństwo.

— Oszukaństwo? — powtórzył ojciec.

— Tak. Są tylko dwie miejscowości, o których Bubber coś wie. Floryda i Atlanta. Byliśmy z nim i z Ralphem wiele razy na drodze do Atlanty. Wie, jak się tam idzie, i na pewno tam poszedł. Opowiadał zawsze, co robi, jak będzie miał okazję pójść do Atlanty.

Wsiedli znów do samochodu. Mick już miała usiąść na tylnym siedzeniu, kiedy Portia schwyciła ją za łokieć.

— Wiesz, co zrobił Bubber? — spytała cicho. — Nie mów nikomu, ale zabrał z komody moje złote kolczyki. Nigdy nie myślałam, że on może zrobić coś takiego.

Brannon ruszył z miejsca. Jechali wolno, rozglądając się po ulicach i kierując się ku szosie do Atlanty.

To prawda, że Bubber okazał dziś brzydkie instynkty. Jeszcze nigdy się tak nie zachował. Do tej pory był zawsze cichym, spokojnym dzieckiem, które nigdy nie zrobiło nic złego. Gdy wyrządził komuś przykrość, był zawsze zawstydzony i zdenerwowany. Jak to się stało, że mógł zrobić to, co zrobił dzisiaj?

Jechali bardzo wolno drogą do Atlanty. Minęli ostatnie domy i znaleźli się wśród ciemnych pól i lasów. Co chwila zatrzymywali się i pytali, czy ktoś nie widział Bubbera.

— Czy nie szedł tędy mały chłopczyk w spodenkach z prążkowanego aksamitu?

Ale choć ujechali z dziesięć mil, nikt go nie widział, nikt nie zauważył. Przez otwarte okna wdzierał się zimny, porywisty wiatr. Była już późna noc.

Ujechali jeszcze kawałek, a potem zawrócili do miasta. Ojciec i pan Brannon chcieli odszukać wszystkie dzieci z drugiej klasy, ale Mick nakłoniła ich, żeby jeszcze raz wrócili na drogę do Atlanty. Przez cały czas nie mogła zapomnieć tego wszystkiego, co powiedziała Bubberowi. O tym, że Baby nie żyje, i o Sing-Sing, i o dyrektorze Lawesie. O elektrycznych krzesłach na jego miarę i o piekle. W ciemnościach słowa te brzmiały strasznie.

Jechali wolniutko i znajdowali się jakieś pół mili za miastem, kiedy nagle zobaczyła Bubbera. Światła samochodu oświetlały go wyraźnie. Zabawna rzecz, szedł brzegiem drogi i podniósł duży palec, żeby go podwieźć. Za pasem sterczał mu kuchenny nóż Portii. Na szerokiej drodze wydawał się taki mały, jakby miał pięć lat, a nie siedem.

Przystanęli, a on podbiegł do nich. Nie mógł dojrzeć, kto siedzi w samochodzie. Oczy miał zmrużone jak zawsze, gdy celował, grając w kulki. Ojciec schwycił go za kołnierz. Bubber walił pięściami i kopał. Potem złapał za nóż. Ojciec wyrwał mu go w ostatniej chwili. Walczył jak mały lew schwyty w pułapkę, ale w końcu wpakowali go do auta. Ojciec w drodze do domu trzymał go na kolanach; Bubber siedział sztywny i wyprostowany.

Musieli wciągnąć go siłą do domu, wszyscy sąsiedzi i lokatorzy zbiegli się oglądać to zamieszanie. Wciągnięty do frontowego pokoju, zaszył się w kąt, zacisnął pięści i zmrużonymi oczami patrzył na wszystkich, jakby gotów był walczyć z całym tłumem.

Nie wymówił jeszcze słowa, od kiedy weszli do domu, teraz zaczął krzyczeć:

— To Mick zrobiła! Nie ja! Mick!

Bubber nigdy jeszcze nie krzychał w ten sposób. Żył nabrzmiały mu na karku, a piąstki były twarde jak kamyki.

— Nie pozwolę się związać! Nikt mnie nie weźmie!

Mick potrząsnęła go za ramię. Powiedziała, że go okłamała.

Zrozumiał w końcu, co mówi, ale nie chciał umilknąć. Zdawało się, że nic nie uciszy tego krzyku.

— Nienawidzę was! Nienawidzę!

Otoczyli go w milczeniu. Brannon pocierał nos, ze wzrokiem wbitym w podłogę. W końcu wyszedł cicho z pokoju. Jeden Singer zdawał się wiedzieć, co to wszystko znaczy. Może dlatego, że nie słyszał tego okropnego krzyku. Twarz jego była niezmiernie spokojna, a kiedy Bubber patrzył na niego, uspokajał się trochę. Pan Singer był inny od wszystkich, a w takich chwilach jak ta lepiej było pozwolić mu działać. Miał więcej rozsądku i wiedział to, czego zwykli ludzie nie mogli wiedzieć. Patrzył tylko na Bubbera i po chwili chłopczyk uspokoił się na tyle, że ojciec mógł zanieść go do łóżka. Bubber leżał na brzuchu i płakał. Płakał, zanosząc się długim, strasznym szlochem, od którego trząsał się cały. Płakał przez godzinę. Nikt w trzech pokojach nie mógł usnąć. Bill przeniósł się na kanapę do saloniku, a Mick położyła się koło Bubbera. Nie pozwolił się dotknąć ani przytulić. Po następnej godzinie płaczu, którym aż się zanosił, usnął.

Ona długo leżała bezsennie. Objęła go w ciemności i trzymała przytulonego do siebie. Gładziła go i całowała. Był taki mały, miękki, przepojony słonym chłopięcym zapachem. Miłość jej do niego była tak wielka, że ścisnęła go, aż osłabły jej ramiona. Myśli Mick wypełniał Bubber i muzyka. Wydawało jej się, że cokolwiek dla niego zrobi, to będzie zawsze mało. Nigdy go nie uderzy, nie będzie się z nim nawet droczyć. Spała, całą noc obejmując rękami jego głowę. Kiedy obudziła się rano, Bubbera nie było.

Ale po tej nocy nie miała wiele okazji, by się z nim droczyć — i inni też ich nie mieli. Po wypadku z Baby chłopiec już nie był nigdy taki jak dawniej. Stał się milczący i nie bawił się z nikim. Przeważnie siedział sam na podwórku za domem albo w komórce na węgiel. Zbliżało się Boże Narodzenie. Mick bardzo chciała mieć fortepian, ale naturalnie nie wspomniała o tym. Opowiadała wszystkim, że chciałaby dostać zegarek z Myszka Miki. Kiedy zapytano Bubbera, co pragnąłby dostać od Świętego Mikołaja, odpowiedział, że nie chce nic. Schował kulki i składany nóż i nie pozwalał nikomu dotykać swoich książek z bajkami.

Po tej nocy nikt nie nazywał go więcej Bubberem. Starsze dzieci z sąsiednich domów wołały na niego Morderca Baby. Ale niewiele rozmawiał z kimkolwiek i zdawało się, że nic go nie obchodzi. Rodzina nazywała go teraz jego prawdziwym imieniem: George. Z początku Mick nie mogła odzwycząić się od wołania na niego

„Bubber” i nie chciała. Ale zabawne, że po jakimś tygodniu po prostu zaczęła do niego mówić „George”, jak inni. Było to już jednak inne dziecko ten George — chodził zawsze sam, jakby był o wiele starszy, i nikt, nawet ona, nie wiedział, co myśli naprawdę.

Spała z nim razem w noc Bożego Narodzenia. Leżał w ciemności i milczał.

— Przestań zachowywać się tak dziwacznie — powiedziała do niego. — Porozmawiajmy o czarownikach i o tym, jak dzieci w Holandii wystawiają drewniane saboty zamiast wywieszać pończochy.

George nie odpowiedział. Zasnął.

Wstała o czwartej rano i obudziła całą rodzinę. Ojciec rozpałił ogień w frontowym pokoju, a potem wpuścił ich pod choinkę, aby zobaczyli prezenty. Dla George'a był strój indiański, a dla Ralpa gumowa lalka. Reszta rodziny dostała prezenty ubraniowe. Szukała w swojej pończosze zegarka z Myszką Miki, ale nie znalazła. Dostała ciemnobrązowe buciki i pudełko wiśniowych cukierków. Było jeszcze ciemno, kiedy wyszli z George'em przed dom; łupali orzechy, strzelali z petard i zjedli całe dwie warstwy cukierków z pudełka. Kiedy wstał dzień, byli bardzo zmęczeni i bolały ich brzuchy. Mick położyła się na kanapie. Zamknęła oczy i zanurzyła się w świat marzeń.

6.

O godzinie ósmej doktor Copeland siedział przy biurku i w bladym świetle poranka przeglądał leżący przed nim stos kartek. Obok niego wznosił się do sufitu ciemnozielony cedr o gęstych gałązkach. Od początku swojej lekarskiej praktyki doktor wydawał co roku przyjęcie w dzień Bożego Narodzenia. I teraz wszystko było już przygotowane. Pod ścianami w pokojach od frontu ustawiono rzędy krzeseł i ławek. W domu unosił się słodko-korzenny zapach świeżego ciasta i parzącej się kawy. W jego gabinecie na ławce pod ścianą siedziała Portia, zgięta niemal wpół, podpierając brodę rękami.

— Ojczy, tkwisz nad tym biurkiem od piątej rano. I po co tak wcześnie wstałeś! Trzeba było leżeć w łóżku do czasu, aż zacznie się ten cały rozgardiasz.

Doktor Copeland oblizwał językiem grube wargi. W głowie kłębiło mu się tyle myśli, że nie miał czasu zajmować się Portią. Jej obecność drażniła go.

— Czego tu siedzisz z taką kwaśną miną? — zwrócił się do niej zirytowany.

— Martwię się po prostu — odrzekła. — Przede wszystkim martwię się o Williego.

— O Williego?

— Widzisz, pisał regularnie co niedziela. List przychodził tu w poniedziałek lub wtorek. A w ostatnim tygodniu nie napisał wcale. Oczywiście, tak naprawdę to się nie martwię. Willie jest zawsze taki pogodny i miły, iż wiem, że sobie poradzi. Przenieśli go z więzienia do pracy z roboczą drużyną więźniów i wysłali gdzieś na północ od Atlanty. Przed dwoma tygodniami pisał, że mają pójść na nabożeństwo do kościoła i prosił, żeby przysłać mu ubranie i czerwony krawat.

— Czy tylko o tym pisał?

— Pisał też, że ten pan B.F. Mason też jest w więzieniu. I że spotkał znajomego chłopaka, Bustera Johnstona. Prosił też, żeby przysłać mu harmonijkę, bo czuje się nieszczęśliwy, kiedy nie może na niej grać. Posłałam wszystko. Do tego warcaby i ciasto lukrowane. Myślę, że za parę dni dostanę od niego wiadomość.

Oczy doktora płonęły gorączką, bez przerwy poruszał rękami.

— Córko, porozmawiamy później. Muszę to teraz skończyć. Idź do kuchni i przypilnuj, żeby wszystko było gotowe.

Portia wstała, starając się przybrać pogodny, zadowolony wyraz twarzy.

— Jak zdecydowałaś z tą pięciodolarową nagrodą?

— Nie zdecydowałem jeszcze, która praca jest najlepsza — odpowiedział ostrożnie.

Jeden z jego przyjaciół, Murzyn aptekarz, wyznaczył coroczną nagrodę w kwocie pięciu dolarów dla ucznia szkoły średniej, który napisze najlepsze wypracowanie na zadany temat. Aptekarz wybierał zawsze doktora Copelanda jako jedynego sędziego tych prac, a nazwisko zwycięzcy ogłaszano na przyjęciu w dzień Bożego Narodzenia. W tym roku temat wypracowania brzmiał: „Moje ambicje. Jak mógłbym polepszyć pozycję społeczną rasy murzyńskiej?”. Tylko jedna praca zasługiwała naprawdę na uwagę. Była jednak tak dziecinnie ujęta i nieprzemysłana, że to chyba niemądrze przyznać za nią nagrodę. Doktor włożył okulary i raz jeszcze przeczytał wypracowanie.

Moje ambicje są takie. Po pierwsze, dostać się do Tuskegee College, ale nie chcę być kimś takim jak Booker Washington czy doktor Carver. Kiedy uznam, że moje wykształcenie jest wystarczające, chcę zostać dobrym adwokatem, takim jak ten, który bronił chłopców w procesie w Scottsboro. Prowadziłbym tylko sprawy Murzynów przeciwko białym. Ludziom naszej rasy co dzień i na różne sposoby daje się odczuć, że są czymś niższym. A tak nie jest. Jesteśmy Rasą Przyszłości. I nie możemy ciągle harować na białych. Nie możemy siać po to, by inni zbierali.

Chcę być jak Mojżesz, który wyprowadził dzieci izraelskie z ziemi niewoli. Chcę stworzyć tajne Stowarzyszenie Murzyńskich Przywódców i Uczonych. Wszyscy Murzyni skupią się wokół tych wybranych przywódców i przygotowują bunt. Pospieszą nam z pomocą inne narody świata, które interesują się trudnym położeniem naszej rasy i chciałyby oglądać podział Stanów Zjednoczonych. Murzyni zorganizują się, wybuchnie rewolucja, i w końcu zajmą wszystkie tereny na wschód od Missisipi i na południe od Potomacu. Stworzą potężny kraj pod kontrolą Stowarzyszenia Murzyńskich Przywódców i Uczonych. Biali nie dostaną paszportu do tego kraju, a jeśli znajdą się na jego terenie, nie będą mieli żadnych praw.

Nienawidzę białej rasy i będę całe życie pracował w tym celu, by Murzyni mogli pomścić wszystkie swoje cierpienia. Takie są moje ambicje.

Doktor Copeland czuł gorączkę w całym ciele. Zegar na biurku tykał głośno, co działało mu na nerwy. Czy można przyznać nagrodę chłopcu o tak zwariowanych poglądach? Jaką powziąć decyzję?

Inne wypracowania nie miały żadnej określonej treści. Młodzież nie chciała myśleć. Pisali tylko o swoich ambicjach, a pomijali drugą część tytułu. Tylko jedna rzecz była znamienna. Na dwadzieścia pięć wypracowań dziewięć zaczynało się od zdania: „Nie chcę służyć”. Potem pisali, że chcą być lotnikami, bokserami, tancerzami lub kaznodziejami. Jediną ambicją pewnej dziewczynki było miłosierdzie wobec ubogich.

Autor wypracowania, które zaprzętało myśli doktora, nazywał się Lancy Davis. Wiedział, kto je napisał, zanim odwrócił ostatnią stronę i zobaczył podpis. Miał już kiedyś kłopoty z Lancym. Jego starsza siostra w wieku lat jedenastu poszła na służbę do białych i została zgwałcona przez swego starzejącego się chlebodawcę. Mniej więcej rok potem wezwano nagle doktora do Lancy'ego.

Doktor podszedł do szafki w swojej sypialni, gdzie przechowywał notatki dotyczące pacjentów. Wyciągnął kartę z napisem: „Dan Davis i Rodzina” i przeglądał ją, aż trafił na imię Lancy'ego. Data obok pochodziła sprzed czterech lat. Uwagi pierwsze wypisane były z większą starannością niż następne. „Lat trzynaście, dojrzały płciowo. Nieudana próba pozbawienia się męskości. Nadmierna pobudliwość i nadczytność tarczycy. W czasie dwóch wizyt ataki płaczu, nieusprawiedliwione zbyt wielkim bólem. Gadatliwy. Skłonności paranoiczne. Środowisko przyzwoite, z jednym wyjątkiem. Patrz: Lucy Davis — matka, praczka. Inteligentny i zasługujący na uwagę i wszelką możliwą pomoc. Utrzymać kontakt. Opłata: 1 dolar (?)”.

— W tym roku decyzja jest trudna — powiedział do Portii. — Ale chyba przyznam nagrodę Lancy'emu Davisowi.

— Kiedy się zdecydujesz, przyjdź powiedzieć mi, jak zapakować niektóre prezenty.

Prezenty, które miano rozdzielić pomiędzy uczestników przyjęcia, znajdowały się w kuchni. Stały tam papierowe torby z produktami żywnościowymi i ubraniami; dołączona była do nich czerwona świąteczna kartka. Zaproszono wszystkich, którym na tym zależało; ci co zamierzali przyjść, wstąpili już przedtem do domu i wpisali lub prosili kogoś, by wpisał ich nazwisko w księdze gości wyłożonej w tym celu na stole w holu. Na podłodze stały stosy papierowych toreb. Było ich około czterdziestu, a wielkość uzależniono od potrzeb odbiorcy. Dla niektórych były małe paczuszki orzechów i winogron, dla innych duże pudła, nieomal za ciężkie na siły mężczyzny. Doktor stał w progu, jego nozdrza rozdymały się z dumy.

— Uważam, że dobrześ to zorganizował w tym roku. Ludzie okazali się bardzo hojni.

— Ech! — odpowiedział. — To nawet nie setna część tego, co potrzeba.

— No, ojczy! Wiem dobrze, że jesteś bardzo zadowolony. Ale nie chcesz tego okazać. Zawsze musisz znaleźć jakiś powód do narzekań. Mamy tu około ośmiu galonów grochu, dwadzieścia worków mąki, blisko piętnaście funtów boczku, barweny, sześć tuzinów jaj, mnóstwo mamałygi, słoiki pomidorów i brzoskwiń. Jabłka i dwa tuziny pomarańczy. I odzież. Dwa materace i cztery kołdry. To jest coś!

— Kropla w morzu.

Portia wskazała duże pudło w rogu pokoju.

— A to? Co chcesz z tym zrobić?

Pudło było pełne starych rupieci: lalka bez głowy, podarte koronki, skórka z królika. Doktor oglądał dokładnie każdą rzecz.

— Nie wyrzucaj. Wszystko się przyda. To dary od naszych gości, których nie stać na nic lepszego. I te rzeczy jakoś się zużytkuje.

— No to przejrzyj jeszcze te pudełka i woreczki, żebym mogła zacząć wiązać. Nie będzie na to miejsca w kuchni, kiedy zaczną się tłoczyć po napoje. Wyłóż te prezenty na schodach i na podwórzu.

Wzeszło słońce. Dzień zapowiadał się jasny i chłodny. Po kuchni rozchodziły się mocne, słodkie zapachy. Na piecu stał kociołek kawy, a lukrowane ciastka wypełniały w kredensie całą półkę.

— Nie ma tu nic od białych. Wszystko od Murzynów.

— Nie — odrzekł doktor. — Nie całkiem wszystko. Pan Singer przysłał czek na dwanaście dolarów na kupno węgla. Zaprosiłem go tutaj.

— Chryste Panie! — powiedziała Portia. — Dwanaście dolarów!

— Uważałem, że wypadało go zaprosić. On nie jest taki jak inni ludzie białej rasy.

— Masz rację. Ale ja ciągle myślę o moim Williem. Chciałabym, żeby mógł być na tym dzisiejszym przyjęciu. I bardzo chciałabym dostać od niego list. Nie schodzi mi to z myśli. Ale przestańmy rozmawiać i kończmy przygotowania. Już niedługo zaczną się schodzić.

Było jeszcze dosyć czasu. Doktor umył się i ubrał starannie. Przez chwilę próbował powtórzyć sobie, co powie, kiedy przyjdą goście. Ale nastrój niepokoju i wyczekiwania nie pozwalał mu się skupić. O dziesiątej zjawili się pierwsi goście i w ciągu pół godziny byli już wszyscy.

— Wesołych świąt! — mówił John Roberts, listonosz.

Kręcił się z zadowoleniem po zatłoczonym pokoju. Miał jedno ramię wyższe od drugiego, ocierał twarz białą jedwabną chustką.

— Najlepsze życzenia!

Pokoje od frontu wypełnione były po brzegi. Goście stali grupkami w drzwiach, na ganku i przed domem. Nikt się nie rozpychał ani nie tłoczył. W ogólnym zamieszaniu panował porządek. Przyjaciele nawoływali się, obcych przedstawiano i ściskano im dłonie. Dzieci i młodzież trzymali się razem wycofując się raczej do kuchni.

— Wesołych świąt!

Doktor stał pośrodku pokoju przy drzewku. Był tak oszołomiony, że aż kręciło mu się w głowie. Z zakłopotaniem ścisnął dłonie przybyłych i odpowiadał na pozdrowienia. Wpychano mu w ręce podarunki owiązane starannie wstążeczkami lub owinięte w gazetę. Nie wiedział, gdzie je położyć. Powietrze zgęstniało, głosy rozbrzmiewały coraz donośniej. Twarze wirowały wokół niego tak, że przestał je już odróżniać. Stopniowo odzyskiwał spokój. Znalazł miejsce, gdzie mógł złożyć prezenty, które do tej pory trzymał w rękach. Zawrót głowy ustępował. W pokoju się przerzedziło. Poprawił okulary na nosie i zaczął się rozglądać.

— Wesołych świąt! Wesołych świąt!

Marshall Nicolls, aptekarz w długim surducie, rozmawiał ze swoim zięciem, który pracował przy wywózce śmieci. Zjawił się kaznodzieja z kościoła Wniebowstąpienia i dwóch diakonów z innych kościołów. Highboy, w jaskrawym ubraniu w kratkę, poruszał się swobodnie wśród tłumu gości. Krzepcy młodzi eleganci kłaniali się kobietom w długich kolorowych sukniach. Były też matki z dziećmi i stateczni, starsi mężczyźni spluwający dyskretnie w kolorowe chusteczki. W pokoju panował hałas. Było bardzo gorąco.

Singer stał w progu. Wielu ludzi przyglądało mu się. Doktor nie mógł sobie przypomnieć, czy przywitał się z nim, czy nie. Głuchoniemy stał sam. Twarz jego przypominała trochę portret Spinozy. Żydowska twarz. Z przyjemnością się na niego patrzyło.

Drzwi i okna były otwarte. Po pokoju hulał przeciąg, aż ogień buzował. Gwar uciszył się trochę. Wszystkie krzesła były zajęte, młodzież siedziała rzędami na podłodze. Hol, ganek, nawet podwórze wypełniali goście, teraz siedzący w milczeniu.

Nadeszła chwila, gdy powinien był przemówić, ale co ma powiedzieć? Strach ścisnął mu gardło. Zebrani w pokoju czekali. Na znak dany przez Johna Robertsa zapanowała głucha cisza.

— Bracia moi! — zaczął matowym głosem doktor. I umilkł. A potem nagle popłynęły słowa:

— Dziewiętnasty już rok zbieramy się tu razem, by święcić dzień Bożego Narodzenia. Ponure to były czasy, gdy lud nasz usłyszał po raz pierwszy o narodzeniu Jezusa Chrystusa. Sprzedawano nas wtedy jako niewolników tu w tym mieście, na placu przed sądem. Od tamtej pory historię jego życia słyszeliśmy i opowiadaliśmy już

niezliczoną ilość razy. Dziś więc opowiem wam co innego. Sto dwadzieścia lat temu, w kraju znanym pod nazwą Niemcy, dalekim kraju za Atlantykiem, urodził się pewien człowiek. Człowiek ten zrozumiał to samo, co zrozumiał Jezus. Myśli jego nie były jednak zajęte niebem i życiem pośmiertnym. Jego misją był los żywych. Niezliczonych rzesz ludzi, którzy pracują i cierpią. Ludzi, którzy piorą, gotują, zbierają bawełnę lub pracują w fabryce przy gorących kadziach z farbą. Życiowym posłannictwem tego człowieka byliśmy my, a nazywał się on Karol Marks.

Karol Marks był mądry. Uczył się, pracował i rozumiał, co się wokół niego dzieje. Mówił, że świat podzielony jest na dwie klasy: bogatych i biednych. Na jednego bogacza przypada tysiąc biedaków, którzy pracują na to, żeby on się jeszcze bardziej wzbogacił. Marks nie dzielił świata na Murzynów i białych czy Chińczyków; uważał, że ważniejsze dla człowieka niż kolor skóry jest to, czy będzie on jednym spośród milionów biedaków, czy jednym z nielicznych bogaczy. Życiowym zadaniem Karola Marksa było zrównanie wszystkich ludzi i podział wielkich bogactw świata tak, by nie było już biednych i bogatych, by każdy dostał swoją część. Oto jedno z przykazań, które zostawił nam Marks: „Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb”.

Gdzieś w korytarzu uniosła się nieśmiało w górę żółta, pomarszczona ręka.

— Czy to był Marek z Biblii?

Doktor wyjaśnił, przeliterował oba nazwiska i zacytował daty.

— Czy są jeszcze jakieś pytania? Chciałbym, żeby każdy z nas spokojnie wypowiadał się w dyskusji.

— Przypuszczam, że pan Marks był chrześcijaninem? — odezwał się kaznodzieja.

— Wierzył w świętość ludzkiego ducha.

— Czy to był biały?

— Tak, ale to dla niego nie było najważniejsze. Mówił, że nic, co ludzkie, nie jest mu obce. Uważał się za brata wszystkich ludzi.

Doktor umilkł na chwilę. Na otaczających go twarzach malowało się wyczekiwanie.

— Jaka jest wartość każdego przedmiotu, każdego towaru, który kupujemy w sklepie? Wartość zależy tylko od jednej rzeczy — od pracy, jakiej wymagało wyprodukowanie lub wyhodowanie danego artykułu. Dlaczego murowany dom

kosztuje więcej niż kapusta? Bo do wybudowania go potrzebna jest praca wielu ludzi. Jedni robią cegły i zaprawę murarską, inni ścinają drzewa na deski do podłóg, jeszcze inni znoszą materiał na plac, gdzie ma stanąć dom. I w końcu są robotnicy, którzy go budują. Murowany dom wymaga pracy wielu, wielu ludzi, podczas gdy kapustę może wyhodować każdy sam w ogródku za domem. Dom kosztuje więcej niż kapusta, bo pochłania więcej pracy. Kiedy więc ktoś kupuje taki dom, płaci za trud włożony w jego postawienie. Ale kto dostaje pieniądze, czyj jest ten zysk? Nie licznych robotników, którzy wykonali pracę, lecz tych, którzy nimi kierują. A jeśli prześledzicie to dalej, przekonacie się, że ci ostatni mają też kogoś nad sobą, a ci z kolei jeszcze kogoś, tak że kontrolę nad całą naszą pracą, której wynikiem są rzeczy mające pieniężną wartość, skupia w swoim ręku dosłownie kilku ludzi. Czy rozumiecie to wszystko?

— Rozumiemy.

Czy rozumieci naprawdę? Zaczął znów od nowa, powtórzył to samo jeszcze raz. Teraz padły pytania.

— A czy glina na te cegły nie kosztuje? Czy nie kosztuje dzierżawienie ziemi i jej uprawa?

— Słuszne pytanie — odpowiedział doktor. — Ziemia, glina, drzewo to są tak zwane bogactwa naturalne. Człowiek ich nie wytwarza, tylko z nich korzysta, używa ich w pracy. A więc czy właścicielem tych dóbr powinna być jedna osoba, czy nawet grupa ludzi? Czy jeden człowiek może być posiadaczem ziemi, powietrza, słońca czy deszczu, które pomagają mu w uprawie plonów? Jak może powiedzieć o tych rzeczach „to moje”, i nie pozwolić, by korzystali z nich inni? Dlatego Marks mówi, że te bogactwa naturalne powinny należeć do wszystkich, wszyscy ludzie powinni je użytkować w zależności od swojej zdolności do pracy. Przypuśćmy na przykład, że ktoś umiera i zostawia swego muła czterem synom. Synowie nie potną go przecież na cztery części i nie podzielą się nim, ale będą go użytkować i wykorzystywać wspólnie. Marks mówi, że wszystkie bogactwa naturalne powinny być wspólną własnością wszystkich robotników na świecie, a nie tylko nielicznej garstki bogaczy.

My, zebrani tutaj, nie posiadamy żadnej własności. Może jeden czy drugi jest właścicielem domu, w którym mieszka, albo ma parę odłożonych dolarów, ale nie mamy nic prócz najniezbędniejszych środków do życia. Jedyłą naszą własnością są nasze ciała. Sprzedajemy je co dzień. Od wczesnego rana w ciężkim trudzie do zmroku. Musimy sprzedawać się za każdą cenę, o każdej porze, do każdej pracy. Musimy się sprzedawać, aby jeść i żyć. A zapłata, jaką otrzymujemy, to tylko tyle,

byśmy mieli siłę pracować dla korzyści innych. Nie sprzedają nas już dziś na placu przed sądem. Ale zmuszają do sprzedawania naszych sił, naszego czasu, naszych dusz niemal w każdej godzinie życia. Wyzwolono nas z jednej niewoli, by wtrącić w drugą. Czy to jest wolność? Czy jesteśmy ludźmi wolnymi?

Niski głos zawołał z podwórza:

— To prawda!

— Tak jest naprawdę!

— W tym niewolnictwie nie jesteśmy odosobnieni. Są miliony takich na całym świecie, wszelkich ras i wszelkich wyznań. O tym musimy pamiętać. Wielu spośród nas nienawidzi białych biedaków, a oni nienawidzą nas. Na przykład robotnicy z fabryk nad rzeką. Ludzie równie biedni jak i my. Ta nienawiść to bardzo zła rzecz i nic dobrego z niej wyniknąć nie może. Musimy pamiętać o tym, co powiedział Karol Marks, i rozumieć prawdę, której on uczył. niesprawiedliwość, jakiej doznajemy, winna jednoczyć nas, a nie rozdzielać. Pamiętajmy, że naszą pracą wytwarzamy to wszystko, co na tej ziemi ma jakąkolwiek wartość. Te główne wskazania Marksa musimy zachować w sercach i nie zapomnieć o nich.

Ale bracia moi! My, Murzyni, zgromadzeni w tym pokoju, mamy jeszcze inną, własną misję do spełnienia. Mamy przed sobą wielki realny cel, a jeśli go nie zrealizujemy, będziemy zgubieni na zawsze. Zastanówmy się teraz, jaka to misja.

Doktor rozluźnił kołnierzyk koszuli, bo coś dławilo go w gardle. To bolesne uczucie było nie do zniesienia. Spojrzał po swoich milczących gościach. Czekali. Ci zebrani na podwórzu i ci na ganku stali z taką samą skupioną uwagą, co zgromadzeni w pokoju. Jakiś przygłuchy mężczyzna pochylił się do przodu z ręką przytkniętą do ucha. Jedna z kobiet wtykała do ust smoczek rozkrzyczanemu dziecku. Singer stał w progu w pozie wyczekującej. Większość młodych rozsiadła się na podłodze. Był wśród nich Lancy Davis. Blade wargi chłopca drżały. Objął mocno kolana rękami, jego twarz była chmurna. Wszyscy patrzyli uważnie i czujnie, w ich wzroku palił się głód prawdy.

— Mamy dziś przyznać nagrodę w wysokości pięciu dolarów uczniowi szkoły średniej, który napisał najlepsze wypracowanie na temat: „Moje ambicje. Jak mógłbym polepszyć pozycję społeczną rasy murzyńskiej?”. W tym roku nagrodę otrzymuje Lancy Davis.

Doktor wyjął z kieszeni kopertę.

— Nie potrzebuję wam mówić, że wartością tej nagrody jest nie tylko suma, którą ona przedstawia, ale głęboka wiara i ufność, jaka jej towarzyszy.

Lancy podniósł się niezgrabnie. Wargi mu drżały. Ukłonił się i wziął nagrodę.

— Czy mam przeczytać moje wypracowanie?

— Nie — odrzekł doktor. — Ale chciałbym, żebyś przyszedł porozmawiać ze mną któregoś dnia w tym tygodniu.

— Przyjdę, proszę pana doktora.

W pokoju znów zaległa cisza.

— „Nie chcę służyć!”. Takie pragnienie powtarzało się stale w wypracowaniach, które czytałem. Sługa? Zaledwie jednemu na tysiąc spośród nas wolno być sługą. My nie pracujemy! I nie jesteśmy sługami!

W pokoju rozległ się wymuszony śmiech.

— Słuchajcie! Jeden na pięciu z nas pracuje przy budowie dróg, oczyszczaniu miasta albo w tartaku czy na fermie. Drugi z tych pięciu nie może dostać w ogóle pracy. A trzech pozostałych? To znaczy większość z nas? Wielu gotuje dla tych, którzy sami nie umieją przygotować sobie posiłków. Wielu przez całe życie hoduje kwiaty w ogrodach dla przyjemności jednego czy dwóch ludzi. Wielu z nas froteruje woskowane posadzki w pięknych domach. Albo prowadzi samochody ludzi bogatych, którzy są za leniwi, by sami chcieli to robić. Spędzamy życie, wykonując tysiące zajęć nieprzynoszących nikomu żadnego pożytku. Pracujemy, ale cała nasza praca idzie na marne. Czy to jest służba? Nie, to niewolnictwo.

Pracujemy, lecz nasza praca jest bezużyteczna. Nie wolno nam być użytecznymi. Znajdują się tu uczniowie reprezentujący nielicznych szczęśliwców wśród naszej rasy. Większość z nas nie może w ogóle chodzić do szkoły. Na jednego z nas przypada dwunastu młodych, którzy nie potrafią się nawet podpisać. Odmawia się nam możliwości nauki i wszelkiej wiedzy.

„Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb”. Wszyscy wiemy, co to znaczy cierpieć prawdziwą biedę. To wielka niesprawiedliwość. Ale jest jeszcze inna, gorsza — odmawianie człowiekowi prawa do tego, by mógł pracować zgodnie ze swoimi umiejętnościami. Bezcelowy trud całego życia. Poczucie bezużyteczności. Już lepiej, by obrabowano nas z pieniędzy niż z bogactw naszego umysłu i ducha.

Niektórzy z zebranych tu dziś młodych chcieliby może uczyć w szkole, pielęgnować chorych lub być przywódcami naszej rasy. Ale większości z was prawo do tego rodzaju pracy zostanie odmówione. Będziecie musieli sprzedawać się, aby żyć. Będziecie odpychani i gnębieni. Młody chemik zbiera bawełnę. Człowiek, który mógłby być świetnym pisarzem, nie ma możliwości nauczyć się czytać. Nauczyciel tkwi bezsensownie przy desce do prasowania. Nie mamy naszych przedstawicieli w rządzie. Nie mamy prawa głosowania. W całym tym ogromnym kraju jesteśmy najbardziej ze wszystkich gnębieni. Nie wolno nam podnieść głosu. Języki gniją nam w ustach, bo nie mamy okazji ich używać. Serca stają się puste, tracimy energię potrzebną do walki o naszą ideę.

Ludu murzyński! Są w nas wielkie bogactwa ludzkiego umysłu i ducha. Mamy do ofiarowania najcenniejsze z darów. Ale nasze ofiary spotykają się ze wzgardą. Nasze dary wdeptuje się w błoto i nie wykorzystuje ich do niczego. Zmuszani jesteśmy do pracy o wiele bardziej bezużytecznej niż praca zwierząt. Murzyni! Musimy powstać i zjednoczyć się! Musimy uzyskać wolność!

Po pokoju rozszedł się pomruk. Narastała histeria. Doktor zakrzuszył się i zacisnął pięści. Czuł się olbrzymem. Miłość rozsadzała mu piersi, pragnął krzyżeć, by głos jego usłyszano w całym mieście. Pragnął rzucić się na podłogę i wołać potężnym głosem. Pokój wypełniły krzyki i jęki.

— Wybaw nas!

— Wielki Boże! Wyprowadź nas z tej pustyni śmierci!

— Alleluja! Ratuj nas, Boże!

Starął się opanować. Walczył ze sobą, aż w końcu powrócił mu spokój. Słumił krzyk i przemówił silnym, naturalnym głosem.

— Posłuchajcie! Uratujemy się sami. Ale nie przez modły i jęki. Nie lenistwem i pijaństwem. Nie szukaniem cielesnych rozkoszy i nieuctwem. Ale dumnie i godnie. Staniemy się silni i nieugięci. Musimy znaleźć siłę do walki o nasz wielki cel.

Urwał nagle i wyprostował się.

— Co rok o tej porze w skromny sposób ilustrujemy pierwsze przykazanie Marksa. Każdy z zebranych przyniósł tu jakiś dar. Wielu odmówiło sobie przyjemności, by zaspokoić potrzeby innych. Każdy dał według swoich możliwości, nie myśląc o wartości podarunku, który otrzyma w zamian. To rzecz naturalna, że dzielimy się tym, co mamy. Od dawna wiemy, o ile lepiej jest dawać niż brać. W

sercach naszych zawsze żyją słowa Karola Marksa: „Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb”.

Doktor milczał przez dłuższą chwilę, jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia. Potem ciągnął dalej:

— Nasze zadanie to przejść dzielnie, z godnością przez te dni upokorzeń. Znamy wartość ludzkiej myśli i ludzkiego ducha, zachowajmy więc dumę i wewnętrzną moc. Musimy uczyć nasze dzieci. Musimy być gotowi do wyrzeczeń, by one zdobyły wiedzę. Bo jeszcze nadejdzie czas. Nadejdzie czas, kiedy bogactwa, które są w nas, nie będą już w pogardzie. Nadejdzie czas, kiedy staniemy się użyteczni. Kiedy będziemy pracować, a praca nasza nie pójdzie na marne. Nasza misja to czekać tego dnia, nie tracąc sił i wiary.

Skończył. Klaskano w ręce, tupano w podłogę i zamarzniętą ziemię na dworze. Mocny zapach gorącej kawy płynął z kuchni. John Roberts zajął się rozdawaniem prezentów, wywołując nazwiska wypisane na kartkach. Portia nalewała chochlą kawę z kociołka stojącego na kuchennym piecu, a Marshall Nicolls roznosił pokrajane na kawałki ciasto. Doktor chodził wśród gości otoczony niewielką grupką.

Ktoś trącił go w łokieć.

— To jego imię ma Buddy?

Potwierdził. Lancy Davis chodził za nim i pytał. Doktor na wszystko odpowiadał twierdząco. Z radości czuł się jak pijany. Uczyć, wyjaśniać, zachęcać swoich rodaków — i znajdować u nich zrozumienie. To było ze wszystkiego najlepsze. Głosić prawdę i być otoczonym przez słuchaczy.

— Naprawdę bardzo miło spędziliśmy czas.

Stał w przedpokoju i żegnał gości. Ścisnął kolejno wszystkie dłonie. Zmęczony oparł się o ścianę, tylko oczy jego śledziły wychodzących.

— I mnie bardzo było miło.

Singer wyszedł ostatni. To naprawdę dobry człowiek. Inteligentny biały i wykształcony. Nie było w nim cienia bezczelności. Kiedy już wszyscy wyszli, on jeszcze został. Czekał, jakby spodziewał się jakiegoś ostatniego słowa.

Doktor podniósł rękę do bolącego gardła.

— Nauczycieli — wyrzekł ochryple. — Tego nam najbardziej potrzeba. Przywódców. Kogoś, kto by nas zjednoczył i kierował nami.

Pokoje po skończonej uroczystości wyglądały pusto i nieporządnie. W domu było chłodno. Portia zmywała filiżanki w kuchni. Srebrny śnieg pospadał z choinki na podłogę, kilka ozdób było zniszczonych.

Doktor czuł się zmęczony, ale radość i gorączka nie pozwalały mu odpocząć. Zabrał się do robienia porządku w domu, zaczynając od sypialni. Na szafce, w której mieściła się kartoteka, leżała karta Lancy'ego Davisa. Zaczęły mu się cisnąć do głowy słowa, które chciałby chłopcu powiedzieć; był zdenerwowany, że nie może z nim teraz pomówić. Chmurna twarz chłopca tchnęła odwagą, nie mógł usunąć jej z myśli. Otworzył górną szufladę szafki, by schować tam kartę. A, B, C — przesuwając nerwowo palcem po literach. Wzrok jego padł na własne nazwisko: Copeland, Benedict Mady.

W teczce było kilka zdjęć rentgenowskich i krótka historia choroby. Podniósł pod światło kliszę. W górnym lewym płacie płucnym widoczna była jasna plama, zwapnienie w kształcie gwiazdy. A poniżej duża ciemna plama i podobna w prawym płucu, wyżej. Doktor odłożył szybko zdjęcie do teczki. Miał jeszcze w ręku krótkie notatki, które sam zrobił. Z trudem odczytał nabazgrane dużymi literami słowa. „1920 — Zwapnienie gruczołów limfatycznych. Silne zagęszczenie wnęk. Rozpad wstrzymany. Podjęta praca. 1937 — Nowy rozpad tkanek. Rentgen...”. Nie mógł odczytać, co napisał. A gdy wreszcie odcyfrował, wydało mu się, że nie ma to sensu. W zakończeniu widniały trzy słowa: „Rokowanie: Nie wiem”.

Znowu ogarnęło go dawne ponure, złe uczucie. Pochylił się i szarpnął dolną szufladę. Beładny stos listów. Notatki z posiedzeń Stowarzyszenia Popierania Postępu Ludności Kolorowej. Pożółkły list od Daisy. Kartka od Hamiltona z prośbą o półtora dolara. Czego on szuka? Ręce jego grzebały w szufladzie, w końcu podniósł się sztywno.

Stracony czas. Stracona godzina.

Portia obierała kartofle przy stole kuchennym. Była przygnębiona, twarz jej miała wyraz żalospny.

— Wyprostuj się — powiedział z gniewem. — I przestań się martwić. Ciągłe się tylko martwisz i martwisz, już nie mogę na to patrzeć.

— Myślałam właśnie o Williem — odrzekła. — List spóźnił się tylko trzy dni. Ale on by mnie tak nie dręczył. On nie jest taki. Mam jakieś złe przeczucia.

— Miej cierpliwość, córko.

— Tak, muszę ją mieć.

– Mam jeszcze parę wizyt, ale niedługo wrócę.

– Zgoda.

– Wszystko będzie dobrze – zakończył.

W jasnym, chłodnym słońcu popołudnia cała jego radość zgasła. W myślach snuły mu się wspomnienia dotyczące różnych pacjentów. Owrzodzona nerka. Zapalenie opon mózgowych. Gruźlica kości. Wziął korbę z tylnego siedzenia samochodu. Zwykle prosił przechodzących ulicą Murzynów, by uruchomili silnik. Zawsze chętnie służyli mu pomocą. Ale dziś założył korbę i zakręcił nią sam z całej siły. Otarł rękawem płaszcz pot z twarzy, usiadł spieszenie za kierownicą i ruszył przed siebie.

Ile z tego, co powiedział, zostało zrozumiane? Czy będzie miało jakąkolwiek wartość? Przypomniawszy sobie swoje słowa, ale zdawały się teraz blednąć i tracić sens. A te nie wypowiedziane ciążyły mocniej na sercu. Cisnęły się na wargi i drażniły go. Twarze cierpiących rodaków przesuwały się wzburzoną falą przed jego oczami. Jechał wolno ulicą przed siebie, a serce kurczyło mu się z tej gniewnej, nie zaspokojonej miłości.

7.

Miasto od lat nie pamiętało tak ostrej zimy. Białe szron zamroził szyby i ubielił dachy domów. Zimowe popołudnia rozjaśniało mgliste żółtawe światło, cienie miały jasnyniebieskawą barwę. Cienka lodowa skorupa pokrywała kałuże na ulicach. Opowiadano, że dzień po Bożym Narodzeniu dziesięć mil na północ od miasta spadł nawet śnieg.

W Singerze zaszła jakaś zmiana. Chodził często na długie spacer, podobnie jak w czasie pierwszych miesięcy po wyjeździe Antonapoulosa. Przemierzając mile w różnych kierunkach, schodził całe miasto. Wałęsał się po gęsto zaludnionych dzielnicach nad rzeką które wyglądały nędzniej niż kiedykolwiek, bo fabryki stały beczynnie tej zimy. Żalossne, posępne osamotnienie malowało się w wielu oczach. Teraz, kiedy ludzie z konieczności żyli beczynnie, czuło się w powietrzu jakiś niepokój. Można było zaobserwować gwałtowne przyływy wiary. Młody chłopak, który pracował dotychczas przy kadziach farbiarskich, oznajmił nagle, że wstąpiła w

niego wielka święta moc. Twierdził, że zadaniem jego jest głosić nowe przykazania otrzymane od Boga. Rozstawiał namiot, gdzie co wieczór schodziły się setki ludzi, by tarzać się po ziemi i padać sobie w ramiona w przeświadczeniu, że znajdują się w obecności jakiejś nadludzkiej mocy. Zdarzyło się nawet i morderstwo. Kobieta, która nie mogła zarobić tyle, by wyżyć, ugodziła nadzorcę nożem w przeświadczeniu, że oszukał ją przy rozliczeniu przepracowanych godzin. Jakaś rodzina murzyńska zamieszkała przy jednej z najbardziej ponurych ulic w dzielnicy dla białych, co wywołało takie oburzenie, że spalono ten dom, a sąsiedzi obili Murzyna. Były to jednak sporadyczne wypadki. Nic się w zasadzie nie zmieniło. Strajk, o którym mówiono, nie doszedł do skutku, bo nie potrafili się zjednoczyć. Życie płynęło jak przedtem. Wesole miasteczko czynne było nawet w najmroźniejsze wieczory. Ludzie snuli marzenia, walczyli z codziennymi kłopotami, kładli się spać tak jak zawsze. I z przyzwyczajenia ograniczali swoje myśli, by nie wykraczać poza dzień jutrzejszy, w nieznany mrok.

Singer spacerował po rozrzuconych cuchnących dzielnicach miasta, które zamieszkiwali gęsto stłoczeni Murzyni. Było tu więcej życia i wesołości. Często po ulicach snuł się ostry, przyjemny zapach dżinu. Ciepły senny blask ognia barwił szyby. Prawie co wieczór zbierano się w kościołach. Singer odwiedzał także te części miasta, gdzie na działkach porośłych zrudziałą trawą stały wygodne małe domki. Dzieci były tu zdrowsze i śmielsze do obcych. Chodził też po dzielnicach zamieszkanym przez ludzi zamożnych. Wznosiły się tam wspaniałe siedziby z białymi kolumnami; otaczały je ogrodzenia z kunsztownie kutego żelaza. I duże murowane domy, gdzie na podjazdach rozbrzmiewały klaksony samochodów, a pióropusze dymu snuły się gęsto z kominów. Szedł dalej, aż do rozstajów dróg, które wiodły z miasta do sklepów z towarami mieszanymi, gdzie w sobotnie wieczory schodzili się farmerzy i zasiadali przy ogniu. Błąkał się często po paru jasno oświetlonych handlowych ulicach śródmieścia i po ciemnych pustych bocznych uliczkach. Nie było części miasta, której by nie znał. Wpatrywał się w tysiące okien, które rzucały żółte kwadraty światła. Zimowe noce były piękne. Niebo miało zimną lazuruwą barwę, a gwiazdy świeciły jasno.

Często się też zdarzało, że odzywano się do niego i zatrzymywano go w czasie tych spacerów. Zaznajomili się z nim różni ludzie. Jeśli Singer spotykał kogoś nieznanego, pokazywał swój bilet, by jego milczenie było wytłumaczone. Wkrótce znano go w całym mieście. Chodził wyprostowany, zawsze z rękami w kieszeniach.

Jego szare oczy zdawały się dostrzegać wszystko, co go otaczało, twarz miała ten wyraz spokoju, który widuje się najczęściej u ludzi bardzo mądrych albo bardzo smutnych. Zawsze chętnie przystawał z każdym — bo ostatecznie spacerował bez żadnego określonego celu.

Po mieście krążyły różne plotki na temat głuchoniemego. W dawnych latach, gdy mieszkał jeszcze z Antonapoulosem, chodzili zawsze razem do pracy i razem po jej zakończeniu wracali do domu, ale resztę czasu spędzali w swoim mieszkaniu. Nikt się nimi wtedy nie interesował, a jeśli się im przyglądano, to głównie grubemu Grekowi, który przyciągał uwagę. Singer z tamtych lat był nieznany. Teraz krążyły o nim liczne i bardzo różne pogłoski. Żydzi mówili, że to Żyd. Kupcy z głównej ulicy twierdzili, że otrzymał wielki spadek i jest człowiekiem bardzo bogatym. W jednym z zastraszonych związków włókniarzy szeptano, że głuchoniemy przybył z samego CIO¹. Samotny Turek, który przed laty przywędrował do miasta i wiódł wraz z rodziną smętny żywot w mieszkaniu za sklepikiem z bielizną przekonywał z uporem swoją żonę, że głuchoniemy jest Turkiem. Twierdził, że rozumie on, gdy mówi się do niego po turecku. Kiedy to udowadniał, zapalał się, zapominał o musztrowaniu swoich dzieci, stawał się aktywny i pełen nowych planów. Pewien stary farmer utrzymywał, że głuchoniemy pochodzi z jego rodzinnych stron, a ojciec głuchoniemego miał najpiękniejsze zbiory tytoniu w całym okręgu. Takie to plotki krążyły o Singercie.

Antonapoulos! Pamięć o przyjacielu trwała w nim ciągle. Kiedy wieczorem zamykał oczy, twarz Greka pojawiała się w ciemności — okrągła i tłusta, rozjaśniona łagodnym, mądrym uśmiechem. W snach Singera byli zawsze razem.

Minęło już więcej niż rok od wyjazdu przyjaciela. Rok ten nie wydawał się ani długi, ani krótki. Jak dla pijaka lub człowieka na pół uśpionego był poza normalnym pojęciem czasu. Stale czuł gdzieś blisko siebie przyjaciela. To ukryte życie z Antonapoulosem zmieniało się i rozwijało jak wszystko dokoła. Przez pierwsze kilka miesięcy Singer rozmyślał o tych strasznych tygodniach przed wyjazdem Antonapoulosa, o kłopotach, jakie sprawiała jego choroba, o nakazach aresztowania i o trudnościach związanych z zaspokajaniem kaprysów przyjaciela. Wspominał te niezbyt szczęśliwe dla nich obu czasy. W dalekiej przeszłości było jedno wydarzenie, które często mu się przypominało.

¹ CIO (Congress of Industrial Organizations) — Związek Związków Zawodowych.

Nie mieli przyjaciół. Czasami spotykali innych głuchoniemych. Na przestrzeni dziesięciu lat zaznajomili się tylko z trzema. Ale nie mieli do nich szczęścia. Jeden, tydzień po tym jak się poznali, przeniósł się do innego stanu, drugi był żonaty, miał sześćoro dzieci i nie potrafił porozumiewać się na migi. Po wyjeździe przyjaciela Singer wspominał ich kontakty z trzecim z poznanych głuchoniemych.

Miał na imię Carl. Był to młody blondyn, który pracował w jednej z fabryk. Miał jasnożółte oczy, a zęby tak kruche i przezroczyste, że i one wydawały się tego samego koloru. W niebieskim kombinezonie, który zwisał na jego chudym ciele, przypominał niebiesko-żółtą szmacianą lalkę.

Zaprosili go na obiad i umówili się z nim na spotkanie w sklepie, w którym pracował Antonapoulos. Grek był jeszcze zajęty, kiedy przyszli. W kuchence za sklepem kończył właśnie przygotowywać masę karmelową na cukierki. Lśniaca i złocista pokrywała marmurowy blat stołu. Powietrze przesycił ciepły, słodki zapach. Antonapoulos wydawał się być zadowolony z tego, że Carl widzi, jak on tnie na kwadraciki ciepłą cukierkową masę. Poczęstował nowego przyjaciela ściętym z rogu kawałkiem słodkiej masy, którą podał na końcu umazanego tłuszczem noża, i pokazał mu sztuczkę, którą się zawsze popisывał przed każdym, kogo sympatię chciał pozyskać. Wskazał gar gotującego się na kuchni syropu, wachlując sobie twarz i mrużąc oczy, aby pokazać, jak bardzo jest on gorący. Potem umoczył rękę w garnku z zimną wodą, zanurzył we wrzącym syropie i szybko włożył znów do zimnej wody. Wytrzeszczył oczy i wysunął język, jakby okropnie cierpiał. Zacisnął rękę i skakał na jednej nodze, aż trząśł się cały dom. Potem uśmiechnął się nagle i wyciągnął dłoń, by pokazać, że to był tylko żart, i uderzył Carla po ramieniu.

Był wczesny zimowy wieczór i gdy szli ulicą, trzymając się pod rękę, oddechy ich tworzyły w zimnym powietrzu małe obłoczki. Singer kroczył w środku. Po drodze dwa razy ich zostawił, żeby wejść do sklepów i porobić zakupy. Carl i Antonapoulos nieśli paczki z prowiantem, a Singer trzymał ich mocno pod rękę i uśmiechał się przez całą drogę do domu. Chodził z radością po przytulnym mieszkanku, rozmawiając z Carlem. Po posiłku rozmawiali we dwóch dalej, a Antonapoulos przyglądał im się z leniwym uśmiechem. Gruby Grek podchodził co chwila ciężkim krokiem do schowka i wydobywał z niego dzin. Carl siedział pod oknem i pił tylko wtedy, gdy Antonapoulos przytykał mu szklaneczkę do ust — pociągał wtedy w skupieniu kilka małych łyków. Singer nie pamiętał, by przyjaciel był kiedykolwiek równie serdeczny dla kogoś obcego, i już z góry myślał z przyjemnością o przyszłych częstych wizytach Carla.

Ale po północy zdarzyło się coś, co zepsuło to miłe przyjęcie. Antonapoulos odszedł od schowka z płonącą gniewem twarzą. Usiadł na łóżku i zaczął wpatrywać się uparcie w ich nowego przyjaciela z wyrazem odrazy i niewysłowionego obrzydzenia. Singer starał się rozmawiać z ożywieniem, by zatuszować to dziwne zachowanie, ale Grek uparcie trwał przy swoim. Carl kulił się na krześle, obejmując rękami kościste kolana, przerażony i zmieszany grymasami grubasa. Twarz jego oblał rumieniec, z trudem przełykał ślinę. Singer nie mógł dłużej ignorować tej sytuacji, zapytał więc w końcu Antonapoulosa, czy boli go brzuch lub może źle się czuje i chce się położyć. Antonapoulos potrząsnął głową. Wskazał Carla i zaczął wykonywać wszelkie nieprzyzwoite gesty, jakie tylko umiał. Na twarzy jego malowało się straszliwe obrzydzenie. Carl skurczył się cały ze strachu. Wreszcie gruby Grek zazgrzytał zębami i podniósł się z krzesła. Carl chwycił szybko czapkę i wybiegł z pokoju. Singer zszedł za nim po schodach. Nie wiedział, jak wytłumaczyć przyjaciela przed tym obcym człowiekiem. Carl stał na dole w progu zgarbiony i zrezygnowany, z daszkiem czapki opuszczonym na czoło. Uścisnęli sobie ręce i Carl odszedł.

Antonapoulos wytłumaczył Singerowi, że gdy oni nie patrzyli, gość zakradł się do schowka i wypił cały dzin. Żadne perswazje nie mogły przekonać Greka, że to on sam wykończył butelkę. Grubas siedział na łóżku, a jego okrągła twarz miała wyraz ponury i pełen wyrzutu. Duże łzy spływały mu wolno na podkoszulek; nie dał się pocieszyć. W końcu położył się spać, ale Singer przez długi czas leżał bezsennie w ciemności. Nigdy więcej nie zobaczyli już Carla.

Parę lat później Antonapoulos zabrał z wazonu na kominku pieniądze przeznaczone na zapłacenie komornego i przepuścił je całe w automatach. Któregoś letniego popołudnia zszedł na dół po gazetę nago, tak bardzo było mu gorąco. Gdy kupili lodówkę na raty, Antonapoulos ssał bez przerwy kostki lodu, a raz nawet, idąc spać, położył kilka do łóżka, aż się tam roztopiły. Zdarzyło się też, że Antonapoulos upił się i rzucił mu w twarz miskę makaronu. Te niemiłe wspomnienia przewijały się w myślach Singera w ciągu pierwszych miesięcy jak niedobrane nitki w dywanie; potem znikły. Wszystkie złe chwile zostały zapomniane. W miarę jak płynęły miesiące, myśląc o przyjacielu oddalał się coraz bardziej od rzeczywistości, aż w końcu obcował już tylko z tym Antonapoulosem, którego jedynie on sam mógł znać.

Temu przyjacielowi mówił wszystko, co leżało mu na sercu. To był Antonapoulos, który był mądry, choć tylko on o tym wiedział. Gdy minął rok, przyjaciel jakby urósł we wspomnieniach. Twarz jego, która pojawiała się przed nim w

ciemnościach nocy, była pełna powagi i subtelności. Nie pamiętał już nic z tego, co było w zachowaniu Greka złe i głupie, zachował w pamięci tylko rzeczy mądre i dobre.

Widział Antonapoulosa siedzącego w dużym fotelu, milczącego i nieruchomego. Jego okrągła twarz była nieprzenikniona, wargi rozciągnięte w mądrym uśmiechu, a oczy pełne wyrazu. Uważał pilnie na to, co się mówiło do niego, i w swojej mądrości rozumiał wszystko.

Taki Antonapoulos był teraz stale w myślach Singera. Temu przyjacielowi pragnął mówić o wszystkim, co mu się przytrafiało. Bo coś się w tym roku stało. Pozostał sam w obcym kraju. Otwierał oczy i widział wokół siebie wiele rzeczy, których nie rozumiał. Był tym zupełnie oszołomiony.

Patrzył na ruchy ich warg.

„My, Murzyni, pragniemy w końcu być wolni. Wolność to prawo do użyteczności. Chcemy być użyteczni i otrzymywać coś w zamian za naszą pracę, pracować i zużytkować to, co się nam należy. Jest pan jedynym białym, jakiego spotkałem, który uświadamia sobie tę ogromną potrzebę mojego ludu”.

„Rozumie pan? Cały czas jest we mnie ta muzyka. Muszę zostać muzykiem. Nie umiem jeszcze nic, ale będę umiała, kiedy skończę dwadzieścia lat. Rozumie pan? I zamierzam wtedy podróżować po obcych krajach, gdzie pada śnieg”.

„Wykończymy tę butelkę. Tę niedużą. A więc myślimy o wolności. To słowo jak robak toczy mój mózg. Tak? Nie? Jakwiele? Jak mało? To słowo to hasło do rozboju, złodziejstwa, oszustwa. Kiedy będziemy wolni, najsprytniejszy potrafi ujarzmić innych. Ale to słowo ma i drugie znaczenie. To najniebezpieczniejsze ze wszystkich słów. My, którzy znamy prawdę, musimy być ostrożni. To słowo budzi dobre uczucia, to słowo to symbol wielkich ideałów. Ale z tych wielkich ideałów pająki przędą swe najobrzydliwsze sieci”.

Ostatni pocierał tylko nos. Nie przychodził często i niewiele mówił. Zadawał jedynie pytania.

Tych czworo ludzi odwiedzało go od siedmiu miesięcy. Nigdy nie przychodzili razem, zawsze pojedynczo. A on niezmiennie witał ich w progu serdecznym uśmiechem. Trwała w nim ciągle tęsknota za Antonapoulosem, tak jak w pierwszych miesiącach po jego wyjeździe. Lepiej było być z kimś niż zbyt długo samemu, czuł się tak jak kiedyś dawno temu, gdy złożył wobec Antonapoulosa zobowiązanie (wypisał je

nawet na kawałku papieru i przybił na ścianie nad łóżkiem), zobowiązanie, że przez miesiąc nie będzie palił papierosów, pił piwa ani jadł mięsa. Pierwsze dni były bardzo ciężkie. Nie mógł spać ani spokojnie usiedzieć. Tak często odwiedzał Antonapoulosa w owocarni, że Charles Parker zaczął okazywać swoje niezadowolenie. Kiedy skończył grawerską robotę, kręcił się po frontowym pokoju, gdzie był zegarmistrz i ekspedientka, albo szedł do drugstore'u napić się coca-coli. W tamte dni lepiej było spędzać czas nawet z kimś obcym, niż samotnie rozmyślać o papierosach, piwie i mięsie, na które miał ochotę.

Z początku zupełnie nie rozumiał tych czworga ludzi. Mówili, mówili — z upływem miesięcy coraz więcej. Potem przyzwyczał się tak do ruchu ich warg, że rozumiał każde wypowiedziane przez nich słowo. A jeszcze później wiedział, co które z nich powie, zanim zaczęło mówić, bo treść ich słów była zawsze ta sama.

Najgorszą udrękę stanowiły ręce. Nie chciały spocząć ani na chwilę. Poruszały się gwałtownie, gdy spał, niekiedy budząc się, stwierdzał, że we śnie wyrażał gestami jakieś słowa. Nie lubił patrzeć na swoje ręce ani myśleć o nich. Były szczupłe, ciemne i bardzo silne. Dawniej starannie je pielęgnował. W zimie smarował kremem, by nie pierzchły, wycinał skórki, spiłowywał paznokcie. Lubiał myć ręce i dbał o nie. Ale teraz szorował je tylko szczotką dwa razy dziennie i wpychał w kieszenie.

Spacerując po swoim pokoju, wyłamywał stawy palców i szarpał je tak mocno, aż sprawiało mu to ból. Albo walił pięścią jednej ręki w dłoń drugiej. A czasami, kiedy był sam i rozmyślał o przyjacielu, ręce jego zaczynały się poruszać; gdy sobie to uświadamiał, czuł się jak człowiek przyłapany na tym, że głośno mówi do siebie, prawie tak, jakby popełnił jakieś przestępstwo. Serce przepelniał mu wstyd i smutek. Zaciskał ręce i zakładał je na plecy, ale nie dawały mu spokoju.

Singer stał na ulicy przed domem, gdzie mieszkał kiedyś z Antonapoulosem. Późne popołudnie było szare i chmurne. Na zachodzie snuły się żółtawe i różowe pasma mgły. Wróbel o nastroszonych piórkach latał zygzakami na tle szarego nieba, aż w końcu usiadł na okapie dachu. Ulica była pusta.

Singer utkwiał wzrok w oknie po prawej stronie pierwszego piętra. To był ich pokój. Za nim znajdowała się duża kuchnia, w której Antonapoulos gotował wszystkie posiłki. Widział w oświetlonym oknie poruszającą się po pokoju kobietę. Miała na

sobie fartuch; postać jej wydawała się duża i niewyraźna na tle lampy. Siedział tam też mężczyzna z wieczorną gazetą w ręku. Dziecko z kawałkiem chleba podeszło do okna i przycisnęło nosek do szyby. Singer widział ten pokój, tak jak go zostawił — duże łóżko Antonapoulosa i swoje żelazne, szeroką, za mocno wypchaną kanapę i turystyczne krzeselko, stłuczoną cukiernicę, której używali jako popielniczki, wilgotną plamę na suficie w miejscu, gdzie przeciekał dach, skrzynkę na brudną bieliznę w rogu pokoju. W późne popołudnie, jak to dzisiejsze, kuchnię oświetlał tylko blask, jaki dawały naftowe palniki dużego pieca. Antonapoulos zawsze przykręcał płomień, tak że w każdym palniku widoczna była tylko nierówna żółtoniebieska smużka światła. W pokoju było ciepło i wypełniał go smakowity zapach kolacji. Antonapoulos próbował potraw swoją drewnianą łyżką i pili ze szklanek czerwone wino. Na linoleum przed piecem migwały jasne błyski płomyków jak pięć złotych latarek. W miarę jak mglisty zmierzch pogłębiał się, blask latarek stawał się coraz wyraźniejszy, a gdy wreszcie zapadła noc, płonęły żywym, czystym blaskiem. O tej porze była już zawsze gotowa kolacja, zapalali więc światło i przysuwali krzesła do stołu.

Singer spuścił wzrok na ciemne frontowe drzwi. Myślał o tym, jak wychodzili razem co rano i wieczorem wracali do domu. W chodniku była dziura i Antonapoulos potknął się kiedyś i skaleczył w łokieć. W skrytce pocztowej co miesiąc znajdowali rachunek z elektrowni. Czuł pod palcami ciepły dotyk ramienia przyjaciela.

Ulica była teraz ciemna. Spojrzał raz jeszcze w okno i zobaczył teraz obcych ludzi: kobietę, mężczyznę i dziecko, siedzących razem przy stole. Czuł przepelniającą go pustkę. Wszystko minęło. Antonapoulos daleko. Na pewno nie myśli o nim. Myśli przyjaciela są na pewno gdzie indziej. Singer zamknął oczy i próbował wyobrazić sobie zakład i pokój, gdzie znajdował się w tej chwili Antonapoulos. Przypomniał sobie wąskie, białe łóżka i starych mężczyzn grających w karty w rogu pokoju. Zaciskał mocno powieki, ale tamten pokój nie chciał się wyraźnie zarysować przed jego oczami. Czuł w głębi siebie ogromną pustkę — spojrzał raz jeszcze w okno i ruszył ciemnym chodnikiem, którym wielokrotnie chodzili razem.

Był sobotni wieczór. Na głównej ulicy roiły się tłumy ludzi. Drżący z zimna Murzyni w kombinezonach snuli się przed wystawami sklepów z tanimi drobiazgami. Całe rodziny stały w kolejkach przed automatami z biletami do kina, a młodzi chłopcy i dziewczęta wpatrywali się w rozwieszane na zewnątrz afisze. Ruch samochodowy był tak duży, że musiał długo czekać, zanim mógł przejść na drugą stronę ulicy.

Minął owocarnię. Wewnątrz widać było piękne owoce: banany, pomarańcze, mandarynki, a nawet parę ananasów. Charles Parker obsługiwał właśnie klienta. Twarz jego wydała się Singerowi wstrętna. Parę razy, kiedy go nie było, wszedł do sklepu. Poszedł nawet do kuchni, gdzie Antonapoulos wyrabiał niegdyś cukierki. Ale nigdy nie wchodził do sklepu, gdy był tam Charles Parker. Od czasu gdy Antonapoulos wyjechał z miasta autobusem, obydwaj starali się siebie unikać nawzajem. Spotykając się na ulicy, odwracali głowy i nie kłaniali się sobie. Kiedyś, gdy chciał posłać przyjacielowi słoik ulubionego przezeń miodu, zamówił go u Charlesa Parkera listownie, żeby się z nim nie spotkać.

Singer stał przed wystawą i przyglądał się, jak kuzyn przyjaciela obsługuje klientów. W sobotnie wieczory interes zawsze szedł dobrze. Antonapoulos czasem musiał pracować do dziesiątej. Koło drzwi znajdował się automat do prażenia kukurydzy. Subiekt wsypywał do zbiorniczka miarkę ziaren, które wirowały pośrodku niby płatki śniegu. Ze sklepu wydobywał się ciepły, mocny zapach. Na podłodze pełno było rozdeptanych łusek orzeszków ziemnych.

Singer ruszył dalej ulicą. Musiał ostrożnie posuwać się wśród tłumu, aby go nie potracono. Z okazji świąt ulice były oświetlone przez czerwone i zielone elektryczne lampy. Ludzie stali w grupkach, śmiejąc się i obejmując ramionami. Młodzi ojcowie nieśli na rękach zziębnięte płaczące dzieci. Na rogu ulicy stała dziewczyna z Armii Zbawienia w czerwono-granatowym czepku i dzwoniła dzwoneczkiem. Spojrzała na Singera, nie mógł więc przejść i nie wrzucić jakiejś monety do stojącej obok puszki. Żebracy czarni i biali wyciągali czapki i spierzchnięte ręce. Neony rzucały pomarańczowy blask na twarze tłumu.

Doszedł do rogu, na którym pewnego sierpniowego popołudnia widzieli wściekłego psa. Minął lokal nad domem towarowym, gdzie Antonapoulos kazał sobie robić zdjęcia w dni wypłaty. Singer miał w kieszeni dużo jego fotografii. Skierował się teraz na zachód w kierunku rzeki. Kiedyś wzięli lunch i urządzili sobie piknik po drugiej stronie mostu. Singer blisko godzinę spacerował po głównej ulicy. On jeden w tym tłumie wydawał się osamotniony. Wreszcie wyciągnął zegarek i skierował się w stronę domu. Może przyjdzie do niego dziś wieczorem ktoś z jego czworga znajomych. Miał przynajmniej taką nadzieję.

Wysłał Antonapoulosowi duże pudło z prezentami gwiazdkowymi. Wręczył też upominki tym czterem osobom, które go odwiedzały, i pani Kelly. Dla wszystkich

kupił wspólny prezent — radio, i ustawił na stole przy oknie. Doktor Copeland wcale go nie zauważył. Biff Brannon spostrzegł je natychmiast i uniósł ze zdumieniem brwi. Jake Blount nastawiał stale tę samą stację, ile razy przyszedł, a mówił tak głośno, chcąc przekrzyczeć muzykę, że aż żyły występowały mu na czoło. Mick Kelly, ujrzawszy radio, stanęła jak wryta. Zaczerwieniła się i pytała w kółko, czy to naprawdę jego i czy ona może słuchać. Kręciła gałką parę minut, aż znalazła stację, która jej się podobała. Siedziała na krześle pochylona do przodu, z rękami na kolanach, z otwartymi ustami, a puls w skroniach bił jej w tempie przyspieszonym. Czegokolwiek słuchała, zdawała się być cała w tym pogrążona. Spędziła przy radioodbiorniku całe popołudnie. Raz tylko spojrzała na niego — na twarzy jej malował się uśmiech, a oczy miała wilgotne, więc otarła je rękami. Spytała, czy mogłaby czasem słuchać, kiedy on będzie w pracy. Singer skinął głową. W ciągu następnych dni, ile razy otwierał drzwi, zastawał ją przy radiu. Przegarniała ręką zmierzwiłone włosy, a twarz jej miała wyraz, jakiego przedtem nigdy u niej nie widział.

Pewnego wieczora, tuż po Bożym Narodzeniu, cała czwórka jego gości zesła się równocześnie. Coś podobnego nie wydarzyło się nigdy dotąd. Singer chodził po pokoju, uśmiechając się i roznosząc napoje, i robił, co mógł jako gospodarz, żeby goście czuli się dobrze. Ale coś nie grało.

Doktor Copeland nie chciał usiąść. Stał w progu z kapeluszem w ręku i skłonił się tylko chłodno obecnym. Spojrzeli na niego tak, jakby się dziwili, dlaczego tu przyszedł. Jake Blount, otwierając butelki z piwem, które ze sobą przyniósł, splamił sobie koszulę. Mick Kelly słuchała muzyki. Biff Brannon siedział na łóżku, założywszy nogę na nogę; oczy jego, śledzące uważnie zebranych, zwęziły się i przybrały skupiony wyraz.

Singer był zdumiony. Każde z nich miało zawsze tyle do powiedzenia, a teraz, gdy byli razem, milczeli. Kiedy weszli, spodziewał się jakiegoś wybuchu, oczekiwał, że położy czemuś kres. Ale w pokoju panował jedynie nastrój napięcia. Ręce jego poruszały się nerwowo, jakby wyciągały z powietrza jakieś niewidzialne nitki i wiązały je razem.

Jake Blount stanął koło doktora.

— Twarz pana jest mi znajoma. Zderzyliśmy się chyba kiedyś na schodach.

Doktor odpowiedział, poruszając językiem w taki sposób, jak gdyby wycinał słowa nożyczkami z drobiazgową dokładnością.

— Nie przypominam sobie, żebyśmy się znali.

Jego wyprostowana postać jakby się skurczyła. Cofnął się tak, że stał teraz nieomal poza progiem.

Biff Brannon palił w skupieniu papierosa. Dym snuł się w błękitnych pasmach po pokoju. Odwrócił się do Mick, a kiedy spojrzała na niego, twarz oblał mu rumieniec. Przymknął oczy i po chwili nie znać już było na jego twarzy zmieszania.

— A jak tam tobie idzie?

— Co? — spytała podejrzliwie Mick.

— No, po prostu życie — powiedział. — Szkoła, i tak dalej.

— Chyba wszystko w porządku — odrzekła.

Zebrani spoglądali wyczekująco na Singera, który był tym najwyraźniej zdziwiony. Częstował tylko napojami i uśmiechał się.

Jake otarł usta wierzchem dłoni. Zrezygnował z rozmowy z doktorem i usiadł na łóżku obok Biffa.

— Czy wiesz, kto wypisywał czerwoną kredą na płotach i murach koło fabryki te cholerne napisy?

— Nie — odpowiedział Biff. — Jakie napisy?

— Przeważnie cytaty ze Starego Testamentu. Długo się nad tym zastanawiałem.

Wszyscy zwracali się przeważnie do głuchoniemego. Myśli ich zdawały się zbiegać do niego jak szprychy koła do piasty.

— Okropnie zimno — zauważył Biff. — Przeglądałem niedawno stare zapiski i wyczytałem tam, że w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku temperatura spadła do dziesięciu stopni Fahrenheita. Dziś rano było szesnaście. To najniższa temperatura od czasu tamtych dużych mrozów.

— Dziś rano z dachu komórki na węgiel zwisały sople lodu — dorzuciła Mick.

— W ubiegłym tygodniu nie mieliśmy dosyć w kasie, żeby starczyło na wypłatę dla wszystkich — wtrącił Jake.

Rozmawiali jeszcze chwilę o pogodzie. Każde z nich zdawało się oczekiwać, że pozostali wyjdą. I nagle, jakby pod wpływem jakiegoś impulsu, wszyscy podnieśli się równocześnie. Doktor wyszedł pierwszy, a inni za nim. Singer został sam pośrodku pokoju, a ponieważ nie rozumiał, co się stało, postanowił o tym zapomnieć. Zdecydował, że wieczorem napisze do Antonapoulosa.

*

Fakt, że przyjaciel nie umiał czytać, nie powstrzymywał Singera od pisania do niego listów. Wiedział zawsze, że Antonapoulos nie jest w stanie pojąć znaczenia słów na papierze, lecz z upływem miesięcy zaczął myśleć, że może się pomylił; może Antonapoulos utrzymywał w tajemnicy przed innymi swoją znajomość liter. Możliwe też, że w zakładzie jest jakiś głuchoniemy, który potrafi przeczytać listy, a potem przekazać je na migi jego przyjacielowi. Czuł zawsze nieodpartą potrzebę pisania do niego, kiedy było mu smutno lub kiedy miał jakieś kłopoty, obmyślał więc preteksty, zasiadając do tych listów. Ale nigdy ich nie wrzucał do skrzynki. Posyłał przyjacielowi co niedziela humorystyczne wycinki z gazet, a co miesiąc przekaz pieniężny, natomiast długie listy gromadziły się w jego kieszeniach, aż w końcu je niszczył.

Kiedy goście wyszli, włożył ciepłe szare palto i szary filcowy kapelusz i wyszedł z domu. Listy pisał zawsze w sklepie. Obiecał też dostarczyć pewną robotę nazajutrz rano i chciał ją wykończyć na czas. Noc była zimna i mroźna. Żłota aureola otaczała księżyc. Szczyty dachów rysowały się czarnymi konturami na tle rozgwieżdżonego nieba. Idąc, zastanawiał się po drodze, jak zacznie swój list, ale dotarł do sklepu, nim zdążył ułożyć w myśli pierwsze zdanie. Otworzył drzwi kluczem, wszedł do ciemnego sklepu i zapalił światło.

Pracował w głębi, oddzielony od reszty sklepu kotarą, jakby w małym osobnym pokoiku. Prócz jego warsztatu i krzesła stała tam w rogu ciężka kasa ogniotrwała, umywalka z zielonkawym lustrem i półki pełne pudełek i zepsutych zegarków. Singer uniósł pulpit i wyjął z miękkiego futerału srebrny półmisek, który obiecał wykończyć. Choć w sklepie było zimno, zdjął płaszcz i zawinął rękawy koszuli, żeby mu nie przeszkadzały.

Przez długi czas pracował nad monogramem pośrodku półmiska. Delikatnie i w skupieniu poruszał rylcem po srebrnej powierzchni. Kiedy pracował, oczy jego miały dziwnie przenikliwe, jakby wygłodniały wyraz. Rozmyślał o liście do przyjaciela. Minęła północ, nim skończył robotę. Odstawił półmisek. Z podniecenia miał czoło wilgotne od potu. Wytrzeł pulpit i zaczął pisać. Lubił kreślić piórem słowa na papierze, a kreślił je z taką starannością, jakby papier był srebrną płytą.

Mój jedyny Przyjacielu!

Dowiedziałem się z ogłoszenia w gazecie, że zjazd naszego Stowarzyszenia odbędzie się w tym roku w Macon. Będą tam mowy i wspaniałe bankiet.

Wyobrażam sobie to wszystko. Pamiętasz, jak zawsze planowaliśmy, że pojedziemy kiedyś na taki zjazd. Ale nigdy nie pojechaliśmy. Żałuję tego teraz. Chciałbym, żebyśmy mogli pojechać, i wyobrażam sobie, jak by to było, ale oczywiście nigdy nie pojechałbym bez Ciebie. Zjadą się tam ludzie z wielu stanów, wszyscy będą dużo mówić, wypowiadać szczerze swoje marzenia, które snują od lat. Odbędzie się też w jednym z kościołów specjalne nabożeństwo, a także zawody, w których zwycięzca dostanie złoty medal. Piszę, że wyobrażam sobie to wszystko. Wyobrażam sobie, a równocześnie nie wyobrażam. Tak dawno już nie rozmawiałem na migi, że z trudem przypominam sobie, jak to jest. Kiedy myślę o tym zjeździe, widzę wszystkich gości podobnych do Ciebie, mój przyjacielu.

Niedawno stałem przed naszym dawnym domem. Mieszkają tam teraz obcy ludzie. Czy pamiętasz duży dąb przed frontem? Obcięto gałęzie ze względu na druty telefoniczne i drzewo obumarło. Konary uschły, pień zbutwiał, zrobiła się w nim dziupla. Kot z naszego sklepu (ten, którego pieściłeś i głaskałeś) zjadł jakąś truciznę i zdechł. Bardzo to było smutne.

Pióro Singera zawisło nad papierem. Przerwał pisanie i siedział dłuższy czas sztywny i wyprostowany. Potem wstał i zapalił papierosa. Pokój był zimny i przesycony kwaśno-stęchłym zapachem, na który składały się zmieszane wonie nafty, sidolu i tytoniu. Włożył płaszcz i szalik i zaczął znowu pisać powoli, lecz zdecydowanie.

Pamiętasz tych czworo ludzi, o których opowiadałem, kiedy byłem u Ciebie? Narysowałem Ci ich: Murzyna, dziewczynkę, tego wąsatego i właściciela „New York Cafe”. Chciałbym Ci coś o nich powiedzieć, ale nie bardzo umiem ująć to w słowa.

Oni wszyscy są bardzo zajęci. Tak zajęci, że trudno by Ci było wyobrazić ich sobie. Nie znaczy to, że pracują od rana do nocy, ale są tak zawsze pochłonięci swoimi myślami, że to nie daje im spokoju. Przychodzą do mnie i mówią, i mówią, aż w końcu już nie jestem w stanie pojąć, jak ktoś może otwierać i zamykać usta tak długo, nie czując zmęczenia. Właściciel „New York Cafe” jest inny od tamtych. Ma bardzo ciemny zarost, tak że musi się golić dwa razy dziennie elektryczną maszynką. On się tylko przygląda. Każdy z tamtych nienawidzi czegoś. I każdy z nich kocha coś bardziej niż jedzenie, spanie, wino czy towarzystwo przyjaciół. Dlatego są zawsze tacy zajęci.

Myślę, że ten wąsaty to wariat. Czasami mówi do sensu i przejrzycie jak mój nauczyciel ze szkoły. Kiedy indziej znów tak, że nic nie rozumiem. Czasami przychodzi porządnie ubrany, a czasami czarny z brudu, w roboczym kombinezonie. Wymachuje pięściami i używa brzydkich pijackich słów, których nie powinieneś znać. Uważa, że ma ze mną jakąś wspólną tajemnicę, ale ja nie wiem, o co mu chodzi. I jeszcze powiem Ci coś, w co ledwo uwierzysz. Może wypić trzy ćwiartki whisky „Happy Days” i dalej gada i chodzi, i nie chce iść spać. Nie uwierzysz, ale to prawda.

Wynajmuję pokój u matki tej dziewczynki za szesnaście dolarów miesięcznie. Dziewczynka nosiła przedtem krótkie spodenki jak chłopiec, ale teraz chodzi w granatowej spódnicy i bluzce. To taki podłotek. Lubię, gdy do mnie przychodzi. Teraz, od kiedy mam dla nich radio, przychodzi często. Lubi muzykę. Chciałbym wiedzieć, co ona słyszy. Wie, że jestem głuchy, ale myśli, że znam się na muzyce.

Murzyn jest chory na gruźlicę, nie ma tu jednak dla niego dobrego szpitala, dlatego właśnie, że jest czarny. Jest lekarzem. W życiu nie widziałem człowieka, który by tak pracował. Nie mówi tak jak inni czarni. Ciężko mi zrozumieć innych Murzynów, bo za mało poruszają językami, jak mówią. Ten mnie czasem przeraża. Ma płomienne błyszczące oczy. Zaprosił mnie na przyjęcie i poszedłem do niego. Ma dużo książek, lecz żadnych powieści kryminalnych. Nie pije, nie je mięsa, nie chodzi do kina.

— Wolność to grabież! Kapitał to bzdura, demokracja — bzdura — mówi ten brzydki z wąsami. A potem sam sobie przeczy i powiada: — Wolność to największa ze wszystkich idei! — Muszę mieć tylko możliwość utrwalenia w sobie tej muzyki. Zostanę muzykiem. Ale muszę mieć możliwość — mówi dziewczynka. — Nie pozwalają nam być użytecznymi — mówi czarny doktor. — A to wielkie pragnienie mojego ludu. — Aha! — potakuje właściciel „New York Cafe”. Ten zamyślony.

Tak mówią, kiedy przychodzą do mnie. Te drążące serca słowa nie pozwalają im odpocząć; dlatego są zawsze tacy zajęci. Mógłbyś przypuszczać, że kiedy są razem, przypominają członków Stowarzyszenia, którzy zbiorą się w tym tygodniu. Ale tak nie jest. Zeszli się tu u mnie dziś wszyscy jednocześnie i siedzieli tak, jakby pochodzili każdy z innego miasta. Byli nawet szorstcy i niegrzeczni dla siebie, a wiesz przecież, że zawsze mówiłem, jak to źle ranić cudze uczucia i okazywać niedelikatność. A było właśnie tak. Nie rozumiem tego. Opisuję Ci ich, myśląc, że może Ty zrozumiesz. Dziwnych doznaję uczuć. Ale dość już napisałem na ten temat i wiem, że jesteś zmęczony. Ja także.

Minęło już pięć miesięcy i dwadzieścia jeden dni. Przez cały ten czas czułem się samotny bez Ciebie. Myślę tylko o tym, kiedy znowu będę z Tobą. Nie wiem, co zrobię, jeśli nie uda mi się prędko przyjechać do Ciebie.

Singer oparł głowę na stole i odpoczywał. Zapach gładkiego drewna, którego dotykał policzkiem, przypominał mu czasy szkolne. Zamknął oczy, czuł się chory. W pamięci miał tylko twarz Antonapoulosa, a tęsknota za przyjacielem była tak bolesna, że aż mu dech zapierało. Po chwili wyprostował się i sięgnął po pióro.

Prezent, który dla Ciebie zamówiłem, nie przyszedł na czas i nie mogłem go dołączyć do gwiazdkowej paczki. Oczekuję go niebawem. Myślę, że spodoba Ci się i dostarczy rozrywki. Myślę zawsze o czasach, gdy byliśmy razem, i pamiętam wszystko. Brakuje mi potraw, które przyrządzałeś. W „New York Cafe” jest teraz gorzej, niż bywało dawniej. Znalazłem niedawno muchę w zupie jarzynowej z makaronem. Ale to nic. Brak mi Ciebie i trudno mi znieść samotność. Przyjadę wkrótce. Urlop należy mi się dopiero za pół roku, ale myślę, że jakoś to załatwię. Będę musiał się o to postarać. Nie jestem stworzony do samotności. Nie potrafię żyć bez Ciebie, Ty jeden mnie rozumiesz.

Zawsze Twój

John Singer

Była już druga nad ranem, kiedy wrócił do siebie. Duży, pełen ludzi dom tonął w ciemności. Singer ostrożnie, po omacku wszedł na górę nie potknąwszy się ani razu. Wyjął z kieszeni swoje wizytówki, które zawsze nosił przy sobie, zegarek i wieczne pióro. Ubranie złożył porządnie na poręczu krzesła. Szara flanelowa piżama była miękka i ciepła. Zasnął od razu, ledwo przytknął głowę do poduszki.

Z czarnej nocy wyłonił się sen. Przyćmione żółte światło latarki oświetlało kamienne schody. U szczytu tych schodów klęczał Antonapoulos. Był nagi. Poruszał czymś, co miał nad głową, i wpatrywał się w to błagalnie. On sam klęczał w połowie schodów. Był też nagi, zmarznięty i nie mógł oderwać oczu od Antonapoulosa i rzeczy, którą trzymał nad głową. Za sobą czuł tego wąsatego i dziewczynkę, i Murzyna, i tego czwartego. Klęczeli nadzy i wiedział, że patrzą na niego. A za nimi w ciemności klęczały jeszcze niezliczone rzesze ludzi. Jego ręce były jak skrzydła ogromnego wiatraka; wpatrywał się zafascynowany w nieznaną przedmiot, który trzymał

Antonapoulos. Żółte płomyki latarni chwiały się w ciemności. Wszystko trwało w bezruchu. Nagle spokój prysł. Schody uniosły się i zapadły, a on runął w dół. Obudził się drżąc cały. Wczesny świt bielił okno. Poczłł strach.

Minęło już tyle czasu, że mogło się coś stać przyjacielowi. A on nic nie wiedział, bo Antonapoulos nie pisał do niego. Może przewrócił się i pokaleczył. Tak bardzo pragnął być znowu z nim, że postanowił pojechać tam zaraz, natychmiast.

W swojej skrytce na poczcie znalazł dziś rano zawiadomienie, że przyszła do niego paczka. Był to właśnie prezent zamówiony na Boże Narodzenie, który nie nadszedł w porę. Piękny prezent. Kupił go na raty i miał spłacać przez dwa lata. Był to aparat projekcyjny do domowego użytku i sześć zabawnych krótkich filmów z Myszką Miki, które tak lubił Antonapoulos.

Singer przyszedł do sklepu ostatni. Podał jubilerowi, u którego pracował, podanie o urlop na piątek i sobotę. I choć w tym tygodniu zapowiadały się cztery śluby, jubiler skinął głową na znak zgody.

Singer nie uprzedził nikogo o swoim wyjeździe; przyczepił tylko do drzwi kartkę z zawiadomieniem, że będzie przez parę dni nieobecny, bo musi coś załatwić. Wyjechał w nocy. Pociąg dojechał na miejsce w chwili, gdy wstawał różowy zimowy świt.

Po południu, trochę przed czasem wyznaczonym na odwiedzinę, Singer wszedł do zakładu obładowany paczkami z rozłożonym na części aparatem projekcyjnym i koszem owoców. Udał się od razu do sali, gdzie poprzednio przebywał Antonapoulos.

Korytarz, drzwi, rzędy łózek, wszystko było takie samo, jak zapamiętał. Stał na progu i niecierpliwym wzrokiem szukał przyjaciela. Ale spostrzegł od razu, że wszystkie krzesła są zajęte i Antonapoulosa nie ma na sali.

Położył paczki i napisał u dołu swego biletu: „Gdzie jest Spiros Antonapoulos?”. Podał bilet pielęgniarce, która weszła na salę. Nie zrozumiała, o co chodzi. Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami. Wszedł na korytarz i podawał kartkę każdemu, kogo napotkał. Nikt nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Był tak przerażony, że zaczął gwałtownie wymachiwać rękami. Natknął się w końcu na stażystę w białym fartuchu. Schwycił go za rękę i podał mu kartkę. Ten przeczytał ją uważnie, a potem poprowadził Singera przez kilka sal, aż doszli w końcu do niewielkiego pokoju, gdzie

młoda kobieta siedziała przy biurku zarzuconym papierami. Przeczytała kartkę, a potem przejrzała kilka rejestrów wyjętych z szuflady.

Ze strachu i zdenerwowania Singer miał łzy w oczach. Kobieta zaczęła coś pisać na bloczku, a on nie mógł się powstrzymać i pochylił się, by natychmiast zobaczyć, co napisała.

Pan Antonapoulos został przeniesiony do szpitalika. Ma zapalenie nerek. Zaraz ktoś wskaże panu drogę.

Idąc korytarzem, zatrzymał się, by podnieść paczki, które zostawił przy drzwiach sali. Kosz owoców zniknął, ale pudełka stały nietknięte. Wyszedł ze stażystą z budynku. Przeszli przez trawnik do szpitalika.

Antonapoulos! Natychmiast go zobaczył. Siedział na łóżku podparty poduszkami w samym środku sali. Miał na sobie czerwony szlafrok, zieloną jedwabną piżamę, na palcu pierścionek z turkusem. Skóra jego była woskowożółta, ciemne oczy miały senny wyraz, a czarne włosy posiwiały lekko na skroniach. Zajęty był robotą na drutach. Tłuste palce wolno poruszały długimi igłami z kości słoniowej. Z początku nie zauważył przyjaciela. A kiedy Singer stanął przed nim, uśmiechnął się pogodnie wcale nie zdziwiony i wyciągnął upierścienioną rękę.

Singera ogarnęło uczucie skrępowania i onieśmienia, jakiego nigdy dotąd nie zaznał. Usiadł przy łóżku i położył ręce na brzegu kołdry. Nie spuszczał oczu z twarzy przyjaciela i był śmiertelnie blady. Wspaniały strój Antonapoulosa zaskoczył go. Przy różnych okazjach posyłał mu poszczególne części tego stroju, ale nie wyobrażał sobie, jak będzie wyglądał w całości. Antonapoulos wydawał się o wiele tęższy, niż go pamiętał. Pod cienką jedwabną piżamą rysowały się grube miękkie fałdy brzucha. Głowa była olbrzymia na tle białej poduszki. Na jego twarzy malował się tak pogodny i głęboki spokój, że zdawał się zupełnie nie dostrzegać przyjaciela.

Singer podniósł nieśmiało ręce i zaczął nimi gestykulować. Jego silne, zwinne palce kreśliły znaki z pełną czułości precyzją. Opowiadał o mroźnej zimie i o długich miesiącach samotności. Snuł dawne wspomnienia, mówił o kocie, który zdechł, o sklepie, o pokoju, gdzie mieszkał. Ilekroć przerwał, Antonapoulos kiwał łaskawie głową. Singer mówił też o długich wizytach swoich czworga gości. Oczy przyjaciela były ciemne i wilgotne. Widział w nich małe prostokątne odbicie swojej własnej postaci, które tysiące razy przedtem oglądał. Gorąca krew napłynęła mu do twarzy,

coraz szybciej wymachiwał rękami. Opowiadał szczegółowo o Murzynie, o dziewczynce, o mężczyźnie, który ruszał wąsami. Migał rękami coraz prędzej i prędzej. Antonapoulos wolno, z powagą kiwał głową. Singer w zapale pochylił się ku niemu; oddychał teraz głęboko, w oczach błyszczały mu łzy.

Wtem Grek zatoczył wolno w powietrzu koło tłustym palcem, a potem uderzył nim przyjaciela w brzuch. Roześmiał się szeroko i wysunął gruby, różowy język. Singer roześmiał się także, ręce jego migały z szaleńczą szybkością. Odchylił głowę do tyłu, a ramiona trzęsły mu się ze śmiechu, choć sam nie wiedział, z czego się śmieje. Antonapoulos przewracał oczami. Singer dalej śmiał się hałaśliwie, aż zabrakło mu tchu, a palce zaczęły drżeć. Starając się uspokoić, schwycił przyjaciela za ramię. Śmiech jego brzmiał teraz jak powolna, bolesna czkawka.

Antonapoulos uspokoił się pierwszy. Wysunął tłuste małe stopy spod kołdry. Uśmiech zniknął z jego twarzy, kopnął z pogardą przykrycie. Singer spiesznie przykrył go znowu, ale Antonapoulos zmarszczył brwi i królewskim gestem skinął na przechodzącą przez salę pielęgniarkę. Kiedy wygładziła łóżko zgodnie z jego życzeniem, Grek skłonił głowę z taką powagą, że gest ten wyglądał raczej na błogosławieństwo niż na zwykłe podziękowanie. Potem ze spokojem zwrócił się znów do przyjaciela.

Singer, rozmawiając, nie zdawał sobie sprawy, że czas mija. Dopiero gdy pielęgniarka przyniosła Antonapoulosowi kolację na tacy, uświadomił sobie, że jest późno. W sali zapalono światła, za oknami było prawie ciemno. Innym pacjentom także podano już kolację. Odłożyli swoją robotę (niektórzy pletli koszyki, inni robili coś na drutach lub ze skóry) i jedli obojętnie. Przy Antonapoulosie wydawali się wszyscy bardzo chorzy i bladzi. Wielu z nich przydałby się fryzjer. Mieli na sobie szare zniszczone koszule nocne, rozcięte na plecach. Ze zdziwieniem przyglądali się dwóm głuchoniemym.

Antonapoulos uniósł przykrywkę swego półmiska i dokładnie obejrzał przyniesioną potrawę. Była to ryba z jarzynami. Złapał rybę i podniósł w palcach do światła, aby ją dokładnie obejrzeć. Potem zaczął zajadać ze smakiem. W czasie kolacji kolejno pokazywał różnych ludzi na sali. Wyciągnął rękę w kierunku mężczyzny leżącego w kącie, robiąc miny pełne obrzydzenia. Ten warknął na niego gniewnie. Potem wskazał małego chłopca, uśmiechnął się, skinął głową i pomachał do niego tłustą ręką. Singer był zbyt szczęśliwy, by czuć zakłopotanie. Podniósł z podłogi paczki i położył je na łóżku, chcąc zabawić przyjaciela. Antonapoulos ściągnął opakowanie, ale maszyna nie zainteresowała go wcale. Zajął się znowu swoją kolacją.

Singer podał pielęgniarce kartkę z napisem, że to aparat projekcyjny. Zawołała młodego stażystę, a potem sprowadzili jeszcze jednego z lekarzy. Przez chwilę naradzali się we troje, cały czas przyglądając się z ciekawością Singerowi. Wiadomość o aparacie projekcyjnym dotarła do pacjentów; wsparci na łokciach czekali w podnieceniu. Tylko Antonapoulos zachował spokój.

Singer wypróbował już poprzednio aparat. Rozciągnął ekran, tak by mogli go widzieć wszyscy pacjenci. Potem uruchomił aparat i puścił film. Pielęgniarka zebrała tace po kolacji zgaszono światła i na ekranie ukazała się historyjka z Myszka Miki.

Singer obserwował przyjaciela. Z początku Antonapoulos był zaskoczony. Uniósł się, żeby lepiej widzieć, i byłby wstał z łóżka, gdyby go nie powstrzymała pielęgniarka. A potem wpatrywał się w ekran z promiennym uśmiechem. Singer widział, jak inni pacjenci wołali jeden do drugiego i śmiali się. Nadeszły inne pielęgniarki i sanitariusze. W całej sali panowało podniecenie. Kiedy skończyła się jedna historia o Mysce Miki, Singer puścił drugą. Trzeciej już nie puścił, uznał bowiem, że jak na pierwszy raz zabawa trwała dostatecznie długo. Zapalił światło i na sali zapanował spokój. Spozregł, że kiedy stażysta wsuwał aparat pod łóżko Antonapoulosa, ten obrzucił salę chytrym spojrzeniem, by upewnić się, czy wszyscy wiedzą, że to jego aparat.

Singer zaczął znowu poruszać rękami. Wiedział, że niedługo go stąd wyproszą, ale zbyt dużo ważnych rzeczy nagromadziło mu się w myśli, by mógł je tak od razu wypowiedzieć. Mówił na migi z szalonym pośpiechem. Na sali znajdował się stary mężczyzna cierpiący na chorobę Parkinsona; głowa trzęsła mu się bez przerwy, co chwila dotykał rękami brwi. Singer pozazdrościł temu starcowi, bo był w pobliżu Antonapoulosa. Z radością by się z nim zamienił.

Przyjaciół szukał czegoś palcami na piersi. Znalazł mały mosiężny krzyżyk, który stale nosił. Brudny sznurek zastąpiła czerwona wstążeczka. Singer przypomniał sobie swój sen i opowiedział go Antonapoulosowi. Z pośpiechu mylił chwilami znaki; machał wtedy rękami i zaczynał od początku. Grek wpatrywał się w niego ciemnym, sennym wzrokiem. Siedząc nieruchomo w jaskrawym bogatym stroju, wyglądał jak jakiś mądry król z bajki.

Czas wyznaczony na odwiedzinę minął, ale dyżurny lekarz pozwolił Singerowi zostać na sali jeszcze godzinę dłużej. W końcu jednak wyciągnął szczupłą owłosioną rękę i pokazał na zegarek. Pacjenci szykowali się do snu. Singer drżącą ręką chwycił przyjaciela za ramię i popatrzył mu przenikliwie w oczy, tak samo jak w owe ranki,

kiedy rozstawali się idąc do pracy. Na koniec jednak musiał wyjść z sali. W drzwiach wykonał jeszcze krótki gest pożegnany, a potem zacisnął pięści.

W jasne księżycowe styczniowe noce Singer spacerował co wieczór po ulicach miasta, jeśli nie miał innego zajęcia. Krążyły o nim coraz śmielsze plotki. Pewna stara Murzynka opowiadała ludziom, że on wie, w jaki sposób wracają na ziemię duchy zmarłych. Jeden z robotników akordowych utrzymywał, że pracował z głuchoniemym w fabryce w jakimś innym stanie i opowiadał przy tym niestworzone historie. Ludzie bogaci uważali, że jest on bogaty, biedni mieli go za takiego jak oni biedaka. A ponieważ nie było sposobu, by zbijać te wszystkie pogłoski, stawały się coraz bardziej fantastyczne. Każdy wyobrażał sobie głuchoniemego takim, jakim go chciał widzieć.

8.

Dlaczego? To pytanie krążyło w nim stale, niedostrzegalne, jak krew w żyłach. Biff rozmyślał o różnych ludziach i o różnych rzeczach, ale pytanie nękało go ciągle. O północy, wczesnym rankiem, w południe. Hitler i pogłoski wojenne. Cena wieprzowego polcia i podatek od piwa. Intrygowała go zwłaszcza zagadka, jaką był głuchoniemy. Dlaczego, na przykład, Singer wyjeżdżał dokądś pociągiem, a gdy pytano go, gdzie był, udawał, że nie rozumie pytania? I dlaczego wszyscy upierali się przy tym, że głuchoniemy jest właśnie taki, jakim chcieli go widzieć — choć najwidoczniej wszystko to było jakąś nieprawdopodobną pomyłką? Singer zasiadał trzy razy dziennie przy stoliku na środku sali. Jadł to, co postawiono przed nim — z wyjątkiem ostryg i kapusty. Pośród gwaru zmieszanych głosów on jeden milczał. Najbardziej lubił zieloną miękką fasolkę szparagową, którą nabierał starannie w dużych porcjach na widelec. Sos wyjadał, maczając w nim pokruszone biskwity.

Biff rozmyślał także o śmierci. Przytrafiła mu się dziwna rzecz. Pewnego dnia, szperając w szafce w łazience, znalazł buteleczkę wody kwiatowej, którą przeoczył, oddając Lucile pozostałe po Alice kosmetyki. W zamyśleniu trzymał butelkę w palcach. Mijały właśnie cztery miesiące od śmierci Alice, a każdy z nich wydawał się długi jak rok. Rzadko o niej myślał.

Odkorkował butelkę. Stał bez koszuli przed lustrem i lekko uperfumował ciemne, owłosione pachy. Zesztywniał nagle. Wymienił sam ze sobą ukradkowe spojrzenie i dalej stał bez ruchu. Wspomnienia, które wywołał zapach perfum, ogłuszyły go nie dlatego, że były tak silne, ale dlatego, że dawały pełny i całkowity obraz tych długich lat. Biff potarł nos i popatrzył po sobie. Granica śmierci. Czuł w sobie każdą minutę, którą przeżył z Alice. A teraz to wspólne życie wydawało się tak całkowicie skończone, jak tylko może być skończona przeszłość. Biff odwrócił się nagle.

Pokój został całkiem przemeblowany, stał się teraz tylko jego pokojem. Był przedtem szary, staromodny, panował w nim wiecznie bałagan. Zawsze jakieś pończochy albo dziurawe majtki suszyły się na sznurku. Żelazne łóżko, poobtłukiwane i zardzewiałe, zarzucone było brudnymi koronkowymi poduszkami. Chudy kot z kuchni wyginał grzbiet i ocierał się smętnie o garnuszek z jakąś lurą.

Wszystko to zmienił. Żelazne łóżko zastąpił tapczan, na podłodze leżał gruby czerwony dywan. Kupił piękną tkaninę z chińskiego błękitnego jedwabiu i powiesił ją na ścianie w miejscu, gdzie rysy były najbardziej widoczne. Uruchomił nieczynny kominek; stale leżały w nim teraz sosnowe polana. Na półce nad kominkiem stała mała fotografia Baby i kolorowy obrazek przedstawiający chłopczyka w aksamitnym ubranku, z piłką w rękach. W rogu pokoju stała oszklona szafka, w której Biff trzymał zebrane przez siebie osobliwości: rzadkie okazy motyli, jakiś niezwykły grot, ciekawy kamień podobny do ludzkiej twarzy z profilu. Na tapczanie leżały niebieskie jedwabne poduszki. Pożyczył od Lucile maszynę, by uszyć ciemnoczerwone zasłony. Lubił ten pokój. Był zbyt kowny i zaciszny. Na stole stała mała japońska pagoda ze szklanymi wisiorami, które w przeciągu pobrzękiwały, wydając dziwne tony.

W tym pokoju nic nie przypominało mu Alice. Często jednak odkorkowywał buteleczkę z wodą kwiatową i dotykał korkiem koniuszków uszu albo przegubów dłoni. Zapach perfum przenikał w jego rozmyślania. Przeszłość wracała. Wspomnienia układały się niemal w architektonicznym porządku. W pudełku, gdzie przechowywał pamiątki, natrafił na stare fotografie z okresu narzeczeństwa. Alice siedząca na ławce wśród stokrotek. Alice i on w łódce na rzece. Wśród pamiątek była też duża kościana szpilka do włosów, która należała do jego matki. Gdy był mały, lubił przyglądać się, jak czesała i splatała w warkocze swoje długie czarne włosy. Myślał wtedy, że szpilki są wygięte po to, by naśladować kształt kobiecego ciała, i bawił się nieraz nimi jak lalkami. Miał też w tym czasie pudełko od cygar pełne skrawków

materiału. Lubił dotykać pięknych materiałów i cieszyć wzrok ich barwami, i mógł siedzieć godzinami pod kuchennym stołem wśród tych gałganków. Ale kiedy skończył sześć lat, matka zabrała mu to wszystko. Była to silna, wysoka kobieta z ogromnym poczuciem obowiązku. Jego kochała najbardziej. Nawet teraz jeszcze śniła mu się czasem. I zawsze nosił na palcu jej zniszczoną złotą obrączkę.

Razem z wodą kwiatową znalazł w szafce butelkę esencji cytrynowej, którą Alice zawsze płukała włosy. Pewnego dnia spróbował użyć jej sam. Jego ciemne, przyprószone siwizną włosy stały się gęste i puszyste, co mu się spodobało. Odstawił oliwę, której używał, by chronić się przed łysieniem, i regularnie płukał teraz włosy cytrynową płukanką. Niektóre zwyczaje Alice, które dawniej wyśmiewał, teraz stały się jego zwyczajami. Dlaczego?

Codziennie rano Louis, murzyński chłopiec pracujący na dole, przynosił mu do łóżka filiżankę kawy. Podparty poduszkami siedział nieraz godzinę, zanim wstał i ubrał się. Palił cygaro i przyglądał się deseniom, które słońce tworzyło na ścianie. W głębokim zamyśleniu bawił się swoimi długimi zakrzywionymi palcami u nóg i wspominał.

A potem od południa aż do piątej rano pracował na dole. I całą niedzielę. Interes nie był zbyt dochodowy. Często całymi godzinami lokal świecił pustką. Ale w porze posiłków było zwykle pełno i wtedy widywał setki znajomych, stojąc na straży kasy.

— O czym myślisz, gdy tak stoisz? — zapytał go Jake Blount. — Wyglądasz jak niemiecki Żyd.

— W jednej ósmej jestem Żydem — odrzekł Biff. — Dziadek mojej matki był Żydem z Amsterdamu, ale reszta rodziny to, o ile wiem, Irlandczycy i Szkoci.

Był niedzielny ranek. Goście rozsiedli się przy stolikach. Słychać było szelest gazet, w powietrzu unosił się zapach tytoniu. Kilku mężczyzn przy stoliku w rogu grało w kości, ale zachowywali się spokojnie.

— Gdzie jest Singer? — spytał Biff. — Nie pójdziesz do niego?

Twarz Blounta spochmurniała. Targnęła głową do przodu. Czyżby się pokłócili? Ale jak można kłócić się z głuchoniemym? Nie, bywało tak już przedtem. Blount zachowywał się tak, jakby był skłócony sam z sobą. Ale niedługo pójdzie — zawsze tak jest — a potem we dwóch wrócą tu razem i Blount będzie gadał.

— Ty to masz dobre życie. Tylko sobie stoisz za tą ladą. Stoisz i nadstawiasz rękę.

Biff nie obraził się. Oparł się mocniej na łokciach i zmrużył oczy.

— Porozmawiajmy poważnie. Co ty byś chciał?

Blount uderzył rękami po ladzie. Były szorstkie, mięsiste, gorące.

— Piwa. I paczuszkę biskwitów z masą orzechową.

— Nie o tym mówiłem — powiedział Biff. — Choć i do tego dojdziemy.

Ten człowiek był zagadką. Stale się zmieniał. Nadal pił jak smok, lecz alkohol nie zwał go z nóg jak innych mężczyzn. Oczy miał często w czerwonych obwódkach i w jakimś nerwowym tiku ciągle podrzucał ramię. Głowa wydawała się ciężka i ogromna na cienkiej szyi. Był tego rodzaju człowiekiem, którego dzieci wyśmiewają, a psy chcą kąsać. Kiedy jednakże śmiano się z niego, przejmowało go to do żywego, stawał się ordynarny i hałaśliwy jak cyrkowy clown. I zawsze podejrzewał, że ktoś z niego kpi.

Biff w zamyśleniu potrząsnął głową.

— Dlaczego siedzisz w tym wesołym miasteczku? Możesz sobie przecież znaleźć coś lepszego. Ja nawet mógłbym cię częściowo tutaj zatrudnić.

— Chryste Panie! Nie stanąłbym za tą ladą, nawet gdyby mi ofiarowano całą tę przeklętą budę.

Taki właśnie był. Budziło to irytację. Nie umiał sobie zyskiwać przyjaciół ani nawet współżyć z ludźmi.

— Mów do sensu — powiedział Biff. — Zachowuj się poważnie.

Podszedł jakiś jegomość z rachunkiem i Biff wydał mu resztę. W restauracji panował jeszcze spokój. Ale Blount był niespokojny. Biff czuł, że go coś gdzieś ciągnie, i chciał go zatrzymać. Wziął z półki za ladą dwa cygara i jedno podał Blountowi. W myśli odrzucał ostrożnie jedno pytanie po drugim, aż w końcu spytał:

— Gdybyś mógł wybrać epokę historyczną, w której chciałbyś żyć, to jaką byś wybrał?

Blount obliznął wąsy szerokim, wilgotnym językiem.

— A gdybyś miał do wyboru umrzeć albo już nigdy więcej o nic nie zapytać, co byś wybrał?

— To oczywiste. Ale ty się zastanów — nalegał Biff. Przekrzywił głowę i patrzył w dół na swój długi nos. Lubił słuchać, co na ten temat mówią inni. On chciałby żyć w

Grecji starożytnej. Przechadzki w sandałach po błękitnym wybrzeżu Morza Egejskiego. Luźne szaty przewiązane w pasie sznurem. Dzieci. Marmurowe łaźnie. Rozmyślania w świątyniach.

— Ja chciałbym żyć wśród Inków w Peru.

Biff obrzucił Blounta uważnym wzrokiem, rozbierając go w myśli do naga. Ujrzał ciemne, spalone słońcem na brunatno ciało, gładką łusą czaszkę, na ramieniu złotą bransoletę wysadzaną cennymi kamieniami. Kiedy przymknął oczy wydawało mu się, że on naprawdę mógłby być Inką. Lecz gdy znów na niego popatrzył, obraz wywołany w wyobraźni rozplątał się. Do twarzy mieszkańca Peru nie pasowały te nerwowo drgające wąsy ani to podrzucane ciągle ramię, ani poruszające się jabłko Adama w cienkiej szyi, ani obwisłe, workowate spodnie. I jeszcze wiele innych rzeczy.

— Albo może około roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego.

— Dobrze to były czasy — zgodził się Biff.

Blount z zakłopotaniem zaszurał nogami. Twarz jego miała wyraz surowy i nieszczęśliwy. Chciał już odejść, lecz Biff usiłował go zatrzymać.

— Powiedz mi, dlaczego w ogóle przyjechałeś do tego miasta?

Zorientował się natychmiast, że to nie było dyplomatyczne pytanie i poczuł się z siebie niezadowolony. Ale to dziwne, jak ten człowiek mógł znaleźć się tutaj.

— Słowo daję, że nie wiem.

Stali chwilę w milczeniu, opierając się o ladę. Gra w kości w kącie skończyła się. Pierwsze obiadowe zamówienie, wyszukane danie: kaczka z Long Island, podane zostało kierownikowi wielkiego domu towarowego. Ktoś nastawił radio w ten sposób, że słycać było i kazanie w kościele, i muzykę taneczną.

Blount pochylił się nagle i pociągając nosem, zbliżył twarz do twarzy Biffa.

— Perfumy?

— Krem po goleniu — wyjaśnił spokojnie Biff.

Nie mógł już dłużej zatrzymać Blounta. Wróci tu później z Singerem. Zawsze tak jest. Pragnął wysondować Blounta, żeby się czegoś o nim dowiedzieć. Ale Blount nigdy właściwie naprawdę nie chciał mówić. Mówił tylko do głuchoniemego. To właśnie było w nim najbardziej dziwne.

— Dziękuję za cygaro — powiedział Jake. — Przyjdę później.

— Do zobaczenia!

Biff patrzył, jak Blount idzie do drzwi rozkołysanym marynarskim krokiem. Potem zajął się swoją robotą. Obejrzał wystawę w oknie. Na szybie naklejono jadłospis na ten dzień, a obiad złożony z wyszukanych dań, wraz ze wszystkimi dodatkami, ustawiono w oknie dla przyciągnięcia gości. Wyglądało to jednak nieapetycznie, wręcz paskudnie. Sos z kaczki zmieszał się z żurawinami, a w deserze ugrzęzła mucha.

— Hej, Louis! — zawołał Biff — zabierz to z okna i przynieś mi tę glinianą czerwoną wazę i trochę owoców.

Ułożył owoce, dobierając je według koloru i kształtu tak długo, aż dekoracja mu się spodobała. Potem poszedł do kuchni i odbył konferencję z kucharzem. Podniósł pokrywki garnków i powąchał znajdujące się tam potrawy, ale bez przyjemności. Alice tak zawsze robiła, on tego nie lubił. Mina mu się wydłużyła, kiedy ujrzał tłusty zlew, a na jego dnie resztki jedzenia. Wypisał menu i polecenia na następny dzień. Z rozkoszą wyszedł z kuchni i stanął znów na swoim posterunku przy kasie.

Lucile i Baby przyszły na niedzielny obiad. Mała nie wyglądała teraz ładnie. Głowę miała owiniętą bandażem i doktor powiedział, że można go zdjąć dopiero za miesiąc. Głowa w opatrunku z gazy zamiast w chmurze złotych loczków wyglądała jak naga.

— Przywitaj się z wujem Biffem, kochanie — ponagliła ją Lucile.

Baby obruszyła się zniecierpliwiona.

— Przywitaj się z wujem Biffem, kochanie — przedrzeźniała impertynencko matkę. Zaczęła się szamotać, kiedy matka próbowała z niej zdjąć świąteczny płaszczyk.

— No, bądź grzeczna — powtarzała Lucile. — Musisz to zdjąć, bo jeszcze się nabawisz zapalenia płuc, jak stąd wyjdziemy. No, bądźże grzeczna.

Biff ujął sprawę w swoje ręce. Uspokoił Baby słodką gumą do żucia i zdjął z niej płaszczyk. Pogniotła sukienkę, szamocząc się z matką. Wygładził ją tak, by karczek leżał równo z przodu. Zawiązał jej na nowo szarfę i poprawił kokardę. Na zakończenie poklepał dziewczynkę po tyłeczku.

— Mamy dziś lody truskawkowe — powiedział.

— Bartholomew, byłbyś cudowną matką!

— Dziękuję za komplement — odrzekł.

— Wracamy właśnie ze szkoły niedzielnej i z kościoła. Baby, powiedz werset z Biblii, którego nauczyłaś się dla twego wujaszka Biffa.

Dziewczynka, ociągając się wydeła wargi.

— Jezus płakał — powiedziała po chwili. Pogarda, którą włożyła w te dwa słowa, sprawiła, że zabrzmiały one jakoś okropnie.

— Chcesz zobaczyć Louisa? — spytał Biff. — Jest w kuchni.

— Chcę zobaczyć Williego. — I posłuchać, jak on gra na harmonijce.

— No, Baby, nie udawaj — powiedziała ze zniecierpliwieniem Lucile. — Wiesz dobrze, że Williego nie ma, bo wysłano go do więzienia.

— Ale Louis też umie grać na harmonijce — wtrącił Biff. — Idź, powiedz, żeby przygotował lody i coś ci zagrał.

Baby ruszyła do kuchni powłócząc jedną nogą. Lucile położyła kapelusz na ladzie. W oczach miała łzy.

— Wiesz, zawsze mówiłam, że jeśli dziecko jest czyste, ładne i starannie chowane, to jest też zazwyczaj miłe i mądre. Ale jeśli jest brudne i brzydkie, to nie można się po nim wiele spodziewać. Zmierzam do tego, że Baby tak się wstydzi bandaża na głowie i utraty swoich włosów, że cały czas jest rozdrażniona. Nie chce ćwiczyć wymowy, nie chce nic robić. Jest w tak złej formie, że nie potrafię sobie dać z nią rady.

— Gdybyś przestała ją musztrować, byłaby na pewno grzeczna.

Ulokował je w końcu przy stoliku pod oknem. Lucile jadła kaczkę; dla Baby była pierś kurczęcia pokrajana na kawałeczki, marchewka i krem. Dziewczynka bawiła się jedzeniem i rozlała mleko na sukienkę. Siedział z nimi, póki nie zaczął się ruch. Potem musiał stanąć i pilnować, by wszystko szło jak trzeba.

Ludzie jedzą. Szeroko otwarte usta napychane jedzeniem. Co to takiego? Gdzieś niedawno to wyczytał. Życie to tylko pobieranie pokarmów, zdobywanie środków do utrzymania i rozmnażanie się. Restauracja była pełna. W radiu grała orkiestra taneczna.

A potem weszli ci dwaj, na których czekał. Singer pierwszy, wyprostowany, elegancki, w dobrze skrojonym świątecznym garniturze. Za nim Blount, trzymający się blisko jego łokcia. Uderzyło go coś w ich chodzie. Blount mówił i jadł z apetytem. Singer przyglądał mu się uprzejmie. Po obiedzie stanęli na parę minut przy kasie. A gdy wychodzili, znów uwagę jego przyciągnął sposób, w jaki szli razem. Co to takiego?

W nagłym błysku, wstrząśnięty, ujrzał w pamięci to, co gdzieś głęboko tkwiło w jego umyśle. Ten gruby głuchoniemy kretyn, z którym Singer chodził razem do pracy. Niechlujny Grek, który wyrabiał cukierki dla Charlesa Parkera. Szedł zawsze pierwszy, a Singer za nim. Nigdy nie zwracał na nich specjalnej uwagi, bo nie przychodzili do restauracji. Ale to powinien był zapamiętać. Tyle razy zastanawiał się nad głuchoniemym, a zlekceważył ten szczegół. Tak jakby widział cały krajobraz, a nie dostrzegł trzech tańczących słoni. Ale czy to w końcu miało jakieś znaczenie?

Biff zmrużył oczy. Jaki był Singer przedtem, to nieważne. Ważne jest tylko to, w jaki sposób Blount i Mick zrobili z niego swego boga. Dzięki temu, że był głuchoniemy, mogli przypisywać mu wszelkie zalety, jakie chcieli w nim widzieć. Tak. Lecz jak taka dziwna rzecz mogła się stać? I dlaczego?

Wszedł jakiś mężczyzna bez ręki i Biff uraczył go za darmo whisky. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Niedzielny obiad to był posiłek rodzinny. Mężczyźni, którzy w tygodniu pili co wieczór samotnie piwo, przyprawiali w niedzielę żony i małe dzieci. Często potrzebne było wysokie krzeselko, stojące gdzieś na zapleczu. Dochodziło wpół do trzeciej i choć przy wielu stolikach siedzieli jeszcze goście, prawie wszyscy skończyli już jeść. Biff był od czterech godzin bez przerwy na nogach i czuł się zmęczony. Dawniej stał po czternaście, szesnaście godzin i nie odczuwał tego wcale. Ale widać zestarzał się. I to mocno. Nie ma co do tego wątpliwości. A może właściwym słowem będzie tu raczej dojrzałość, nie starość? Nie postarzał się — z pewnością jeszcze nie. Fale dźwięków wypełniających salę narastały i obijały się o jego uszy. Oczy piekły, wszystko wydawało się zbyt jasne i ostre jak w gorączce.

Zawołał do jednej z kelnerek:

— Zastąp mnie, proszę. Wychodzę.

Jak zwykle w niedzielę ulica była pusta. Słońce świeciło jasno, ale wcale nie grzało. Biff podniósł kołnierz płaszcza. Sam na ulicy czuł się zagubiony. Od rzeki wiał zimny wiatr. Powinien wrócić i siedzieć w restauracji, tam jest jego miejsce. Nie ma żadnego interesu tam, dokąd idzie. Robił już to przez cztery niedziele z rzędu. Szedł w tę stronę, żeby zobaczyć Mick. Coś tu było nie tak jak trzeba. Tak. To było nie w porządku.

Kroczył wolno chodnikiem koło jej domu. W ubiegłą niedzielę czytała na schodkach pisma humorystyczne. Ale gdy teraz szybko zerknął w tę stronę, nie było jej tam. Biff nasunął kapelusz na oczy. Może później Mick przyjdzie do restauracji.

Przychodziła często w niedzielę po kolacji na gorące kakao i przystawała na chwilę przy stoliku, gdzie siedział Singer. W niedzielę nie nosiła granatowej spódniczki ze swetrem, lecz jedwabną sukienkę koloru wina z przybrudzonym koronkowym kołnierzykiem. Kiedyś miała na nogach pończochy z pospuszczanymi oczkami. Pragnął zawsze czymś ją częstować, coś jej dać. Nie tylko lody lub słodycze, ale coś solidnego. Tego jednego dla siebie pragnął – dawać jej. Biff zacisnął usta. Nie zrobił nic złego, ale czuł się jakoś winny. Niejasne poczucie winy nurtujące wszystkich mężczyzn, niedostrzegalne, niemające nazwy.

W drodze do domu znalazł centa w śmieciach w rynsztoku. Podniósł go skwapliwie, wytarł chusteczką i wrzucił do czarnej portmonetki. Wrócił do restauracji o czwartej. Panował tam zastój. Nie było ani jednego gościa.

Poprawiło się około piątej. Chłopiec, którego zatrudnił ostatnio na kilka godzin, przyszedł wcześniej. Nazywał się Harry Minowitz. Mieszkał w tej samej dzielnicy co Mick i Baby. W wyniku ogłoszenia, jakie dał w gazecie, zgłosiło się jedenastu kandydatów, ale Harry wydał mu się najlepszy. Był dobrze na swój wiek rozwinięty i schludny. Biff zauważył zęby chłopca zaraz przy pierwszej rozmowie. Zęby są zawsze dobrą wskazówką. Harry miał zęby białe, duże, bardzo czyste. Nosił okulary, ale to nie przeszkadzało w pracy. Jego matka zarabiała dziesięć dolarów tygodniowo, szyjąc dla jakiegoś krawca. Harry był jedynakiem.

— No, jesteś już u mnie tydzień, Harry — powiedział. Myślisz, że polubisz to zajęcie?

— Na pewno, proszę pana. Już je lubię.

Biff obrócił obrączkę na palcu.

— Zobaczymy. O której wychodzisz ze szkoły?

— O trzeciej.

— A więc masz jeszcze parę godzin na naukę i odpoczynek. A tu pracujesz od szóstej do dziesiątej. Czy masz dosyć czasu na sen?

— Dosyć. Nawet tyle nie potrzebuję.

— W twoim wieku potrzebujesz około dziewięciu i pół godziny zdrowego, nieprzerwanego snu, synu.

Poczuł się nagle zakłopotany. Harry może pomyśleć, że to nie jego sprawa. I rzeczywiście nie jego. Już chciał odejść, kiedy coś mu się nagle przypomniało.

— Chodzisz do szkoły zawodowej?

Harry skinął głową i przetarł szkła rękawem koszuli.

— Zaraz. Znam dużo dziewcząt i chłopców stamtąd. Alva Richards — znam jego ojca. I Maggie Henry. I jeszcze jedną dziewczynkę, nazywa się Mick Kelly... — Czuł, że mu uszy płoną. Wiedział, że zachowuje się idiotycznie. Chciał odwrócić się i odejść, ale stał dalej, uśmiechając się i ugniatając palcem czubek nosa. — Znasz ją? — zapytał nieśmiało.

— Oczywiście. Mieszkam tuż koło niej. Ale w szkole jestem w ostatniej klasie, a ona w pierwszej.

Biff umieścił starannie tę skromną informację w mózgu, by przemyśleć ją później, kiedy będzie sam.

— Tu przez chwilę będzie spokój — rzekł spiesźnie. — Zostawię lokal pod twoją opieką. Wiesz już, jak dawać sobie radę. Uważaj tylko, kiedy goście piją piwo, i pamiętaj, ile wypili, żebyś nie musiał polegać na ich informacjach. Nie spiesz się, wydając resztę i uważaj, co się naokoło dzieje.

Biff zamknął się w swoim pokoju na dole. Tam, gdzie przechowywał stare gazety. Pokój miał tylko jedno małe okno wychodzące na boczną uliczkę. Było tu zimno i panował stęchły zaduch. Ogromne stosy gazet piętrzyły się do sufitu. Jedną ścianę wypełniała zrobiona domowym sposobem szafa. Koło drzwi stał staroświecki fotel na biegunach i mały stolik, a na nim nożyczki, słownik i mandolina. Z powodu piętrzących się stosów gazet niemożliwe było zrobić więcej niż dwa kroki w jakimkolwiek kierunku. Biff kołysał się w fotelu i trzącał leniwie struny mandoliny. Zamknął oczy i zaczął śpiewać smutnym głosem:

*Poszedłem na zwierzęcy targ,
Ptaków i zwierząt słyhać gwar,
W srebrze poświęty pawian brzuchaty
Czesze swój płowy kark.*

Zakończył akordem. Ostatnie dźwięki drżały chwilę w zimnym pokoju, aż w końcu ucichły.

Adoptować dwoje dzieci — chłopca i dziewczynkę. Trzy- lub czteroletnie, żeby myślały, że on naprawdę jest ich ojcem. Ich tatusiem. Nasz ojciec. Mała dziewczynka jak Mick (albo Baby), w tym mniej więcej wieku. Okrągła buzia, szare oczy, jasne włoski. Ubierałby ją w różowe krepdeszynowe sukienki z karczkiem. Do tego

jedwabne skarpetki i białe buciki z kozłej skórki. I czerwony aksamitny płaszczyk, i czapeczka, i mufka na zimę. Chłopczyk byłby ciemnowłosy i smagły. Chodziłby krok w krok za nim i naśladował go we wszystkim. W lecie wyjeżdżaliby do jakiegoś domku nad Zatoką Meksykańską. Ubierałby dzieci w letnie pajacyki i wprowadzał je ostrożnie do wody, by brodziły wśród zielonych, płytkich fal. A potem by dorosły, a on by się zestarzał. Nasz ojciec. I przychodziłyby do niego z pytaniami, na które by odpowiadał.

Czemu nie?

Biff wziął znowu do ręki mandolinę. „La-la-la-la-la malowana lala”. Mandolina przedrzeźniała refren. Prześpiewał wszystkie strofki, kiwając nogą do taktu. Potem zagrał „Katie, Katie” i „Starą piosenkę o miłości”. Te melodie jak woda kwiatowa nastrajały go do wspomnień. Wspominał wszystko. W pierwszym roku był z nią szczęśliwy i ona też wydawała się szczęśliwa. Dwa razy w ciągu trzech miesięcy zawaliło się pod nimi łóżko. Nie wiedział jeszcze wtedy, że Alice cały czas myśli miała zaprzątnięte tylko tym, jak zaoszczędzić pięć centów lub wycisnąć dodatkowe dziesięć. A potem on z Rio i z innymi dziewczynami tam u niej. Z Gyp i z Madeline, i z Lou. A później nagle stał się już do niczego. Nie mógł spać z żadną kobietą. Matko Boska! Z początku wydawało się, że to koniec.

Lucile zawsze rozumiała wszystko. Wiedziała, jaka była Alice. Może wiedziała także prawdę o nim. Nalegała, by się rozwiedli. I robiła, co tylko możliwe, próbując ich godzić, gdy się pokłócili.

Biff drgnął nagle. Oderwał ręce od strun mandoliny, przerywając muzyczną frazę. Siedział chwilę w napięciu sztywno na krześle, a potem roześmiał się cicho. Dlaczego przypomniał to sobie ni z tego ni z owego? O Boziu, Boziu! Dzień jego dwudziestych dziewiątych urodzin. Lucile prosiła go, by wstąpił do niej, kiedy będzie wracał od dentysty. Spodziewał się jakiegoś małego dowodu pamięci: półmiska ciastek z czereśniami albo ładnej koszuli. Spotkała go na progu i zanim wszedł do mieszkania, zawiązała mu oczy. Potem powiedziała, że wróci za chwilę. Słuchał w cichym pokoju jej oddalających się kroków, a kiedy doszła do kuchni, puścił bąka. Stał na środku pokoju z zawiązanymi oczami. I nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że nie jest sam. Rozległ się chichot, a potem ogłuszył go wybuch szalonego śmiechu. W tym momencie wróciła Lucile i odwiązała mu oczy. Trzymała na półmisku ciasto z karmelową masą. Pokój był pełen ludzi. Leroy i cała jego paczka, i Alice, oczywiście. Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Stał z odsłoniętą twarzą i płonął cały. Żartowali z niego i następna godzina była nieomal równie okropna jak godzina śmierci jego matki

– tak się tym przejął. W nocy wypił ćwierć galona whisky. I potem przez całe tygodnie... Matko Boska!

Biff zachichotał. Wziął kilka akordów na mandolinie, po czym przymknął oczy i zaczął śpiewać miękkim tenorem wesołą kowbojską piosenkę. W pokoju było już prawie ciemno. Wilgotny chłód przenikał do kości, tak że zaczął mu dokuczać reumatyzm w nogach.

W końcu odłożył mandolinę i siedział, kołysząc się w ciemności. Śmierć. Czasami czuł ją obok siebie w tym pokoju. Kołysał się rytmicznie. Co on rozumiał? Nic. Dokąd dążył? Donikąd. Czego pragnął? Poznać. Co? Cel. Dlaczego? To zagadka.

Poszczególne obrazy leżały na dnie jego mózgu jak rozrzucona łamigłówka. Alice mydląca się w wannie. Gęba Mussoliniego. Mick popychająca wózek z dzieckiem. Pieczony indyk w oknie wystawowym. Usta Blounta. Twarz Singera. Czuł w sobie jakieś wyczekiwanie. W pokoju było zupełnie ciemno. Słyszał, jak Louis śpiewa w kuchni.

Biff wstał i dotknął poręczy kołyszącego się fotela, by go zatrzymać. Kiedy otworzył drzwi, sięń wydała mu się bardzo jasna i ciepła. Przypomniał sobie, że może przyjść Mick. Wygładził ubranie i przyczesał włosy. Poczł znowu w sobie zapał i chęć do życia. W restauracji panował gwar. Rozpoczęła się niedzielna kolacja, krążyły kolejki piwa. Uśmiechnął się wesoło do Harry'ego i stanął za kasą. Obrzucił salę spojrzeniem. Była pełna i huczała od gwaru. Waza z owocami w oknie stanowiła elegancką artystyczną dekorację. Obserwował drzwi i dalej obrzucał salę doświadczonym okiem. W końcu przyszedł Singer i napisał swoim srebrnym ołówkiem, że prosi tylko o zupę i whisky, bo jest przeziębiony. Ale Mick się nie zjawiła.

9.

Byli teraz tacy biedni, że nigdy nie miała dla siebie nawet pięciu centów. Pieniądze stały się głównym problemem. Cały czas powtarzano tylko to jedno słowo: pieniądze, pieniądze, pieniądze. Musieli zapłacić olbrzymią sumę za separatkę i prywatną pielęgniarkę dla Baby. Ale to nie wszystko. Kiedy zapłacili jedno, zaraz wyłaniało się coś innego. Mieli już około dwustu dolarów długu, który trzeba było spłacić. Stracili swój dom. Hipotekę przejął bank, a ojcu zostało z tego tylko sto

dolarów. Pożyczył jeszcze pięćdziesiąt na weksel podżyrowany przez Singera. Musieli teraz co miesiąc martwić się o pieniądze na komorne zamiast na podatki. Byli prawie tak biedni, jak robotnicy pracujący w fabryce, tyle tylko, że nikt na nich nie patrzył z góry.

Bill pracował w rozlewni i zarabiał dziesięć dolarów tygodniowo. Hazel za osiem dolarów pomagała w salonie kosmetycznym. Etta sprzedawała bilety w kinie, za co płacono jej pięć dolarów. Każde z nich oddawało połowę zarobionych pieniędzy na swoje utrzymanie. W domu było sześciu lokatorów, z których każdy płacił pięć dolarów. I Singer, który bardzo punktualnie regulował komorne. Razem z tym, co zarabiał ojciec, mieli około dwustu dolarów miesięcznie i za to trzeba było wyżywić przyzwoicie sześciu lokatorów i samych siebie, zapłacić komorne i raty za meble.

Ona i George nie dostawali już pieniędzy na lunch. Musiała przerwać lekcje muzyki. Portia zostawiała resztki z obiadu, które ona z George'em zjadała po powrocie ze szkoły. Zawsze już teraz jedli w kuchni. Bill, Hazel i Etta jedli z lokatorami lub w kuchni zależnie od tego, ile było jedzenia. W kuchni dostawali na śniadanie okraszoną mamałygę, boczek i kawę. Na kolację to samo i czasem jeszcze coś, co się dało zaoszczędzić z jadalni. Starsze rodzeństwo okropnie wyrzekało na to jedzenie w kuchni. A ona i George byli nieraz przez kilka dni po prostu głodni.

To wszystko działo się w świecie rzeczywistym. Nie miało nic wspólnego z muzyką, dalekimi krajami i marzeniami, które snuła. Zima była mroźna. Szyby zamarły. Wieczorami ogień na kominku w bawialni trzaskał, rozsiewając miłe ciepło. Wyciągała spod łóżka swoje pudełko i zasiadała na podłodze do pracy.

W tym dużym pudle znajdowały się obrazki, które namalowała, chodząc na bezpłatny kurs rysunku. Zabrała je z pokoju Billa. Przechowywała tam też trzy kryminały otrzymane od ojca, puderniczkę, małe pudełeczko, w którym był zegarek rozebrany na części, naszyjnik ze sztucznych brylantów, młotek i kilka notesów. Jeden z nich związany sznurkiem miał na okładce napis czerwonym ołówkiem: „Prywatne! Nie otwierać!”. Przez całą zimę opracowywała w tym notesie swoje melodie. Zarzuciła wieczorne lekcje w szkole, by mieć więcej czasu na muzykę. Przeważnie zapisywała krótkie melodie – bez słów i akompaniamentu. Ale nawet gdy zajmowały tylko pół strony, nadawała im tytuły i podpisywała je swoimi inicjałami. Nie było w tym notesie żadnej prawdziwej kompozycji, po prostu melodie, które się snuły jej po głowie i które chciała utrwalić. Nadawała im tytuły według tego, co jej przypominały: „Afryka”, „Wielka bójka”, „Burza śnieżna”.

Nie umiała utrwalić na papierze muzyki tak, jak brzmiała w jej myślach. Musiała ograniczyć się do kilku nut, inaczej wszystko mieszało jej się i nie mogła pisać dalej. Zbyt wielu rzeczy nie wiedziała na temat kompozycji. Ale może gdy nauczy się szybko zapisywać proste melodie, będzie mogła przelać w nuty całą tę muzykę, która rozbrzmiewała jej w głowie.

W styczniu zaczęła komponować melodię pod tytułem: „Pragnę tego, czego nazwać nie umiem”, cudowną, spokojną, w powolnym rytmie. Z początku chciała napisać równocześnie z muzyką wiersz, ale nie mogła wymyślić odpowiedniego tekstu. Nie potrafiła też znaleźć rymu do słowa „umiem”. Ta nowa melodia budziła w niej smutek i radość. Trudno było pracować nad taką piękną muzyką. Właściwie każda melodia była trudna, kiedy chciało się ją wyrazić w nutach. To, co umiała zanucić w ciągu dwóch minut, wymagało całego tygodnia pracy, zanim znalazło się w notesie, zanim obmyśliła tonację, rytm i każdą nutę.

Musiała bardzo się skupiać i śpiewać sobie po wiele razy. Głos jej był zawsze ochryply. Ojciec mówił, że dlatego, iż krzyczała dużo jako małe dziecko. Kiedy była w wieku Ralpa, ojciec musiał wstawać co noc i nosić ją na rękach. Opowiadał, że uspokajała się tylko wtedy, gdy walił pogrzebaczem w wiaderko od węgla i śpiewał „Dixie”.

Leżała na brzuchu na zimnej podłodze i rozmyślała. Później, kiedy będzie miała dwadzieścia lat, zostanie wielkim kompozytorem. Będzie miała własną orkiestrę symfoniczną i będzie dyrygowała wykonaniem każdego skomponowanego przez siebie utworu. Stanie jako dyrygent na podium, przed ogromnym tłumem ludzi, w męskim wieczorowym ubraniu albo w czerwonej sukni ozdobionej sztucznymi brylantami. Na scenie będzie czerwona aksamitna kurtyna, a na niej złote inicjały M.K. Na widowni będzie także pan Singer — po koncercie wyjdą razem i zjedzą na kolację pieczone kurczę. Pełen podziwu uzna ją też za swojego najlepszego przyjaciela. George wyniesie na scenę duże wiązanki kwiatów. Wszystko będzie się odbywało w Nowym Jorku albo w jakimś obcym kraju. Zwrócą na nią uwagę sławni ludzie — Carole Lombard, Arturo Toscanini i admirał Byrd.

I będzie mogła grać symfonie Beethovena, ile razy zechce. Dziwna rzecz, że ta muzyka, usłyszana ubiegłej jesieni, trwała w niej ciągle i z wolna się rozrastała. Bo właściwie miała ją całą w głowie. Wysłuchana dokładnie melodia tkwiła gdzieś w głębi jej mózgu tak, jak została zagrana. Ale ona nie umiała jeszcze odtworzyć jej w całości. Mogła tylko czekać i być przygotowana na tę chwilę, kiedy to nagle przypominała jej

się jakaś nowa część. Czekać, aż się rozwinie, jak rozwijają się wolno na wiosnę dębowe liście.

W świecie marzeń prócz muzyki był pan Singer. Co dzień po południu, jak tylko skończyła grać na fortepianie w sali gimnastycznej, szła główną ulicą i mijala sklep, gdzie on pracował. Przez okno wystawowe nie mogła go dojrzeć. Siedział w głębi za kotarą. Ale przyglądała się sklepowi codziennie i widziała ludzi, których znał. I każdego wieczoru wyczekiwała na ganku, na jego powrót. Czasem szła za nim po schodach. Siadała na łóżku i przyglądała się, jak zdejmuje kapelusz, rozpina kołnierz i czesze włosy. Było jakoś tak, jakby mieli wspólną tajemnicę. Albo jakby czekali, by powiedzieć sobie rzeczy nigdy dotąd niepowiedziane.

On był jedynym człowiekiem w świecie jej marzeń. Kiedyś dawniej byli tam inni. Cofnęła się myślą wstecz; jak to było, zanim on się zjawiał. Pamiętała na przykład jedną dziewczynkę z szóstej klasy. Nazywała się Celeste. Miała proste jasne włosy, zadarty nosek i piegowatą buzię. Nosila czerwony sweter i białą bluzkę. Stawiała nogi do środka. Przynosiła co dzień pomarańczę na małą przerwę i niebieską blaszaną puszkę z lunchem — na dużą. Inne dzieci zjadały to, co przyniosły, na małej przerwie, a potem były głodne. Celeste nigdy nie była głodna. Miała zawsze jajko ugotowane na twardo i trzymała je w ręku, rozgniatając żółtko palcem.

Nigdy nie rozmawiała z Celeste, choć to było największym jej marzeniem. Leżała w nocy, nie śpiąc, i myślała o niej. Planowała sobie, że zostaną serdecznymi przyjaciółkami i że kiedyś Celeste przyjdzie do niej na kolację i spędzą razem wieczór. Ale to się nigdy nie stało. Żywiła do Celeste takie uczucia, że nie mogłaby podejść do niej i zaproponować przyjaźni, jak komuś innemu. Po roku Celeste przeniosła się do innej dzielnicy miasta i do innej szkoły.

Potem był chłopiec imieniem Buck. Był gruby i twarz miał całą w pryszczach. Kiedy o wpół do dziewiątej stała koło niego w szeregu przed wejściem do klasy, czuła, że zalatywał od niego brzydki zapach. Buck wyrzwał raz głową w brzuch dyrektora i o mało go nie wyrzucono. Kiedy się śmiał, unosił górną wargę i trzął się cały. Myślała o nim tak jak o Celeste. Potem była pani, która sprzedawała bilety na loterię fantową. I panna Anglin, która uczyła w siódmej klasie. I Carole Lombard z filmu.

Ale z Singerem było inaczej. Jej uczucia do niego budziły się z wolna; nie umiała już nawet przypomnieć sobie i uświadomić, jak to się stało. Tamci ludzie byli zupełnie zwyczajni, pan Singer był inny. Kiedy po raz pierwszy zadzwonił do drzwi, by zapytać o pokój, wpatrywała się długo w jego twarz. Otworzyła drzwi i przeczytała

kartkę, którą jej podał. Potem zawołała matkę i pobiegła do kuchni opowiedzieć o nim Portii i Bubberowi. Poszła za Singerem i za matką na górę i przyglądała się, jak macał ręką materac i zaciągał zasłony w oknach, by sprawdzić, czy dobrze funkcjonują. Tego dnia, kiedy się wprowadzał, siedziała na poręczy ganku i obserwowała, jak wysiadł z taksówki, niosąc walizkę i szachownicę. Potem słuchała jego ciężkich kroków na górze i cały czas o nim myślała. Reszta przyszła stopniowo. A teraz istniało to tajemne porozumienie między nimi. Rozmawiała z nim częściej niż z kimkolwiek przedtem. A gdyby on mógł mówić, powiedziałby jej na pewno wiele. Wydawał jej się jakimś wielkim nauczycielem, który nie uczy tylko dlatego, że jest głuchoniemy. Wieczorem, leżąc w łóżku, snuła marzenia: była sierotą i mieszkali z panem Singerem we dwójkę w jakimś nieznanym kraju, gdzie w zimie pada śnieg. Może w małym szwajcarskim miasteczku wśród wysokich lodowców i gór, gdzie nad domami wznoszą się skały, a dachy są spiczaste i strome. Albo może we Francji, gdzie ludzie przynoszą ze sklepu chleb nieowinięty w papier. Albo w mroźnej dalekiej Norwegii nad szarym oceanem.

Rano, gdy się budziła, najpierw myślała o nim. I o muzyce. Ubierając się myślała, czy go tego dnia zobaczy. Skrapiała się perfumami Etty albo olejkiem waniliowym na wypadek, gdyby go spotkała w holu. Do szkoły szła późno, więc mogła przyglądać mu się, kiedy schodził na dół, zniżając się do pracy. I nigdy nie wychodziła z domu po południu ani wieczorem, jeśli on był w domu.

Ważna była każda nowa rzecz, której się o nim dowiadywała. Trzymał szczotkę i pastę do zębów w szklance na stole w swoim pokoju. Więc i ona zamiast zostawiać swoją szczotkę na półce w łazience, kładła ją do szklanki. Nie lubił kapusty. Wspominał jej o tym Harry, który pracował u pana Brannona. I ona teraz nie jadła kapusty. Gdy dowiadywała się czegoś nowego o nim albo gdy odezwała się do niego, a on w odpowiedzi napisał parę słów swoim srebrnym ołówkiem, musiała przez dłuższą chwilę pozostać w samotności i przemyśleć to. Kiedy była z nim razem, miała myśl zaprzątniętą głównie tym, żeby zapamiętać wszystko, a potem żyć tym i wspominać.

Ale życie w świecie marzeń z panem Singerem i muzyką to nie było wszystko. Wiele rzeczy działo się w świecie rzeczywistym. Upadła na schodach i wybiła sobie przedni ząb. Panna Minner dała jej dwa razy zły stopień z angielskiego. Zgubiła na parceli ćwierć dolara i nie znalazła, choć szukali z George'em przez trzy dni.

No i jeszcze zaszła rzecz następująca.

Pewnego popołudnia siedziała na schodkach z tyłu domu i rozwiązywała test z angielskiego. Harry po swojej stronie płotu zabrał się do rąbania drzewa. Zawołała go.

Przyszedł i napisał za nią parę zdań. Jego oczy wydawały się bardzo żywe za okularami w rogowej oprawie. Pomógł jej w angielskim, a potem stał, wyjmując ręce z kieszeni i wkładając je z powrotem. Harry był zawsze pełen energii, podniecony i musiał cały czas coś mówić albo robić.

— Wiesz, w dzisiejszych czasach są tylko dwie rzeczy, które się liczą — powiedział.

Lubił zaskakiwać ludzi i czasami nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć.

— Naprawdę, tylko dwie rzeczy są ważne.

— Co takiego?

— Walcząca demokracja i faszyzm.

— Nie lubisz republikanów?

— Nie o to chodzi — odrzekł.

Któregoś popołudnia zrobił jej cały wykład na temat faszyzmu. Opowiadał, że naziści kazali dzieciom żydowskim chodzić na czworakach i jeść trawę. Mówił o tym, że zamierza zamordować Hitlera. Obmyślił to sobie dokładnie. W faszyzmie nie ma wolności ani sprawiedliwości. W gazetach wypisują rozmaite kłamstwa, aby ludzie nie wiedzieli, co się na świecie dzieje. Naziści są straszni, każdy to wie. Układała z nim razem plan zabicia Hitlera. Lepiej byłoby dopuścić do spisku cztery lub pięć osób, by inni mogli go zakatrupić, gdy nie powiedzie się jednemu. Choćby nawet zginęli, byłiby bohaterami. Zostać bohaterem to prawie to samo co wielkim kompozytorem.

— Albo jedno, albo drugie. Choć nie wierzę w słuszność wojny, gotów jestem walczyć o to, co uważam za słuszne.

— Ja też — powiedziała. — Chciałabym walczyć z faszystami. Mogłabym przebrać się za chłopca i nikt by mnie nie poznał. Obciąłabym włosy i tak dalej.

Było jasne zimowe popołudnie. Niebo miało zielonawo-niebieską barwę, a nagie i czarne gałęzie dębów na podwórzu za domem odcinały się wyraźnie na jego tle. Słońce przygrzewało mocno. Dzień ten nappełniał ją energią. W głowie snuła się jakaś melodia. Aby tylko coś robić, podniosła z ziemi spory gwóźdź i kilku mocnymi uderzeniami wbiła go w schodek. Ojciec usłyszał stuk młotka, wyszedł w szlafroku i został chwilą z nimi. Pod drzewem stały dwa kozły stolarskie. Mały Ralph zajęty był przekładaniem kamienia z jednego kozła na drugi. Tam i z powrotem. Chodził z rozłożonymi rękami, by utrzymać równowagę. Miał pałakowate nogi, a pieluszka zwisała mu do kolan. George bawił się kulkami. Dawno nie był strzyżony, więc

wyglądał mizernie. Wyrosło mu już parę stałych zębów, ale były małe i sine, jakby najadł się czarnych jagód. Wyrysował sobie linię graniczną i leżał na brzuchu, celując do pierwszego dołka. Ojciec, wracając do swojej zegarmistrzowskiej roboty, zabrał ze sobą Ralpa. Po chwili George wyszedł sam na ulicę. Od kiedy postrzelił Baby, z nikim nie chciał się bawić.

— Muszę już iść — odezwał się Harry. — Powinienem być w pracy przed szóstą.

— Lubisz tę pracę w restauracji? Dostajesz za darmo dobre rzeczy do jedzenia?

— Pewnie. I przychodzą tam różni ludzie. Wolę to od innych zajęć, jakie miałem dotąd.

— Ja nie znoszę pana Brannona — oświadczyła Mick. Choć nigdy nie powiedział jej nic niemiłego, odzywał się zawsze w jakiś dziwnie szorstki sposób. Musiał wiedzieć o tej paczuszce gumy do żucia, którą wtedy z George'em zwędzili. Bo inaczej, dlaczego pytałby ją, jak jej teraz idzie — wtedy, w pokoju pana Singera? Może myślał, że oni stale kradną. Ale tak nie jest. Na pewno nie. Tylko raz wzięli małe pudełko farb ze sklepu samoobsługowego. I temperówkę za pięć centów.

— Nie mogę znieść pana Brannona.

— On jest zupełnie możliwy — odrzekł Harry. — Czasem robi wrażenie dziwaka, ale jest całkiem sympatyczny, jak się go bliżej pozna.

— Myślałam o jednym... — mówiła Mick. — Chłopiec ma większe przywileje niż dziewczynka. Łatwiej mu dostać jakąś dorywczą pracę i nie musi rzucać szkoły, a nawet ma jeszcze czas na inne rzeczy. Ale dla dziewczyn nie ma takich zajęć. Kiedy dziewczyna chce pracować, musi zrezygnować ze szkoły i poświęcić się tylko pracy. Ja też chciałabym zarobić parę dolarów na tydzień jak ty, ale nie mam możliwości.

Harry siedział na schodkach i rozwiązywał sznurowadła. Szarpał je, aż jedno pękło.

— Do restauracji przychodzi pewien mężczyzna. Nazywa się Blount. Pan Jake Blount. Lubię go słuchać. Uczę się dużo z tego, co on mówi, kiedy pije piwo. To mi nasuwa nowe myśli.

— Ja go dobrze znam. Przychodzi tu co niedziela.

Harry rozwiązał buty i wyrównał zerwane sznurowadło, by je znów zawiązać.

— Słuchaj — odezwał się, wycierając nerwowym ruchem okulary o kurtkę — nie wspominaj mu o tym, co powiedziałem. Nie rozmawia ze mną, tylko z panem Singerem. Mógłby pomyśleć, że to dziwne... że ty... no, wiesz, o co chodzi.

– Dobrze. – Z tego, co powiedział, pojęła, że uwielbia pana Blounta, i zrozumiała go. – Nie wspomnę o tym ani słowa.

Ściemniło się. Na granatowe niebo wypłynął biały jak mleko księżyc i gwałtownie się ochłodziło. Z kuchni dobiegały głosy Ralpa, George'a i Portii. Ogień z pieca rozświetlał okno ciepłopomarańczowym blaskiem. Pachniało dymem i kolacją.

– Wiesz, jest jedna rzecz, o której nigdy nikomu nie mówiłem – powiedział Harry.

– Nie cierpię tego.

– Czego?

– Pamiętasz, jak zaczęłaś czytać gazety i rozmyślać nad tym, co przeczytałaś?

– Oczywiście.

– Dawniej byłem faszystą. W każdym razie wydawało mi się, że nim jestem. Znasz te fotografie młodych, takich jak my, w Europie, maszerujących ze śpiewem w takt muzyki. Uważałem, że to wspaniałe. Wszyscy związani wspólnymi ideałami, idący równym krokiem za swoim przywódcą. Nie bardzo przejmowałem się tym, co działo się z mniejszością żydowską, bo nie chciałem o tym myśleć. Nie chciałem też myśleć wtedy, że jestem Żydem. Widzisz, nie wiedziałem. Oglądałem fotografie, czytałem podpisy pod nimi i nic nie rozumiałem. Nie miałem pojęcia, co to za okropna rzecz. Myślałem, że jestem faszystą. Oczywiście, potem stwierdziłem, że wcale tak nie jest. Głos jego, zmieniający się w okresie mutacji, miał jakiś niezamierzony gorzki ton.

– Więc nie zdawałeś sobie sprawy, że...

– To było straszne przestępstwo. Coś bardzo złego. Taki właśnie był. Wszystko było albo bardzo dobre, albo bardzo złe. Nic pośredniego. Jeśli nie miało się dwudziestu lat, przestępstwem było pić piwo, wino lub palić papierosy. Strasznym grzechem było oszukiwać przy rozwiązywaniu testów, ale nie było grzechem przepisywać zadanie domowe. Przestępstwem moralnym dla dziewcząt było używanie szminki albo noszenie sukni wydekoltowanej na plecach. Do strasznych grzechów należało kupowanie czegoś z etykietą niemiecką lub japońską, choćby nawet kosztowało to pięć centów.

Przypomniała sobie Harry'ego z czasów, gdy byli dziećmi. Kiedyś dostał zęza i miał go przez rok. Siadywał na schodkach przed swoim domem, opuściwszy ręce między kolana, i przyglądał się wszystkiemu. Spokojny, zezowaty. Przeskoczył dwie klasy w szkole podstawowej i mając jedenaście lat mógł już iść do szkoły zawodowej.

Ale kiedy czytali tam o Żydzie w „Ivanhoe”, inne dzieci spoglądały na Harry'ego. Wracił do domu z płaczem. Matka więc odebrała go ze szkoły. Przez rok bardzo urósł i utył. Ile razy wdrapała się na płot, widziała, jak przygotowywał sobie coś do jedzenia w kuchni. Bawili się razem w pobliżu domu, a czasem się mocowali. Jako dziecko lubiła się bić z chłopcami — nie naprawdę, ale dla zabawy. Stosowała kombinację dżiu-dżitsu i boksu. Raz on kładł ją na łopatki, innym razem ona jego. Kiedy jakieś małe dziecko zepsuło zabawkę, przychodziło do Harry'ego, a on zawsze znajdował czas, aby ją naprawić. Umiał naprawić wszystko. Kobiety z sąsiednich domów przynosiły mu do naprawy latarki i maszyny do szycia, kiedy się w nich coś zepsuło. Jak skończył trzynaście lat, wrócił znów do szkoły i zaczął się uczyć zawzięcie. Rozwoził gazety, zarabiał w soboty i mnóstwo czytał. Przez długi czas prawie go nie widywała, dopiero po tej zabawie, którą urządziła, zaczęli się znów spotykać. Bardzo się zmienił.

— To jest tak — mówił Harry. — Miałem zawsze wielkie aspiracje. Chciałem być sławnym inżynierem, sławnym lekarzem lub prawnikiem. Ale teraz mi na tym nie zależy. Myślę tylko o tym, co się dzieje na świecie. O faszyzmie i okropnych rzeczach, jakie się dzieją w Europie — i o demokracji. To znaczy nie mogę zastanawiać się nad tym, czym chcę być w życiu, bo myślę za dużo o tych innych rzeczach. Marzę co noc, żeby zabić Hitlera. Budzę się w ciemnościach spragniony czegoś i przerażony — sam nie wiem czym.

Patrzyła w twarz Harry'ego. Ogarnęło ją jakieś głębokie wzruszenie i smutek. Włosy opadały mu na czoło. Górna warga była wąska i zaciśnięta, ale dolna gruba i drżąca. Harry nie wyglądał na piętnaście lat. Wraz z zapadającym zmierzchem zerwał się chłodny wiatr, który gwizdał w gałęziach dębów i trzaskał okiennicami. Gdzieś w końcu ulicy pani Wells wołała Suckera do domu. Ponury zmierzch pogłębiał smutek Mick. „Chcę mieć fortepian... chcę brać lekcje muzyki” — powtarzała sobie. Spojrzała na Harry'ego. Splotał i rozplatał palce w różny sposób. Bił od niego gorący chłopięcy zapach.

Dlaczego zrobiła nagle to, co zrobiła? Może na skutek wspomnień o tych czasach, kiedy byli młodszy. Może dlatego, że było jej tak dziwnie smutno. W każdym razie ni z tego, ni z owego pchnęła Harry'ego tak mocno, że o mało nie strąciła go ze schodów.

— Kłaniaj się twojej babci! — krzyknęła i uciekła. Tak wołały dzieci z ich ulicy, kiedy zaczynały bójkę. Harry stał ze zdziwioną miną. Poprawił okulary na nosie i przyglądał jej się chwilę. Potem pobiegł parę kroków uliczką.

Chłodne powietrze dało jej siły Samsona. Kiedy się roześmiała, odpowiedziało jej echo. Trąciła Harry'ego ramieniem i wtedy ją złapał. Mocowali się ze śmiechem. Ona była wyższa, ale on miał silniejsze ręce. Za słabo się jednak bronił i przewróciła go na ziemię. Nagle przestał się ruszać i ona też znieruchomiała. Leżał spokojnie. Jego oddech na jej szyi był gorący. Siedząc na nim, czuła pod kolanami jego żebra i ten ciężki oddech. Podnieśli się równocześnie. Nie śmiali się już, na ulicy było bardzo cicho. Kiedy szli przez ciemne podwórze, czuła się nie wiadomo czemu jakoś nieswojo. Nie było do tego powodu, ale nagle właśnie tak się stało. Popchnęła go lekko, a on odwzajemnił jej się tym samym. Roześmiała się znowu i poczuła zupełnie dobrze.

— Do widzenia — powiedział Harry. Był już za duży, by przełazić przez płot. Pobiegł bocznym przejściem do drzwi frontowych swojego domu.

— Do licha, jak gorąco! Można się tu udusić — powiedziała. Portia odgrzewała jej kolację w piecyku. Ralph na swoim wysokim krzeselku bębnił łyżeczką po tacce. Mała brudna rączka George'a wpychała do buzi mamałygę i kawałek chleba; oczy jego były zmrużone, utkwione w dal. Mick wymieszała na talerzu mięso razem z sosem, mamałygę i parę rodzyneków. Zjadła trzy takie porcje, aż wykończyła mamałygę, ale ciągle była głodna.

Myślała cały czas o Singerze i jak tylko skończyła się kolacja, poszła na górę. Lecz gdy znalazła się na drugim piętrze, zobaczyła, że drzwi są otwarte, a w pokoju nie ma nikogo. Doznała uczucia pustki.

Nie mogła wysiedzieć spokojnie na dole ani uczyć się angielskiego. Wydawało jej się, że ma w sobie tyle siły, iż nie będzie w stanie siedzieć w pokoju na krześle jak inni ludzie. Mogłaby rozwalić ściany domu, a potem iść przez ulice potężna jak olbrzym.

Wyciągnęła w końcu swoje pudło spod łóżka i położywszy się na brzuchu zaczęła przeglądać notes. Zawierał już około dwudziestu melodii, ale nie była z nich zadowolona. Gdyby mogła stworzyć symfonię! Na całą orkiestrę — jak to się pisze? Czasem parę instrumentów gra tę samą nutę, tak że zespół musiałby być bardzo duży.

Nakreśliła pięć linii na dużej kartce — w odstępach mniej więcej jednego cala. Kiedy nuta przeznaczona była na skrzypce, wiolonczelę lub flet, pisała nad nią nazwę instrumentu. A kiedy wszystkie grały to samo, brała te nuty w kółko. U góry strony napisała dużymi literami: „Symfonia”, a u dołu „M.K.”. I nic więcej nie potrafiła napisać.

Gdyby mogła brać lekcje muzyki!

Gdyby mogła mieć prawdziwy fortepian!

Minęło sporo czasu, zanim powróciła do nut. Melodie snuły się jej po głowie, ale nie miała pojęcia, jak je zapisać. To chyba największa sztuka na świecie. Próbowała dalej, póki Etta i Hazel nie weszły do pokoju. Powiedziały, że czas się kłaść, bo już jedenasta, i kazały zgasić światło.

10.

Portia sześć tygodni czekała na wiadomość od Williama. Co wieczór przychodziła do domu doktora z tym samym pytaniem: „Nie widziałeś kogoś, kto dostał list od Williego?”. A on co wieczór odpowiadał, że nie.

W końcu przestała pytać. Wchodziła do holu i stała, patrząc na niego bez słowa. Piła. Bluzkę miała często rozpiętą, a sznurowadła rozwiązane.

Nadszedł luty. Zrobiło się cieplej, później gorąco. Słońce słało na ziemię ostry blask. Ptaki śpiewały wśród nagich drzew, a dzieci bawiły się na dworze boso i nagie do pasa. Noce były gorące jak w lecie. Lecz po paru dniach wróciła znów do miasta zima. Jasne niebo pociemniało. Spadł deszcz, powietrze stało się wilgotne i przejmująco zimne. Murzyni w mieście cierpieli bardzo. Wyczerpały się zapasy opału; wszędzie toczyła się walka o trochę ciepła. W dzielnicy wąskich, wilgotnych uliczek szalała epidemia zapalenia płuc. Doktor Copeland sypiał przez tydzień o niezwyklej godzinach, wcale się nie rozbierając. Ciągłe nie było żadnej wiadomości od Williama. Portia pisała do niego cztery razy, a doktor dwa.

Przez większą część dnia i nocy nie miał czasu myśleć. Ale niekiedy zdarzało się, że mógł odpocząć w domu. Siedząc przy kuchni, wypijał wtedy garnek kawy; ogarniał go głęboki niepokój. Pięciu jego pacjentów zmarło. Jednym z nich był Augustus Benedict Mady Lewis, mały głuchoniemy. Proszono doktora o wygłoszenie

mowy na jego pogrzebie, lecz z zasady nie chodził na pogrzeby, więc odmówił. Tych pięciu pacjentów zmarło nie dlatego, że ich zaniedbał, ale z nędzy, w jakiej żyli przez długie lata. Odżywiali się plackami kukurydzianymi, pasztetówką i syropem, gnieździli po cztery, pięć osób w jednym pokoju. Śmierć z nędzy. Dumał nad tym i pił kawę, by nie usnąć. Często przytrzymywał ręką brodę, bo w ostatnich czasach drgał mu trochę nerw szyjny, a jak był zmęczony, trzęsła mu się głowa.

W czwartym tygodniu lutego przysła do niego Portia. Była dopiero szósta rano. Siedział w kuchni przy ogniu, grzejąc sobie garnuszek mleka na śniadanie. Portia była wyraźnie podpita. Poczul mocny, słodkawy zapach dżinu i nozdrza rozděły mu się z obrzydzenia. Nie patrząc na nią, zajął się swoim śniadaniem. Nakruszył chleba do miseczki i zalał go gorącym mlekiem. Przygotował kawę i nakrył do stołu.

Zasiadłszy do śniadania, spojrzał surowo na Portię.

— Jadłaś już co dzisiaj?

— Nie będę jadła śniadania — odpowiedziała.

— Musisz, jeśli zamierzasz iść dziś do pracy.

— Nie idę do pracy.

Ogarnął go strach. Nie chciał wypytywać więcej. Wbił wzrok w miskę z mlekiem i jadł, drżącą ręką unosząc łyżkę do ust. Kiedy skończył, wpatrywał się w ścianę ponad jej głową.

— No co, zapomniałaś języka?

— Zaraz ci powiem. Zaraz wszystko usłyszysz. Gdy tylko będę mogła mówić, to ci powiem.

Portia siedziała bez ruchu na krześle. Oczy jej przesuwały się z wolna z jednego rogu pokoju w drugi. Zwiesiła bezwładnie ręce i skrzyżowała nogi. Kiedy odwrócił od niej wzrok, doznał na chwilę zwodniczego uczucia swobody i ulgi, tym silniejszego, że za chwilę spodziewał się gromu. Poprawił ogień i zagrzał nad nim ręce. Potem skręcił sobie papierosa. W kuchni panowała idealna czystość i porządek. Patelnie na ścianie lśniły w blasku ognia padającym z pieca, a za każdą z nich rysował się jej krągły czarny cień.

— Chodzi o Williego.

— Wiem.

Zwinął ostrożnie papierosa w palcach. Rozglądał się po kuchni, spragniony ostatnich miłych wrażeń.

— Wspominałam ci kiedyś, że Buster Johnston był w więzieniu razem z Williem. To nasz dawny znajomy. Wrócił wczoraj do domu.

— No i co?

— Buster jest kaleką na całe życie.

Głowa mu się zatrzęsała. Przycisnął rękę do brody, by się uspokoić, ale uparte drżenie nie było łatwe do opanowania.

— Wczoraj wieczorem przyszli do mnie jedni znajomi i powiedzieli, że Buster wrócił i ma mi coś do powiedzenia. Poszłam tam zaraz i wiesz, czego się dowiedziałam?

— No?

— Było ich trzech. Willie, Buster i ten trzeci chłopak. Zaprzyjaźnili się. A potem stało się to nieszczęście. — Portia polizała palec i zwilżyła nim wyschnięte wargi. — Chodziło o to, że biały strażnik czepiał się ich przez cały czas. Pewnego dnia pracowali przy budowie drogi i Buster coś mu odpysknął, a potem ten trzeci chłopak próbował uciec do lasu. Zabrali wszystkich trzech do obozu i zamknęli w lodowato zimnym pokoju.

Doktor znowu przytaknął. Ale głowa mu się trzęsała i słowo „tak” zabrzmiało jak rżężenie w gardle.

— To było jakieś sześć tygodni temu — mówiła Portia. — Pamiętasz wtedy tę falę zimna. A oni wsadzili Williego i tamtych chłopców do pokoju, gdzie było jak w lodowni.

Portia mówiła cicho, monotonicznie; twarz jej była wciąż tak samo smutna. Brzmiało to jak powolny śpiew. Mówiła, a on nie mógł pojąć. Dźwięki rozbrzmiewały mu wyraźnie w uszach, ale nie miały żadnego sensu ani znaczenia. Jakby głowa jego była dziobem łodzi, a słowa Portii płynącą rzeką, która rozbijała się o dziób i płynęła dalej. Miał wrażenie, że słowa dochodzą gdzieś z bardzo daleka, nie mógł nic zrozumieć.

— ...i nogi im popuchły, i leżeli tam, i ciskali się po podłodze, i krzyczeli. A nikt nie przyszedł. Krzyczeli tak przez trzy dni i trzy noce. I nikt nie przyszedł.

— Jestem jak głuchy — powiedział doktor. — Nie mogę nic zrozumieć.

— Wsadzili Williego i tamtych chłopców do tego lodowato zimnego pokoju. Z sufitu zwisała lina. Zdjęli im buty i przywiązali do tej liny ich bose stopy. Leżeli na plecach na podłodze z nogami w powietrzu. Nogi puchły im, więc szamotali się po

podłozie i krzyczeli. W pokoju była istna lodownia i odmrozili sobie te popuchnięte nogi. Krzyczeli przez trzy dni i trzy noce i nikt do nich nie przyszedł.

Doktor ścisnął głowę rękami, ale uparte drżenie ciągle nie chciało ustąpić.

— Nie słyszę, co mówisz.

— W końcu przyszli po nich. Zabrali szybko Williego i tamtych na oddział szpitalny. Nogi mieli odmrożone i popuchnięte. Wdała się gangrena. Obcięli naszemu Williemu obydwie nogi. Buster Johnston stracił jedną, a tamtemu trzeciemu nic się nie stało. Ale nasz Willie jest kaleką na całe życie. Obcięli mu obie nogi.

Portia umilkła, pochyliła się i uderzyła głową o stół. Nie płakała ani nie jęczała, tylko waliła głową w czysto wyszorowany blat. Miska i łyżka grzechotały, więc doktor wrzucił je do zlewu. Słowa, które usłyszał, rozproszyły się po jego mózgu, ale wcale nie starał się ich połączyć. Umył łyżkę i miskę i wytarł ścierką. Podniósł coś z podłogi, po czym odłożył na bok.

— Kaleką? — zapytał. — William?

Portia tłukła głową o stół w rytmicznych odstępach; uderzenia te brzmiały jak powolne bicie bębna. Serce doktora zaczęło bić w tym samym rytmie. Usłyszane słowa ożyły powoli i ułożyły się z sensem, tak że wreszcie zrozumiał.

— Kiedy odeślą go do domu?

Portia podparła ręką opuszczoną głowę.

— Buster tego nie wie. Krótco potem, jak to się stało, rozdzielili ich i umieścili w różnych miejscach. Bustera wysłali do innego obozu. A że Williemu zostało do odsiedzenia już tylko kilka miesięcy, więc myślę, że może niedługo będzie w domu.

Pili kawę i siedzieli długo, patrząc sobie w oczy. Filizanka dzwoniła mu o zęby. Portia rozlała kawę na spodek i trochę ściekło jej na kolana.

— William... — zaczął doktor. Wymawiając to imię, ugryzł się mocno w język i skrzywił z bólu. Siedzieli tak długo. Portia trzymała go za rękę. Błady świt pobielił szyby. Na dworze ciągle jeszcze padał deszcz.

— Jeśli mam pójść do roboty, to muszę już iść — powiedziała Portia.

Poszedł za nią przez hol i zatrzymał się koło wieszaka, żeby włożyć płaszcz i szal. Przez otwarte drzwi wpadł podmuch wilgotnego, zimnego powietrza. Highboy siedział na krawężniku trzymając mokrą gazetę nad głową. Wzdłuż chodnika ciągnął się płot. Portia idąc, opierała się o sztachety. Doktor szedł parę kroków za nią,

chwytając się także rękami desek płotu, by utrzymać się na nogach. Highboy powlókł się za nimi.

Doktor czekał na ponury, straszny gniew jak na jakieś zwierzę, które wyskoczy z ciemności. Ale gniew się w nim nie budził. Wnętrznosci ciążyły mu jak ołów, kiedy szedł wolno, opierając się o płot i zimne, mokre ściany mijanych budynków. Zagłębiał się w swoją rozpacz, aż dosięgnął jej dna — w tej myśli było jakby uspokojenie.

Równocześnie ogarnęła go jakaś wielka święta radość. Prześladowany śmieje się, czarny niewolnik śpiewa z głębi duszy pod razami bata. Ten śpiew rozbrzmiewał w nim, choć nie była to właściwie melodia, raczej wrażenie melodii. Nasycony wilgocią, ciężki spokój ciążył mu jak ołów w nogach, tak że tylko myśl o konkretnym, ważnym celu popychała go naprzód. Dlaczego szedł przed siebie? Dlaczego nie pozostał na dnie największego upokorzenia i nie odpoczął przez chwilę w spokoju?

Szedł dalej.

— Wuju, nie myślisz, że dobrze by ci zrobiło trochę gorącej kawy? — zapytała Mick.

Doktor Copeland popatrzył na nią, ale wydawało się, że nie słyszał, co do niego powiedziała.

Przeszli przez miasto i dotarli wreszcie do ulicy za domem Kellych. Portia weszła tam pierwsza, on za nią. Highboy pozostał na schodach na dworze. Mick i jej dwaj braciszkwowie byli w kuchni. Portia opowiedziała o Williem. Doktor nie słuchał jej słów, tylko głosu, jego rytmu. Kiedy skończyła, zaczęła znów od początku. Do kuchni weszli jeszcze jacyś ludzie, by posłuchać.

Doktor siedział w kącie na stołku. Jego płaszcz i szal, rozwieszony na krześle, suszyły się przy piecu. Trzymał kapelusz na kolanach i długimi, ciemnymi rękami przesuwał nerwowo po jego zniszczonym rondzie. Żółtawe od wewnątrz dłonie miał tak wilgotne, że co chwila wycierał je chusteczką. Głowa mu się trzęsła; wszystkie mięśnie miał napięte z wysiłku, by opanować to drżenie.

Wszedł Singer. Doktor podniósł twarz ku niemu.

— Słyszałeś już?

Singer skinął głową. W jego wzroku nie było przerażenia, litości czy nienawiści. Spośród wszystkich, którzy już wiedzieli, co się stało, tylko jego oczy nie wyrażały takich reakcji. Bo on jeden rozumiał.

Mick szepnęła do Portii:

— Jak się nazywa twój ojciec?

— Benedict Mady Copeland.

Mick pochyliła się ku doktorowi i wrzasnęła mu w twarz, jakby był głuchy:

— Benedict, nie myślisz, że dobrze by ci zrobiło, trochę gorącej kawy?

Doktor podskoczył.

— Nie krzycz — powiedziała Portia. — On słyszy tak samo dobrze jak ty.

— O! — powiedziała Mick. Wyrzuciła fusy z garnka i postawiła świeżą kawę na kuchni, by się zagotowała.

Głuchoniemy ciągle jeszcze stał w progu, a doktor siedział, cały czas wpatrując się w niego.

— Słyszałeś?

— Co zrobią z tymi strażnikami więziennymi? — spytała Mick.

— Nie wiem, kochanie — odrzekła Portia. — Nie wiem.

— Ja bym coś zrobiła. Na pewno bym coś zrobiła.

— Cokolwiek byśmy zrobili, to nic nie zmieni. Najlepsze, co możemy zrobić, to milczeć.

— Powinno się postąpić z nimi tak samo, jak oni postąpili z Williem i z tamtymi. A nawet gorzej. Chciałabym zebrać paru ludzi i zabić tych strażników.

— To nie po chrześcijańsku mówić w ten sposób. Możemy być tylko pewni, że zostaną nadziani na widły przez szatana i będą się smażyć przez całą wieczność.

— Ale Willie będzie chyba mógł grać na swojej harmonijce?

— A co on, biedak, innego może robić, jak mu obie nogi obcięli?

W domu panował gwar i nastrój podniecenia. W pokoju nad kuchnią ktoś przestawiał meble. Jadalnia była pełna lokatorów.

Pani Kelly biegała od stołu do kuchni i z powrotem. Pan Kelly snuł się po mieszkaniu w opadających spodniach i w płaszczu kąpielowym. Młodsze dzieci zjadały coś łakomie w kuchni. Drzwi trzaskały i w całym domu słychać było podniesione głosy.

Mick podała doktorowi filiżankę kawy zmieszanej z wodnistym mlekiem, które nadało jej kolor szarosinawy. Trochę kawy wylało się na spodek, więc najpierw wytarł go chustką, tak samo brzeg filiżanki. Nie miał wcale ochoty na kawę.

– Chciałabym móc ich zabić – powtarzała Mick.

W domu ucichło. Lokatorzy zgromadzeni w jadalni poszli do pracy, Mick i George do szkoły, a Ralpa zamknięto w jednym z pokoiów od frontu. Pani Kelly owinęła ręcznikiem głowę i ze szczotką do zmiatania poszła na górę.

Głuchoniemy stał jeszcze ciągle w progu. Doktor nie spuszczał oczu z jego twarzy.

– Wiesz już o tym? – spytał znowu.

Słowa jego były bezdźwięczne, więzły mu w gardle, tylko oczy wyrażały to pytanie. Po chwili głuchoniemy wyszedł. Doktor i Portia zostali sami. Doktor siedział jeszcze chwilę na stołku. W końcu i on się podniósł, by wyjść.

– Zostań, ojcze. Posiedzimy sobie razem przez dzisiejszy ranek. Usmażę na obiad rybę z kartoflami. Zostań, podam ci smaczny, gorący posiłek.

– Wiesz przecież, że mam wizyty na mieście.

– Darujmy sobie ten dzień. Proszę cię, ojcze. Czuję się naprawdę tak, jakbym się miała za chwilę wykończyć. Poza tym nie chcę, żebyś objął się sam po ulicy.

Zawahał się i dotknął kołnierza płaszcza. Był jeszcze bardzo mokry.

– Przykro mi, córko. Wiesz, że mam pacjentów.

Portia trzymała jego szal nad piecem, aż zrobił się gorący. Zapiął płaszcz i podniósł kołnierz, otulając nim szyję. Odchrząknął i splunął w jedną z papierowych serwetek, które nosił w kieszeni. Potem spalił ją w piecu. Wychodząc, powiedział parę słów do Highboya siedzącego na schodach. Radził mu, by został z Portią, jeśli może zwolnić się z pracy.

Powietrze było przejmująco zimne. Z niskiego, ciemnego nieba nieprzerwanie mżył deszcz. Zbiorniki na śmieci były pełne wody, ulicę wypełniała smrodliwa woń nawilgłych odpadków. Doktor utrzymywał równowagę, chwytając się płotu; nie odrywał ciemnych oczu od ziemi.

Odbył najkonieczniejsze wizyty. Od dwunastej do drugiej przyjmował pacjentów u siebie w domu. Potem usiadł przy biurku z zaciśniętymi mocno pięściami. Ale na nic się nie zda rozmyślać o tej sprawie.

Pragnął nie oglądać już nigdy żadnej ludzkiej twarzy. A równocześnie nie mógł usiedzieć sam w pustym pokoju. Włożył płaszcz i wyszedł znów na zimną, mokrą ulicę. W kieszeni miał parę recept, które chciał oddać w aptecę. Nie miał jednak ochoty na rozmowę z Marshalllem Nicollsem. Wszedł do apteki i położył recepty na

ladzie. Aptekarz odłożył proszki, które właśnie przygotowywał, i wyciągnął do niego rękę. Jego grube wargi poruszały się przez chwilę bezdźwięcznie, zanim się opanował.

— Panie doktorze — powiedział oficjalnym tonem — pragnę, by pan wiedział, że ja oraz wszyscy koledzy i członkowie mojego stowarzyszenia i kościoła najżywiej przejmujemy się pana nieszczęściem i chcemy wyrazić panu nasze najgłębsze współczucie.

Doktor odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

To za mało. Trzeba czegoś więcej. Realny, twórczy cel, wola sprawiedliwości. Szedł sztywno w kierunku głównej ulicy, z rękami przyciśniętymi do boków. Myślał, ale nie umiał nic wymyślić. Nie mógł przypomnieć sobie żadnego białego, który miałby jakieś znaczenie w mieście, a równocześnie był odważny i sprawiedliwy. Zastanawiał się kolejno nad każdym adwokatem, nad każdym sędzią, każdym urzędnikiem, których nazwiska znał, ale myśl o tych białych budziła w jego sercu gorycz. Zdecydował się w końcu na sędziego z Sądu Najwyższego. Kiedy dotarł do gmachu sądu, nie zawahał się, lecz wszedł szybko, zdecydowany zobaczyć się z sędzią.

Na długim korytarzu nie było nikogo, tylko paru bumelantów sterczało w drzwiach pokojów po obu stronach korytarza. Nie wiedział, gdzie mieści się gabinet sędziego, błąkał się więc niepewnie po całym gmachu, czytając tabliczki na drzwiach. Wreszcie wszedł w wąski korytarz. Stało tam trzech białych, którzy rozmawiali ze sobą i zagradzali drogę. Przycisnął się do ściany, by ich wyminąć, ale jeden z nich odwrócił się i zatrzymał go.

— Czego tu chcesz?

— Czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi, gdzie mieści się gabinet sędziego?

Biały, w którym doktor rozpoznał zastępcę szeryfa, wskazał palcem koniec korytarza. Spotkali się już gdzieś kilka razy, ale urzędnik go nie poznał. Wszyscy biali wydawali się Murzynom podobni, ale starali się ich rozróżniać. Natomiast choć wszyscy Murzyni też wydawali się białym do siebie podobni, biali nigdy nie zadawali sobie trudu, by utrwalić w pamięci twarz jakiegoś Murzyna.

— Czego chcesz, ojczye wielebny?

Rozdrażnił go ten żartobliwy, dobrze mu znany tytuł.

— Nie jestem duchownym — odrzekł — tylko lekarzem. Nazywam się Benedict Mady Copeland i chciałbym zobaczyć się natychmiast z sędzią w bardzo ważnej sprawie.

Zastępca szeryfa był taki jak inni biali: prosto wyrażone życzenie rozwścieczyło go.

— Naprawdę? — zapytał szyderczo. Mrugnął do swoich przyjaciół. — A ja jestem zastępcą szeryfa, nazywam się pan Wilson i mówię ci, że sędzia jest zajęty. Przyjdź któregoś innego dnia.

— Muszę koniecznie zobaczyć się z sędzią — powtórzył. — Zaczekam.

U wejścia do korytarza stała ławka, więc usiadł na niej. Trzej biali rozmawiali dalej, ale doktor wiedział, że zastępca szeryfa obserwuje go. Był zdecydowany nie ruszyć się z miejsca. Minęło więcej niż pół godziny. Paru białych spacerowało po korytarzu. Doktor wiedział, że szeryf go obserwuje; siedział sztywno, z rękami wciśniętymi między kolana. Głos rozsądku mówił mu, że powinien wyjść i wrócić po południu, gdy nie będzie już tu szeryfa. Przez całe życie był rozważny w postępowaniu z ludźmi. Ale teraz jakiś wewnętrzny nakaz nie pozwalał mu się wycofać.

— Chodź no tu! — zawołał w końcu zastępca szeryfa. Doktorowi trzęsła się głowa, a kiedy wstał, nie mógł utrzymać się na nogach.

— Słucham?

— W jakiej to sprawie mówiłeś, że chcesz widzieć się z sędzią?

— Nie mówiłem w jakiej. Powiedziałem tylko, że to pilna sprawa.

— Nie potrafisz stać prosto? Piłeś, co? Czuję to z daleka.

— To nieprawda — odrzekł wolno doktor. — Ja nie... Szeryf uderzył go w twarz. Upadł na ścianę. Dwóch białych schwyciło go pod pachy i ściągnęło po schodach do głównego holu. Nie opierał się.

— To są kłopoty w tym kraju — powiedział szeryf. — Przekłęte bezczelne czarnuchy jak ten!

Doktor nie odezwał się i pozwolił im robić ze sobą, co chcieli. Czekał na straszliwy gniew, czuł, że już w nim narasta. Osłabł z wściekłości i potknął się. Wepchnęli go do wozu policyjnego i dodali mu dwóch strażników. Ci odwieźli go na posterunek, a potem do więzienia. Dopiero gdy tam wchodzili, furia dodała mu sił. Wyrwał się im nagle. Otoczyli go w kącie. Walili pałkami po głowie i po ramionach. W przyplwywie niezwykłej siły usłyszał, szamocząc się z nimi, własny śmiech. Szlochał i śmiał się równocześnie. Kopał z wściekłości nogami, walił pięściami, a nawet głową. Schwycili go w końcu tak mocno, że nie mógł się ruszyć. Wlekli za nogi przez cały

więzienny korytarz. Drzwi celi były otwarte. Ktoś kopnął go w pachwinę i doktor zwał się na kolana.

W ciasnym pomieszczeniu znajdowało się pięciu innych więźniów — trzech Murzynów i dwóch białych. Jeden biały był bardzo stary i pijany. Siedział na podłodze i drapał się. Drugim białym był chłopiec najwyżej piętnastoletni. Trzej Murzyni byli młodzi. Doktor leżał na pryczy i patrząc w ich twarze, rozpoznał jednego.

— Jak pan się tu znalazł? — zapytał chłopak. — Pan jest doktor Copeland?

Odpowiedział, że tak.

— Ja się nazywam Dary White. W zeszłym roku wycinał pan migdałki mojej siostrze.

Lodowato zimną celę przenikała woń zgnilizny. W kącie stało wiadro wypełnione po brzegi uryną. Po ścianie łaziły karaluchy. Doktor zamknął oczy i musiał natychmiast zasnąć, bo kiedy otworzył je znowu, małe zakratowane okienko było czarne, a na korytarzu paliło się światło. Na podłodze stały cztery puste cynowe talerze. Jego obiad składający się z kapusty i kukurydzianego placka stał obok.

Usiadł na pryczy i kichnął mocno kilka razy. Kiedy oddychał, w piersiach odzywał się zaflegmiony charkot. Po chwili biały chłopak zaczął także kichać. Doktorowi skończyły się papierowe serwetki; musiał używać kartek z notesu. Biały chłopak pochylał się nad wiadrem w kącie albo po prostu pozwalał, by ciekło mu z nosa na koszulę. Oczy miał rozszerzone, a jego jasne policzki płonęły gorączką. Przywarł do brzegu pryczy i jęczał.

Wkrótce potem zaprowadzono ich do umywalni, a po powrocie stamtąd zaczęli szykować się do spania. Było sześciu na cztery prycze. Starzec leżał na podłodze i chrapał. Dary z drugim chłopcem stłoczyli się razem na jednej pryczy.

Godziny wlokły się w nieskończoność. Światło z korytarza raziło go w oczy, a smród wypełniający celę stawał się nie do zniesienia. Nie mógł się rozgrzać. Zęby mu szczękały i trząsł się z zimna. Owinąwszy się brudnym kocem usiadł i kołysał się z boku na bok, z głową ukrytą w dłoniach; z jego gardła wydobywał się śpiewny jęk. Nie mógł myśleć o Williamie. Nie mógł nawet myśleć o wielkiej idei przyświecającej jego życiu i czerpać z niej siły. Mógł jedynie czuć głębię swego nieszczęścia.

Potem powróciła znów gorączka, rozchodząc się po całym ciele. Leżał na wznak i miał uczucie, że zapada w jakąś ciepłą, czerwoną i kojącą otchłań.

Nazajutrz pokazało się słońce. Dziwna południowa zima dobiegała końca. Doktor został zwolniony. Przed więzieniem czekała na niego mała grupka: Singer, Portia, Highboy i Marshall Nicolls. Nie widział wyraźnie ich twarzy, wydawały mu się zamazane. Słońce świeciło jasno.

— Ojczy, w ten sposób nie pomoże się Williemu. — Plątać się po gmachu sądowym białyach! Jedyne, co możemy zrobić, to milczeć i czekać.

Jej donośny głos dudnił mu w uszach i nużył go. Wsiedli do taksówki i niebawem był już w domu, i przycisnął twarz do czystej białej poduszki.

11.

Mick prawie całą noc nie zmrużyła oka. Etta była chora, więc ona musiała spać w saloniku, na wąskiej i krótkiej kanapie. Śniły jej się jakieś koszmary na temat Williego. Już blisko miesiąc upłynął od czasu, gdy Portia opowiedziała, co z nim zrobili, a ona dotąd nie mogła o tym zapomnieć. Dwa razy w ciągu nocy nękały ją te złe sny i budziła się na podłodze. Na głowie wyskoczył jej guz. O szóstej usłyszała, że Bill idzie do kuchni i przygotowuje sobie śniadanie. Wstał już dzień, ale story były zapuszczone, tak że w pokoju panował półmrok. Dziwnie źle się czuła, obudziwszy się w saloniku. Prześcieradło okręciło się wokół niej i leżało częściowo na kanapie, a częściowo na podłodze, poduszka zaś na środku pokoju. Wstała i otworzyła drzwi do holu. Na schodach nie było nikogo. Pobiegła w nocnej koszuli do pokoju w głębi mieszkania.

— Posuń się, George.

Chłopak leżał na środku łóżka. Noc była gorąca, leżał więc goły jak młody dudek. Piąstki miał zaciśnięte i nawet we śnie oczy tak zmrużone, jakby rozmyślał nad czymś bardzo skomplikowanym. Usta miał otwarte, na poduszce była mokra plamka ze śliny. Popchnęła go.

— Czekaj... — mruczał przez sen.

— Posuń się do ściany.

— Czekaj... Coś mi się śni... niech się skończy... zaraz...

Przeniosła go na jego miejsce i położyła się obok. Kiedy znów otworzyła oczy, było już późno, bo słońce wpadało przez okno od podwórza. George zniknął. Z

podwórza dobiegały głosy dzieci i szum płynącej wody. Etta i Hazel rozmawiały w środkowym pokoju. Kiedy się ubierała, przyszło jej coś nagle do głowy. Nasłuchiwała pod drzwiami, ale trudno było zrozumieć, o czym mówią. Pchnęła nagle drzwi, aby je zaskoczyć.

Czytały tygodnik filmowy. Etta była jeszcze w łóżku. Wyciągniętą ręką zasłaniała część fotografii jakiegoś aktora.

— Nie uważasz, że on od tego miejsca przypomina chłopaka, z którym chodziła...

— Jak się czujesz, Etto? — spytała Mick.

Spojrzała pod łóżko. Jej pudełko stało dokładnie w tym samym miejscu, gdzie je postawiła.

— Dużo cię to obchodzi! — burknęła Etta.

— Nie musisz zaraz się kłócić.

Etta miała twarz wychudzoną. Bolał ją okropnie brzuch i miała jakieś dolegliwości jajnikowe. Dlatego źle się czuła. Doktor powiedział, że trzeba będzie jajnik usunąć. Ale ojciec orzekł, że poczeka się z tym, bo na razie nie ma pieniędzy.

— Jak powinnam się twoim zdaniem zachować? — spytała Mick. — Pytam cię grzecznie, to mi opryskliwie odpowiadasz. Żal mi cię, bo jesteś chora, ale ty nie dajesz mi być grzeczną. I to mnie właśnie wścieka. — Odgarnęła kosmyki włosów z czoła i spojrzała w lustro. — Ależ sobie guza nabiłam! Byłam pewna, że mi głowa pękła. Spadłam z łóżka dwa razy dziś w nocy i chyba uderzyłam się o ten stół, co stoi koło kanapy. Nie mogę spać w saloniku. Na tej kanapie jest tak ciasno, że nie potrafię uleżeć.

— Przestań gadać tak głośno — upomniała ją Hazel. Mick uklękła na podłodze i wyciągnęła swoje pudło. Obejrzała dokładnie sznurek, którym było owiązane.

— Słuchajcie, czy któraś z was to ruszała?

— Też! — obruszyła się Etta. — Co nas obchodzą twoje rupiecie!

— Lepiej tego nie tykajcie. Zabiłabym każdego, kto próbowałby ruszać moje osobiste rzeczy.

— Coś podobnego! — powiedziała Hazel. — Mick, ty jesteś tak samolubna, że drugiej takiej nie znam. Nie obchodzi cię nikt na świecie prócz...

— Do diabła! — Trzasnęła drzwiami. Nienawidziła swych sióstr. Straszna to myśl, ale tak czuła naprawdę.

Ojciec był w kuchni z Portią. Ubrany w płaszcz kąpielowy pił kawę. Białka oczu miał przekrwione; filiżanka pobrzękiwała o spodek. Krążył dokoła stołu.

— Która godzina? Czy pan Singer już wyszedł?

— Wyszedł, kochanie — powiedziała Portia. — Już blisko dziesiąta.

— Dziesiąta! Do licha! Nigdy jeszcze tak długo nie spałam.

— Co trzymasz w tym dużym pudle, które nosisz ze sobą?

Mick sięgnęła do piecyka i wyjęła z niego parę biskwitów.

— Nie pytaj, a nie usłyszysz kłamstwa. Wścibstwo zawsze źle się kończy.

— Jeżeli jest jeszcze mleko, zjadłbym trochę z pokruszonym chlebem — odezwał się ojciec. — Może zrobi mi to dobrze na żołądek.

Mick włożyła pomiędzy przełamane biskwity kawałek pieczonego mięsa. Usiadła na schodkach od podwórza, żeby zjeść śniadanie. Ranek był jasny i ciepły. Spareribs i Sucker bawili się z George'em na podwórzu za domem. Sucker miał na sobie opalacz, inne dzieci zdjęły wszystko z wyjątkiem szortów. Gonili się z węzłem do polewania. Strumień wody skrzył się w słońcu. Wiatr rozwiewał pył wodny jak mgłę o wszystkich barwach tęczy. Na sznurze powiewała rozwieszona bielizna: białe prześcieradła, niebieskie śpioszki Ralpa, czerwona bluzka, koszule nocne — wilgotne i czyste wydymały się na wietrze w różnorakie kształty. Dzień był prawie taki jak w lecie. Małe, włochate, żółte osy brzęczały nad powojem pnącym się po płocie.

— Patrzcie, jak go trzymam nad głową! — krzyczał George. — Patrzcie, jak się woda leje!

Mick czuła w sobie zbyt wiele energii, by siedzieć spokojnie. George napełnił piachem worek po mące i przywiązał go zamiast bokserkiego worka do gałęzi drzewa. Zaczęła w niego walić pięściami. Buch! Buch! — biła w takt piosenki, która snuła się jej po głowie, od kiedy tylko wstała. Razem z piaskiem dostał się do worka ostry kamyk, o który skaleczyła sobie palec.

— Au! Nalałeś mi wody w ucho! Nic nie słyszę! Uszkodziłeś mi bębenek!

— Daj mnie! Ja trochę poleję!

Kropki wody przyskały jej w twarz, a w pewnej chwili dzieci skierowały węża na jej nogi. Bała się, że zmoczą pudło, zaniósła je więc na ganek. Harry siedział na swoich schodkach i czytał gazetę. Otworzyła pudło i wyjęła z niego notes, ale nie mogła się skupić na melodii, którą chciała zapisać. Harry spoglądał na nią co jakiś czas, trudno było zebrać myśli.

Rozmawiali ostatnio o wielu rzeczach. Prawie codziennie wracali razem ze szkoły do domu. Rozmawiali na przykład o Bogu. Czasem budziła się w nocy i drżała na wspomnienie tego, o czym mówili. Harry był panteistą. To taka sama religia jak buddyzm, katolicyzm czy judaizm. Harry wierzył, że gdy człowiek umrze i zostanie pochowany, zamienia się w rośliny w ogień, i w ziemię, w chmury i w wodę. Po tysiącach lat staje się cząstką wszechświata. Uważał, że to lepsze niż zostać jednym aniołem. W każdym razie lepsze niż nic.

Harry rzucił gazetę do holu w swoim domu i podszedł do niej.

— Gorąco dziś jak w lecie — powiedział. — A to dopiero marzec.

— Tak. Chciałabym, żebyśmy mogli popływać.

— Moglibyśmy, gdyby było gdzie.

— Ale nie ma. Z wyjątkiem pływalni w klubie.

— Chciałbym coś zrobić. Gdzieś pójść.

— Ja też — odrzekła. — Czeka! Znam takie jedno miejsce. Za miastem, jakieś piętnaście mil stąd. Jest tam głęboki, szeroki strumień w lesie. Skautki mają tam latem obóz. Pani Wells zabrała nas z George'em i Pete'em, i Suckerem, żebyśmy mogli popływać.

— Jeśli chcesz, mogę zdobyć rowery i pojedziemy jutro. Mam jedną niedzielę w miesiącu wolną.

— Pojedziemy i zabierzemy ze sobą lunch.

— Dobrze. Wypożyczę rowery.

Musiał iść do pracy. Patrzyła za nim, gdy szedł ulicą. Wymachiwał rękami. W połowie drogi do następnej przecznicy rósł wawrzyn o nisko zwisających gałęziach. Harry podskoczył w biegu, schwycił jedną z nich i podciągnął się w górę. Ogarnęło ją uczucie szczęścia, bo naprawdę byli dobrymi przyjaciółmi. I Harry był przystojny. Pożyczy jutro od Hazel niebieskie korale i włoży jedwabną sukienkę. A na obiad zabierze kanapki z galaretką i czekoladowy napój do picia. Może Harry będzie miał coś niezwykłego, bo oni jedzą jak ortodoksyjni Żydzi. Patrzyła za nim, póki nie skręcił za róg. Naprawdę wyrósł na bardzo przystojnego chłopca.

Harry poza miastem był zupełnie inny niż Harry na schodkach za domem, czytający gazetę i rozmyślający o Hitlerze. Wyjechali wcześniej rano. Pożyczył rowery męskie, z ramą. Przywiązali swoje zapasy i kostiumy do błotników. Ranek był ciepły i

słoneczny. W ciągu godziny znaleźli się daleko za miastem na rdzawej gliniastej drodze. Pola pokrywała jasna zieleń. W powietrzu unosił się zapach sosen. Harry rozprawiał z podnieceniem. Ciepły wiatr owiewał im twarze. Mick zaschło w ustach i była głodna.

— Widzisz ten dom na wzgórzu? Zatrzymajmy się i napijmy się wody.

— Nie, zaczekajmy jeszcze. Można zarazić się tyfusem, pijąc wodę ze studni.

— Ja już miałam tyfus. I zapalenie płuc, i złamaną nogę, i zakażenie w stopie.

— Pamiętam.

— Tak — wspominała Mick. — Kiedy byliśmy chorzy na tyfus, leżeliśmy z Billem w pokoju od frontu, a Pete Wells biegał po chodniku trzymając się za nos i zaglądał w okno. Wszystkie włosy mi wyszły, tak że byłam łysa.

— Założę się, że odjechaliśmy już od miasta jakieś dziesięć mil. Jedziemy półtorej godziny, i to dość szybko.

— Bardzo mi się chce pić — powiedziała Mick. — I jeść. Co masz na lunch w tej torbie?

— Zimny pudding z wątróbki, kanapki z kurczędem i sałatą i placek z owocami.

— Świetne jedzenie. — Zawstydziała się tego, co sama przywiozła. — Ja mam dwa jajka na twardo, z farszem, i w osobnych torebkach sól i pieprz. I kanapki z masłem i galaretką z czarnych jagód. Wszystko owinięte w pergamin. I papierowe serwetki.

— Nie liczyłem na to, że coś przywieziesz — powiedział Harry. — Moja mama przygotowała lunch dla nas obojga. Ja cię przecież zaprosiłem. Wstąpimy jeszcze do sklepu i kupimy coś zimnego do picia.

Jechali jeszcze pół godziny, zanim dotarli do sklepu przy stacji benzynowej. Harry oparł rowery o ścianę. Mick weszła do sklepu pierwsza, a on za nią. Po oślepiającym słonecznym blasku wydawało się tu ciemno. Półki zapchane były półciami wieprzowego mięsa, puszkami oliwy i workami mąki. Muchy latały nad dużym lepkim słojem roztopionych landrynek, który stał na ladzie.

— Co pan ma do picia? — spytał Harry.

Sklepikarz zaczął wymieniać kolejno różne napoje. Mick otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. Z przyjemnością zanurzyła ręce w zimnym wnętrzu.

— Ja proszę napój czekoladowy. Ty też?

— Dobrze. Proszę dwie butelki.

— Nie, czekaj. Tu jest zimne piwo z lodu. Wezmę butelkę, jeśli możesz mi to zafundować.

Harry zamówił i dla siebie taką samą butelkę. Uważał, że to grzech pić piwo przed ukończeniem lat dwudziestu, ale nagle zapragnął okazać się chłopcem z fasonem. Po pierwszym łyku wykrzywił się. Usiedli na schodkach przed sklepem. Mick drżały nogi ze zmęczenia. Wytarła szyjkę butelki ręką i pociągnęła długi, orzeźwiający łyk. Po drugiej stronie drogi rozciągała się duża, pusta łąka, za nią ciemniała linia sosnowego lasu. Drzewa miały różne odcienie zieleni — od jasnozielonej do ciemnej, nieomal czarnej. Niebo było intensywnie błękitne.

— Lubię piwo — powiedziała Mick. — Nieraz maczałam chleb w resztkach, które zostawiał ojciec. Lubię zlizywać sól z ręki popijając piwo. To druga butelka w życiu, jaką piję sama.

— Pierwszy łyk był gorzki, ale następne już nie. Sklepikarz powiedział im, że stąd jest dwadzieścia mil do miasta. Mieli jeszcze do przebycia cztery mile. Harry zapłacił i znów znaleźli się w palącym słońcu. Harry mówił głośno i śmiał się bez powodu.

— Do licha, kręci mi się w głowie od piwa i od tego słońca. Ale poza tym czuję się świetnie.

— Nie mogę się już doczekać kąpieli — powiedziała Mick.

Droga była teraz piaszczysta i musieli pedałować z całych sił, by nie ugrzęznąć w piachu. Koszula przylepiła się Harry'emu do pleców. Mówił bez przerwy. Piasek na drodze zastąpiła czerwona glina. W myśli Mick snuła się powolna pieśń murzyńska, ta, którą brat Portii grał na harmonijce. Pedałowała w jej takt. Dojechali w końcu do miejsca, o którym marzyła.

— To tu! Spójrz, co napisane: „Teren prywatny”. Przeleziemy przez płot z kolczastego drutu i pójdziemy tamtą ścieżką — widzisz?

Las zalegała cisza. Gładkie igły sosnowe pokrywały ziemię. W parę minut znaleźli się przy strumieniu. Brunatna chłodna woda płynęła wartko. Wśród panującej ciszy słychać było szum strumienia i wietrzyk śpiewający w koronach drzew. Cicha głębia lasu onieśmiałła ich, szli w milczeniu brzegiem strumienia.

— Prawda, że tu ładnie?

Harry roześmiał się.

— Dlaczego szepcesz? Posłuchaj! — Uderzył ręką po ustach i wydał przeciągły indiański okrzyk, który odpowiedział im echem. — Chodź! Skaczymy do wody, żeby się ochłodzić.

— Nie jesteś głodny?

— Dobrze. Zjedzmy coś najpierw. Połowę lunchu teraz, a połowę, jak wyjdziemy z wody.

Rozpakowała kanapki z galaretką. Kiedy zjedli, Harry zwinął starannie papiery w kulkę i wetknął w wydrążony pień. Potem wziął kąpielowe spodenki i ruszył ścieżką przed siebie. Mick zrzuciła za krzakiem sukienkę i wbiła się w kostium kąpielowy Hazel. Był na nią za mały i cisnął ją w kroku.

— Gotowa jesteś? — krzyknął Harry.

Usłyszała plusk wody, a kiedy doszła do brzegu, Harry już płynął.

— Nie nurkuj, dopóki nie zbadam, czy nie ma tu pni na dnie albo mielizn — powiedział.

Patrzyła na jego głowę unoszącą się nad wodą. Nie miała wcale zamiaru nurkować. Nie umiała nawet dobrze pływać. Pływała zaledwie parę razy w życiu, a i wtedy miała zawsze na wszelki wypadek pływak albo też unikała takich miejsc, gdzie nie mogła zgruntować. Ale byłoby głupio powiedzieć o tym Harry'emu. Czuli się zakłopotani. Nagle zaczęła mówić:

— Nie nurkuję już teraz. Dawniej nurkowałam, i to głęboko. Ale raz rozciąłam sobie głowę i nie nurkuję więcej. — Namyslała się chwilę. — Nurkowałam wtedy, robiąc salto z pozycji łamanej. Kiedy wypłynęłam na powierzchnię, woda była cała czerwona od krwi. Ale nie zastanawiałam się nad tym i zaczęłam robić inne pływackie sztuki. Ludzie na brzegu krzyczeli coś do mnie. Wtedy dopiero spostrzegłam, że ta krew w wodzie to ze mnie. I od tej pory nigdy już dobrze nie pływałam.

Harry wygramolił się na brzeg.

— Coś takiego! Nic o tym nie słyszałem.

Chciała coś jeszcze dodać do tej bajeczki, żeby brzmiała bardziej prawdopodobnie, ale zamiast tego wpatrywała się w Harry'ego. Jego ciemna skóra lśniła od wody. Piersi i nogi miał owłosione. W obcisłych spodenkach wydawał się nagi. Twarz bez okularów była pełniejsza i ładniejsza. Oczy niebieskie i wilgotne. Patrzył na nią i nagle oboje poczuli się zakłopotani.

— Woda tu głęboka na jakieś dziesięć stóp, tylko przy tamtym brzegu jest płytko.

— Popłynemy tam. Ach, jak tu przyjemnie!

Nie bała się już. Czuła się tak, jakby wdrapała się na wierzchołek bardzo wysokiego drzewa i nie mogła zrobić nic innego, tylko zsunąć się w dół jak najzręczniejszej — była przerażająco spokojna. Ześliznęła się z brzegu do lodowato zimnej wody. Jakiś czas trzymała się korzenia, póki się nie złamał, i wtedy dopiero zaczęła płynąć. Raz zakrztusiła się i poszła pod wodę, lecz płynęła dalej, ratując swój honor. Dotarła w ten sposób do drugiego brzegu, gdzie mogła już zgruntować. Tu dopiero poczuła się dobrze. Uderzała rękami po wodzie i wykrzykiwała jakieś głupstwa, by wywołać echo.

— Patrz!

Harry wdrapał się na wysokie drzewko. Pień miało giętki i kiedy chłopiec dotarł do wierzchołka, przechyliło się z nim razem i Harry wpadł do wody.

— Ja też! Patrz, ja też tak zrobię!

— To młode drzewko.

Ze wszystkich dzieci na ich ulicy ona najlepiej łaźniła po drzewach. Naśladowując dokładnie Harry'ego, spadła do wody z głośnym pluskiem. Ona też umiała pływać. Umiała pływać doskonale.

Bawiąc się tak, biegali wzdłuż brzegu i skakali do zimnej, brunatnej wody. Krzyczeli i wdrapywali się na drzewa przez blisko dwie godziny. Potem stanęli na brzegu i patrzyli na siebie; nie wiedzieli, co mają jeszcze wymyślić. Nagle Mick spytała:

— Czy pływałeś kiedy nago?

Las wokoło nich stał w głębokiej ciszy. Przez chwilę Harry nie odpowiadał. Było mu zimno. Brodawki jego piersi stwardniały i zaczerwieniły się. Wargi miał sine, a zęby mu szczękały.

— Nie... chyba nie.

Była tak podniecona, że powiedziała coś, czego nie zamierzała powiedzieć.

— Ja bym to zrobiła, gdybyś i ty zrobił. Odważ się!

Harry przyglądał ciemne, mokre włosy.

— Dobrze.

Oboje zdjęli kostiumy kąpielowe. Harry odwrócony był do niej tyłem. Potknął się, uszy miał czerwone. Potem odwrócili się do siebie. Stali tak może pół godziny, a może nie więcej niż minutę.

Harry zerwał z drzewa liść i szarpał go na kawałki.

— Lepiej się ubierzmy.

Przez cały czas lunchu żadne z nich nie odezwało się słowem. Rozłożyli zapasy na ziemi. Harry podzielił wszystko na pół. Gorące, senne, letnie popołudnie. W gęstym lesie nie słyszeli nic prócz wolno płynącej wody i śpiewu ptaków. Harry trzymał jajko i rozgniatł żółtko dużym palcem. Co jej to przypomniało? Usłyszała swój własny oddech.

Popatrzył na nią przez ramię.

— Słuchaj. Jesteś taka ładna, Mick. Nigdy tego dotąd nie zauważyłem. To nie znaczy, że uważałem cię za brzydką... Chcę tylko powiedzieć...

Rzuciła do wody sosnową szyszkę.

— Jeśli chcemy być w domu przed zmierzchem, to czas wracać.

— Nie — odpowiedział. — Połóżmy się tu na chwilę. Przyniósł parę garści sosnowych igieł, liści i szarego mchu.

Ssała kolano, przyglądając mu się. Zacisnęła pięści i trwała cała w napięciu.

— Teraz możemy się przespać, będziemy wypoczęci przed powrotną jazdą.

Leżeli na miękkim posłaniu i wpatrywali się w ciemnozielone kępy sosen na tle nieba. Jakiś ptak zanosił się smutnym, donośnym śpiewem; nigdy jeszcze takiego nie słyszała. Zaczynał z wysokiej nuty, jak na oboju, a potem zniżał głos o pięć tonów i zaczynał od nowa. Śpiew ten był smutny jak pytanie bez słów.

— Bardzo lubię tego ptaszka — powiedział Harry. — To chyba vireo czerwonoooki.

— Chciałabym, żebyśmy teraz byli nad morzem, na plaży, i patrzyli na statki daleko na wodzie. Byłeś przecież jednego lata nad morzem. Jak tam jest?

Głos jego był cichy i ochrypły.

— No... fale biją o brzeg. Czasem są niebieskie, a czasem zielone. W słońcu wyglądają jak ze szkła. A na piasku można zbierać muszelki. Takie jak te, które przywieźliśmy w pudełku do cygar. Nad wodą latają białe mewy. Byliśmy nad Zatoką Meksykańską... Wieje od niej przez cały czas chłodny wiatr i dlatego nigdy nie jest tak gorąco jak tutaj. Zawsze...

— Śnieg — powiedziała Mick. — Chciałabym zobaczyć śnieg. Zimne śnieżne zasy jak na obrazkach. Zamiecie. Biały śnieg, który pada miękko i gromadzi się przez całą zimę. Śnieg jak na Alasce.

Obrócili się do siebie równocześnie i objęli mocno. Czują, jak on drży, pięści miała tak zaciśnięte, że mało nie pękły.

— O Boże! — powtarzał.

Miała takie uczucie, jakby głowa jej została oderwana od ciała i odrzucona na bok. Licząc coś w myśli, wpatrywała się w rażące oślepiającym blaskiem słońce. I tak się to stało.

Tak właśnie.

Pedałowali wolno drogą. Harry miał głowę zwieszoną i opuszczone ramiona. Na piasku rysowały się ich długie czarne cienie. Było już późne popołudnie.

— Słuchaj... — zaczął.

— Co?

— Musimy zrozumieć, jak to się stało. Czy ty rozumiesz choć trochę?

— Nie wiem. Myślę, że nie.

— Słuchaj. Musimy coś zrobić. Usiądźmy.

Rzucili rowery i usiedli nad rowem przy drodze. Siedzieli z daleka od siebie. Późne słońce grzało im głowy, wokół nich pełno było brunatnych, miękkich mrowisk.

— Musimy to zrozumieć — powtarzał Harry.

Zaczął płakać. Siedział bez ruchu, a łzy spływały mu po bladej twarzy. Nie mogła myśleć o tym, dlaczego płakał. Mrówka ugryzła ją w kostkę, złapała ją w palce i przyjrzała jej się z bliska.

— To jest tak — mówił. — Nigdy dotąd nawet nie pocałowałem dziewczyny.

— Ja też nigdy jeszcze nie pocałowałam chłopca. Prócz braci.

— Myślałem nieraz o tym, by pocałować jedną. Planowałem to sobie w czasie lekcji i marzyłem o tym w nocy. A potem kiedyś umówiłem się z nią. I byłem pewny, że liczyła na to, że ją pocałuję. A ja patrzyłem tylko na nią w ciemności i nie mogłem się zdecydować. O tym jednym myślałem: żeby ją pocałować — a kiedy przyszła ta chwila, nie mogłem.

Mick wygrzebała palcem dołek w ziemi i pochowała nieżywą mrówkę.

— To wszystko moja wina.

— To okropny grzech, jakkolwiek by na to spojrzeć. I do tego ty jesteś o dwa lata młodsza ode mnie, prawie dziecko jeszcze.

— Nie. Wcale nie jestem dzieckiem. Choć teraz żałuję, że nim nie jestem.

— Słuchaj. Jeśli uważasz, że powinniśmy wziąć ślub... w tajemnicy czy...

Mick potrząsnęła głową.

— Nie, nie mam na to ochoty. Nigdy nie wyjdę za mąż za żadnego chłopca.

— Ja też się nie ożenię. Wiem o tym. Nie mówię tego na wiatr, to prawda.

Jego twarz przeraziła ją. Nozdrza mu drgały, na dolnej wardze pokazały się czerwone cętki i krew w miejscu, gdzie ją zagryzł. Błyszczące, wilgotne oczy miały wyraz posępny, a tak bladej twarzy jeszcze nigdy w życiu nie widziała. Odwróciła od niego głowę. Byłoby lepiej, gdyby przestał mówić. Rozejrzała się wolno dokoła. Patrzyła na gliniasty brzeg rowu w białe i czerwone smugi, na stłuczoną butelkę po whisky, na sosnę tuż przed nimi, do której pnia przyczepione było ogłoszenie szeryfa poszukującego kogoś do pomocy. Chciała siedzieć spokojnie, nie mówić nic i nie myśleć.

— Wyjadę z miasta. Jestem dobrym mechanikiem i mogę dostać pracę gdzie indziej. Gdybym został w domu, matka wyczytałaby wszystko w moich oczach.

— Powiedz, czy jak patrzysz na mnie, widzisz jakąś różnicę?

Harry długo wpatrywał się w jej twarz, w końcu skinął głową twierdząco i powiedział:

— A więc tym bardziej. Za miesiąc lub dwa przyślę ci mój adres i napiszesz mi prawdę, czy wszystko w porządku.

— Co masz na myśli? — spytała wolno.

Wyjaśnił jej.

— Napisz tylko: „Wszystko w porządku”, a już będę wiedział.

Szli w stronę domu, pchając rowery. Ich ogromne cienie rozciągały się na drodze. Harry włókł się pochylony jak żebrak i co chwila ocierał rękawem nos. Jasny, złocisty słoneczny blask zalał wszystko dokoła na jeden moment, potem słońce zapadło za drzewa i cienie ich całkiem znikły z drogi. Czuła się bardzo stara i tak jakby dźwigała w sobie jakiś ciężar. Była teraz dorosła, czy chciała tego, czy nie.

Przeszli szesnaście mil i znajdowali się teraz w ciemnej uliczce blisko domu. Widziała już żółte światło w kuchni. W domu Harry'ego było ciemno, jego matka

widać jeszcze nie wróciła. Pracowała u krawca na jakiejś bocznej ulicy. Czasem nawet w niedzielę można było zobaczyć ją przez okno schyloną nad maszyną lub wbijającą długą igłę w gruby materiał. Nigdy nie podnosiła wzroku, gdy się na nią patrzyło. W nocy gotowała koszerne potrawy dla siebie i Harry'ego.

— Słuchaj... — zaczął.

Czekała w mroku, ale nie dokończył zdania. Uścisnęli sobie ręce i Harry odszedł ciemną uliczką między domami. Kiedy dotarł do chodnika, odwrócił się i spojrzał przez ramię. Światło latarni padało na jego twarz, białą, kamienną. Potem zniknął.

— Posłuchaj zagadki — mówił George.

— Słucham.

— Dwóch Indian szło ścieżką. Ten, który szedł pierwszy, był synem tego, co szedł za nim, ale to nie był jego ojciec. Jakie było między nimi pokrewieństwo?

— Poczekaj... to był jego ojczym.

George uśmiechnął się do Portii, ukazując drobne, kwadratowe sinawe ząbki.

— No to jego stryj.

— Nie umiesz zgadnąć. To była jego matka. Kawał polega na tym, że nie myśli się o Indianinie jako o kobiecie.

Stała z daleka i przyglądała im się. Futryna drzwi ujmowała kuchnię w ramy jak obrazek. Było tam czysto i przytulnie. Paliła się tylko lampa nad zlewem; pozostała część kuchni tonęła w mroku. Bill i Hazel grali przy stole w sześćdziesiąt sześć na zapalki. Hazel dotykała warkoczy tłustymi różowymi palcami, a Bill wciągnął policzki i z powagą rozdawał karty. Portia przy zlewie wycierała naczynia czystą ścierką w kratkę. Wyglądała mizernie, cera jej miała barwę żółtawą, nasmarowane tłuszczem włosy były gładkie i lśniące. Ralph siedział spokojnie na podłodze, a George obwiązywał go uprzężą zrobioną ze starych łańcuchów choinkowych.

— A teraz druga zagadka, Portio. Jeśli wskazówka zegara wskazuje wpół do trzeciej...

Mick weszła do kuchni. Spodziewała się, że cofną się na jej widok, a potem otoczą ją kołem i będą się jej przyglądać. Ale oni tylko spojrzeli na nią. Usiadła przy stole i czekała.

— Przychodzisz, a już dawno po kolacji. Chyba nigdy nie skończę tej roboty.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Zjadła duży talerz kapusty i kawałek ryby, a na zakończenie twaróg ze śmietaną. Myślała o matce. Drzwi otworzyły się, weszła matka i powiedziała do Portii, że panna Brown znalazła pluskwę w swoim pokoju i że trzeba poszukać benzyny.

— Nie marszcz się tak, Mick. Zbliżasz się już do wieku, kiedy powinnaś starać się wyglądać jak najlepiej. Zaczekaj, nie uciekaj, kiedy do ciebie mówię. Umyj porządnie Ralpa, zanim pójdzie do łóżka. Umyj mu dobrze nos i uszy.

Miękkie włoski Ralpa były lepkie od płatków owsianych. Wytarła je ścierką i obmyła mu rączki i buzię pod zlewem. Bill i Hazel skończyli grać w karty. Bill skrobał długimi paznokciami po stole zbierając zapalki. George zaniósł Ralpa do łóżka. Zostały same z Portią w kuchni.

— Słuchaj! Popatrz na mnie. Czy widzisz we mnie jakąś różnicę?

Portia włożyła na głowę czerwony kapelusz i zmieniła pantofle.

— Oczywiście.

— No co?

— Weź trochę tłuszczu i posmaruj sobie twarz. Nos ci oblaźł brzydko ze skóry. Podobno tłuszcz to najlepsza rzecz na spaloną słońcem skórę.

Stała sama na ciemnym podwórzu za domem, odłamując paznokciami korę z dębu. Tak chyba jest jeszcze gorzej. Może czułaby się lepiej, gdyby spojrzeli na nią i powiedzieli, co zauważyli. Gdyby wiedzieli.

Ojciec zawołał ze schodów:

— Mick! Mick!

— Słucham?

— Telefon.

George podsunął się blisko i próbował podsłuchiwać, ale go odepchnęła. Pani Minowitz w zdenerwowaniu mówiła bardzo głośno:

— Harry powinien być już w domu. Nie wiesz, gdzie on jest?

— Nie, proszę pani.

— Powiedział mi, że jedziecie we dwójkę na rowerach. Gdzie on może być? Nie wiesz?

— Nie, proszę pani — powiedziała Mick.

Teraz, kiedy znów nastały ciepłe dni, w wesołym miasteczku było zawsze tłoczno. Marcowy wiatr ucichł. Drzewa obficie pokryły się żółtozielonymi listkami. Niebo było błękitne i bez chmurki, a promienie słońca grzały coraz mocniej. Było duszno. Jake Blount nie znosił takiej pogody. Rozmyślał apatycznie o długim upalnym lecie, które go czeka. Nie czuł się dobrze. Ostatnio miewał stale bóle głowy. Przytył i urósł mu brzuszek. Nie mógł dopiąć górnego guzika spodni. Wiedział, że to tusza typowa dla alkoholika, ale pił dalej. Alkohol pomagał na ból głowy. Wystarczyło, że wypił małą szklaneczkę, a czuł ulgę. Jedna szklaneczka to było teraz dla niego to samo co ćwierć galona. Nie chodziło nawet o przyjemność, jaką dawał mu alkohol, tylko o reakcję, jaką wywoływał pierwszy łyk na cały ten alkohol, którym nasycił swoją krew w ciągu ostatnich paru miesięcy. Łyzeczka piwa uśmierzała pulsujący ból głowy, ale ćwierć galona whisky nie wystarczało, żeby się upił.

Potem zupełnie przestał pić. Przez parę dni pił tylko wodę i oranżadę. Ból był jak pełzający w głowie robak. Jake pracował bez wytchnienia w ciągu długich popołudni i wieczorów. Do wściekłości doprowadzał go wilgotny, kwaśny odór wypełniający jego pokój. Leżał w udręce na łóżku, a kiedy w końcu zasypiał, był już dzień.

Prześladował go pewien sen. Pierwszy raz przyśnił mu się przed czterema miesiącami. Budził się przerażony, ale co dziwniejsze, nigdy nie mógł przypomnieć sobie treści tego snu. Kiedy otwierał oczy, pozostawało tylko wrażenie. Przy każdym przebudzeniu czuł taki sam strach, nie wątpił więc, że prześladowuje go ciągle ta sama zmora. Był przyzwyczajony do snów, do tych absurdalnych koszmarów pijackich, które wprowadzały go w świat szaleństwa i chaosu, ale zawsze światło dzienne rozpraszało dzikie zjawy i zapominał o nich. Lecz ten tajemniczy sen bez treści był zupełnie inny. Blount budził się i nie mógł sobie nic przypomnieć. Ale potem jeszcze długo trwało w nim uczucie, że coś mu zagraża. Któregoś ranka obudził się z tym samym strachem, lecz pamiętał niejasno, że we śnie otaczała go ciemność. Szedł wśród tłumu ludzi i niósł coś w rękach. Tylko to dobrze pamiętał. Czy coś ukradł? Czy próbował ocalić czyjąś własność? Czy ścigali go ludzie, których widział wokół siebie? Nie wiedział. Im dłużej zastanawiał się nad tym prostym snem, tym mniej go rozumiał. Sen przestał się powtarzać.

Spotkał autora napisów kredą które widział w listopadzie. Od pierwszego dnia stary przyłgął do niego jak zły duch. Nazywał się Simms. Wygłaszał kazania na ulicy. Zimowe chłody zmuszały go do pozostawania w domu, ale wiosną laził po mieście całymi dniami. Miał miękkie siwe włosy, rozwiane na karku. Nosił ze sobą dużą jedwabną torbę damską, pełną kredy i kartek z Jezusowymi przykazaniami. Miał jasne oczy szaleńca. Próbował nawracać Jake'a.

— Synu nieszczęścia! Czuję w twoim oddechu smrodliwą grzeszną woń piwa. I palisz papierosy! Gdyby Bóg chciał, żebyśmy je palili, zaleciłby to w swojej Księdze. Widzę na twoim czole piętno szatana. Żałuj za grzechy. Pozwól, że wskażę ci światło.

Jake uniósł oczy w górę i wykonał wolno pobożny gest w powietrzu. Potem otworzył umorusaną oliwą rękę.

— Tylko tobie to pokazuję — powiedział cichym, scenicznym szeptem.

Simms spojrział na bliźnię na jego dłoni. Jake pochylił się ku niemu i dorzucił:

— A tu drugi znak. Dobrze ci znany. Urodziłem się z tymi stygmatami.

Simms oparł się plecami o płot. Delikatnym ruchem odgarnął siwy kosmyk włosów z czoła i przyglądał je. Obliznął nerwowo kąciki warg. Jake się roześmiał.

— Błóżnierco! — krzyknął Simms. — Bóg cię skarże. Ciebie i całą waszą zgraję. Bóg nie wybacza szydercom. A nade mną czuwa. Czuwa nad każdym, ale najbardziej nade mną. Tak jak czuwał nad Mojżeszem. W nocy przemawia do mnie. Bóg cię skarże.

Jake zaprowadził Simmsa do sklepu na rogu na coca-colę i sandwicze. Tamten znowu zaczął go nawracać, a kiedy Jake wyszedł, żeby pójść do wesołego miasteczka, Simms pobiegł za nim.

— Przyjdź tu dziś wieczorem o siódmej. Jezus ma dla ciebie wiadomość.

Pierwsze dni kwietnia były wietrzne i ciepłe. Po niebieskim niebie snuły się białe chmurki. Wiatr niósł świeży zapach rzeki i jeszcze świeższy pól rozciągających się za miastem. Od czwartej po południu do późnej nocy w wesołym miasteczku było pełno. Niełatwo przychodziło utrzymać taką gromadę ludzi w porządku. Z budzącą się wiosną Blount czuł w sobie jakiś niepokój.

Pewnego wieczoru pracował przy mechanizmie poruszającym huśtawki, kiedy nagle z zamyślenia wyrwał go dźwięk gniewnych głosów. Przepchnął się szybko przez tłum i przy budce, gdzie sprzedawano bilety na karuzelę, ujrzał dwie bijące się dziewczyny: białą i czarną. Rozdzielił je, ale nadal usiłowały dopaść do siebie. Tłum

podzielił się na dwa obozy, panował piekielny hałas. Biała dziewczyna była garbata. Trzymała coś w mocno zaciśniętej dłoni.

— Widziałam! — wrzeszczała Murzynka. — Rozwalę ci ten garb na plecach!

— Zamknij pysk, czarnucho!

— Podła dziwka fabryczna! Zapłaciłam i chcę sobie pojeździć. Proszę pana, niech pan każe jej oddać mój bilet!

— Czarna pinda!

Jake przenosił wzrok z jednej na drugą. Ludzie tłoczyli się coraz bardziej. Dwa obozy wyrażały swoje zdanie pomrukami.

— Ja żem widział, jak Lurie upuściła swój bilet, a ta biała pani podniosła go. Tak było — mówił murzyński chłopiec.

— Żadna czarnucha nie podniesie ręki na białą dziewczynę, póki...

— Przestań mnie popychać, bo ja cię popchnę, choć masz białą skórę.

Jake wepchnął się gwałtownie w tłum.

— Dość tego! Rozejść się! Rozejść się wszyscy, do diabła! — krzyknął.

W jego wielkich pięściach było coś takiego, że ludzie w ponurym milczeniu zaczęli się wycofywać. Jake zwrócił się do dwóch dziewczyn.

— To było tak — tłumaczyła Murzynka. — Ja chyba jedna tylko zaoszczędziłam pięćdziesiąt centów w ciągu tygodnia, prasując za dwie. Mało tu takich. Zapłaciłam uczciwie za ten bilet, który ona trzyma w ręku. Chcę pojeździć na karuzeli.

Jake zlikwidował szybko zatarg. Pozwolił garbusce zatrzymać sporny bilet i dał drugi Murzynce. Przez resztę wieczoru panował spokój, ale Jake uwijał się żwawo wśród zgromadzonych. Był nieswój i niespokojny.

Prócz niego w wesołym miasteczku było zatrudnionych jeszcze pięć osób: dwóch mężczyzn, którzy uruchamiali huśtawki i pełnili funkcje bileterów, i trzy dziewczyny obsługujące kioski. Nie licząc właściciela, Pattersona, który spędzał większość czasu w swojej przyczepie na kółkach, grając sam ze sobą w karty. Oczy miał ciemne o zwężonych źrenicach, a skóra na jego szyi zwisała w żółtych, mięsistych fałdach. W ciągu kilku ostatnich miesięcy Jake dostał dwie podwyżki. O północy musiał składać Pattersonowi raport i oddawać mu wpływy kasowe z wieczoru. Czasami Patterson, wpatrzony apatycznie w karty, spostrzegał go dopiero po paru minutach. Powietrze w przyczepie wypełniała ciężka woń jedzenia i papierosów z

marihuany. Patterson trzymał rękę na brzuchu, jakby chciał go przed czymś osłonić. Sprawdzał zawsze bardzo dokładnie rachunki.

Jake posprzeczał się z dwoma innymi pracownikami. Poprzednio pracowali w fabryce jako tkacze. Z początku próbował z nimi rozmawiać i pomagać im w dojściu do prawdy. Zaprosił ich kiedyś do knajpy. Ale byli tacy głupi, że nie mógł im pomóc. Wkrótce potem podsłuchał ich rozmowę, z czego wynikły pewne kłopoty. Sprawdzał rachunki z Pattersonem do drugiej nad ranem w niedzielę. Kiedy wyszedł od niego, plac wydawał się pusty. Księżyc świecił jasno. Myślał o Singerze i o czekającym go wolnym dniu. Mijając huśtawki, usłyszał, że ktoś wymienił jego nazwisko. Dwaj pracownicy siedzieli tam i palili po skończonej robocie. Jake słuchał.

— Nienawidzę bolszewików jeszcze bardziej niż czarnuchów.

— On mnie śmieszy. Nie zwracam na niego uwagi. Jak on godnie chodzi! Nie widziałem jeszcze takiego sztywnego mikrusa. Ile on ma wzrostu, jak myślisz?

— Chyba około pięciu stóp. Ale myśli, że może każdym komenderować. Powinien siedzieć w mamrze. Tam jego miejsce. Bolszewik!

— Mnie on tylko śmieszy. Nie mogę patrzeć na niego, żeby się nie śmiać.

— Przede mną nie ma co udawać ważniaka.

Jake patrzył, jak szli ścieżką w kierunku Weavers Lane. W pierwszej chwili chciał biec za nimi i stawić im czoło. Ale coś go powstrzymało. Przez parę dni przeżuwał złość w milczeniu. Potem którejś nocy po skończonej robocie szedł za nimi ulicą wzdłuż kilku przecznic, a gdy skręcali na rogu, zastąpił im drogę.

— Słyszałem waszą rozmowę — powiedział zdyszany. — Słyszałem przypadkiem każde słowo z tego, co mówiliście w sobotę wieczorem. Oczywiście, że jestem bolszewik. Przynajmniej się za takiego uważam. A wy czym jesteście? — Stali pod latarnią. Tamci dwaj cofnęli się. W pobliżu nie było nikogo. — Wymokłe, koślawe, patroszone szczury! Mógłbym wyciągnąć rękę, złapać was za te żyłaste szyje i udusić obu równocześnie. Mikrus czy nie mikrus zrobiłbym z was taką miazgę, że szuflami trzeba by było zbierać.

Mężczyźni spojrzeli na siebie przestraszeni i próbowali się oddalić. Ale Jake nie pozwolił im na to. Szedł za nimi z miną wściekłą i szyderczą.

— Mam wam do powiedzenia tylko tyle: Na przyszłość proponuję, byście przychodzili do mnie, ilekroć przyjdzie wam ochota robić uwagi na temat mojego

wzrostu, wagi, sposobu mówienia, zachowania czy poglądów. A co do tych ostatnich, to nie chce mi się teraz strzepić języka. Porozmawiamy o tym potem.

Jake traktował odtąd tych dwóch mężczyzn z gniewną pogardą, oni zaś szydzili z niego, gdy tego nie widział. Raz po południu odkrył, że maszyna wprawiająca w ruch huśtawki została rozmyślnie uszkodzona i musiał naprawiać ją przez trzy godziny po pracy. Czuł stale, że ktoś się z niego wyśmiewa. Ilekroć słyszał, że dziewczyny rozmawiają ze sobą, prostował się sztywno i wybuchał głośnym, beztroskim śmiechem, jakby przypomniał mu się jakiś dobry żart.

Gorące południowo-zachodnie wiatry znad Zatoki Meksykańskiej niosły ze sobą wiosenne wonie. Dni stały się dłuższe, słońce świeciło jasno. Leniwe ciepło tylko go przygnębiało. Zaczął znowu pić. Po skończonej pracy szedł zaraz do domu i kładł się do łóżka. Czasami leżał tak w ubraniu, bezwładny, przez dwanaście, trzynaście godzin. Udręka, pod której wpływem jeszcze parę miesięcy temu szlochał i gryzł paznokcie, minęła. Jednak mimo pozornego spokoju Jake czuł dawne napięcie. Ze wszystkich miejscowości, jakie znał, w tym mieście czuł się najbardziej samotny. Lub czułby się tak bez Singera. Tylko oni dwaj rozumieli, gdzie jest prawda. On znał ją, ale nie mógł sprawić, by poznali ją ci, co jej nie znali. To było jak walka z ciemnością, upałem albo smrodem w powietrzu. Patrzył ponurym wzrokiem przez okno. Karłowate, okopcone drzewo na rogu wypuściło nowe zielonożółte liście. Niebo miało ciągle intensywnie błękitną barwę. Komary znad cuchnącej rzeczki, która przepływała przez tę część miasta, brzęczały w pokoju.

Zaraził się gdzieś świerzbem. Zmieszał trochę siarki ze smalcem i co rano nacierał całe ciało. Drapał się do krwi, wydawało się, że świerzb nigdy nie przestanie mu dokuczać. Pewnej nocy załamał się. Siedział sam przez wiele godzin. Mieszał dżin i whisky, więc był porządnie pijany. Był już prawie ranek. Wychylił się z okna i popatrzył w ciemną, cichą ulicę. Myślał o tych wszystkich ludziach naokoło, którzy śpią i nie znają prawdy. Nagle wrzasnął głośno:

— To jest prawda! Wy, sukinsyny, nie wiecie nic! Nic! Nic!

Ulica obudziła się z gniewem. Zapaliły się lampy, zaspane głosy obrzuciły go przekleństwami. Mieszkający w tym samym domu ludzie zaczęli się z wściekłością dobijać do drzwi. Dziewczyny z burdelu po drugiej stronie ulicy wychyliły głowy z okien.

— Durne, durne, durne, durne sukinsyny! Durne, durne, durne, durne...

— Zamknij się!

Zgromadzeni w sieni napierali na drzwi.

— Ty pijany byku! Zaraz się z tobą rozprawimy!

— Ilu was tam jest? — ryczał Jake, waląc pustą butelką w parapet. — Chodźcie tu wszyscy! Chodźcie! Załatwię się z wami po trzech naraz!

— Masz rację, kochasiu! — wrzasnęła jedna z dziwek.

Drzwi zaczęły ustępować. Jake wyskoczył przez okno i pognął w boczną uliczkę.

— Hi-ha! Hi-ha! — wrzeszczał po pijacku.

Był bez koszuli i boso. Godzinę później wpadł, potykając się, do pokoju Singera. Wyciągnął się na podłodze i śmiał się, aż usnął.

Pewnego kwietniowego ranka znalazł zamordowanego młodego Murzyna. Trup leżał w rowie, jakieś trzydzieści jardów od terenu, na którym rozciągało się wesołe miasteczko. Murzyn miał poderżnięte gardło i głowę odrzuconą do tyłu pod jakimś niesamowitym kątem. Słońce świeciło prosto w jego otwarte szklane oczy, muchy unosiły się nad plamą skrzepłej krwi na piersi. Zabity trzymał w ręku jedną z czerwono-żółtych trzcinek zakończonych kitką, które sprzedawano w kiosku w wesołym miasteczku. Jake przez chwilę wpatrywał się posepnie w trupa. Potem wezwał policję. Nie trafiła na żaden ślad. Dwa dni później zgłosiła się rodzina zamordowanego, żądając wydania jego ciała z kostnicy.

W wesołym miasteczku zdarzały się często sprzeczki i bójki. Czasami przychodziło dwóch przyjaciół, trzymając się pod rękę; śmiali się i pili, a nim wyszli, potrafili pobić się w napadzie wścieklej furii. Jake był w ciągłym pogotowiu. Pod powierzchnią hałaśliwej radości, jasnych świateł i beztroskiego śmiechu wyczuwał jakieś ponure niebezpieczeństwo.

W ciągu tych oszalamiających, niespokojnych tygodni Simms deptał mu bez przerwy po piętach. Lubiał przychodzić ze skrzynką po mydle i Biblią, stawać pośród tłumu i wygłaszać kazanie. Mówił o drugim przyjściu Chrystusa. Zapowiadał, że dzień drugiego października 1951 roku będzie Dniem Sądu. Wskazywał niektórych pijaków i krzyczał na nich chrypliwym zdartym głosem. Z podniecenia miał usta pełne śliny; wydobywał się z nich niewyraźny bełkot. Kiedy zjawił się i ustawił swoją skrzynkę, żadne argumenty nie mogły go już wykurzyć. Ofiarował Jake'owi Biblię, kazał mu modlić się i klęczeć przez godzinę co wieczór, a także odrzucać każdą szklanekę piwa i każdy papieros, którym by go częstowano.

Dyskutowali na murach i płotach. Jake zaczął także nosić w kieszeniach kawałki kredy. Wypisywał krótkie zdania. Starał się formułować je tak, by przechodzień musiał się zatrzymać i zastanowić nad ich znaczeniem. Żeby chwilę pomyślał. Pisał także krótkie ulotki i rozdawał je ludziom na ulicy.

Jake wiedział, że gdyby nie Singer, wyjechałby z miasta. Tylko w niedzielę, kiedy był z przyjacielem, czuł się spokojny. Niekiedy szli razem na spacer albo grali w szachy, lecz częściej spędzali dzień spokojnie w pokoju Singera. Jeśli Jake chciał mówić, Singer zawsze okazywał zainteresowanie. Jeśli siedział cały dzień ponury, głuchoniemy rozumiał jego nastrój i nie dziwił się temu. Jake'owi wydawało się, że tylko Singer umiał mu teraz pomóc.

Pewnej niedzieli zastał drzwi od pokoju głuchoniemego otwarte, lecz w środku nie było nikogo. Dopiero po dwóch godzinach, które przesiedział tam w samotności, usłyszał kroki Singera na schodach.

— Już się niepokoiłem, co się z tobą dzieje. Gdzie byłeś?

Singer uśmiechnął się i wytarłszy kapelusz chustką, odłożył go. Potem wyjął spokojnie z kieszeni srebrny ołówek i pochylił się nad gzymsem kominka, by napisać parę słów.

— Co to znaczy? — spytał Jake przeczytawszy to, co napisał głuchoniemy. — Kto ma obcięte nogi?

Singer wziął od niego kartkę i dopisał jeszcze parę zdań.

— O! To mnie wcale nie dziwi — powiedział Jake.

Dumał chwilę nad kartką, a potem zgniótł ją w rękę. Apatia, w której był pogrążony przez cały ubiegły miesiąc, minęła. Był znów niespokojny i pełen napięcia.

— O! — powtórzył.

Singer postawił na stole dzbanek z kawą i rozłożył szachy. Jake podarł na drobne kawałki zapisaną kartkę, a potem każdy skrawek po kolei zwijał w spoconych palcach.

— Ale chyba można by coś z tym zrobić — powiedział po chwili. — Wiesz?

Singer skinął niepewnie głową.

— Chcę zobaczyć tego chłopca i usłyszeć całą historię. Kiedy mógłbyś mnie tam zaprowadzić?

Singer namyślał się chwilę. Potem napisał na skrawku papieru: „Dziś wieczorem”.

Jake przytknął rękę do ust i zaczął chodzić niespokojnie po pokoju.

— Można coś zrobić.

13.

Jake i Singer stali na ganku. Nacisnęli dzwonek, ale w ciemnym domu panowała cisza. Jake zapukał niecierpliwie i przycisnął nos do siatkowych drzwi. Obok niego stał Singer, sztywny i uśmiechnięty, z czerwonymi plamami na policzkach, wypili bowiem razem butelkę dzinu. Wieczór był mroczny i cichy. Jake obserwował przesuające się przez hol żółte światło. Po chwili Portia otworzyła im drzwi.

— Panowie nie czekali długo, mam nadzieję. Tak dużo tu ludzi przychodzi, że wyłączyliśmy dzwonek. Panowie pozwolą, wezmę kapelusze... Ojciec jest bardzo chory.

Jake przeszedł ciężko na palcach za Singerem przez pusty, wąski korytarz. Na progu kuchni zatrzymał się jak wryty. Było tu gorąco i tłoczno. W małym drzewnym piecyku palił się ogień, okna były szczelnie zamknięte, a dym mieszał się ze specyficznym murzyńskim zapachem. Blask padający z pieca stanowił jedyne oświetlenie kuchni. Stłumione głosy, które słyszał z holu, umilkły.

— To są dwaj biali panowie, którzy przyszli dowiedzieć się o zdrowie ojca — powiedziała Portia. — Myślę, że będzie mógł się z panami zobaczyć, ale pójdę najpierw i uprzedzę go o tym.

Jake dotknął palcem swojej grubej dolnej wargi. Na czubku nosa miał odcisnięty kratkowany wzór siatkowych drzwi.

— Nie o to chodzi — powiedział. — Przyszedłem porozmawiać z twoim bratem.

Zebrani w kuchni Murzyni stali. Singer dał im znak, by usiedli. Na ławce przy piecu siedzieli dwaj siwi starzy mężczyźni. Mulat, którego ręce i nogi zdawały się być luźno doczepione do tułowia, stał oparty o okno, a na połowym łóżku w rogu siedział chłopiec bez nóg w podwiniętych spodniach, spiętych poniżej kikutów.

— Dobry wieczór — powiedział z zakłopotaniem Jake. — Nazywasz się Copeland, prawda?

Chłopak położył ręce na kikutach nóg i skulił się, przywierając do ściany.

— Nazywam się Willie.

— Nie bój się, kochany — odezwała się szybko Portia. — To jest pan Singer, o którym opowiadał ojciec. A ten drugi biały pan to pan Blount, przyjaciel pana Singera. Są tacy dobrzy, że przyszli nas odwiedzić. — Następnie, wskazując trzech pozostałych mężczyzn, zwróciła się do Jake'a: — Tamten chłopiec oparty o okno to także mój brat, Buddy. A ci dwaj przy piecu to najlepsi przyjaciele ojca. Pan Marshall Nicolls i pan John Roberts. Myślę, że to dobrze wiedzieć, z kim się jest?

— Dziękuję — powiedział Jake i znowu zwrócił się do Williego: — Chcę, żebyś mi opowiedział o tym, ale tak, żebym wszystko rozumiał.

— No, co mogę panu powiedzieć? — zaczął Willie. — Czuję jeszcze ból w nogach. Okropny ból w palcach. Bola mnie stopy tam, gdzie by mnie bolały, gdybym je miał. A nie tam, gdzie one teraz są. Trudno to zrozumieć. Stopy mnie tak okropnie cały czas bolą, a ja nie wiem, gdzie one są. Nigdy mi ich nie oddali. Są gdzieś daleko, więcej niż sto mil stąd.

— Chodzi mi o to, jak to się wszystko stało — nalegał Jake.

Willie spojrzał z niepokojem na siostrę.

— Nie pamiętam... dobrze.

— Na pewno pamiętasz, kochany. Opowiadałeś nam to tyle razy.

— No... — Głos chłopca był nieśmiały i smutny. — Byliśmy wszyscy na drodze i Buster odpowiedział coś strażnikowi. A biały podniósł na niego kij. Potem ten drugi chłopak próbował uciec. A ja za nim. Wszystko to stało się tak szybko, że już dobrze nie pamiętam. Zabrali nas z powrotem do obozu i...

— Wiem, co było potem — powiedział Jake. — Podaj mi nazwiska i adresy tamtych dwóch chłopców. I nazwiska strażników.

— Zdaje się, że pan chce mnie wpakować w jakąś biedę?

— Biedę! — powtórzył szorstko Jake. — A po cóż, u licha, przyszliśmy tutaj, jak myślisz?

— Nie trzeba się denerwować — powiedziała z niepokojem Portia. — To jest tak, proszę pana. Wypuścili Williego z obozu przed czasem. Ale dali mu do zrozumienia, żeby nie... chyba pan rozumie? Willie oczywiście się boi. Musimy być ostrożni... tak na pewno będzie najlepiej. Mieliliśmy i bez tego dość biedy.

— Co się stało ze strażnikami?

— Tych białych wyrzucono z pracy. Tak słyszałem.

— A gdzie są teraz twoi przyjaciele?

— Jacy przyjaciele?

— Tamci dwaj chłopcy.

— To nie są moi przyjaciele. Bardzośmy się pokłócili.

— Jak to?

Portia szarpnęła kolczyki, tak że jej uszy rozciągnęły się jak guma.

— Willie chce powiedzieć, że w ciągu tych trzech dni, kiedy tak strasznie cierpieł, zaczęli się kłócić. On nie chce więcej widzieć żadnego z nich. O to właśnie spierał się z ojcem. Ten Buster...

— Buster ma drewnianą nogę — odezwał się chłopiec stojący pod oknem. — Widziałem go dziś na ulicy.

— Buster wcale nie ma rodziny i ojciec wpadł na myśl, żeby zamieszkał u nas. Ojciec chce zgromadzić razem tych wszystkich chłopców. Nie wiem doprawdy, co on myśli! Jak mamy ich wyżywić?

— To nie jest dobry pomysł. A poza tym myśmy się nigdy nie przyjaźnili. — Willie pomacał ciemnymi, silnymi rękami swoje kikuty. — Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie są moje stopy. To mnie najwięcej gryzie. Doktor nigdy mi ich nie oddał. Naprawdę chciałbym wiedzieć, gdzie one są.

Jake rozglądał się wokół nieprzytomnym wzrokiem, zasnutym mgłą pod wpływem dżinu. Wszystko wydawało się dziwne i niejasne. Upał panujący w kuchni przyprawiał go o zawrót głowy; głosy rozbrzmiewały echem w uszach. Dym dusił go. Paliła się zwisająca z sufitu lampa, ale ponieważ żarówka osłonięta była gazetą, kuchnię oświetlał właściwie blask przedostający się przez szpary rozpalonego pieca. Czerwony odblask padał na wszystkie twarze. Jake poczuł się nieswój i samotny. Singer wyszedł, by odwiedzić ojca Portii. Jake pragnął, żeby już wrócił i żeby mogli wyjść. Zrobił kilka niezdarnych kroków i usiadł na ławce między Marshalllem Nicollsem a Johnem Robertsem.

— Gdzie jest ojciec Portii? — zapytał.

— Doktor Copeland jest w pokoju od frontu — odpowiedział Roberts.

— To jest doktor?

— Tak, proszę pana. Doktor medycyny.

Na schodach rozległo się człapanie, po czym otworzyły się drzwi od podwórza i ciepły, świeży powiew rozrzedził ciężkie powietrze. Najpierw wszedł wysoki chłopak w

płóciennym ubraniu i tandetnie eleganckich butach, z torbą w rękę, a za nim drugi, może siedemnastoletni.

— Cześć, Highboy! Cześć, Lancy! — powitał ich Willie. — Coście przynieśli?

Highboy uklonił się z wyszukaną grzecznością Jake'owi i postawił na stole dwa słoje po konfiturach pełne wina. Lancy umieścił obok talerz przykryty czystą białą serwetką.

— To wino to prezent od Stowarzyszenia. A matka Lancy'ego przysłała ciastka z brzoskwiniami.

— Jak się czuje doktor, Portia? — spytał Lancy.

— Ostatnio czuł się bardzo źle. A najwięcej martwi się o to, że jest taki silny. To zły znak, kiedy chory nabiera nagle sił. — Portia zwróciła się do Jake'a: — Czy pan nie myśli, że to zły znak?

Jake popatrzył na nią oszołomiony.

— Nie wiem.

Lancy obrzucił go chmurnym spojrzeniem i obciągnął mankiety za małej koszuli.

— Proszę przekazać doktorowi pozdrowienia od naszej rodziny.

— Bardzo to sobie cenimy — mówiła Portia. — Ojciec niedawno mówił o tobie. Ma jakąś książkę, którą chce ci dać. Zaczekaj chwilę, wyłożę to i umyję talerz, żebyś go oddał matce. Naprawdę, ładnie z jej strony, że pamiętała.

Marshall Nicolls pochylił się w stronę Jake'a, jakby chciał mu coś powiedzieć. Miał na sobie spodnie w prążki i żakiet z kwiatkiem w butonierce. Odchrząknął i rzekł:

— Przepraszam pana... Ale niechcący usłyszeliśmy rozmowę pana z Williamem o nieszczęściu, które go dotknęło i rzecz jasna, rozważaliśmy, jak należy teraz postąpić.

— Jesteś jakimś jego krewnym czy kaznodzieją z jego kościoła?

— Nie, jestem aptekarzem. A John Roberts, który siedzi na lewo od pana, pracuje jako urzędnik w państwowym urzędzie pocztowym.

— Jako listonosz — dorzucił John Roberts.

— Za pozwoleniem... — Marshall Nicolls wyjął z kieszeni żółtą jedwabną chustkę i ostrożnie wytarł nos. — Oczywiście dyskutowaliśmy o tej sprawie szeroko. I bez wątplenia jako ludzie należący do rasy kolorowej w tym wolnym amerykańskim

kraju gorąco pragniemy przyczynić się choć w części do rozszerzenia przyjaznych stosunków.

— Chcemy zawsze postępować słusznie — dodał John Roberts.

— Należy dążyć do tego oględnie i nie naruszać przyjaznych stosunków. Z czasem wszystko ułoży się jeszcze lepiej.

Jake przenosił wzrok z jednego na drugiego.

— Nie bardzo rozumiem.

Dusił się z gorąca. Chciał już wyjść. Oczy przesłoniła mu jakaś mgła, wszystkie otaczające go twarze były zamazane.

W drugim końcu kuchni Willie grał na harmonijce, a Buddy i Highboy słuchali. Była to smutna i żalosna melodia. Kiedy Willie skończył, wytarł harmonijkę o koszulę.

— Jestem taki głodny i tak mi się chce pić, że ślina cieknie mi z ust i psuje melodię. Z przyjemnością spróbuję tego wina. Tylko wtedy zapominam o moim nieszczęściu, kiedy mam coś dobrego do picia. Żebym wiedział teraz, gdzie są moje nogi, i mógł co wieczór wypić szklankę dzinu, nie martwiłbym się tak bardzo.

— Nie dręcz się, kochany. Zaraz coś dostaniesz — powiedziała Portia. — A pan miałby ochotę na ciastko i szklaneczkę wina?

— Dziękuję — odrzekł Jake. — Chętnie.

Portia rozłożyła szybko na stole obrus, postawiła talerz i położyła widelec. Potem naląa dużą szklankę wina.

— Niech pan tu wygodnie usiądzie. A ja, jeśli można, obsłużę teraz innych panów.

Słoiki wędrowały z rąk do rąk. Zanim Highboy podał słój Williemu, wziął od Portii szminkę i zakreślił czerwoną linię, do której można pić. Rozlegało się na przemian gulgotanie i śmiech. Jake zjadł ciastko, po czym wziął szklankę i wrócił na swoje miejsce między dwóch starszych mężczyzn. Wino domowej roboty było pachnące i mocne jak wódka. Willie zaczął znów grać jakąś żalosną, smętną melodię, a Portia strzeliła palcami i zaszurała nogami po podłodze. Jake zwrócił się do Marshalla Nicollsa.

— Mówiłeś, że ojciec Portii jest lekarzem?

— Tak, proszę pana. I to zdolnym lekarzem.

— Co mu jest?

Dwaj Murzyni popatrzyli ostrożnie na siebie.

— Miał wypadek — powiedział John Roberts.

— Jaki wypadek?

— Ciężki. Przykry wypadek.

Marshall Nicolls składał i rozkładał swoją jedwabną chustkę.

— Jak stwierdził przed chwilą ważną rzeczą jest nie osłabiać tych przyjaznych stosunków, ale popierać je na wszystkie możliwe rozsądne sposoby. My, przedstawiciele czarnej rasy, musimy walczyć, jak potrafimy, by podnieść na duchu naszych rodaków i pomagać im. Ten doktor walczył na wszelkie możliwe sposoby. Ale niekiedy wydawało mi się, że nie dostrzegał w pełni pewnych elementów wiążących się z odmiennością ras i sytuacji.

Jake dopił ze zniecierpliwieniem parę ostatnich łyków wina.

— Rany boskie, człowieku, mów jasno, bo nic z tego nie mogę zrozumieć.

Marshall Nicolls i John Roberts wymienili urażone spojrzenia. Po drugiej stronie kuchni Willie ciągle jeszcze grał. Jego grube wargi przesuwaly się po kwadratowych otworach harmonijki jak tłuste pękate gąsienice. Ramiona miał szerokie i muskularne. Kikuty nóg drgały mu w rytm melodii. Highboy tańczył, a Buddy i Portia klaskali do taktu.

Jake wstał i wtedy dopiero uświadomił sobie, że jest pijany. Zachwiał się, a potem rozejrzał mściwie po pokoju, nikt jednak zdawał się tego nie dostrzegać.

— Gdzie jest Singer? — spytał Portię stłumionym głosem.

Melodia ucichła.

— Jak to, proszę pana! Myślałam, że pan wie, że on już poszedł. Kiedy pan siedział przy stole i jadł ciastko, podszedł do drzwi i wyciągnął zegarek, by pokazać, że już czas iść do domu. Patrzył pan w tym momencie na niego i potrząsnął głową. Myślałam, że pan wie.

— Może myślałem akurat o czym innym. — Zwrócił się do Williego i powiedział gniewnie: — Nawet nie zdołałem ci powiedzieć, po co tu przyszedłem. Nie prosić, żebyś zrobił coś. Chciałbym jedynie, byś razem z tamtymi chłopcami stwierdził, co się stało, a ja wyjaśniłbym, dlaczego tak się stało. Dlaczego — to jest tylko ważne, nie co. Woziłbym was na wózku i opowiadalibyście swoją historię, a ja tłumaczyłbym, dlaczego się to wydarzyło. I to może miałoby jakieś znaczenie. Może...

Czuł, że się z niego śmieją. Z zakłopotania zapomniał, co chciał powiedzieć. Kuchnia pełna była ciemnych obcych twarzy, a powietrze tak gęste, że z trudem

oddychał. Zobaczył jakieś drzwi i zataczając się ruszył w tę stronę. Znalazł się w ciemnym pokoju pachnącym lekarstwami. Nacisnął ręką następną klamkę.

Stał na progu niewielkiego pokoju o białych ścianach, którego jedyne umeblowanie stanowiły: żelazne łóżko, szafka i dwa krzesła. Na łóżku leżał ten straszny Murzyn, którego spotkał na schodach domu Singera. Twarz jego wydawała się bardzo czarna na tle białych twardych poduszek. Ciemne oczy płonęły nienawiścią, ale ciężkie, sine wargi były spokojne. Nieruchoma twarz wyglądała jak maska, tylko nozdrza drgały i rozszerzały się przy każdym oddechu.

— Proszę wyjść! — powiedział Murzyn.

— Zaraz... — zaczął bezradnie Jake. — Dlaczego pan tak mówi?

— To jest mój dom.

Jake nie mógł oderwać oczu od strasznej twarzy Murzyna.

— Ale dlaczego...?

— Jest pan biały i obcy tutaj.

Jake nie wyszedł z pokoju. Z niezgrabną ostrożnością podszedł do jednego z białych krzeseł i usiadł na nim. Murzyn poruszał rękami na kołdrze, jego czarne oczy błyszczały od gorączki. Jake przyglądał mu się. Czekali. W pokoju panowało napięcie jak w czasie jakichś knowań albo śmiertelnej ciszy przed eksplozją.

Dawno minęła północ. Błękitnawe smugi dymu snuły się po pokoju, poruszone ciepłym tchnieniem wiosennego ranka. Na podłodze walały się kulki zgniecionego papieru i niedopita butelka dzinu. Na kołdrze rozsypany był szary popiół. Doktor Copeland wcisnął mocno głowę w poduszkę. Zdjął szlafrok i zawinął po łokcie rękawy bawełnianej nocnej koszuli. Jake siedział pochylony na krześle. Krawat miał rozwiązany, a kołnierzyk koszuli wymięty i przepocony. Od kilku godzin wiedli długą, wyczerpującą rozmowę. W tej chwili panowało milczenie.

— A więc czas już, by... — zaczął Jake.

Ale doktor przerwał:

— Może trzeba teraz, byśmy... — wyszeptał ochryple i umilkł. Patrzyli sobie w oczy i czekali.

— Przepraszam — powiedział doktor.

— To ja przepraszam — rzekł Jake. — Niech pan mówi dalej.

— Nie, niech pan mówi.

— Ale już nie o tym, o czym zacząłem mówić. Zamiast tego powiemy sobie ostatnie słowo o Południu. O zdławionym, gnębionym, niewolniczym Południu.

— I o ludzie murzyńskim.

Żeby się uspokoić, Jake wypił długi, palący łyk z butelki stojącej obok na podłodze. Potem podszedł spokojnie do szafki i wziął do ręki tani globusik, który służył za przycisk do papierów. Obrócił go wolno w palcach.

— Ja mogę powiedzieć tylko to: Świat pełen jest podłości i zła. Ech! Trzy czwarte tego globu ogarnięte jest wojną lub żyje w ucisku. Kłamcy i okrutnicy zjednoczyli się, a ci, co znają prawdę, są opuszczeni i bezbronni. Ech! Gdybym miał wskazać najmniej cywilizowany obszar na powierzchni Ziemi wskazałbym to miejsce.

— Niech pan uważa — przerwał doktor. — Pokazuje pan ocean.

Jake przekreślił globus i przycisnął gruby, brudny palec do starannie wybranego miejsca.

— Tu. Te trzynaście stanów. Wiem, co mówię. Czytam książki i chodzę po kraju. Byłem już i pracowałem w każdym z tych przeklętych trzynastu stanów. I tak sobie myślę: Żyjemy w najbogatszym kraju na świecie. Jest tu wszystkiego dość i aż nadto, niczego nie powinno brakować żadnemu mężczyźnie, kobiecie czy dziecku. A w dodatku nasz kraj budowany był na pięknych, słusznych zasadach wolności, równości i poszanowania praw człowieka. A co mamy z tego? Ech! W tych trzynastu stanach wyzysk człowieka jest taki, że... że to trzeba samemu zobaczyć, by uwierzyć. Istnieją spółki zarabiające miliardy dolarów i setki tysięcy ludzi, którzy nie mają co jeść. Widziałem rzeczy, od których widoku można oszaleć. Przynajmniej jedna trzecia południowców żyje i umiera w warunkach wcale nie lepszych niż najubożsi chłopcy w europejskich faszystowskich państwach. Przeciętna płaca robotnika rolnego wynosi zaledwie siedemdziesiąt trzy dolary rocznie. I niech pan pamięta, że to jest przeciętna! Płace tych, co pracują na farmie, wahają się od trzydziestu pięciu do dziewięćdziesięciu dolarów rocznie. A trzydzieści pięć dolarów rocznie to około dziesięciu centów za cały dzień pracy. Szerzą się choroby skóry, robactwo i anemia. No i po prostu głód. Ech! — Jake otarł wargi brudnymi palcami. Na czoło wystąpił mu pot. — Ech! — powtórzył. — To są te złe rzeczy, które można dotknąć i zobaczyć. A są jeszcze gorsze. Chodzi mi o to, że prawda została przed ludźmi ukryta. Mówi im się o pewnych sprawach w ten sposób, aby nie mogli jej dojrzeć. Trucicielskie kłamstwa. Nie pozwala im się zgłębić prawdy.

— A Murzyni? — wtrącił doktor. — Aby zrozumieć, co się dzieje z nami, musi pan...

— Do kogo należy Południe? — przerwał mu gwałtownie Jake. — Trzy czwarte tego obszaru mają w swoich rękach spółki z Północy. Powiadają, że stara krowa pasie się wszędzie — na południu, na zachodzie, na północy i na wschodzie. Ale doi się ją tylko w jednym miejscu. Tylko w jednym miejscu zwisają jej stare wymiona, kiedy są pełne. Pasie się wszędzie, ale jest dojona w Nowym Jorku. Weźmy nasze fabryki bawełny, papieru, materacy, uprząży. Ich właścicielem jest Północ. — I co się dzieje? — Wąsy Jake'a drgały gniewnie. — Oto przykład. Miejsce akcji: fabryczne miasteczko żyjące na zasadach systemu paternalistycznego, stosowanego szeroko przez przemysł amerykański. Właściciel nieobecny. W miasteczku jest jedna olbrzymia fabryka cegły i czterysta lub pięćset bud mieszkalnych. Zostały zbudowane po to, by powstała tu dzielnica ruder dla biedaków. Te budy nie nadają się na mieszkania dla ludzi. Składają się z dwóch, trzech izb i ubikacji — i poświęcono im z pewnością mniej troski niż pomieszczeniom dla bydła. Przy ich stawianiu na pewno mniej myślano o potrzebach mieszkańców niż przy stawianiu chlewów dla świń. Bo w tym systemie świni są cenne, a ludzie nie. Nie można mieć wieprzowych kotletów ani kielbasy z chudych, mizernych dzieci robotników fabrycznych. Człowieka nie można dzisiaj sprzedawać całego jak świni...

— Dość! — przerwał doktor. — Odbiega pan od tematu, a mnie nie da pan dojść do słowa. Poza tym nie bierze pan pod uwagę zupełnie odrębnego zagadnienia murzyńskiego. Mówiliśmy już o tym przedtem, ale nie można ocenić całej sytuacji, nie uwzględniając nas, Murzynów.

— Wróćmy jeszcze do naszego fabrycznego miasteczka. Młody robotnik, który zaczyna pracować — jeśli uda mu się dostać pracę — otrzymuje dobrą zapłatę: osiem do dziesięciu dolarów tygodniowo. Potem żeni się. Po urodzeniu pierwszego dziecka kobieta także musi iść do pracy w fabryce. Jeśli oboje mają pracę, ich łączne zarobki dochodzą do osiemnastu dolarów tygodniowo. Ech! Czwartą część tego płacą za nędzne mieszkanie, które zapewnia im fabryka. Kupują jedzenie i ubranie w sklepie będącym własnością tej samej fabryki albo podległym jej wpływom. Sklep zdziera za każdy drobiazg. Jeśli mają troje lub czworo dzieci, są tak spętani, jakby zakuto ich w łańcuchy. To podstawowa zasada pańszczyzny. A jednak tu w Ameryce nazywamy siebie ludźmi wolnymi. I, co zabawniejsze, wbito to tak mocno w głowy ludzi pracu-

jących na roli, robotników fabrycznych i innych, że naprawdę w to wierzą. Ale trzeba było diabelnie zręcznych kłamstw, aby zataić przed nimi prawdę.

— Jest tylko jedna droga wyjścia... — zaczął doktor.

— Dwie drogi. Tylko dwie drogi. Kiedyś ten kraj się rozwijał. Każdy wtedy uważał, że ma jakąś szansę. Ech! Ten okres przeminął na zawsze. Kilkadziesiąt spółek pochłonęło niemal wszystkich. A te koncerny przemysłowe wysały z ludzi krew i siły. Dawne dni ekspansji minęły. Cały system kapitalistycznej demokracji jest zgniły i skorumpowany. Pozostały tylko dwie drogi. Jedna to faszyzm. Druga — drastyczne i trwałe reformy.

— Ale są jeszcze Murzyni. Niech pan nie zapomina o Murzynach. Południe jest faszystowskie i zawsze takie było, jeśli chodzi o mnie i o moich rodaków.

— Tak.

— Hitlerowcy wyniszczyli Żydów ekonomicznie i biologicznie, odebrali im formalne podstawy do życia. Tutaj to samo zrobiono z Murzynami. A jeśli rabunek pieniędzy i dóbr nie odbywa się równie masowo i dramatycznie jak w Niemczech, to tylko dlatego, że Murzynom nigdy nie wolno było dojść do majątku.

— To jest system — powiedział Jake.

— Żyd i Murzyn — wyrzekł z goryczą doktor. — Historię mojego ludu porównać można z długą historią narodu żydowskiego. Tylko więcej w niej krwi i przemocy. To tak jak wśród pewnego gatunku mew. Jeśli złapie się jedną i przywiąże jej do nogi czerwoną wstążeczkę, reszta stada zadziobie ją na śmierć.

Doktor zdjął okulary i owiazał na nowo drucik wokoło pękniętego zawiasa. Następnie przetaił szkła nocną koszulą. Ręce drżały mu z podniecenia.

— Pan Singer to Żyd.

— Nie, myli się pan.

— Jestem pewny, że tak. Już samo nazwisko: Singer. Kiedy go zobaczyłem, poznałem to po jego oczach, po twarzy. Poza tym sam mi powiedział.

— To niemożliwe — upierał się Jake. — To najczystszy Anglosas, jakiego w życiu widziałem. Z irlandzką domieszką.

— Ależ...

— Jestem tego absolutnie pewny.

— Dobrze — zgodził się doktor. — Nie będziemy się o to spierać.

Na dworze oziębiło się i w pokoju też zrobiło się chłodno. Zaczynało świtać. Niebo o wczesnym poranku miało jedwabistą ciemnobłękitną barwę, a srebrny księżyc zrobił się biały. Panowała absolutna cisza. Jedynym wśród niej dźwiękiem był czysty, samotny śpiew jakiegoś ptaka. Choć przez okno wpadał lekki powiew, powietrze w pokoju było duszne i stęchłe. Panował tu nastrój napięcia i wyczekiwania. Doktor uniósł się na poduszce i pochylił do przodu. Oczy miał przekrwione, a ręce zaciśnięte na kołdrze. Koszula zsunęła mu się z kościstego ramienia. Nogi Jake'a, oparte na poprzeczce krzesła, poruszały się rytmicznie; duże ręce spoczywały na kolanach w pozycji dziecinnego wyczekiwania. Pod oczami miał głębokie czarne sińce, włosy potargane. Wpatrywali się w siebie wyczekująco. W miarę jak milczenie przedłużało się, napięcie rosło.

Na koniec doktor odchrząknął i powiedział:

— Jestem pewny, że nie przyszedł pan tutaj bezcelowo. I z pewnością nie dyskutowaliśmy całą noc nadaremnie. Omówiliśmy wszystko z wyjątkiem najważniejszej rzeczy — jaki jest sposób wyjścia. Co trzeba zrobić.

Dalej patrzyli na siebie, a na ich twarzach malowało się wyczekiwanie. Doktor siedział wyprostowany, wsparty o poduszki. Jake oparł brodę na rękę i pochylił się do przodu. A potem z wahaniem zaczęli mówić równocześnie.

— Przepraszam — powiedział Jake. — Niech pan mówi.

— Nie, pan. Pan zaczął pierwszy.

— Proszę!

— Ech! — powiedział doktor. — Niech pan mówi dalej.

Jake popatrzył na niego zamglonym, nieobecnym wzrokiem.

— Otóż ja to sobie wyobrażam w ten sposób. Trzeba, żeby ludzie dowiedzieli się prawdy, to jedyne rozwiązanie. Kiedy raz ją poznają, nie pozwolą się dłużej gnębić. Z chwilą gdy choć połowa z nich będzie znała prawdę, walka jest wygrana.

— Tak. Kiedy zrozumieją zasady, na jakich opiera się to społeczeństwo. Ale jak pan zamierza im to wyjaśnić?

— Niech pan posłucha. Myślę o listach łańcuskowych. Jedna osoba wysyła listy do dziesięciu osób, a każda z nich do następnych dziesięciu. Rozumie pan? — Zająknął się. — Nie piszę wprawdzie listów, ale robię coś w tym rodzaju. Chodzę po prostu i mówię. I jeśli w jakimś mieście zdołam wskazać prawdę dziesięciu takim, co jej nie znają, czuję, że działałem coś dobrego. Rozumie pan?

Doktor patrzył ze zdziwieniem na Jake'a. Potem zachnął się:

— Niech pan nie będzie dziecinny. Nie może pan chodzić i mówić. Listy łańcuszkowe! Coś podobnego! Ci, co znają prawdę, i co jej nie znają!

Wargi Jake'a drżały, zmarszczył się gniewnie.

— No, a co pan proponuje?

— Najpierw chcę powiedzieć, że nieraz miałem podobne jak pan uczucie, jeśli chodzi o tę sprawę. Ale przekonałem się, jak błędne było takie stanowisko. Przez pół wieku uważałem, że cierpliwość to największa mądrość.

— Nie mówiłem o cierpliwości.

— Wobec brutalności byłem rozważny. Wobec niesprawiedliwości zachowywałem spokój. Poświęcałem rzeczy bliższe dla ewentualnego przyszłego dobra. Wierzyłem raczej w siłę słowa niż w siłę pięści. Uczyłem, że zbroją przeciwko uciskowi powinna być cierpliwość i wiara w duszę ludzką. Teraz wiem, jak bardzo się myliłem. Byłem zdrajcą wobec samego siebie i wobec moich rodaków. To wszystko głupota. Nadszedł czas, by działać, i to działać szybko. Zwalczać chytrą chytrą, a siłę siłą.

— Ale jak? — spytał Jake. — Jak?

— Wychodząc na widownię i działając. Zwołując tłumy i skłaniając je do demonstracji.

— Ech! Tym ostatnim zdaniem ośmiesza się pan. „Skłaniając do demonstracji”. Na cóż to się zda, że skłoni ich pan do demonstracji przeciwko czemuś, czego nie znają? Próbuje pan napychać świnię, ale od zadka.

— Nie znoszę ordynarnych określeń — powiedział pruderyjnie doktor.

— Mało mnie to obchodzi!

Doktor podniósł rękę.

— Nie gorączkujmy się. Postarajmy się pogodzić nasze stanowiska.

— Zgoda. Nie chcę się z panem spierać.

Umilkli. Doktor przesuwiał wzrok z jednego rogu sufitu w drugi. Obliznął parokrotnie wargi, chcąc coś powiedzieć, lecz za każdym razem słowa zamierały mu na ustach. W końcu rzekł:

— Radzę panu tylko jedno: niech pan nie próbuje działać sam.

— Ale...

— Nie ma żadnych „ale” — odparł pouczającym tonem doktor. — Najbardziej zgubna rzecz dla człowieka to próbować działać samemu.

— Domyślam się, do czego pan zmierza.

Doktor podciągnął koszulę na kościstych ramionach i otulił nią szyję.

— Wierzy pan w słuszność walki moich rodaków o ludzkie prawa?

Doktor był wzburzony, a pytanie to zadał cichym i ochrypłym głosem; oczy Jake'a napełniły się nagle łzami. W nagłym przypływie uczucia schwycił czarną, chudą rękę leżącą na kołdrze i ścisnął ją mocno.

— Oczywiście — odpowiedział.

— I w to, że jest ona konieczna?

— Tak.

— Widzi pan niesprawiedliwość? Dotkliwą, bolesną nierówność?

Doktor odkaslnął i splunął w jedną z papierowych serwetek, które miał pod poduszką.

— Mam pewien program. Bardzo prosty, przemyślany plan. Chodzi o to, by skupić się na jednym celu. W sierpniu zamierzam poprowadzić ponad tysiąc Murzynów z tego okręgu do Waszyngtonu. Wszystkich w jednej zwartej grupie. Jeśli zajrzy pan do tej szafki, zobaczy pan tam stos listów, które napisałem w tym tygodniu i które chcę doręczyć osobiście adresatom. — Doktor przesunął nerwowo rękami po brzegach wąskiego łóżka. — Pamięta pan, co powiedziałem przed chwilą? Proszę pamiętać, że moja jedyna rada to nie działać samemu.

— Rozumiem.

— Ale gdy raz się pan do tego weźmie, trzeba to robić całą duszą. Całą duszą — teraz i zawsze. Trzeba poświęcić się całkowicie, nie oszczędzając siebie, nie licząc na osobiste korzyści, bez odpoczynku i nadziei na odpoczynek.

— W walce o prawa Murzynów Południa.

— Południa i tego okręgu. To musi być wszystko lub nic. Albo tak, albo nie.

Doktor opadł znów na poduszkę. Tylko jego oczy zdawały się żyć. Płonęły w twarzy jak czerwone węgle. Gorączka zabarwiła mu policzki jakąś upiorną czerwienią. Jake zmarszczył się i przycisnął palce do drżących, miękkich, szerokich ust. Krew napłynęła mu do twarzy. Na dworze wstał blady świt. Żarówka zawieszona u sufitu płonęła jaskrawym ostrym blaskiem.

Jake wstał i stanął wyprostowany u stóp łóżka. Powiedział stanowczym tonem:

— Nie, to nie jest słuszne rozwiązanie. Na pewno nie. Po pierwsze, nigdy nie wyjdziecie z miasta. Wstrzymają pochód, tłumacząc, że to groźba dla porządku publicznego, lub wysuną jakieś inne zmyślane powody. Aresztują was i nic z tego nie wyjdzie. A gdybyście nawet jakimś cudem dotarli do Waszyngtonu, i tak na nic się to nie zda. Cały ten pomysł to szaleństwo. W gardle doktora rozległ się ostry, zaflegmiony charkot. Głos jego był ochrypły.

— Taki pan prędko do szydzenia i potępiania! A co pan proponuje w zamian?

— Ja nie szydę — powiedział Jake. — Stwierdzam tylko, że plan pana jest szalony. Przyszedłem tu dziś z lepszym pomysłem. Chciałbym, żeby syn pana, Willie, i tamci dwaj chłopcy zgodzili się, bym ich woził na wózku. Oni opowiadaliby, co im się przytrafiło, a ja wyjaśniałbym, dlaczego tak się stało. Innymi słowy, wygłaszałbym pogadanki o dialektyce kapitalizmu i demaskowałbym wszystkie jego kłamstwa. Tak bym mówił, żeby każdy zrozumiał, dlaczego tym chłopcom obcięto nogi. I każdy, kto by ich zobaczył, poznałby prawdę.

— Bzdura! Kompletna bzdura! — powiedział doktor z wściekłością. — Zdaje mi się, że pan jest pomyłony. Nawet nie ma się z czego śmiać. Nigdy w życiu nie słyszałem podobnej bzdury!

Patrzyli na siebie rozczarowani i źli. Na ulicy rozległ się turkot wozu. Jake przelknął ślinę i oblizwał wargi.

— Ech! — powiedział w końcu. — To pan jest pomyłony. Pojmuje pan wszystko zupełnie na odwrót. Jedyne rozwiązanie problemu murzyńskiego w kapitalizmie to wykastrować piętnaście milionów czarnych w Stanach.

— Więc do takiej pan doszedł konkluzji po tych wszystkich swoich deklamacjach na temat sprawiedliwości?

— Nie powiedziałem, że należy tak zrobić. Mówię tylko, że nie widzi pan lasu, bo zasłaniają go drzewa. — Jake mówił wolno, z jakąś bolesną troską. — Trzeba zacząć od podstaw. Obalić stare tradycje i stworzyć nowe. Wykuć nowy model dla świata. Po raz pierwszy uczynić z człowieka istotę społeczną, żyjącą w uporządkowanym i kontrolowanym społeczeństwie, gdzie, aby żyć, nie trzeba być zmuszonym do nieuczciwości. Tradycję społeczną, w której...

Doktor przyklasnął ironicznie.

— Wspaniale — powiedział. — Ale zanim utka się materiał, trzeba zebrać z pola bawełnę. Pan ze swoimi pomyłonymi, nierealnymi teoriami może...

— Cicho! Kogo to obchodzi, czy pan z tysiącem swoich Murzynów powlecze się do tej śmierdzącej kloaki zwanej Waszyngtonem? Co to zmieni? Jakie znaczenie ma paru ludzi — parę tysięcy białych, czarnych, dobrych czy złych? Kiedy całe nasze społeczeństwo zbudowane jest na ohydny kłamstwie!

— Wszystko! — wyszeptał doktor, dysząc. — Wszystko! Wszystko!

— Nic!

— Dusza najpodlejszego z nas, śmiertelników, jest więcej warta w obliczu sprawiedliwości niż...

— E, diabła tam! Gówno!

— Błuznierco! — krzyknął doktor. — Ohydny błuznierco!

Jake potrząsnął żelaznymi prętami łóżka. Żyła na jego czole nabrzmiała tak, jakby miała pęknąć za chwilę, a twarz była purpurowa z wściekłości.

— Krótkowzroczny fanatyk!

— Biały... — Głos zawiódł doktora. Starał się coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jego gardła. Wreszcie wycharczał zduszonym szeptem: — ...szatan!

Przez okno zajrzał jasny, złocisty ranek. Głowa doktora opadła na poduszkę, szyja wygięła się pod dziwacznym kątem, na ustach pokazała się krwawa piana. Jake spojrział na niego po raz ostatni i z gwałtownym szlochem wypadł z pokoju.

14.

Nie mogła przebywać teraz w świecie marzeń. Musiała być stale z kimś i stale mieć jakieś zajęcie. A jeśli znalazła się sama, ciągle liczyła lub coś obliczała. Policzyła wszystkie róże na tapecie w saloniku. Obliczyła powierzchnię kwadratową całego domu. Liczyła każde źdźbło trawy na podwórzu za domem i każdy liść na krzaku. Bo gdy nie zajmowała myśli liczbami, ogarniał ją ten okropny strach. Wracała w majowe popołudnia ze szkoły do domu i nagle musiała o czymś prędko pomyśleć — o czymś przyjemnym, bardzo przyjemnym. O jakiejś frazie muzyki jazzowej. O salaterce galaretki, która będzie czekała w lodówce, kiedy wróci do domu. Albo planowała, że wypali papierosa za komórką z węglem. Albo próbowała myśleć o tych czasach w dalekiej przyszłości, kiedy pojedzie na północ, a może nawet do jakiegoś obcego kraju.

Ale te przyjemne rzeczy nie trwały długo. Galaretką była w pięć minut zjedzona, a papieros wypalony. I co dalej? Liczby mieszały się jej w głowie. Śnieg i obce kraje oddalały się gdzieś daleko. A co pozostawało?

Tylko pan Singer. Pragnęła chodzić za nim wszędzie. Rano patrzyła, jak schodził z ganku, idąc do pracy, a potem odprowadzała go, trzymając się w dość dużej odległości za nim. Co dzień po południu, gdy tylko skończyła się szkoła, kręciła się na rogu ulicy w pobliżu sklepu, gdzie pracował. O czwartej wychodził, by wypić coca-cole. Patrzyła, jak przechodził przez jezdnię i znikał w sklepie po drugiej stronie ulicy, a potem stamtąd wychodził. Snuła się za nim, gdy wracał do domu, a czasami i wtedy, kiedy szedł na spacer. Trzymała się zawsze daleko w tyle, tak że wcale o tym nie wiedział.

Chodziła też na górę do jego pokoju. Przedtem szorowała twarz i ręce i skrapiała sukienkę olejkiem waniliowym. Odwiedzała go tylko dwa razy w tygodniu, bo nie chciała go nudzić swoją osobą. Prawie zawsze zastawała go pochłoniętego dziwną fascynującą grą w szachy. A potem siedzieli razem.

— Proszę pana, czy mieszkał pan kiedy tam, gdzie zimą pada śnieg?

Przechylał się do tyłu na krześle, opierając się o ścianę i kiwał głową.

— W jakimś innym kraju niż ten? W obcym kraju?

Znów przytaknął głową i pisał srebrnym ołówkiem na kartce. Pojechał kiedyś do Ontario w Kanadzie — statkiem z Detroit. Kanada leży tak daleko na północy, że białe zasy śnieżne sięgają dachów. To tam, gdzie są pięcioraczki i Rzeka Świętego Wawrzyńca. Ludzie na ulicy mówią po francusku. A jeszcze dalej na północ są gęste lasy i białe lodowe eskimoskie chaty. Kraj arktyczny z piękną północną zorzą.

— A czy będąc w Kanadzie, zbierał pan świeży śnieg i jadł go ze śmietaną i cukrem? Czytałam kiedyś, że to doskonałe.

Odwrócił głowę w bok, bo nie zrozumiał. Nie mogła powtórzyć pytania, nagle wydało się jej bardzo głupie. Siedziała tylko wpatrzona w niego i czekała. Na ścianie za nim rysował się duży, czarny cień jego głowy. Wentylator chłodził gorące, ciężkie powietrze. Panowała cisza. Zdawało się, że oboje czekają na to, by powiedzieć sobie rzeczy, które nigdy dotąd nie zostały wypowiedziane. To, co chciała mówić, było straszne, budziło lęk. Ale to, co on by jej powiedział, byłoby tak prawdziwe, że wyjaśniłoby wszystko. Może tego nie można wyrazić słowami ani napisać. Może on da

jej to w jakiś inny sposób do zrozumienia. Takich uczuć doznawała, kiedy była razem z nim.

— Pytałam o Kanadę, ale to nic ważnego, proszę pana.

Na dole, w domu, było mnóstwo kłopotów. Etta nadal chorowała, nie mogły więc spać we trzy w jednym łóżku. Story trzymano zapuszczone, ciemny pokój przesycił wyziewy chorobowe. Etta straciła pracę, co oznaczało osiem dolarów tygodniowo mniej, nie licząc tego, ile wyniósł rachunek doktora. Pewnego dnia Ralph, kręcąc się po kuchni, oparzył się o gorący piec. Zabandażowane rączki swędziały go i trzeba było stale uważać, żeby nie pozdzierał sobie pęcherzy. Kupili George'owi na urodziny mały czerwony rowerek z dzwonkiem i koszyczkiem zawieszonym na kierownicy. Wszyscy się złożyli, żeby mu to kupić. Ale jak Etta straciła pracę, nie mogli go spłacać dalej i gdy minął termin dwóch rat, przysłano ze sklepu człowieka, żeby zabrał rower. George patrzył, jak staczał go ze schodów, a gdy przechodził obok niego, chłopiec kopnął tylny błotnik, a potem zamknął się w komórce na węgiel.

Pieniądze, pieniądze, pieniądze, cały czas pieniądze! Mieli długi w sklepie spożywczym, nie zapłacili ostatniej raty za meble. I od kiedy stracili dom, ciągle zalegali z komornym. Sześć pokoi było stale wynajętych, ale nikt nie płacił w terminie.

Przez jakiś czas ojciec wychodził codziennie, żeby zdobyć inne zajęcie. Nie mógł już pracować jako cieśla, bo miał zawroty głowy, gdy znalazł się wyżej niż dziesięć stóp nad ziemią. Starał się o różne zajęcia, ale nikt nie chciał go zatrudnić. W końcu wpadł na pewien pomysł.

— Reklama, Mick — powiedział. — Doszedłem do wniosku, że to obecnie najważniejsza rzecz, jeśli chodzi o mój warsztat. Muszę się zareklamować. Muszę się ujawnić i powiadomić ludzi, że umiem naprawiać zegarki solidnie i niedrogo. Zapamiętaj sobie moje słowa. Rozwinę ten interes tak, że będę mógł zapewnić rodzinie dobre utrzymanie przez resztę mojego życia. Tylko dzięki reklamie.

Przyniósł do domu kilkanaście arkuszy blachy i trochę czerwonej farby. Przez cały następny tydzień był bardzo zajęty. Wydawało mu się, że to diabelnie dobry pomysł. Całą podłogę w pokoju od frontu zaścielały szyldy. Na czworakach, z wielką starannością wypisywał każdą literę. Gwizdał przy tym i potrząsał głową. Od wielu miesięcy nie był tak wesoły i zadowolony. Od czasu do czasu wkładał porządne ubranie i szedł na sąsiednią ulicę, by dla uspokojenia wypić kufel piwa. Z początku na szyldzie napisane było tak:

WILBUR KELLY
Naprawa Zegarków
Fachowo i bardzo tanio

— Mick, chcę, żeby to biło w oczy, żeby przyciągało uwagę.

Pomagała mu, dał jej nawet za to piętnaście centów. Z początku szyldy wyglądały doskonale, lecz potem tyle nad nimi pracował, że je zepsuł. Chciał ciągle coś dodawać — w rogach, u góry i u dołu. Zanim skończył, szyldy były zasmarowane takimi zwrotami, jak: „Bardzo tanio”, „Przyjdź zaraz!”, „Oddaj mi twój zegarek, a będzie chodził”.

— Tyle namazałeś na tych szyldach, że nikt tego nie odczyta — powiedziała Mick.

Przyniósł jeszcze więcej blachy i pozwolił jej projektować. Namalowała zwyczajne, duże drukowane litery i zegar. Wkrótce miał tego cały stos. Jeden znajomy zawiózł go za miasto, gdzie przybił ogłoszenia na drzewach i na płotach. Wywiesił je też na rogach dwóch najbliższych ulic, z czarną ręką wskazującą w kierunku jego domu. A nad frontowymi drzwiami przybił jeszcze jedno.

Kiedy z tym skończył, czekał przez cały następny dzień w pokoju od ulicy, w czystej koszuli i krawacie. Ale nikt się nie zjawił. Jubiler, który za pół ceny dawał mu robotę, gdy sam nie mógł jej podolać, przysłał parę zegarków. To było wszystko. Przeżył to ciężko. Nie chciał już szukać innych zajęć, ale cały czas poświęcał pracy koło domu. Wyjmował drzwi z zawiasów i oliwił je — czy było to potrzebne, czy nie. Ucierał margarynę, pomagając Portii i szorował podłogi na piętrze. Obmyślił sposób, by woda z lodówki wyciekała przez kuchenne okno. Zrobił kilka ładnych klocków z literami dla Ralpa i skonstruował przyrządek do nawlekania igieł. Włożył wiele trudu w naprawę tych paru zegarków, które mu przysłano.

Mick nadal chodziła za Singerem, choć nie chciała tego robić. Było jakby coś złego w tym snuciu się za nim bez jego wiedzy. Przez dwa czy trzy dni opuściła lekcje w szkole. Szła za nim, kiedy zdążał do pracy, i kręciła się cały dzień na rogu w pobliżu sklepu, gdzie pracował. Kiedy jadł w restauracji Brannona, wchodziła tam i wydawała pięć centów na torebkę fistaszków. Wieczorem snuła się za nim po długich, ciemnych ulicach. Szła zawsze po przeciwnej stronie niż on i spory kawałek za nim. Kiedy się zatrzymywał, ona też przystawała, a gdy szedł szybciej, biegła, by dotrzymać mu

kroku. Czula się szczęśliwa, póki mogła go widzieć i być blisko niego. Lecz niekiedy ogarniało ją dziwne uczucie: czula, że postępuje źle. Wtedy starała się usilnie zająć czymś w domu.

Oboje z ojcem byli w tym do siebie teraz podobni, że stale musieli mieć jakieś zajęcie. Śledziła wszystko, co działo się w domu i u sąsiadów. Starsza siostra Spareribsa wygrała pięćdziesiąt dolarów na loterii filmowej. Baby Wilson nie nosiła już bandaży na głowie, ale włosy miała krótko obcięte jak chłopiec. Nie mogła w tym roku tańczyć na popisie, a kiedy matka zaprowadziła ją na tę imprezę, Baby w czasie jednego z tańców zaczęła krzyczeć i błaznować. Musiano wyprowadzić ją z budynku. Chcąc ją skłonić do grzeczności, pani Wilson dała jej na ulicy klapsa i rozplakała się. George nienawidził Baby. Uciekał jak od zarazy, ilekroć przechodziła koło ich domu. Pete Wells uciekł z domu i nie było go trzy tygodnie. Wrócił bosy i głodny. Przechwalał się, że doszedł aż do Nowego Orleanu.

Z powodu choroby Etty Mick spała w saloniku. Na krótkiej kanapie było jej tak niewygodnie, że musiała nieraz zdrzemnąć się w szkole. Bill zmieniał się z nią co dragą noc i wtedy spała z George 'em. Potem nastąpiła szczęśliwa dla nich odmiana. Jeden lokator z góry wyprowadził się. Kiedy po tygodniu nikt się nie zgłosił mimo ogłoszenia w gazecie, matka powiedziała Billowi, że może przenieść się do wolnego pokoju. Był zadowolony z własnego kąta. Mick przeniosła się do George'a. Spał jak mały, ciepły kotek i oddychał cichutko.

Poznała znowu godziny nocy. Lecz nie takie jak ubiegłego lata, kiedy chodziła sama po ciemku, słuchała muzyki i snuła marzenia. Teraz noce były zupełnie inne. Kiedy leżała bezsennie w łóżku, ogarniał ją jakiś dziwny strach. Miała wrażenie, że sufit osuwa się jej wolno na twarz. Jakby to było, gdyby dom rozpadł się w kawałki? Raz ojciec powiedział, że całe to domisko powinno się zawalić. Czy może miał na myśli, że którejś nocy, kiedy będą spali, ściany pękną i dom się rozpadnie? A oni zostaną pogrzebani pod gruzami, stłuczonym szkłem i połamanymi meblami? I nie będą mogli ruszyć się ani oddychać? Leżała nie śpiąc, z napiętymi mięśniami. Wśród ciszy nocnej rozlegały się jakieś trzaski. Czy to ktoś chodził —. ktoś, kto nie mógł spać jak ona — a może pan Singer?

Nigdy nie myślała o Harrym. Postanowiła zapomnieć o nim i zapomniała. Napisał, że dostał pracę w garażu w Birmingham. Odpowiedziała na kartce: „Wszystko w porządku”, tak jak się umówili. Przysyłał swojej matce trzy dolary

tygodniowo. Wydawało się, że minęło już bardzo dużo czasu od ich wspólnej wycieczki do lasu.

W ciągu dnia pochłaniały ją różne sprawy. Ale w nocy była sama w ciemności i liczenie nie wystarczało dla wypełnienia czasu. Potrzebowała czyjś towarzystwa. Próbowała nie dać George'owi zasnąć.

— To zabawne nie spać i rozmawiać po ciemku. Porozmawiajmy chwilę.

Mruknął coś sennie.

— Popatrz na gwiazdy za oknem. Trudno sobie wyobrazić, że każda z tych małych gwiazdek jest planetą tak samo dużą jak Ziemia.

— Skąd ludzie to wiedzą?

— No, wiedzą. Mają sposoby, żeby to obliczyć. Na tym polega wiedza.

— Nie wierzę w to.

Próbowała nakłonić go do dyskusji w nadziei, że się rozzłości i nie będzie spał. Wcale mu to jednak nie przeszkadzało; najwyraźniej nie zwracał na nią uwagi. Ale po chwili odezwał się:

— Patrz, Mick! Widzisz tę gałąź? Czy nie wygląda jak któryś z naszych przodków ze strzelbą w ręku?

— Aha, naprawdę. Zupełnie podobna. A popatrz tam, na komodę. Czy ta butelka nie przypomina zabawnego człowieczka w kapeluszu?

— Nie — odrzekł George. — Według mnie ani trochę nie przypomina.

Wypiła łyk wody ze szklanki stojącej na podłodze.

— Zabawmy się w zgadywanie nazwisk. Powiedz, kim chcesz być.

Przyłożył piąstki do twarzy i oddychał równo i spokojnie, zapadając w sen.

— George, zaczekaj! To będzie zabawne. Jestem kimś, czyje nazwisko zaczyna się na „m”. Zgadnij, kto to?

George westchnął, głos miał znużony.

— Może Harpo Marx?

— Nie, nikt z filmu.

— To nie wiem.

— Na pewno nie wiesz. Moje nazwisko zaczyna się na „m” i mieszkam we Włoszech. Powinieneś zgadnąć.

George odwrócił się i zwinął w kłębek. Nie odpowiedział.

— Moje nazwisko zaczyna się na „m”, ale czasem nadają mi imię zaczynające się na „d”. We Włoszech. Zgadniesz. To nic trudnego.

W pokoju było ciemno i cicho. George zasnął. Szczypała go i ciągnęła za ucho. Mruczał, ale się nie obudził. Przytuliła się do niego i przycisnęła twarz do jego gorącego nagiego ramionka. Spał całą noc, a ona obliczała ułamki dziesiętne.

Czy pan Singer też nie śpi na górze w swoim pokoju? Czy sufit trzeszczy dlatego, że on chodzi spokojnie po pokoju, popijając zimną oranżadę i dumając nad pionkami rozstawionymi na szachownicy na stole? Czy on odczuwał kiedy taki okropny strach? Nie. Bo nigdy nic złego nie zrobił. Nie zrobił nic złego i nie gryzło go w nocy sumienie. A jednak on by ją zrozumiał.

Gdyby mogła powiedzieć mu o tym, czułaby się lepiej. Namysłała się, jakby zaczęła. „Proszę pana... znam jedną dziewczynkę w moim wieku... proszę pana... nie wiem, czy pan to rozumie... proszę pana... panie Singer, panie Singer...”. Powtarzała w kółko jego nazwisko. Kochała go bardziej niż kogokolwiek z rodziny, bardziej niż George'a, bardziej niż ojca. To była inna miłość. Coś zupełnie innego niż wszystko, co czuła kiedykolwiek w życiu.

Co rano, ubierając się, rozmawiała z George'em. Czasami bardzo chciała zbliżyć się do niego. George urósł, był chudy i blady. Miękkie rudawe włosy opadały niedbale, zakrywając koniuszki uszu. Bystre oczy miał zawsze zmrużone, co nadawało jego twarzy wyraz skupienia. Rosły mu właśnie stałe zęby, ale były sinawe i rozstawione szeroko, tak samo jak zęby mleczne. Szczękę miał często wykrzywioną, bo ciągle dotykał językiem swoich nowych bolących zębów.

— Słuchaj, George — pytała Mick — czy ty mnie kochasz?

— Pewnie, że kocham.

Był gorący, słoneczny ranek w ostatnim tygodniu zajęć szkolnych. George już ubrany leżał na podłodze i odrabiał zadanie arytmetyczne. W brudnych palcach ścisnął mocno ołówek, który co chwila mu się łamał. Kiedy skończył, ujęła go za ramiona i popatrzyła mu przenikliwie w oczy.

— Ale czy bardzo? Bardzo, bardzo?

— Puść mnie. Pewno, że cię kocham. Czy nie jesteś moją siostrą?

— Wiem, ale przypuśćmy, że nie jestem twoją siostrą. Czy kochałbyś mnie wtedy?

George cofnął się. Wyrósł z koszul i nosił brudny pulower. Przeguby dłoni miał cienkie i niebiesko żyłkowane. Rozciągnięte rękawy swetra zwisały luźno, przez co ręce wydawały się bardzo małe.

— Gdybyś nie była moją siostrą, to bym cię nie znał. I nie mógłbym cię kochać.

— Ale gdybyś mnie znał, a nie byłabym twoją siostrą?

— Skąd wiesz, że bym cię znał? Nie możesz tego udowodnić.

— No więc, wyobraź sobie, że tak jest, i udawaj.

— Myślę, że też bym cię lubił. Ale powtarzam, że nie możesz tego udowodnić...

— Udowodnić! Tylko o tym myślisz... Udowodnić i oszukać. Wszystko jest albo oszukaństwem, albo musi być udowodnione. Nie znoszę cię, George! Nienawidzę cię!

— Dobrze. W takim razie i ja cię nie lubię.

Włazł pod łóżko, szukając tam czegoś.

— Czego tam szukasz? Zostaw lepiej moje rzeczy w spokoju. Jeśli złapię cię kiedykolwiek na tym, że grzebiesz w moim pudełku, rozbiję ci głowę o mur, aż ci mózg wypłynie. Zobaczysz, zrobię to.

George wylazł spod łóżka z podręcznikiem pisowni. Sięgnął brudną łapką do dziury w materacu, gdzie trzymał swoje kulki. Nic nie mogło zbić z tropu smarkacza. Nie spiesząc się, wybrał trzy brązowe kulki, by wziąć je ze sobą.

— E tam, Mick! — powiedział.

George był za mały i za bardzo nieznośny. Nie ma sensu go kochać. Wiedział jeszcze mniej o różnych rzeczach niż ona.

Szkoła skończyła się; zdała ze wszystkich przedmiotów — niektóre na pięć z plusem, a niektóre z trudem. Dni były długie i upalne. Nareszcie mogła się znów zabrać energicznie do muzyki. Zaczęła komponować utwory na skrzypce i fortepian. Pisała piosenki. W myśli jej zawsze snuła się jakaś melodia. Słuchała radia Singera i chodziła po domu, rozmyślając o audycjach, które usłyszała.

— Co się dzieje z Mick? — pytała Portia. — Co ją ugryzło? Chodzi i wcale się nie odzywa. Nie jest już nawet łakoma jak dawniej. Robi się z niej prawdziwa dama.

Czuła się tak, jakby na coś czekała, ale sama nie wiedziała na co. Słońce prażyło ulice oślepiającym białym żarem. W dzień albo ciężko pracowała nad muzyką, albo bawiła się z dziećmi. I czekała. Czasami rozglądała się nagle za czymś i wtedy znów ogarniał ją ten sam strach. W końcu czerwca jednak nastąpiło wydarzenie, które spowodowało zasadnicze zmiany.

Tego wieczoru w zapadającym miękkim zmierzchu siedzieli całą rodziną na ganku. Kolacja była już prawie gotowa, z otwartych do holu drzwi dolatywał zapach kapusty. Siedzieli tam wszyscy prócz Hazel, która nie wróciła jeszcze z pracy, i Etty, która nadal leżała chora. Ojciec rozsiadł się wygodnie na krześle, opierając o balustradę nogi w samych skarpetkach. Bill usadowił się na schodkach razem z dziećmi. Matka na bujanym fotelu wachlowała się gazetą. Po drugiej stronie ulicy jakaś dziewczynka, od niedawna mieszkająca w ich sąsiedztwie, jeździła po chodniku na jednej wrotce. W pobliskich domach zaczęto właśnie zapalać światła, gdzieś daleko słychać było męski głos nawołujący kogoś.

Potem wróciła do domu Hazel. Wysokie obcasy zastukały po schodkach, przechyliła się leniwie przez poręcz. Jej pulchne białe ręce wydawały się w półmroku bardzo białe, kiedy dotknęła głowy poprawiając splecione włosy.

— Chciałabym, żeby Etta mogła już pracować — powiedziała. — Dowiedziałam się dziś o jednej pracy.

— Jakiej pracy? — spytał ojciec. — Może ja się tam nadam, nie tylko dziewczyna?

— Tylko dziewczyna. Ekspedientka od Woolwortha wychodzi w przyszłym tygodniu za mąż...

— To ten sklep z tanimi drobiazgami...? — spytała Mick.

— Interesuje cię to?

Pytanie zaskoczyło ją. Myślała właśnie o torebce zielonych cukierków, które kupiła tam wczoraj. Z przejęcia zrobiło jej się gorąco. Odgarnęła kosmyki włosów z czoła i policzyła pierwsze gwiazdy.

Ojciec przytknął papierosa na chodnik.

— Nie — powiedział. — Mick jest jeszcze za młoda, nie może brać na siebie takich obowiązków. Musi wpierw dorosnąć. A jeszcze trzeba na to trochę czasu.

— Zgadzasz się z tobą — rzekła Hazel. — Trudno, żeby w tym wieku chodziła regularnie do pracy. Tak nie można.

Bill zdjął Ralpa z kolan i zaszurał nogami po chodniku.

— Nikt nie powinien pracować przed ukończeniem szesnastu lat. Mick musi się jeszcze uczyć dwa lata i skończyć szkołę zawodową, jeśli się da.

— Wolałabym na razie zatrzymać Mick w domu — odezwała się matka. — Nawet gdybyśmy musieli zrezygnować z mieszkania tutaj i przenieść się do dzielnicy fabrycznej.

Przez chwilę bała się, że będą nalegać na nią i zmuszać ją do tej pracy. Odpowiedziałyby wtedy, że ucieknie z domu. Ale ich postawa wzruszyła ją. Czowała podniecenie. Wszyscy mówili o niej, i to tak miło. Zawstydziała się swoich początkowych obaw. Poczwała nagle, że kocha całą rodzinę, i gardło jej się ścisnęło.

— Ile tam płacą? — spytała.

— Dziesięć dolarów.

— Tygodniowo?

— No pewnie — odrzekła Hazel. — Myślałaś, że dziesięć na miesiąc?

— Portia chyba nie zarabia więcej.

— Och, Murzyni... — rzuciła z lekceważeniem Hazel.

Mick potarła ręką czubek głowy.

— To dużo pieniędzy. Bardzo dużo.

— I ja uważam, że suma nie do pogardzenia — dorzucił Bill.

Mick zaschło w gardle. Poruszyła językiem, żeby zwilżyć usta i móc się odezwać.

— Za dziesięć dolarów można kupić piętnaście pieczonych kurcząt. Albo pięć par butów. Albo pięć sukien. Albo zapłacić ratę za radio. — Pomyślała o fortepianie, ale nie powiedziała tego głośno.

— To by nas wybawiło z kłopotów — wtrąciła matka. — Ale wolałabym jednak zatrzymać jeszcze Mick jakiś czas w domu. Teraz, kiedy Etta...

— Czekajcie! — Była rozgorączkowana i podniecona. — Ja chcę wziąć tę pracę. Potrafię temu podołać. Wiem, że potrafię.

— Słuchajcie małej Mick! — zawołał Bill.

Ojciec podłubał w zębach zapalką i zdjął nogi z balustrady.

— Nie gorączkujmy się. Lepiej niech Mick się dobrze zastanowi. Jakoś poradziemy sobie jeszcze bez jej pracy. Myślę, że moje zarobki z zegarmistrzostwa zwiększą się o sześćdziesiąt procent, gdy tylko...

— Zapomniałam powiedzieć — dorzuciła Hazel — że jest tam także co roku gwiazdkowa gratyfikacja.

Mick zmarszczyła brwi.

— Ale ja nie będę wtedy pracować, będę w szkole. Chcę popracować tylko przez czas wakacji, a potem wrócić do szkoły.

— No pewnie — powiedziała szybko Hazel.

— Ale jutro pójdę tam z tobą i wezmę tę pracę, jeśli mi ją dadzą.

Zapanował taki nastrój, jakby wszystkim spadł jakiś wielki kamień z serca. Zaczęli rozmawiać i śmiać się w ciemności. Ojciec pokazał George'owi sztuczkę z zapalką i chustką do nosa. Potem dał mu pięćdziesiąt centów, żeby kupił w sklepie na rogu coca-cole, to sobie wypiją po kolacji. W holu rozszedł się teraz silniejszy zapach kapusty i smażonych kotletów wieprzowych. Portia zawołała ich na kolację. Lokatorzy siedzieli już przy stole. Mick jadła w jadalni. Żółtawe, miękkie liście kapusty na talerzu nie wzbudzały apetytu. Sięgając po chleb, przewróciła dzbanek z zimną herbatą.

Czekała potem sama na ganku, aż Singer wróci do domu. Rozpaczliwie pragnęła go zobaczyć. Podniecenie, które ogarnęło ją przed godziną, minęło i bolała ją teraz żołądek. Ma pracować w sklepie z tanimi drobiazgami, a wcale nie chce tam pracować! Czuli się jak schwytała w pułapkę. To nie będzie zajęcie tylko na lato, ale na długo, tak długo, jak tylko można sobie wyobrazić. Kiedy raz przywykną do pieniędzy, które zasilą domowy budżet, już nie będą mogli sobie bez nich poradzić. Tak to się wszystko przedstawia. Stała w ciemności, trzymając się mocno barierki. Minęło dużo czasu, a Singer ciągle nie przychodził. O jedenastej wyszła go poszukać. Ale nagle na ciemnej ulicy ogarnął ją strach i wróciła pędem do domu.

Rano wykąpała się i ubrała bardzo starannie. Hazel i Etta pożyczyły jej swoich rzeczy i wystroiły ją, żeby ładnie wyglądała. Włożyła jedwabną zieloną suknię Hazel, zielony kapelusz, jedwabne pończochy i pantofle na wysokich obcasach. Siostry uróżowały jej policzki, uszminkowały ją i wyskubały jej brwi. Wyglądała na lat co najmniej szesnaście.

Już za późno, by się wycofać. Była naprawdę dorosła i przygotowana do tego, żeby zarabiać na życie. A jednak wiedziała że gdyby poszła do ojca i powiedziała mu, co czuje, kazałby jej chociaż rok poczekać. I Hazel, i Etta, i Bill, i matka jeszcze teraz powiedzieliby, że nie potrzebuje iść do pracy. Ale ona nie mogła tak zrobić. Nie mogła się zblamować. Poszła na górę do Singera. Słowa płynęły jej z ust potokiem.

— Niech pan posłucha... myślę, że powinnam wziąć tę posadę. A co pan myśli? Czy to dobry pomysł? Czy pan uważa, że to dobrze rzucić teraz szkołę i pracować? Myśli pan, że to dobrze?

Z początku nie rozumiał. Jego szare oczy były przymknięte stał z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie. Znów opanowało ją takie jak dawniej uczucie, że czekają, by powiedzieć sobie coś, co nigdy jeszcze nie zostało powiedziane. Ona niewiele mogła mu powiedzieć. Ale to, co on jej powie, będzie decydujące — gdyby powiedział, że ta praca zapowiada się ciekawie, poczułaby się lepiej. Jeszcze raz wolno powtórzyła mu to samo i czekała.

— Myśli pan, że tak będzie dobrze?

Singer zastanawiał się chwilę. Potem kiwnął głową.

Dostała tę pracę. Kierownik zaprosił ją i Hazel do małego gabinetu i rozmawiał z nimi. Nie mogła potem przypomnieć sobie, ani jak wyglądał, ani co mówił. Ale dostała posadę i w drodze powrotnej do domu kupiła czekoladę za dziesięć centów i małe pudełko plasteliny dla George'a. Miała zacząć pracować piątego czerwca. Stała długo przed wystawą sklepu jubilerskiego, gdzie pracował Singer. A potem kręcąc się na rogu, czekała na niego.

15.

Nadeszła pora następnych odwiedzin Singera u Antonapoulosa. Była to długa podróż. Choć dzieliło ich niecałe dwieście mil, pociąg zbaczał wiele razy z prostej drogi i godzinami stał w nocy na stacjach. Singer miał wyjechać po południu, jechać całą noc i być na miejscu następnego dnia wczesnym rankiem. Jak zwykle, był gotów zawczasu. Planował sobie, że spędzi z przyjacielem cały dzień. Oddał ubranie do chemicznej pralni, kapelusz do odświeżenia, rzeczy miał zapakowane. Prezenty, które miał zabrać ze sobą, owinięte były w kolorowe bibułki; prócz tego przygotował wspaniałą kosz owoców owiniętą w celofan i skrzyneczkę najświeższych truskawek. Rano przed odjazdem wysprzątał swój pokój. W lodówce znalazł resztkę gęsiej wątróbki i wyniósł ją na ulicę dla kota z sąsiedniego domu. Przybił na drzwiach taką samą jak poprzednim razem kartkę, że wyjeżdża na parę dni w interesach. Robiąc te

wszystkie przygotowania, poruszał się spokojnie, choć dwie jaskrawoczerwone plamy wykwitły mu na policzkach. Twarz jego miała wyraz uroczysty.

Wreszcie moment wyjazdu był już bliski. Stał obładowany bagażem i patrzył, jak pociąg wtacza się na peron. Znalazł sobie miejsce w wagonie i ułożył bagaż na siatce nad głową. Wagon był zatłoczony przeważnie matkami z dziećmi. Zielone pluszowe siedzenia wydzielają zapach brudu. Okna też były brudne; na podłodze leżały ziarnka ryżu, którym obrzucono niedawno jakąś młodą parę. Singer uśmiechnął się życzliwie do towarzyszy podróży i usiadłszy wygodnie przymknął oczy. Rzęsy jego rysowały się ciemną wygiętą frędzlą nad szczupłymi policzkami. Prawa ręka poruszała się nerwowo w kieszeni.

Przez chwilę jeszcze błądził myślami po mieście, które zostawiał za sobą. Ujrzał Mick, doktora Copelanda, Jake'a Blounta i Biffa Brannona. Twarze ich napierały na niego z mroku. Pomyślał o sprzeczce Blounta z Murzynem. Nie mógł pojąć, o co chodziło w tym sporze, czuł zamęt w głowie — obaj parę razy zasypali go tyradą gorzkich słów, żaląc się jeden na drugiego. Przyznawał kolejno rację obydwóm, choć nie bardzo wiedział, co każą mu potwierdzać. A Mick — w jej twarzy było jakby naleganie i mówiła dużo rzeczy, których w ogóle nie rozumiał. I jeszcze Biff Brannon z „New York Cafe”. Biff Brannon ze swoją czarną jak odlaną z żelaza brodą i czujnymi oczyma. I obcy ludzie, którzy chodzili za nim po ulicy i z niewiadomych przyczyn chwyтали go za klapy marynarki. Turek ze sklepu bielizniarskiego, wymachujący mu rękami przed nosem i paplający coś w języku, którego z ruchu jego warg nie mógł zrozumieć. Jakiś majster z fabryki i stara Murzynka. Kupiec z głównej ulicy i mały smyk namawiający żołnierzy do domu publicznego za rzeką. Singer poruszył niespokojnie rękami. Pociąg toczył się gładko i równo. Głowa opadła mu na ramię i po chwili usnął.

Kiedy znów otworzył oczy, miasto było już daleko. Zapomniał o nim. Za brudnym oknem rozciągał się wspaniały letni krajobraz. Słońce słało silne, złociste promienie na zielone pola młodej bawełny. Na polach tytoniu młode roślinki były zielone i gęste jak jakieś rozrośnięte dzikie chwasty. Sady brzoskwiniowe uginały się pod ciężarem soczystych owoców, oblepiających karłowate drzewka. Ciągnęły się całe mile pastwisk i dziesiątki mil zniszczonych, zmytych przez wodę pól, opuszczonych, zostawionych na pastwę żywotnych chwastów. Pociąg przecinał gęste, zielone sosnowe lasy, gdzie ziemia zasłana była gładkim brunatnym igliwem, a wysokie i przez nikogo nie tknięte wierzchołki drzew strzelały w niebo. A dalej, daleko na

południe od jego miasta, rozciągały się bagniste tereny porośnięte cyprysami. Powyginane korzenie drzew wiły się pośród słonawej wody, szary strzępiasty mech zwisał z gałęzi, a tropikalne kwiaty wodne rozkwitały w wilgotnym mroku. A potem pociąg wtaczał się znowu na otwartą przestrzeń, pod słoneczny błękit.

Singer siedział skupiony i onieśmielony, z twarzą zwróconą ku oknu. Ogromne przestrzenie i ostre pierwotne barwy nieomal go oślepiały. Kalejdoskopowa różnorodność scenerii, bogactwo barw i bujnej roślinności wydawały się w jakiś sposób związane z jego przyjacielem. Myślami był z Antonapoulosem. Niemal dusił się z radości, wyobrażając sobie ich bliskie już spotkanie. Nos miał zatkany, oddychał szybko przez rozchylone lekko usta.

Antonapoulos ucieszy się, gdy go zobaczy. Ucieszy się też ze świeżych owoców i prezentów. Nie jest już na sali chorych, będą mogli pójść do kina, a potem do hotelu, gdzie jedli obiad w czasie jego pierwszej wizyty. Singer napisał do przyjaciela wiele listów, ale ich nie wysłał. Oddał się całkowicie rozmyślaniom o nim.

Pół roku, które minęło od ich ostatniego spotkania, nie wydawało się ani długim, ani krótkim okresem. Z wyjątkiem godzin snu wszystkie chwile wypełniały myśli o przyjacielu. Ta skryta łączność z Antonapoulosem wzrastała i ulegała zmianom, jakby stanowili jedno ciało. Czasem myślał o nim ze czcią i jakimś uczuciem niższości, czasem z dumą — zawsze z bezkrytyczną miłością, niezależną od jego woli. W snach ciągle zjawiała się przed nim twarz przyjaciela: pełna, łagodna, mądra. W czasie bezsennych rozmyślań złączeni byli na wieki.

Zapadał wolno letni wieczór. Słońce skryło się za poszarpaną linią lasu w dali, niebo zbladło. Ociężały, miękki zmierzch rozsnuwał się nad ziemią. Wszedł jasny księżyc w pełni, nad horyzontem leżały niskie, fioletowe chmury. Ziemia, drzewa, zabudowania z surowego drewna ciemniały z wolna. Od czasu do czasu słaba letnia błyskawica przecinała niebo. Singer przyglądał się temu wszystkiemu uważnie, aż w końcu nadeszła noc i szyba przed nim ukazała mu odbicie jego własnej twarzy.

Dzieci chwiały się w takt kołyszącego się pociągu, przechodząc w tę i drugą stronę z papierowymi kubkami, z których kapła woda. Stary mężczyzna w kombinezonie, siedzący przed Singerem, pociągał od czasu do czasu whisky z butelki po coca-coli. Między jednym łykiem a drugim zatykał ją starannie zatyczką ze zwiniętego papieru. Dziewczynka siedząca na prawo gładziła sobie włosy czerwonym, lepkiem lizakiem. Rozwiązywano pudełka z prowiantem, z wagonu restauracyjnego przyniesiono tacę z kolacją. Singer nic nie jadł. Przechylił się do tyłu i tylko niejasno

zdawał sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje. W końcu w wagonie zapanował spokój. Dzieci ułożyły się na szerokich aksamitnych siedzeniach i usnęły, a mężczyźni i kobiety skuleni na poduszkach na pół drzemali, by wypocząć, jak się da.

Singer nie spał. Przycisnął twarz do szyby i wyężając wzrok patrzył w noc. Ciemność była gęsta i aksamitna. Chwilami rozjaśniała ją plama księżycowego światła albo blask lampy w oknie jakiegoś domu mijanego po drodze. Po położeniu księżycy orientował się, że pociąg skręcił z południa na wschód. Był tak podniecony, że zaledwie mógł oddychać, na policzkach miał szkarłatne wypieki. Siedział prawie przez całą długą noc z twarzą przyciśniętą do zimnej, brudnej od sadzy szyby.

Pociąg spóźnił się przeszło godzinę i gdy przybyli na miejsce, wstał już od dawna świeży, jasny letni ranek. Singer udał się od razu do hotelu, gdzie zamówił pokój. Rozpakował walizki i ułożył na łóżku prezenty przeznaczone dla Antonapoulosa. Z karty, którą przyniósł mu chłopiec hotelowy, wybrał obfite śniadanie: rybę z rusztu, mamałygę, smażone grzanki i gorącą czarną kawę. Po śniadaniu zdjął ubranie i położył się w białiznie pod wentylatorem, by trochę odpocząć. W południe zaczął się ubierać. Wykąpał się, ogolił, włożył czystą białiznę i swój najlepszy lekki garnitur. W zakładzie godziny wizyt zaczynały się o trzeciej. Był wtorek, osiemnasty lipca.

Poszedł najpierw poszukać Antonapoulosa na sali chorych, gdzie znajdował się przedtem. Ale kiedy stanął na progu, od razu zobaczył, że nie ma tam przyjaciela. Ruszył więc korytarzami do biura, dokąd zaprowadzono go ostatnim razem. Miał już wypisane pytanie na jednej z wizytówek, które zawsze nosił przy sobie. Za biurkiem siedział tym razem ktoś inny niż przedtem: młody mężczyzna, prawie chłopiec jeszcze, z dziecinną twarzą i prostymi, potarganymi włosami. Singer podał mu wizytówkę i spokojnie czekał, obładowany paczkami, opierając ciężar ciała na obcasach.

Mężczyzna potrząsnął głową. Pochylił się nad biurkiem i nabazgrał coś na bloczku. Singer odczytał to i zbladł jak ściana. Patrzył długi czas na kartkę, z pochyloną głową, niewidzącym wzrokiem. Bo było tam napisane, że Antonapoulos umarł.

Wracając do hotelu, uważał, by nie pognieść owoców, które ze sobą przywiózł. Zaniósł paczki do swego pokoju na górę, a potem zszedł do holu. Za dużą palmą w doniczce znajdował się automat. Wrzucił pięć centów, ale gdy spróbował pociągnąć za rączkę, stwierdził, że automat jest nieczynny. Zrobił o to wielką awanturę. Wezwał urzędnika z recepcji i z wściekłością pokazał mu, co się stało. Twarz jego pokryła

śmiertelna bladość i był tak wyprowadzony z równowagi, że łzy spływały mu po nosie. Walił pięściami, a raz nawet tupnął w pluszowy dywan eleganckim butem. Nie zadowoliło go to, że zwrócono mu pieniądze, lecz zażądał natychmiastowego wymeldowania. Zapakował torbę i bardzo się nameczył, nim ją zamknął. Bo prócz tego, co przywiózł ze sobą, zabrał jeszcze trzy ręczniki, dwa kawałki mydła, pióro, butelkę atramentu, rolkę papieru toaletowego i Biblię. Zapłacił rachunek i poszedł na stację zostawić rzeczy w przechowalni. Pociąg odchodził dopiero o dziewiątej wieczorem, miał więc przed sobą wolne popołudnie.

Miasto było mniejsze niż to, w którym mieszkał. Ulice handlowe przecinały się na krzyż. Sklepy sprawiały wrażenie sklepików wiejskich; połowę wystaw zajmowała odzież i worki z żywnością. Singer szedł obojętnie ulicami. Gardło spuchło mu, nie mógł przełknąć śliny. Czuł, że się dusi, więc kupił coś do picia w jakimś drugstorze. Stracił trochę czasu u fryzjera i nabył parę drobiazgów w sklepie z tanimi artykułami. Nie patrzył nikomu w twarz, głowę miał zwieszoną i przechyloną na bok jak chore zwierzę.

Popołudnie miało się ku końcowi, kiedy Singerowi przytrafiła się dziwna rzecz. Szedł brzegiem chodnika wolno, chwiejnym krokiem. Niebo było zachmurzone, powietrze wilgotne. Mijając bilard miejski, nie podnosząc głowy, Singer spostrzegł kątem oka coś, co go zainteresowało. Minął lokal i zatrzymał się na środku ulicy. Zawrócił apatycznie i stanął w otwartych drzwiach. W sali siedziało trzech głuchoniemych, którzy rozmawiali na migi. Wszyscy byli bez marynarek, mieli meloniki i jaskrawe krawaty. Każdy z nich trzymał w lewej ręce szklankę piwa. Było między nimi jakieś rodzinne podobieństwo.

Singer wszedł do środka. Przez moment nie mógł wyjąć ręki z kieszeni. Potem wykonał niezgrabnie gest powitania. Poklepano go po ramieniu. Zamówili zimne piwo, po czym otoczyli go i gestykułując, zasypali pytaniami.

Powiedział im swoje nazwisko i gdzie mieszka. Ale więcej nie umiał nic o sobie powiedzieć. Nie znali go. Stał ze zwieszonymi luźno rękami. Głowę miał przechyloną na bok, spojrzenie skierowane w bok. Był tak chłodny i apatyczny, że trzej głuchoniemi w melonikach przyglądali mu się podejrzliwie. Po chwili przestali zwracać na niego uwagę. A gdy zapłacili za wypite piwo i szykowali się do wyjścia, nawet nie zaproponowali mu, by poszedł z nimi.

Choć Singer spędził pół dnia, bląkając się bez celu po ulicach, w końcu o mało nie spóźnił się na pociąg. Sam nie wiedział dobrze, jak to się stało ani jak spędził

poprzednie godziny. Przyszedł na stację na dwie minuty przed odejściem pociągu i ledwo zdążył wepchnąć do wagonu swój bagaż i znaleźć miejsce. Wagon, który wybrał, był prawie pusty. Usiadł, otworzył skrzynkę z truskawkami i zaczął jeść, wybierając najładniejsze. Owoce były ogromne jak włoskie orzechy i bardzo dojrzałe. Piękne, soczyste truskawki z zielonym listkiem wyglądały jak małe bukieciki. Singer włożył do ust jedną; soczyste i słodkie, były jednakże trochę przejrzałe. Zjadł tyle, że już nie czuł ich smaku. Potem zakrył z powrotem skrzyneczkę i postawił na półce. O północy spuścił store, położył się na ławce i zwinąwszy się w kłębek, naciągnął na głowę płaszcz. Leżał tak, otepiał, w półśnie, przez dwanaście godzin. Konduktor musiał nim potrząsnąć, kiedy dotarli na miejsce.

Singer zostawił swoje bagaże na stacji. Poszedł do sklepu. Powitał jubilera, u którego pracował, obojętnym skinieniem ręki. Kiedy stamtąd wyszedł, miał coś ciężkiego w kieszeni. Wałęsał się jeszcze chwilę po ulicy z pochyloną głową. Ale ostre słońce i wilgotny upał zmęczyły go. Wrócił do swego pokoju z zapuchniętymi oczami i bólem głowy. Odpoczął, wypił szklanekę mrożonej kawy i wypalił papierosa. Umył popielniczkę i szklanekę. Potem wyjął z kieszeni pistolet i wpakował sobie kulę w serce.

Część trzecia

1.

21 sierpnia 1939 roku

Ranek

— Nie popędzajcie mnie — powiedział doktor Copeland. — Zostawcie mnie. Pozwólcie mi posiedzieć tu chwilę w spokoju.

— Nie chcemy cię popędzać, ojczy. Ale czas już jechać.

Doktor, otulony szarym szalem, kołysał się dalej z uporem na fotelu. Choć ranek był ciepły, w piecu palił się ogień. W kuchni z wyjątkiem krzesła, na którym siedział, nie było ani jednego mebla. Pokoje także zionęły pustką. Prawie wszystkie meble przeniesione zostały do domu Portii, resztę ułożono na stojącym przed domem samochodzie i przywiązano. Wszystko było już gotowe, oprócz niego. Ale jak mógł wyjechać, kiedy w swoich myślach nie widział ani początku, ani końca, ani celu, ani prawdy? Podniósł rękę, by podtrzymać trzęsącą się głowę, i dalej nie przestawał kołysać się wolno w skrzypiącym fotelu.

Za zamkniętymi drzwiami słyszał ich głosy.

— Zrobiłam, co mogłam. Postanowił siedzieć tam, aż będzie gotów do wyjazdu.

— Zapakowaliśmy z Buddym porcelanowe talerze i...

— Powinniśmy wyjechać, zanim rosa obeschnie — mówił starzec. — Bo zaskoczy nas w drodze noc.

Głosy ucichły. W pustym holu rozległy się kroki, potem nie słyszał już nic. Na podłodze obok niego stała na spodku filiżanka. Nalał do niej kawy z dzbanka, który wziął z kuchennej płyty. Kołysząc się, pił kawę i grzał palce nad parą. To naprawdę nie może być koniec. Inne głosy bez słów rozbrzmiewały w jego sercu. Głos Jezusa i Johna Browna. Głos wielkiego Spinozy i Karola Marksa. Wołały głosy tych, którzy walczyli i którym dane było dokonać swego dzieła. I nabrzmiałe smutkiem głosy jego rodaków. A także głosy zmarłych. Głuchoniemego Singera, białego, który był sprawiedliwy i wszystko rozumiał. Głosy słabych i możnych. Śpiewny głos jego murzyńskich braci, wzbierający coraz większą mocą. Głos potężnej, wielkiej idei. A w odpowiedzi na jego wargach drżały słowa — słowa będące wyrazem głębokiego smutku — tak że omal nie krzyknął: „Wielki Boże! Najwyższa mocy wszechświata!

Robiłem rzeczy, których nie powinienem był robić, a nie spełniłem tego, co powinienem był spełnić. A więc to nie może być koniec".

Po raz pierwszy wszedł do tego domu z tą którą kochał. Daisy ubrana była w ślubną suknię i biały koronkowy welon. Skóra jej miała piękną barwę ciemnego miodu, a śmiech był pełen słodyczy. W nocy zamykał się w jasno oświetlonym pokoju, by studiować w samotności. Próbował rozmyślać i zmuszać się do nauki. Ale Daisy była blisko i wzbierało w nim pożądanie, które przeszkadzało w nauce. Niekiedy ulegał mu, a potem znów zagryzał wargi i ślęczał nad książkami po nocach. Przyszli na świat Hamilton i Karol Marks, i William, i Portia. Stracił ich wszystkich. Nie pozostało przy nim ani jedno z dzieci.

I Madyben, i Benny Mae. I Benedine Madine, i Mady Copeland. Ci, których nazywano jego imieniem. I ci, których upominał. A gdzie wśród tych tysięcy jest ten, któremu mógłby zlecić swoją misję i odpocząć?

Przez całe życie wiedział jedno. Wiedział, dlaczego pracuje, i w głębi duszy czuł niezachwianą pewność, bo — dzień po dniu — wiedział, co ma przed sobą. Chodził ze swoją walizką od domu do domu, rozmawiał z ludźmi o wszystkim i cierpliwie tłumaczył. A wieczorem był szczęśliwy, bo miał świadomość, że spełnił swój obowiązek. Nawet gdy zabrakło Daisy i Hamiltona, i Karola Marksa, i Williama, i Portii, siedział sam przy piecu i czerpał radość z tej świadomości. Pił sok z rzepy i jadł chleb kukurydziany. Czuł się naprawdę zadowolony, bo przeżył dobry dzień.

Tysiące razy doznawał takiego zadowolenia. Ale co to miało za znaczenie? Gdy myślał teraz o tych wszystkich latach, nie widział w nich nic, co miałoby trwałą wartość.

Po chwili drzwi od holu otworzyły się i weszła Portia.

— Chyba muszę ubrać cię jak dziecko. Tu są twoje buty i skarpetki. Pozwól, zdejmę ci pantofle. Musimy zaraz jechać.

— Dlaczego mi to zrobiłaś? — zapytał z goryczą.

— Co ci zrobiłam?

— Wiesz doskonale, że ja nie chcę wyjeżdżać. Zmusiłaś mnie do wyrażenia zgody, kiedy nie byłem zdolny do powzięcia decyzji. Chcę zostać tu, gdzie mieszkałem zawsze, i ty wiesz o tym.

— I znowu to samo! — odrzekła z gniewem Portia. — Mam już dość twojego narzekania. Złościsz się i denerwujesz! Naprawdę wstydzę się za ciebie.

— E! Gadaj sobie, co chcesz! Brzęczysz mi nad uchem jak komar. Wiem, czego chcę, i nie pozwolę, abyście zmuszali mnie do tego, czego nie powinienem robić.

Portia zdjęła mu z nóg pantofle i rozwinęła parę czystych, czarnych bawełnianych skarpetek.

— Nie kłóćmy się, ojcze. Załatwiliśmy wszystko tak, żeby było jak najlepiej. To jedyny możliwy i najlepszy pomysł, żebyś pojechał z dziaduniem i z Hamiltonem, i z Buddym. Oni będą się tobą dobrze opiekować i prędko wyzdrowiejesz.

— Nie, nie wyzdrowieję — upierał się doktor. — A tymczasem tutaj bym wyzdrowiał. Wiem o tym.

— A kto będzie płacił rachunki za ten dom? Jak mamy cię wyżywić? Kto tu będzie się tobą opiekował?

— Radziłem sobie zawsze, to i dalej potrafię sobie radzić.

— Niepotrzebnie tylko się spierasz.

— Ach! Brzęczysz mi nad uchem jak komar. Ale nie będę zwracał na to uwagi.

— Ładnie się do mnie odzywasz! A ja tu staram się włożyć ci na nogi skarpetki i buty.

— Przepraszam. Wybacz mi, córko.

— Dobrze, że przepraszasz. Oboje sobie wybaczymy. Nie możemy się kłócić. A jak zamieszkaż na fermie, polubisz ją. Mają tam najładniejszy warzywnik, jaki w życiu widziałam. Ślinka mi cieknie, jak o nim myślę. I kurczęta, i maciory z prosiętami, i osiemnaście brzoskwiniowych drzewek. Będzie ci się to okropnie podobało. Ja sama chciałabym tam pojechać.

— I ja chciałbym tego.

— Dlaczego postanowiłeś się zamartwiać?

— Bo czuję, że przegrałem.

— Jak to przegrałeś?

— Sam nie wiem. Zostaw mnie, córko. Pozwól mi posiedzieć tu jeszcze chwilę w spokoju.

— Dobrze. Ale już niedługo musimy jechać.

Będzie milczał. Będzie siedział spokojnie i kołysał się w fotelu, aż się uspokoi. Głowa mu się trzęsła, bolał go krzyż.

— Mam nadzieję — mówiła Portia — że jak umrę, też tyle ludzi będzie się tym martwić, jak martwią się po śmierci pana Singera. Chciałabym wiedzieć, że będę miała taki smutny pogrzeb jak on, i że tyle ludzi...

— Cicho! — przerwał doktor. — Za dużo mówisz. Wraz ze śmiercią tego białego na duszy legł mu kamieniem posepny smutek. Rozmawiał z nim tak jak z żadnym innym białym i miał do niego zaufanie. Po jego tajemniczym samobójstwie czuł się zagubiony i samotny. Smutek ten nie miał początku i końca. Był niepojęty. Stale powracał myślami do tego białego — który nie był bezczelny ani wyniosły, tylko sprawiedliwy. A czy umarli mogą naprawdę umrzeć, skoro żyją w sercach tych, których osierocili? Ale nie powinienem myśleć o tym. Powinienem teraz odrzucić od siebie te myśli.

Potrzebna mu dyscyplina. W ciągu ostatniego miesiąca opanowało go znowu ponure, straszne uczucie, z którym musiał toczyć walkę. Nienawiść całymi dniami spychała go w otchłanie śmierci. Po kłótni z nocnym gościem Blountem pozostał w nim morderczy mrok. Nie mógł już sobie jednak dokładnie przypomnieć powodów ich sprzeczki. Inny znów gniew ogarniał go, gdy patrzył na okaleczone nogi Williego. Zawzięta miłość i nienawiść — miłość do rodaków i nienawiść do ich ciemnych — wyczerpywały go i przyćmiewały jego zdolności rozumowania.

— Cóрко — powiedział — daj mi zegarek i marynarkę. Idę.

Dźwignął się z fotela. Podłoga wydawała się bardzo daleko od twarzy; po długim leżeniu w łóżku nogi miał jak z waty. Przez chwilę myślał, że upadnie. Zataczając się, przeszedł przez pusty pokój i przystanął, oparłszy się o futrynę drzwi. Zakaszał i wyjął z kieszeni papierową serwetkę, by przyłożyć ją do ust.

— Tu jest twoja marynarka — powiedziała Portia. — Ale na dworze tak gorąco, że nie będzie ci potrzebna.

Szedł po raz ostatni przez pusty dom. Story były zaciągnięte, w pustych pokojach unosił się zapach kurzu. Odpoczął chwilę, oparłszy się o ścianę przedpokoju, po czym wyszedł przed dom. Ranek był jasny i ciepły. Wielu przyjaciół przyszło go pożegnać poprzedniego wieczora i dziś wczesnym rankiem — teraz tylko rodzina zgromadziła się na ganku. Na ulicy stał wóz i samochód.

— Benedict Mady — odezwał się starzec — pewno przez pierwsze dni będzie ci trochę tęskno za domem. Ale niedługo.

— Ja nie mam domu, więc dlaczego miałbym za nim tęsknić?

Portia oblizła nerwowo wargi i powiedziała:

— Przyjedzie tu, jak wyzdrowieje i będzie miał ochotę. Buddy chętnie przywiezie go samochodem do miasta.

Samochód był wyładowany po brzegi. Na stopniach umocowano skrzynki z książkami, na tylnym siedzeniu piętrzyły się dwa krzesła i szafka. Biurko z jego gabinetu, odwrócone do góry nogami, przywiązane było do dachu. Wóz natomiast był prawie pusty. Muł stał spokojnie z cegłą uwiązaną u cugli.

— Karol Marks — powiedział doktor — uważaj, co powiem. Przejdź przez wszystkie pokoje i sprawdź, czy nic nie zostało. Przynieś filiżankę, którą zostawiłem na podłodze, i mój fotel na biegunach.

— Jedźmy już. Chciałbym być na obiad w domu — odezwał się Hamilton.

Wreszcie byli gotowi. Hamilton zapuścił silnik korbą. Karol Marks usiadł za kierownicą. Portia, Highboy i William stłoczyli się na tylnym siedzeniu.

— Ojcie, siądziesz chyba na kolanach Highboya. Będzie ci tam wygodniej niż tu, między meblami.

— Nie, za tłoczno tutaj. Wolałbym jechać wozem.

— Nie przywykłeś do wozu — powiedział Karol Marks. — Droga jest wyboista i będziemy jechać cały dzień.

— To nic nie szkodzi. Już nieraz jeździłem na wozie.

— Powiedz Hamiltonowi, żeby usiadł z nami. On na pewno woli jechać samochodem.

Dziadek przyjechał do miasta poprzedniego dnia wozem wyładowanym produktami, które Hamilton chciał sprzedać w mieście: brzoskwiniami, kapustą, rzepą. Sprzedał wszystko oprócz jednego worka brzoskwiń.

— No, Benedict Mady, widzę, że jedziesz ze mną — powiedział starzec.

Doktor wdrapał się na tył wozu. Czuł się tak znużony, jakby miał kości z ołowiu. Głowa mu się trzęsła, a nagły atak mdłości powalił go na szorstkie deski.

— Cieszę się, że jedziesz — mówił dziadek. — Widzisz, zawsze miałem szacunek dla ludzi uczonych. Głęboki szacunek. Ja tam nie zważam na wiele rzeczy i wiele zapomnę, jeśli ktoś jest uczony. Rad jestem, że będziemy znów mieli w rodzinie tak uczonego jak ty człowieka.

Koła wozu skrzypiały. Jechali.

— Niedługo tu wrócę — powiedział doktor — za miesiąc, dwa.

— Hamilton jest też naprawdę uczony. Trochę do ciebie podobny. Robi za mnie wszystkie rachunki i czyta gazety. I myślę, że także Whitman będzie uczonym. Już teraz umie przeczytać Biblię. I liczy. Takie małe dziecko. Zawsze miałem szacunek dla ludzi uczonych.

Doktor, leżąc na wznak na wozie, co chwila podskakiwał. Patrzył na gałęzie drzew nad głową, a gdy nie było cienia, przykrywał twarz chustką by osłonić oczy przed słońcem. To niemożliwe, żeby to był koniec. Czuł zawsze, że ma do spełnienia wielkie, ważne zadanie. Przez czterdzieści lat żył swoją misją i misja ta była jego życiem. A jednak nie dokonał niczego, wszystko jeszcze pozostawało do zrobienia.

— Tak, Benedict Mady, naprawdę cieszę się, że jesteś wśród nas. Czekałem, żeby się ciebie poradzić, bo mam takie dziwne uczucie w prawej nodze. Jakby usnęła. Zażywałem lekarstwa i nacierałem ją maścią. Mam nadzieję, że obmyślisz jakąś dobrą kurację.

— Postaram się.

— Tak, cieszę się, że będziesz z nami. Wierzę w rodzinne więzy — więzy krwi i więzy małżeńskie. Wierzę, że gdy wszyscy będziemy walczyć i pomagać sobie, to kiedyś na tamtym świecie otrzymamy nagrodę.

— E! — rzekł z goryczą doktor. — Ja wierzę w sprawiedliwość tu na ziemi.

— W co wierzysz? Mówisz tak niewyraźnie, że nie dosłyszałem.

— W sprawiedliwość w stosunku do nas, Murzynów.

— Masz rację.

Czuł w sobie ogień, nie mógł uleżeć spokojnie. Chciał usiąść i mówić głośno, ale gdy spróbował się podnieść, zabrakło mu sił. Coraz więcej słów wzbierało mu w sercu. Ale starzec przestał słuchać, więc nie miał ich komu wypowiedzieć.

— Wio, Lee Jackson! Wio, kochany! Podnoś nogi! Łeb do góry! Długa droga przed nami.

2.

Popołudnie

Jake gnał ze wszystkich sił niezgrabnymi susami. Przeleciał przez Weavers Lane, a potem wpadł w boczną uliczkę, wspiał się na jakiś płot i pędził dalej przed siebie. Mdłości wzbierały mu w żołądku, w gardle czuł smak wymiotów. Jakiś pies gonił go, szczekając, aż musiał zatrzymać się na chwilę i pogrozić mu kamieniem. Oczy miał wytrzeszczone ze strachu, ręką przyciskał otwarte usta.

Chryste! A więc to koniec. Awantura. Burda. Bijatyka. Okrwawione głowy i oczy pocięte stłuczonymi butelkami. A ponad całym tym harmidrem i zamieszaniem sapiący dźwięk obracającej się karuzeli. Porzucone na ziemi tartinki i cukierki. Wrzeszczące dzieci. I on w tym wszystkim, walczący na ślepo w słońcu i kurzu. Ostre zęby na przegubach palców. I śmiech. Chryste! I uczucie, że dał się ponieść jakiemuś dzikiemu, wściekłemu rytmowi, którego nie da się zatrzymać. A potem patrzył z bliska w martwą czarną twarz i nie wiedział nawet, czy to on zabił, czy nie on. Chryste! Nikt nie potrafiłby tego powstrzymać.

Jake zwolnił i obejrzał się, odwracając głowę nerwowym ruchem. Uliczka była pusta. Zwymiotował i otarł usta i czoło rękawem koszuli. Odpoczął chwilę i poczuł się lepiej. Biegając, minął z osiem ulic, skrótami wyniosło to około pół mili. Zawrót głowy z wolna przechodził, mógł więc teraz z nawału skłębionych wrażeń wyłuskać z pamięci fakty. Ruszył dalej wolnym, spokojnym już krokiem.

Nikt nie mógłby tego powstrzymać. Przez całe lato gasił takie wybuchy jak nagle pożary. Tylko tym razem mu się nie udało. Tej bójki nikt nie potrafiłby stłumić. Zdawało się, że zaczęła się nagle i z niczego. Majstrował coś przy maszynerii huśtawek i przerwał na chwilę, by przynieść sobie szklankę wody. Idąc przez plac, zobaczył białego chłopca i Murzyna, obchodzących się wokoło. Obaj byli pijani. Połowa ludzi upiła się tego popołudnia, bo była to sobota, a fabryki szły całą parą przez okrągły tydzień. Ciężki smród wisiał w powietrzu, upał doprowadzał do mdłości.

Spostrzegł, że dwaj chłopcy szepili się ze sobą. Wiedział, że to nie pierwsza tego rodzaju bójka. Od dłuższego czasu czuł w powietrzu wielką bijatykę. Zabawne, że miał czas pomyśleć o tym wszystkim. Stał i patrzył przez kilka sekund, zanim

przepchnął się w tłum. W tej krótkiej chwili myślał o wielu rzeczach. O Singerze, o ponurych letnich popołudniach i ciemnych upalnych nocach, o tych wszystkich bójkach, które przerwał, i kłótniach, które uciszył.

A potem dojrzał w słońcu błysk noża. Rozepchnął grupkę ludzi i skoczył na plecy Murzyna, który trzymał w ręku nóż. Murzyn przewrócił się z nim razem, runęli na ziemię. Zapach ciała Murzyna mieszał się w jego płucach z gęstym kurzem. Ktoś nadepnął mu na nogi, ktoś inny kopnął w głowę. Zanim podniósł się z ziemi, rozgorzała ogólna bijatyka. Murzyni walczyli z białymi, a biali z Murzynami. Widział to wszystko wyraźnie, sekunda za sekundą. Biały chłopiec, który zaczął bójkę, wyglądał na prowodyra. Był szefem bandy odwiedzającej często wesołe miasteczko. Członkowie jej liczyli nie więcej niż po szesnaście lat, nosili białe płócienne spodnie i ekscentryczne koszule ze sztucznego jedwabiu. Murzyni bronili się, jak mogli. Niektórzy mieli brzytwy.

Zaczął krzyczeć:

— Spokój! Na pomoc! Policja!

Ale był to krzyk wołającego na puszczy. W uszach zabrzmiał straszny wrzask, straszny, bo ludzki, choć bez słów. Wrzask przeszedł w ryk, który go całkiem ogłuszył. Dostał cios w głowę. Nie widział już, co się wokół niego dzieje. Widział tylko oczy, usta i pięści — dzikie, współprzymknięte oczy, wilgotne otwarte usta i zaciśnięte pięści, czarne i białe. Wyrwał z jakiejś ręki nóż, chwycił jakąś podniesioną pięść. A potem słońce i kurz oślepiły go i już tylko jedna myśl kotłowała się w głowie: „Wydostać się stąd, znaleźć telefon, wezwać pomoc”.

Był jednak otoczony. Nie wiedział, jak to się stało, ale nagle sam rzucił się w wir walki. Walił pięściami, czuł pod palcami miękkie miażdżone wargi. Walczył z zamkniętymi oczami i pochyloną głową. Z jego gardła wyrwał się oszalały krzyk. Uderzał z całej siły i szarżował głową jak byk. W myśli plątały mu się bezsensowne słowa, śmiał się. Nie widział, kogo bije, nie wiedział, kto jego bije. Ale wiedział, że wszystko się przemieszało i każdy walczy teraz sam.

A potem nagle nastąpił koniec. Potknął się i upadł na wznak. Ktoś walnął go tak mocno, że minęło kilka minut, nim otworzył oczy. Kilku pijaków tłukło się jeszcze, ale dwóch policjantów szybko ich rozdzieliło. Zobaczył, o co się potknął. Połową ciała leżał na ciele murzyńskiego chłopca. Od jednego spojrzenia wiedział, że chłopiec nie żyje. Z boku szyi miał ciętą ranę, trudno było zrozumieć, dlaczego tak szybko umarł.

Znał tę twarz, nie umiał jej jednak umiejscowić. Usta chłopca były otwarte, a także oczy, w których widniał wyraz zaskoczenia. Na ziemi pełno było papierów, potłuczonych butelek i stratowanych kanapek. Jeden z koników na karuzeli miał rozbitą głowę, zniszczono kiosk. Jake usiadł. Zobaczył policjantów i zaczął uciekać w popłochu. Teraz musieli już zgubić jego ślad.

Jeszcze cztery ulice i będzie na pewno bezpieczny. Ze strachu aż się zadyszał. Zacisnął pięści i pochylił głowę. Nagle zwolnił i zatrzymał się. Był sam w jakimś zaułku, w pobliżu głównej ulicy. Po jednej stronie wznosiła się ściana budynku, więc oparł się o nią, sapiąc; węzlasta żyła na jego czole nabiegła krwią. Stracił głowę i biegł przez całe miasto do pokoju przyjaciela. A przecież Singer nie żyje. Jake zaczął płakać. Szlochał głośno, ciekło mu z nosa, wąsy miał mokre.

Mur, schody, otwarta droga przed nim. Ciężar palącego słońca uciskał głowę. Zawrócił tą samą drogą, którą przybiegł. Szedł teraz wolno, ocierając mokrą twarz zatłuszczonym rękawem koszuli. Nie mógł opanować drżenia warg, zagryzał je tak długo, aż poczuł smak krwi.

Na rogu następnej ulicy natknął się na Simmsa. Stary dziadyga siedział na skrzynce z Biblią na kolanach. Za nim wznosił się wysoki drewniany płot, na którym wypisane były czerwoną kredą słowa:

Umarł, żeby cię zbawić
Posłuchaj o jego miłości i łasce
co wieczór o 7.15

Ulica była pusta. Jake chciał przejść na drugą stronę, ale Simms schwycił go za rękę.

— Przyjdźcie wszyscy smutni i niepokieszeni. Złóżcie wasze grzechy i troski u błogosławionych stóp tego, który umarł, żeby was zbawić. Dokąd idziesz, bracie?

— Do domu, pograć w hokeja — odpowiedział Jake. — Muszę pograć w hokeja. Czy Zbawiciel ma coś przeciwko temu?

— Grzeszniku! Bóg pamięta wszystkie twoje przewinienia. Dziś wieczorem coś ci oznajmi.

— A czy Bóg pamięta o tym dolarze, którego ci dałem w zeszłym tygodniu?

— Jezus ma ci coś do powiedzenia dziś wieczorem. O siódmej piętnaście. Bądź tu o tej porze, by wysłuchać Jego słów.

Jake obliznął wargi.

— Otacza cię co wieczór taki tłum, że nie mogę się dopchać, żeby coś usłyszeć.

— Jest miejsce i dla szyderców. Otrzymałem znak, że Zbawiciel pragnie, żebym zbudował dla Niego dom. Na tym placu na rogu Osiemnastej Alei i Szóstej Ulicy. Przybytek, który mógłby pomieścić pięciuset ludzi. A wtedy, szydercy, zobaczycie. Panie, nagotowałeś przed oczyma moimi stół naprzeciwko tych, którzy mię trapią; namaściłeś olejkami głowę moją, a kielich mój upajający wspaniałą jest...

— Mogę na dziś wieczór spędzić ci tu tłum — powiedział Jake.

— W jaki sposób?

— Daj mi kolorową kredę. Obiecuję ci duży tłum.

— Widziałem, co ty wypisujesz — rzekł Simms. — „Robotnicy! Ameryka to najbogatszy kraj świata, a jednak trzecia część jej mieszkańców przymiera głodem. Kiedy zjednoczymy się i zażądamy tego, co się nam należy?” — i tak dalej. To są hasła wywrotowe. Nie pozwolę ci używać do tego mojej kredy.

— Nie zamierzam wypisywać haseł.

Simms przerzucał kartki Biblii i przyglądał mu się podejrzliwie.

— Spędzę ci tu tłumy. Na chodnikach na dwóch rogach ulicy wyruszę przystojne nagie lafiryndy. Kolorowe, ze strzałkami wskazującymi drogę. Przylepne, pulchne, z gołymi tyłkami...

— Babilończyku! — wrzasnął starzec. — Synu Sodomy! Bóg ci tego nie wybaczy.

Jake przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w kierunku swego domu.

— Do zobaczenia, bracie!

— Grzeszniku! — krzyczał stary. — Wróć tu punktualnie o siódmej piętnaście, by posłuchać słów Jezusa, które natchną cię wiarą.

Singer umarł. Kiedy usłyszał, że zabił się sam, nie doznał uczucia smutku, lecz ogarnął go gniew. Przypomniawszy sobie wszystkie najtajniejsze myśli, które zwierzał Singerowi. Wraz z jego śmiercią te plany wydawały się stracone. Dlaczego Singer zapragnął położyć kres swemu życiu? Może zwariował. W każdym razie umarł, umarł, umarł. Nie mógł już zobaczyć go, dotknąć, mówić do niego, a pokój, gdzie spędzili razem tyle godzin, wynajęła jakaś maszynistka. Nie mógł już tam pójść. Był sam. Mur, schody, otwarta przed nim droga.

Jake zamknął za sobą drzwi swego pokoju. Chciało mu się jeść, a nie miał nic do jedzenia. Chciało mu się pić, a w dzbanku na stole pozostało tylko parę kropel ciepłej wody. Łóżko było nieposłane, na podłodze kłębiły się kłaki kurzu. Po całym pokoju walały się porozrzucane papiery, bo ostatnio pisał dużo krótkich ulotek i rozdawał je na mieście. Niektóre zawierały tylko jedno zdanie, inne były dłuższe. Był i manifest na całą stronę pod tytułem: „W czym nasza demokracja przypomina faszyzm”.

Przez cały miesiąc pracował nad tymi ulotkami, gryzmołąc je podczas pracy, przepisując na maszynie w wielu kopiach w „New York Cafe”, a potem rozdając na ulicy. Pracował dniem i nocą. Ale kto je czytał? Co dobrego działy? Miasto było za duże, by jeden człowiek mógł czegoś dokonać. A teraz postanowił je opuścić.

Dokąd pójdzie? Przypomniawszy sobie różne miasta — Memphis, Wilmington, Gastonia, Nowy Orlean. Pójdzie gdzieś, ale nie ruszy się z Południa. Znowu opanował go dawny niepokój i głód. Tym razem było to trochę odmienne uczucie. Nie tęsknił już za otwartą przestrzenią i wolnością — wręcz przeciwnie. Przypomniawszy sobie, co powiedział mu doktor Copeland: „Niech pan nie próbuje odsuwać się od ludzi”. Były chwile, kiedy to okazywało się najlepsze.

Jake odsunął łóżko od ściany. Na podłodze pod łóżkiem piętrzył się stos książek i brudnej bielizny i leżała walizka. Zaczął się niecierpliwie pakować. W myśli widział twarz starego Murzyna, przypomniawszy mu się to wszystko, o czym ze sobą mówili. Copeland to był wariat. Fanatyk. Szaleństwem było próbować przemówić mu do rozsądku. Trudno było później zrozumieć straszliwą wściekłość, która ogarnęła ich tamtej nocy. Copeland znał prawdę. A ci, co ją znali, byli jak garstka nagich żołnierzy przed uzbrojonym batalionem. I czego dokonali? Pokłócili się. Copeland nie miał racji, był zwariowany, ale ostatecznie mogliby coś razem działać. Gdyby tak dużo nie gadali. Pójdzie go odwiedzić. Ogarnęło go podniecenie. W końcu to chyba najlepsze, co może zrobić. Może to jest znak — dłoń wskazująca drogę — na który tak długo czekał.

Nie zwlekając ani chwili — nawet nie obmył brudnej twarzy i rąk — ściągnął paskiem walizkę i wyszedł z pokoju. Duszne powietrze wypełniała jakaś smrodliwa woń. Zachmurzyło się. Powietrze było tak spokojne, że dym z fabryki unosił się prostą, równą linią w niebo. Jake oglądał się co chwila nerwowo za siebie, walizka objęła mu się niezdarnie o kolana. Copeland mieszkał na drugim krańcu miasta.

Trzeba się pospieszyć. Chmury na niebie gęstniały, zapowiadając przed zapadnięciem nocy rzęśisty letni deszcz.

W domu Copelanda zobaczył opuszczone żaluzje. Obszedł od tyłu i zajrzał przez okno do pustej kuchni. Był tak głęboko rozczarowany i zrozpaczony, że ręce spocily mu się, a serce zaczęło bić nierównym rytmem. Zaszedł do sąsiedniego domu, ale nie zastał nikogo. Nie pozostawało nic innego, jak przejść do Kellych i zapytać o Portię.

Nie cierpiał zbliżać się do tego domu; nie znosił widoku wieszaka w holu i długich schodów, po których wspinał się tyle razy. Przeszedł wolno z powrotem przez całe miasto i wąską uliczką zbliżał się do drzwi na tyłach domu. Portia była w kuchni z małym chłopczykiem.

— Nie, proszę pana — powiedziała. — Wiem, że był pan wielkim przyjacielem pana Singera i rozumie pan też, co czuł do niego ojciec. Ale dziś rano wywieźliśmy ojca na wieś i jestem święcie przekonana, że nie powinnam mówić panu, gdzie on teraz jest. Jeśli pan pozwoli, powiem, co naprawdę myślę, i nie będę bawić się w delikatności.

— Nie ma potrzeby bawić się w delikatności — powiedział Jake. — O co chodzi?

— Po pana wizycie u nas ojciec był taki chory, że myśleliśmy, że umrze. Upłynęło dużo czasu, zanim mógł usiąść. Teraz już lepiej się czuje, ale musi się jeszcze wzmocnić. Widzi pan, on jest rozgoryczony do białych i bardzo łatwo się unosi. A poza tym, czy można wiedzieć, co pan chce od niego?

— Nic — odparł Jake. — Nic, co mogłabyś zrozumieć.

— My, Murzyni, tak samo czujemy jak inni. Jeszcze raz mówię, co już powiedziałam, proszę pana. Ojciec to stary schorowany człowiek i miał już dość zmartwień. Musimy się o niego troszczyć. I wcale nie pragnie pana oglądać, wiem o tym.

Znalazłszy się na ulicy, spostrzegł, że chmury przybrały gniewną fioletową barwę. W nieruchomym powietrzu czuć było nadchodzącą burzę. Żywa zieleń drzew wzdłuż chodnika zdawała się przesycać powietrze tak, że na ulicę padał jakby zielonkawy odblask. Panowała taka cisza i spokój, że Jake przystanął na chwilę, by odetchnąć głęboko i rozejrzeć się dokoła. Potem chwycił walizkę pod pachę i zaczął biec w kierunku głównej ulicy. Ale nie zdążył. Oziębilo się nagle, rozległ się suchy łoskot grzmotu i duże, srebrne krople deszczu zaszumiały po chodniku. Lawina wody

oślepiła go. Nim doszedł do „New York Cafe”, mokre ubranie oblepiło mu ciało, w butach chlupotała woda. Brannon odsunął na bok gazetę i oparł łokcie o ladę.

— To naprawdę ciekawe. Czuję, że przyjdiesz tu, ledwo się rozpadało. Byłem pewny, że idziesz i że nie zdążysz przed burzą. — Przydusił nos dużym palcem, aż spłaszczył się i zbielał. — Co to, walizka?

— Wygląda jak walizka i ciężka jak walizka, więc jeżeli wierzysz w realność walizek, to chyba jedna z nich.

— Nie stój tak. Idź na górę i zrzuć to ubranie. Louis przeciągnie je gorącym żelazkiem.

Jake usiadł przy jednym ze stolików w loży i oparł głowę na rękach.

— Nie, dziękuję. Chcę tylko odpocząć tu i złapać trochę tchu.

— Wargi masz sine. Wyglądasz na przegranego.

— Nic mi nie jest. Chciałbym tylko zjeść kolację.

— Kolacja będzie dopiero za pół godziny — odrzekł cierpliwie Biff.

— Wystarczą jakieś resztki. Wyłóż je na talerz. Nie trudź się odgrzewaniem.

Czuł się taki pusty, że to aż bolało. Nie chciał oglądać się w tył ani patrzeć przed siebie. Dwoma krótkimi, tępo zakończonymi palcami uderzał w stół. Już więcej niż rok upłynął od czasu, gdy usiadł przy tym stole po raz pierwszy. I jak daleko posunął się od tamtej pory? Ani kroku. Nic się nie wydarzyło prócz tego, że zyskał przyjaciela i stracił go. Dał Singerowi wszystko, co mógł z siebie dać, a ten się zabił. Pozostawił go na łodzi. Teraz powinien otrząsnąć się i zacząć od nowa. Na myśl o tym ogarnął go strach. Czuł się zmęczony. Oparł głowę o ścianę i położył nogi na drugim siedzeniu.

— Proszę — powiedział Brannon. — To ci powinno dobrze zrobić.

Postawił przed nim szklanekę jakiegoś gorącego napoju i talerz z porcją kurczęcia w cieście. Napój miał słodki, mocny zapach. Jake przymknął oczy i wciągnął w nozdrza parę.

— Co to jest?

— Skórka cytrynowa otarta o kostkę cukru i zalana wrzącą wodą z rumem. Dobry napój.

— Ile jestem ci winien?

— Nie wiem tak od razu, ale obliczę, zanim wyjdiesz. Jake upił duży łyk grogu i zanim go przełknął, popłukał wpierw usta.

— Nigdy nie dostaniesz tych pieniędzy — powiedział. — Nie mam z czego ci zapłacić, a gdybym miał, prawdopodobnie też bym nie zapłacił.

— A czy ja nalegam? Czy kiedykolwiek wystawiłem ci rachunek i kazałem płacić?

— Nie — odpowiedział Jake. — Byłeś bardzo wyrozumiały. Naprawdę porządny z ciebie chłop — z mojego punktu widzenia, oczywiście.

Brannon usiadł przy stole naprzeciwko niego. Coś go gnębiło. Przesuwał solniczkę po stole i bez przerwy przyglądał włosy. Pachniał jakimiś perfumami; niebieska koszula w paski była czysta i świeża. Rękawy miał podwinięte i przytrzymane staroświeckimi niebieskimi gumkami.

Odchrząknął w końcu i z wahaniem powiedział:

— Przeglądałem właśnie popołudniową gazetę, jak wszedłeś. Zdaje się, że mieliście dziś porządną awanturę tam, gdzie pracujesz?

— Tak. Co napisali?

— Zaczekaj. Przyniosę gazetę.

Brannon przyniósł gazetę z lady i oparł się o przepierzenie łoża.

— Piszą na pierwszej stronie, że w wesołym miasteczku, mieszczącym się tam a tam, wybuchła ogólna bójka. Dwaj Murzyni zostali śmiertelnie poranieni nożami. Trzej inni odnieśli lżejsze rany i zostali odwiezieni do szpitala miejskiego. Nazwiska zabitych: Jimmy Macy i Lancy Davis. Ranni: John Hamlin, biały, z Central Mili City, Various Wilson, Murzyn, i tak dalej, i tak dalej. Cytuję: „Dokonano szeregu aresztowań. Przypuszcza się, że awanturę wywołała agitacja pewnych czynników w środowisku robotniczym, znaleziono bowiem na miejscu zamieszek ulotki o treści wywrotowej. Oczekuje się wkrótce dalszych aresztowań”.

Brannon z cmoknięciem zacisnął zęby.

— Co dzień gorszy jest skład tej gazety. Wywrotowy napisane przez dwa „tt”, a w słowie „aresztowania” zgubione „z”.

— Sprytni są — stwierdził Jake szyderczo. — „Agitacja pewnych czynników”. To znamienne.

— No, ale cała ta sprawa jest bardzo niewesoła.

Jake przycisnął rękę do ust i patrzył na pusty talerz.

— Co masz teraz zamiar zrobić?

— Opuszczam to miasto. Wyjadę stąd jeszcze dziś po południu.

Brannon potarł paznokcie o dłoń.

— Nie jest to chyba konieczne... A może i słuszne. Ale dlaczego taki pośpiech? Nie ma sensu wychodzić o tej porze.

— Wolałbym wyjść.

— Uważam, że powinieneś zacząć wszystko od nowa. Ale może posłuchałbyś mojej rady. Ja jestem konserwatystą i uważam, że twoje poglądy są radykalne. Lubię jednak znać wszystkie strony zagadnienia. Chciałbym widzieć, że wszedłeś na prostą drogę. Dlaczego nie miałbyś pojechać tam, gdzie mógłbyś spotkać parę ludzi mniej więcej do ciebie podobnych? I osiąść na jednym miejscu?

Jake z irytacją odsunął talerz.

— Nie wiem, dokąd pójdę. Zostaw mnie w spokoju. Jestem zmęczony.

Brannon wzruszył ramionami i wrócił za ladę.

Jake był istotnie zmęczony. Gorący rum i senny szum deszczu podziałały na niego usypiająco. Zjadł dobry posiłek — bezpiecznie i dobrze było tu posiedzieć. Gdyby chciał, mógłby oprzeć się o stół i zdrzemnąć chwilę. Głowa ciążyła mu, przymknął więc oczy i od razu poczuł się lepiej. Ale nie wolno mu usnąć, bo niedługo musi stąd wyjść.

— Jak długo może jeszcze padać?

I głos Brannona był senny.

— Trudno powiedzieć, chyba to oberwanie chmury. Może się wypogodzić albo też będzie siąpić przez całą noc.

Jake oparł głowę na rękach. Szum deszczu brzmiał jak wzbierający szum morza. Słyszał tykanie zegara i daleki brzęk naczyń. Mięśnie jego rąk rozluźniły się z wolna. Leżały teraz na stole otwarte, zwrócone dłońmi do góry.

Ocknął się nagle, bo Brannon trząśł go za ramię, wpatrując się w jego twarz. Jakiś straszny sen tkwił jeszcze w jego świadomości.

— Obudź się — mówił Brannon. — Gnębiła cię jakaś zmora. Miałaś usta otwarte, jęczałaś i szurałaś nogami po podłodze. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

Sen jeszcze go nie opuścił. Czuł ten sam strach, jaki go dawniej zawsze ogarniał, gdy się budził. Odepchnął Brannona i wstał.

— Nie potrzebujesz mi mówić, że to była zmora. Pamiętam wszystko dobrze. Już z piętnaście razy miałem ten sen.

Pamiętał go teraz. Poprzednio nie mógł sobie nigdy dokładnie przypomnieć. Szedł pośród tłumu ludzi — jak w wesołym miasteczku. Ci ludzie, na ogół nadzy, przypominali ludzi Wschodu. Słońce świeciło jakimś niesamowitym blaskiem. Ludzie poruszali się wolno w milczeniu, twarze ich były wygłodniałe. Panowała absolutna cisza, było tylko to słońce i ten milczący tłum. On szedł wśród tłumu, niosąc ogromny przykryty kosz. Niósł go dokądś, ale nie wiedział, gdzie ma postawić. We śnie odczuwał jakąś dziwną grozę, idąc tak przez tłum i nie wiedząc, gdzie złożyć dźwigany od tak dawna ciężar.

— Co to było? — spytał Brannon. — Może gonił cię diabeł?

Jake wstał i podszedł do lustra wiszącego za ladą. Twarz miał brudną i spoconą. Pod oczami ciemne kręgi. Zmoczył chustkę pod kranem i wytarł twarz. Potem wyjął kieszonkowy grzebyk i porządnie uczesał włosy.

— Sen to nic. Musiałbyś sam usnąć, by zrozumieć, jaki to koszmar.

Zegar wskazywał piątą trzydzieści. Deszcz prawie ustał. Jake podniósł z podłogi walizkę i ruszył ku drzwiom.

— Do widzenia. Napiszę do ciebie kartkę.

— Czekaj! Nie możesz teraz iść. Jeszcze trochę pada.

— Kapie z markizy. Wolałbym wyjść z miasta przed zmierzchem.

— Stój! Czy masz pieniądze? Choćby na tydzień?

— Nie potrzebuję pieniędzy. Nieraz już byłem bez grosza.

Brannon miał przygotowaną kopertę, a w niej dwa banknoty dwudziestodolarowe. Jake obejrzał je z obu stron i włożył do kieszeni.

— Bóg wie, dlaczego to robisz. Nigdy ich więcej nie zobaczysz. Ale dziękuję. Nie zapomnę ci tego.

— Powodzenia. I daj mi znać o sobie.

— *Adios*.

— Do widzenia.

Drzwi się za nim zamknęły. Kiedy obejrzał się przy pierwszej przecznicy, Brannon stał na chodniku i patrzył za nim. Jake poszedł prosto przed siebie aż do torów kolejowych. Po drugiej stronie torów stało kilka rzędów zniszczonych dwuizbowych domków. Na ciasnych podwórkach chyliły się do ziemi przegniłe klozety, na sznurkach wisiały podarte, szare łachmany. Na odległość dwóch mil nie widać było śladu dobrobytu, wolnej przestrzeni, czystości. Nawet ziemia wydawała się

brudna i zaniedbana. Gdzieniedzie widniały resztki warzywnych grządek, a na nich tu i ówdzie przywiędła kapusta i kilka pokrytych sadzą drzewek figowych, niedających owocu. Dzieciaki tarzały się w brudzie, najmniejsze było zupełnie nagie. W tej nędzy było tyle okrucieństwa i beznadziejności, że Jake warknął i zacisnął pięści.

Doszedł do rogatek miasta i skręcił na szosę. Mijały go samochody jeden za drugim. Miał za szerokie ramiona i za długie ręce; był tak silny i brzydki, że nikt nie chciał go zabrać. Łudził się jednak, że może w końcu zatrzyma się jakaś ciężarówka. Późne popołudniowe słońce wyjrzało znowu zza chmur. Nad mokrą jezdnią unosiła się para. Jake szedł niezmordowanie naprzód. Gdy pozostawił miasto za sobą, poczuł przyływ nowej energii. Czy to dlatego, że ucieka, czy że już zbiera się do nowego ataku? W każdym razie idzie przed siebie. Jeszcze raz zacznie wszystko od początku. Droga wiodła na północ skręcając lekko na zachód. Ale on nie pójdzie tak daleko. Nie opuści Południa. To jedno było pewne. Wstąpiła w niego nadzieja, może niebawem wyprawa jego będzie miała określony cel.

3.

Wieczór

Na co się to zdało? To chciałaby wiedzieć. Na co się to, u diabła, zdało? Wszystkie jej plany. I muzyka. Tyle z tego, że znalazła się jakby w potrzasku — sklep, potem do domu przespać się, i znowu sklep. Zegar nad drzwiami sklepu, w którym pracował dawniej pan Singer, wskazywał siódmą. A ona dopiero wyszła. Ilekroć trzeba było zostać po godzinach pracy, kierownik zawsze jej kazał zostawać. Bo ona była bardziej wytrzymała od tych innych dziewcząt.

Po rzęsim deszczu niebo miało bladą błękitną barwę. Nadchodził zmierzch. Zapalono już latarnie. Klaksony samochodów trąbiły na ulicach, gazeciarze wykrzykiwali głośno nagłówki gazet. Nie chciało jej się iść do domu. Jeśli pójdzie tam teraz, położy się na łóżku i zacznie krzyczeć. Taka jest zmęczona. Ale gdyby poszła do „New York Cafe” i zjadła lody, może poczułaby się lepiej. Mogłaby też zapalić papierosa i być przez chwilę sama.

W restauracji od frontu było tłoczno, usiadła więc w ostatniej łoży. Największe zmęczenie czuła w twarzy i w dole krzyża. Motto dla pracownic w sklepie brzmiało: „Bądź czynna i uśmiechnięta”. Kiedy wyszła z pracy, musiała przez długą chwilę marszczyć czoło, aby odzyskać naturalny wyraz twarzy. Nawet uszy miała zmęczone. Zdjęła zwisające z nich zielone kolczyki, bo ją cisnęły. Kupiła je w ubiegłym tygodniu, tak jak i srebrną bransoletkę. Z początku pracowała w dziale naczyń kuchennych, teraz przeniesiono ją do działu sztucznej biżuterii.

— Dobry wieczór, Mick — przywitał ją Brannon. Wytarł serwetką szklanekę i postawił ją na stole.

— Proszę o lody czekoladowe i kufel piwa za pięć centów.

— Razem? — Położył przed nią kartę i wskazał palcem, na którym nosił damską obrączkę: — Popatrz, jest dobre pieczone kurczę i cielęca potrawka. Może zjesz kolację ze mną?

— Nie, dziękuję. Proszę o lody i piwo. Jedno i drugie bardzo zimne.

Mick odgarnęła palcami włosy z czoła. Otworzyła usta, tak że policzki wydawały się zapadnięte. W dwie rzeczy nie mogła ciągle uwierzyć: w to, że Singer nie żyje, i w to, że ona dorosła i musi pracować u Woolwortha.

To ona go znalazła. Usłyszawszy huk myśleli, że to samozapłon w samochodzie, i dopiero następnego dnia odkryli prawdę. Poszła na górę, by posłuchać radia. Miał całą szyję we krwi. Gdy zjawił się ojciec, wypchnął ją z pokoju. Uciekła z domu. Nie mogła się uspokoić po tym wstrząsie. Biegła w ciemnościach, okładając się pięściami. A następnego wieczoru leżał już w trumnie w saloniku. Przedsiębiorca pogrzebowy uszminkował go i uróżował, aby wyglądał naturalnie. Ale on wcale nie wyglądał naturalnie. Był zupełnie nieżywy. Z zapachem kwiatów mieszał się inny zapach, tak że nie mogła wytrzymać w pokoju. Ale przez te wszystkie dni chodziła do pracy. Pakowała paczki, podawała klientom i zgarniała z brzękiem pieniądze do szuflady. Szła tam, gdzie iść musiała, jadła, kiedy usiadła do stołu. Tylko z początku, kiedy się wieczorem położyła, nie mogła usnąć. Ale teraz nawet spała jak trzeba.

Mick obróciła się bokiem na krześle, by móc założyć nogę na nogę. Miała spuszczone oczko w pończosze. Puściło rano, kiedy szła do pracy, więc je pośliniła. Później puściło dalej i musiała zalepić je na końcu kawałeczkiem gumy do żucia. Ale nawet to nie pomogło. Będzie musiała pójść teraz do domu i zaszyć pończochę. Nie

wiadomo, co robić z tymi pończochami. Tak prędko je drze. A może jest po prostu zwykłą dziewczyną i powinna nosić bawełniane pończochy?

Nie należało tu przychodzić. Podeszwy pantofli miała zdarte do cna. Trzeba było oszczędzić dwadzieścia centów na nowe. Bo jeśli będzie chodziła z dziurą w bucie, to czym się to skończy? Zrobi się jej pęcherz na podeszwie i będzie musiała przekłuć go opaloną nad ogniem igłą. I siedzieć w domu, zamiast chodzić do pracy. I wyrzucą ją. I co wtedy będzie?

— Proszę — powiedział Brannon. — Ale nigdy nie słyszałem o takiej kombinacji.

Postawił lody i piwo na stole. Udawała, że czyści paznokcie, bo gdyby na niego spojrzała, zacząłby mówić. Nie okazywał jej już niechęci, musiał zapomnieć o tej paczuszce gumy do żucia. Teraz zawsze chciał z nią rozmawiać. Ale ona pragnęła być sama i mieć spokój. Lody były doskonałe, oblane czekoladą, przybrane orzeszkami i czereśniami. A piwo odświeżające. Po lodach smak jego wydawał się przyjemnie gorzki, prawie się upiła. Najlepszą rzeczą po muzyce było piwo.

Teraz już żadna muzyka nie rozbrzmiewała jej w myślach. Zabawna rzecz. Jakby nie miała teraz wstępu do świata marzeń. Czasami nadpływała i odpływała krótka melodia w szybkim rytmie, ale ona nigdy nie zanurzyła się już w świat marzeń ze swoją muzyką, jak zwykła była robić dawniej. Tak jakby żyła w zbyt wielkim napięciu. A może to sklep zabierał jej całą energię i czas? Sklep Woolwortha to nie było to samo co szkoła. Kiedy wracała do domu ze szkoły, czuła się dobrze i mogła poświęcić się muzyce. Ale teraz była zawsze zanadto zmęczona. W domu zjadała tylko kolację i kładła się spać, rano zjadała śniadanie i znów szła do sklepu. Melodia, którą zaczęła zapisywać w swoim notesie przed dwoma miesiącami, była wciąż jeszcze nie skończona. Chciała przebywać w swoim świecie marzeń, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Tak jakby świat ten był gdzieś daleko, zamknięty przed nią. Bardzo to trudne do zrozumienia.

Mick dotknęła palcem złamanego zęba z przodu. No, ale miała radio pana Singera. Co prawda jeszcze nie wszystkie raty zostały spłacone, ale ona wzięła to na siebie. Dobrze było mieć coś, co należało do niego. A może niedługo będzie mogła odłożyć sobie trochę na używany fortepian? Dwa dolary tygodniowo, powiedzmy. Nie dałaby nikomu dotknąć tego fortepianu. Może tylko nauczyłaby George'a paru kawałków. Stałby w pokoju od podwórza, grałaby na nim co wieczór. I przez niedzielę. A gdyby tak któregoś tygodnia nie mogła zapłacić raty za fortepian i przysliby go

zabrać, jak zabrali czerwony rowerek? A gdyby tak nie chciała go oddać? Ukryłaby go w piwnicy. Albo wyszłaby do tych ludzi przed dom i biła się z nimi. Przewróciłaby na ziemię obu mężczyzn, podbiła im oczy i połamała nosy, a potem wciągnięto by ich do holu.

Mick zmarszczyła brwi i potarła pięścią czoło. Tak to wszystko się przedstawiało. Cały czas była wściekła. Nie tak jak dziecko, które wpada nagle w złość i prędko się uspokaja — ale inaczej. Nie było żadnego powodu do wściekłości. Chyba ten sklep. Ale w sklepie nie proszono jej, żeby tam pracowała. Nie było więc czego się wściekać. Miała takie uczucie, jakby ją oszukano. A nikt jej przecież nie oszukał. Nie było więc nikogo, na kim mogłaby wyładować złość. A jednak czuła się oszukana.

Ale może te marzenia o fortepianie ziszczą się i wszystko będzie jeszcze dobrze. Może trafi się jej jakaś szansa? Bo inaczej, na co, u licha, się to wszystko zdało — jej zamiłowanie do muzyki i plany, jakie snuła w krainie marzeń? Musiało to mieć jakiś sens, jeżeli wszystko na świecie ma sens. Za dużo było tego, za dużo, za dużo, za dużo. Musiało mieć sens.

W porządku! Dobrze! Jakiś sens.

4.

Noc

Panowała cisza i spokój. Kiedy Biff wycierał twarz i ręce, lekki powiew zakolysał szklanymi wisiorami w małej japońskiej pagodzie stojącej na stole. Właśnie obudził się z drzemki i wypalił swoje wieczorne cygaro. Pomyślał o Blouncie, zastanawiając się, jak daleko już zaszedł. Na półce w łazience stała butelka wody kwiatowej; dotknął lekko korkiem skroni. Zagwizdał jakąś starą melodię, a gdy schodził po wąskich schodach na dół, rozległo się za nim urwane echo.

Louis powinien był stać za ladą. Ale wykręcił się od roboty i nie było tam nikogo. Drzwi frontowe stały otworem na pustą ulicę. Na ściennym zegarze była za siedemnaście minut dwunasta. W radiu ktoś mówił o krytycznej sytuacji w Gdańsku spowodowanej przez Hitlera. Biff poszedł do kuchni i zobaczył Louisa śpiącego na krześle. Chłopak zdjął buty i rozpiął spodnie. Głowa opadła mu na piersi. Długa

strużka śliny na koszuli wskazywała, że śpi już dobrą chwilę. Ręce zwisały luźno wzdłuż boków, jakimś cudem tylko nie spadł z krzesła na twarz. Spał twardo i nie było sensu go budzić. Noc będzie spokojna.

Biff przeszedł na palcach przez kuchnię do półki, na której stał koszyk oliwek i dwa dzbanki od wody pełne cynii. Zaniósł kwiaty do restauracji i wyjął z okna wystawowego osłonięte celofanem półmiski z jakimś najbardziej wyszukany w tym dniu daniem. Znudziło mu się już to jedzenie. Dużo lepsza będzie wystawa z bukietem świeżych letnich kwiatów. Przymknął oczy, wyobrażając sobie, jak można ją urządzić. Na tle zielonych oliwek czerwony gliniany dzban pełen wspaniałych cynii. Nic więcej. Postanowił tak udekorować wystawę. Wśród kwiatów znalazł wybryk natury – cynię o sześciu brązowych płatkach i dwóch czerwonych. Obejrzał to dziwo i odłożył na bok, żeby schować. Kiedy skończył z wystawą, wyszedł na ulicę, by obejrzyć swoje dzieło. Sztywne łodygi kwiatów układały się jak trzeba, spokojnie, nachylone pod dobrym kątem. Światło elektryczne trochę pomniejszało efekt, ale kiedy wzejdzie słońce, wystawa ukaże się ze swej najlepszej strony. Jest wręcz artystyczna.

Czarne, bezgwiazdne niebo wydawało się blisko ziemi. Wyszedł na chodnik, strącił butem skórę pomarańczy do ścieku. Na rogu następnej ulicy dwaj mężczyźni, niscy z daleka i nieruchomi, stali, trzymając się pod rękę. Poza tym nikogo nie było widać. Na całej ulicy tylko jego restauracja była otwarta i paliło się w niej światło.

Dlaczego? Jaki sens trzymać ten lokal całą noc otwarty, kiedy inne restauracje w mieście są zamknięte. Często zadawano mu to pytanie, a on nigdy nie umiał na nie odpowiedzieć. Nie dla pieniędzy przecież. Czasem parę osób przychodziło na piwo i jajecznicę i wydawało pięć lub dziesięć dolarów. Ale to zdarzało się rzadko. Przeważnie wstępowali pojedynczo, zamawiali niewiele i siedzieli długo. A między dwunastą a piątą często w ogóle nikt nie przychodził. Nie było z tego żadnego dochodu – to jasne.

Ale jak długo będzie prowadził ten interes, nie zamknie lokalu na noc. Bo wtedy nigdy nie zobaczyłby tych, co przychodzili tylko w nocy. Niektórzy zjawiali się regularnie parę razy w tygodniu. Inni wstępowali tylko raz, żeby wypić coca-cole.

Biff skrzyżował ręce na piersiach i zwolnił kroku. W blasku łukowej lampy ulicznej cień jego był czarny i kanciasty. Ogarnął go cichy spokój nocy. Godzina odpoczynku i rozmyślań. Może dlatego nie kładł się spać i zostawał na dole. Ostatnim szybkim spojrzeniem obrzucił pustą ulicę i wszedł do restauracji.

Głos w radiu mówił jeszcze ciągle o krytycznej sytuacji w Gdańsku. Wentylatory u sufitu obracały się z furkotem. Z kuchni dobiegało chrapanie Louisa. Pomyślał nagle o biednym Williem i postanowił posłać mu w najbliższym czasie ćwierć galona whisky. Powrócił do rozwiązywania krzyżówki w gazecie. Na środku znajdowała się fotografia kobiety i trzeba było odgadnąć jej nazwisko. Rozpoznał ją i wypisał w pustych kratkach: Mona Lisa. Jeden pionowo — słowo oznaczające zakonnik, zaczynające się na „m”, z pięciu liter. Mnich. Dwa poziomo — słowo oznaczające zwierzę, z pięciu liter, zaczyna się na „z”. Zając. Wypowiadał głośno na próbę różne kombinacje liter. Zebra. Przestało go to interesować. Dość jest innych krzyżówek. Złożył gazetę i odsunął ją na bok. Wróci do niej później.

Obejrzał cynię, którą zamierzał schować. Kiedy trzymał ją w dłoni i oglądał pod światło, kwiatek nie wydawał się już czymś takim niezwykłym. Niewart był tego, by go przechowywać. Oberwał miękkie, jasne płatki, z ostatnim wypadło mu słowo „kocha”. Ale kogo? Kogo pokocha teraz? Nikogo. A może kogoś, kto wejdzie z ulicy i usiądzie na godzinę, żeby coś wypić? Nie, nikogo. Miał już w życiu swoje miłosne przeżycia i skończył z nimi. Alice, Madeline i Gyp. Koniec. Był przez to albo lepszy, albo gorszy. Jaki? Zależy, jak na to patrzeć.

A Mick? Mick, która w ciągu ostatnich miesięcy żyła w tak dziwny sposób w jego sercu. Czy i to uczucie przeminęło? Tak. Skończyło się. Przychodziła pod wieczór, żeby napić się czegoś zimnego albo zjeść lody. Wydoroślała. Zatraciła swój szorstki, dziecinny sposób bycia. Było w niej teraz coś kobiecego, coś subtelnego, trudnego do określenia. Koleczki, rozhuśtane na rękach bransoletki, nowy sposób zakładania nogi na nogę i obciągania spódniczki. Patrzył na nią i czuł jakieś rozrzewnienie. Dawne uczucie wygasło. Ta miłość kwitła jakoś dziwnie przez cały rok. Setki razy zadawał sobie pytanie, dlaczego tak się działo, i nie znajdował odpowiedzi. A teraz, jak letni kwiat, który więdnie we wrześniu, zgasła. Nie było w jego sercu nikogo.

Biff uderzył się palcem po nosie. W radiu mówił teraz jakiś cudzoziemiec. Nie wiedział na pewno, czy to głos Niemca, Francuza czy Hiszpana. Ale brzmiał złowroźnie. Denerwujące było słuchanie tego. Kiedy zamknął radio, zaległa głęboka, nieprzenikniona cisza. Czuł noc za oknami. Samotność ścisnęła go za gardło; zaczął szybciej oddychać. Za późno już, by nakręcić numer telefonu Lucile i porozmawiać z Baby. Nie mógł się też spodziewać żadnego gościa o tej porze. Podeszedł do drzwi i wyjrzał na ulicę. Była ciemna i pusta.

— Louis! — zawołał. — Nie śpisz już?

Nikt nie odpowiedział. Oparł łokcie o ladę i ujął głowę w dłonie. Obracał w prawo i w lewo ciemną brodę, na czole jego pojawiła się zmarszczka.

Zagadka. Pytanie, które zapuściło w nim korzenie i nie dawało mu spokoju. Zagadka Singera i pozostałych. Przeszło rok minął od czasu, gdy się to zaczęło. Przeszło rok od chwili, gdy Blount zaczął się tu kręcić, upił się po raz pierwszy i spotkał Singera. Odkąd Mick zaczęła snuć się za nim bez przerwy. Singer już od miesiąca nie żył. A zagadka nadal dręczyła Biffa, nie mógł znaleźć spokoju. Było w tym wszystkim coś nienaturalnego, coś, co przypominało brzydki żart. Na myśl o tym czuł niepokój i jakiś dziwny lęk.

On zajmował się pogrzebem. Powierzyli to jemu. Sprawy Singera były zagnatane. Nieopłacone raty za wszystko, co posiadał, wygasła polisa ubezpieczeniowa na życie. Zaledwie starczyło na pogrzeb. Odbył się w południe. Stali nad głębokim, wilgotnym grobem, a z nieba lał się palący żar. Kwiaty kurczyły się i więdły na słońcu. Mick tak płakała, że aż się zakrztusiła i ojciec musiał uderzyć ją parę razy po plecach. Blount stał nad grobem z ponurą twarzą, zakrywając ręką usta. Jedyńy miejscowy murzyński lekarz, w jakiś sposób spokrewniony z biednym Williem, trzymał się z daleka, pojękując cicho. Byli też tam jacyś obcy ludzie, których nikt nigdy nie widział ani o nich nie słyszał. Bóg wie, skąd przyszli i dlaczego.

W pokoju panowała głucha jak noc cisza. Biff stał przykuty do miejsca, zatopiony w myślach. Nagle coś w nim drgnęło. Poczł ucisk w sercu i musiał oprzeć się plecami o ladę, by nie upaść. Bo w nagłym błysku ujrzał przez mgnienie oka sens ludzkiej walki i borykania. Nieustanny, zmienny marsz ludzkości poprzez wieczność. Tych, co się ciężko trdują, i tych — co tylko kochają. Dusza jego rozpostarła skrzydła. Ale tylko na moment. Bo przeniknął go nagle strach, poczuł w sobie jakby ostrzeżenie. Był zawieszony pomiędzy dwoma światami. Spostrzegł, że wpatruje się we własną twarz w lustrze za ladą. Wykrzywioną, z kroplami potu na czole. Jedno oko otwarte było szerzej niż drugie. Lewe zagłębiało się badawczo w przeszłość, prawe z wyrazem lęku patrzyło w mroczną przyszłość, pełną pomyłek i klęsk. A on trwał zawieszony pomiędzy światłem a mrokiem. Pomiedzy gorzką rozpaczą a wiarą. Odwrócił się gwałtownie.

— Louis! — zawołał. — Louis! Louis!

Odpowiedziała mu cisza, Matko Boska, czy jest człowiekiem rozsądnym, czy też nie? Jak mógł dławić go taki strach, kiedy nie wiedział nawet, czego się boi? Czy będzie tu stał jak roztrzęsiony głupek, czy opanuje się i przywoła do rozsądku? Bo

ostatecznie, czy jest człowiekiem rozsądnym, czy nie? Zmoczył chustkę pod kranem i otarł ściągniętą nieruchomo twarz. Przypomniał sobie nagle, że nie podniósł jeszcze markizy. Gdy skierował się ku drzwiom, szedł już pewnym krokiem. A gdy wrócił z ulicy, był całkiem opanowany. Mógł spokojnie czekać, aż znów rano wzejdzie słońce.